

C A R M E N
POSADAS

Zaproszenie na morderstwo



Posadas Carmen de

Zaproszenie na morderstwo

Grupka przyjaciół na jachcie, tajemnicze morderstwo, wszyscy są podejrzani, bo każdy z nich miał motyw... Sytuacja jak z klasycznym kryminale, gdyby nie fakt, że być może zamordowana Olivia sama to wszystko ukartowała! Czy rzeczywiście można być aż tak perfidną osobą i dać się zabić, żeby dokonać zemsty na nielubianych znajomych? Zagadkę spróbuje wyjaśnić Agata, siostra Olivii, wielbicielka powieści detektywistycznych. Ale czy przypadkiem i ona nie jest nieświadomym niczego elementem wyrafinowanej gry swojej siostry? I czy wskazanie mordercy to na pewno właściwe zakończenie?



*Luisowi Abarce Ruizowi del Cueto,
który pojawił się 9 sierpnia*

Część pierwsza
MUSUJĄCY CYJANEK

Wszyscy nienawidzili Rosemary Barton. Gdyby myśli mogły
zabijać, w jej przypadku niewątpliwie już by to uczyniły.

AGATHA CHRISTIE, *Rosemary znaczy pamięć*

(przeł. Agnieszka Bihl)

Olivia Uriarte

Doprawdy zadziwiające – pomyślała z uśmiechem. – Każdy zachodzi w głowę, jak uczcić ważniejsze chwile w swoim życiu, taka forsa idzie na przyjęcia urodzinowe, wesela, chrzciny i co tam jeszcze, szkoda gadać. Różnych uroczystości mamy co niemiara, ale tylko ja wpadłam na pomysł, by tyle samo wysiłku włożyć w udramatyzowanie własnej śmierci, zdarzenia najbardziej transcendentnego ze wszystkich.

– A właściwie mojego zabójstwa – doprecyzowała, wypowiadając to na głos.

Znowu się uśmiechnęła. Skoro udane opracowanie scenariusza własnego życia, w którym obok pięciokrotnego zamążpójścia znalazło się miejsce dla wielu przyjaźni i równie licznych, a jakże, pokątnych amorów, należy do jej największych osiągnięć, to teraz, gdy nadeszła właściwa godzina, z podobną drobiazgowością zaplanuje tego życia akt ostatni, śmierć.

Czy aby kto kiedy nie stwierdził, że zabójstwo jest jedną ze sztuk pięknych?

W jej przypadku tak właśnie miało być, bez dwóch zdań.

Olivio, Matko Boska, *Santa Madonna!* Nie ma granicy, której nie przekroczysz, byle tylko sprawić sobie przyjemność i znowu znaleźć się w centrum uwagi. Przecież nikt nie organizuje uroczystości z okazji własnej śmierci, a co dopiero swojego zabójstwa. Te wzniosłe rozważania są dla ciebie tak charakterystyczne... Jak widać, wciąż jesteś w stanie zrobić wszystko, byle tylko wywołać zgorszenie.

Mniej więcej tak musiałyby brzmieć słowa Flavia, jej ostatniego męża, a towarzyszyłyby temu okrzyki *jettatore!*, *jettatore!* (zły urok!) i wyciągnięte ku górze dwa wyprostowane palce, mały i wskazujący, jak na starego przesądnego neapolitańczyka przystało. Tym razem jednak była sama. Flavio odszedł, już na zawsze. Poszedł z torbami. Nie tylko zażądał rozwodu, lecz także, co absolutnie niewybaczalne, miał czelność spłukać się nieporównywalnie bardziej niż jego rozliczni znajomi, którym także pogorszyło się podczas kryzysu. Olivia będzie goła jak święty turecki... jak święty włoski, to brzmi równie patetycznie, a chyba bardziej adekwatnie w jej sytuacji.

Olivio, rany boskie! Planowanie swojego zabójstwa?! O czym ty w ogóle mówisz, do cholery? Zresztą, kto chciałby wyrządzić ci krzywdę, skoro wszyscy cię uwielbiają? Chciałabyś uchodzić za jasnowidza, wróżkę, może raczej wiedźmę, tak, wiem o tym, ale choćbyś nie wiem jak się starała, nie możesz przewidzieć, kiedy umrzesz. Przynajmniej takie pocieszenie, jedno z nielicznych nam danych na tym padole łez. *Czuwajcie więc, bo nie znacie dnia ani godziny*¹.

Gdyby tu była Ágata, siostra Olivii, z pewnością wyrecytowałyby powyższe słowa, niechybnie z dłońmi złożonymi jak do paciorka. Mała, biedna Agatita, młodsza o dwa lata, chociaż odnosiło się wrażenie, że o cztery, pięć starsza. Czuwajcie więc, bo nie znacie... i takie tam ecie-pecie. Ágata, najlepiej wykształcona w rodzinie, nauczycielka literatury i języka ojczystego, mogła dywagować równie dobrze o literaturze jak o filozofii, o sztuce, nawet o teologii, bo czemu nie? Była imponująco odczytana, ale cóż z tego, skoro nie przykładła wagi do szczegółów. Na tym właśnie polegał jej największy kłopot w życiu: brak baczenia na niuanse, co sprawiało, że bezpowrotnie znikwały one z jej pola widzenia. I gdyby teraz poczciwa Ágata stanęła przed nią i zaczęła powtarzać, iż nikt nie wie, kiedy wybije jego godzina, Olivia odpowiedziałaby, że wręcz przeciwnie i nawet ten wyżej wspomniany biblijny passus przyznawał jej rację, wystarczy uważnie przyjrzeć się każdemu z użytych słów. Nie zdajesz sobie sprawy, sierotko (Olivia tłumaczyłaby Agacie z wymownym, firmowym uśmiechem starszej siostry), że zdanie to właściwie mówi wszystko. *Czuwajcie*, a więc miejcie oczy szeroko otwarte, *starajcie się zobaczyć*. Zawsze widać jakieś zwiastuny, nim śmierć nadejdzie, jakieś oznaki, przestrogi, tylko że nikt ich nie dostrzega, póki ostatecznie nie przyjdzie kres. Czy nie mam racji?! Kiedy zdarza się tragedia, do wszystkich wtedy nagle dociera, że zmarły doskonale *wiedział*, co się wydarzy. „Rano pożegnał się ze mną tak, jakby odchodził na zawsze”, zauważy przybity ojciec, gdy dowiaduje się, że jego syn zginął w wypadku. „Zadzwoił z lotniska tylko po to, aby powiedzieć, że mnie kocha”, przypomina sobie zrozpaczona kobieta, kiedy otrzymuje wiadomość, że jej mąż znajduje się na liście zaginionych w katastrofie lotniczej. Nie ma o czym dyskutować. Każdy, komu przyjdzie umrzeć, zdaje sobie z tego sprawę,

a ja jestem wyjątkowa tylko dlatego, że wiem to znacznie wcześniej, kilka tygodni wcześniej. I chcę to wszystko porządnie sobie zaplanować.

Olivia zapaliła papierosa, drugiego już tego ranka, i rozejrzała się wokół. Nigdy nie była jakoś szczególnie nostalgiczna, ale faktem jest, że gdyby nie śmierć, w której objęciach zamierzała rychło się znaleźć, to i tak musiałaby porzucić swoje ukochane otoczenie. Jak choćby ten dom w Andratx na Majorce, w który, niczym w dzieło sztuki, tchnęła prawdziwe życie. Wkrótce nie miałyby wyjścia, musiałaby się wyprowadzić w inne miejsce, nieporównanie skromniejsze, „bardziej odpowiadające jej nowej sytuacji”. Innymi słowy, przekroczywszy czterdziestkę, musiałaby zaczynać wszystko od zera i w tych niesprzyjających czasach poznać gorzki smak ubóstwa.

No cóż – myśli, leniwie wydmuchując papierosowy dymek – jak to się mówi, opuścić jakieś bliskie ci miejsce to trochę jak umrzeć. Podobnie zresztą, jeśli chodzi o rozwód z totalnym bankrutem... Tylko po co sobie tym zawracać głowę, trapić się koniecznością porzucenia najukochańszych rzeczy czy niechcianym rozstaniem. Śmierć ma przynajmniej taką zaletę, że wyzwala od wszystkich strapień. *Adiós problemas.*

O wiele istotniejsze jest to, co robi osoba, która *już wie*, że jej koniec zbliża się wielkimi krokami. Każdy ma swój sposób. Niektórzy postanawiają poświęcić czas, który im pozostał, na pogodzenie się z Bogiem i najbliższymi. Inni z kolei okazują się miłośnikami inscenizacji i potrafią zadbać o każdy szczegół, dobierając nawet muzykę, jaką chcieliby usłyszeć na własnym pogrzebie (Mendelssohn jako intro, a na do widzenia Beethoven...). A jeśli są niewierzący, mogą dobrać zgrabny cytat, jaki chcieliby usłyszeć nad swym ukwieconym grobem (z rzadka Benedetti, częściej Lorca, niemal zawsze – Jorge Manrique). Zdarzali się wreszcie i tacy, którzy wierząc w kontakty z zaświatami, zostawiali listy z zastrzeżeniem, aby zostały otwarte dopiero, gdy oni sami znajdą się już po tamtej stronie. Olivia nie zamierzała jednak tracić czasu na takie zabawy. Jej plan nie dotyczył tamtej strony, ale tej doczesnej. Dotyczył nie tego, co po śmierci, lecz tego, co *przed* nią.

Jak można zaplanować własną śmierć? Jak przygotować swoje zabójstwo?

Dokładnie tak samo jak każdą inną rzecz, jak wszystko, co osoby takie jak Olivia robiły przez całe życie: pociągając za sznurki i manipulując ludźmi jak wprawny marionetkarz.

W tym celu – rozmyślała Olivia – należy przede wszystkim skrzyknąć potencjalnych morderców, aby spędzili kilka dni w moim towarzystwie, rozesłać z pół tuzina zaproszeń na ten niecodzienny konwentykiel. Kilka listów zaczęłam już nawet redagować, zaraz, zaraz, gdzie ja je położyłam?

Olivia zbliża się do stojącego pod oknem biurka, zza którego podczas pracy może wyglądać na dwór. Stąd rozpościera się widok na ogród, zbiegający po porośniętym sosnami zboczku w stronę morza.

Na biurku stoją dwa zdjęcia, jedno przedstawia dziewczynkę z niemowlęciem na rękach, drugie – jacht pod pełnymi żaglami, który wkrótce przestanie być do jej dyspozycji. Na rufie statku można dostrzec napis: „Sparkling Cyanide”. Nazwa statku, który tak jak wszystko inne miał z końcem miesiąca zostać skonfiskowany, dla Olivii niesie ze sobą ukryte znaczenie, zaczerpnięte wprost z literatury. Taki tytuł w oryginale nosi jedna z najgłośniejszych powieści Agathy Christie². Na pomysł skopiowania okoliczności śmierci (a właściwie metody zabójstwa) z którejś spośród książek ulubionej autorki Olivii powinna była raczej wpaść jej wykształcona siostra. Zresztą – co za zbieg okoliczności – imienniczka słynnej angielskiej autorki kryminałów. Ona jednak najprawdopodobniej szukałaby inspiracji w bardziej wysublimowanym dziele, może w jakiejś powieści z dorobku Virginii Woolf?

Kochana siostrzyczka. Ciekawe, jak sobie radzi? Od dawna nie miałam od niej żadnych wieści, zamyśliła się Olivia, choć nie na długo. W ostatnim czasie jej samej tyle się przytrafiło, zbyt wiele, by jeszcze zaprzętać sobie myśli Agatą. Olivia zaczyna przetrząsać sekretarzyk, usiłując znaleźć zaproszenia, w końcu trafia na nie w tym samym miejscu, w którym zostawiła je poprzedniej nocy, w prawej szufladzie. Trzymając pierwszy liścik w ręku, poświęca kilka sekund na ponowne przeczytanie nazwy: „Sparkling Cyanide”. „Musujący Cyjanek”.

Spostrzeżenie, że życie czerpie inspiracje z literatury lub sztuki, w żadnym razie nie stanowi odkrycia Ameryki; w sumie zdarza się to dość często. Aby jednak naśladownictwo wyszło wiernie, trzeba życiu nieco

dopomóc, a tutaj wiele już zależy od pomysłowości scenarzysty.

Innymi słowy – uśmiech ponownie zagościł na ustach Olivii – zależy to wyłącznie ode mnie.

Otwiera kopertę, wysuwa bilecik ze środka i zaczyna czytać: *Olivia Uriarte ma wielką przyjemność zaprosić Pana/-ią na...* Urwała. Nie ma zamiaru, to chyba oczywiste, wpisywać w miejscu tych kropek wszystkiego od razu: „...na swoją śmierć”, a już tym bardziej „...na swoje zabójstwo”. Nie, to byłoby niedorzeczne. O wiele lepiej, by zaproszenie napomykało o innej przyczynie spotkania, pretekstem może być, dajmy na to, niedawny rozwód Olivii. O, czemu nie? Dzisiaj niejeden rozwodnik świętuje swoje małżeńskie rozstanie równie hucznie jak ślub, zaprasza wszystkich przyjaciół na rozrywkowy wieczór albo nawet na cały weekend. Tak, to doskonały pretekst. A kto pojawi się na liście gości? Zastanówmy się. Oczywiście jej siostra, której z pewnością nie zachwyci informacja o pozostałych gościach Olivii. No cóż, kogo miałyby zaprosić na własne morderstwo, jeśli nie osoby, które pragną jej śmierci w największym stopniu?

„Tak już w życiu jest, że trzeba uważnie sobie dobierać nie tylko przyjaciół, lecz także – a może przede wszystkim – wrogów”. Chyba tak mniej więcej brzmiały słowa Oscara Wilde’a, które przed laty zacytowała Ágata. Olivia nie czytała żadnej z jego książek, niemniej w pełni zgadza się z tą sentencją. Przede wszystkim ostrożność i rozwaga, to kryterium trzeba postawić na pierwszym miejscu, dokonując wyboru każdej z zaproszonych osób. Tych, które nienawidziły jej z największą mocą.

– ...albo tych, które kochają mnie najmocniej – Olivia dokończyła na głos myśl Oscara Wilde’a, zwilżając językiem krawędź koperty zaadresowanej do młodszej siostry.

Czyż bowiem nie jest to wyświechtane powiedzonko, że każdy medal ma dwie strony?

Pierwsza z zaproszonych: Ágata Uriarte

List leżał wśród innych. Nieprzyjemny właściciel mieszkania przyniósł je wszystkie razem z przypomnieniem o zaległym czynszu za dwa miesiące. Nie trzeba było specjalnych oględzin, by zdać sobie sprawę, że nie chodzi o kolejny wyciąg z banku, katalog produktów oferowanych w sprzedaży wysyłkowej, ulotkę wyborczą ani żadną inną hurtową korespondencję, która zazwyczaj zapycha skrzynkę. Była to jedna z takich kopert, które jeszcze przed otwarciem ogląda się i waży w rękę, i ma się do niej dobre nastawienie, choćby z tego względu, że została ręcznie zaadresowana. Przywodzi to na myśl czasy, kiedy na korespondencję składały się zajmujące prywatne listy, a niekiedy nawet listy miłosne, och i ach, właśnie takie.

Ágata nie powitała owej przesyłki z takim entuzjazmem, bo i dlaczego? Nawet z daleka rozpoznalaby te charakterystyczne zawijasy. Otwarte samogłoski łączyły się ze spółgłoskami, z pozoru tylko niepewnymi. Dobry grafolog bez cienia wątpliwości określiłby je jako kłamliwe, te ekshibicjonistyczne litery „i” z drobnym kółeczkiem w miejsce kropki... Dla osoby parającej się odgadywaniem cech nadawcy na podstawie charakteru pisma takie detale byłyby oczywiste. W praktyce jednak tylko Ágata potrafiła zdemaskować prawdziwe, kryjące się za nimi intencje.

Olivia Uriarte – obwieszczało pismo na kopercie. To ciekawe! Od kiedy to starsza siostra przestała korzystać z kolejnego nazwiska kolejnego męża, co należało do jej żałosnych zwyczajów? Diabli zresztą wiedzą, przecież od tak dawna nie dawała znaku życia. Choć może to przesada, w końcu widywały się w niektóre święta Bożego Narodzenia i w najważniejsze dni świąteczne. Od wielu lat Olivia zwykła też niespodziewanie dzwonić – a to z Johannesburga, a to z Prowansji, czasem z Zurychu, innym razem z Santa Margarita, bywało, że i z Korfu. Najpierw dyplomatycznie pytała, co u Agaty, a chwilę później już się skupiała na swoim życiu, przy czym przekaz ten można było podsumować w jednym zdaniu: „No a u mnie za to cudownie, mówię ci, kochana, jest po prostu cu-dow-nie. Omal bym zapomniała... Masz najserdeczniejsze pozdrowienia od Flavia”. Przez te wszystkie minione

lata zmieniało się tylko jedno: imię pozdrawiającego. Najpierw pozdrawiał Rupert, potem Mosze, dalej był Heine, następnie Juan Mario, a ostatnio Flavio... zawsze same imiona; powszechnie znanym osobom wystarczą imiona i już wiadomo, o kogo chodzi – pojawiają się w gazetach o tematyce gospodarczej albo na tych łośosiwych stronach międzynarodowych magazynów. Olivia kolekcjonowała mężów tak, jak innym zdarza się zbierać popielniczki czy pocztówki. Ágata czasem zastanawiała się, ile jej siostra trzyma w domu kompletów ze splecionymi inicjałami jej i kolejnych facetów: na ręcznikach, serwetkach, prześcieradłach, kopertach i innych przedmiotach. Takich zestawów musi być już z pół tuzina, jeśli nie więcej. W życiu Olivii aż roiło się od monogramów, a ona szczyliła się, że to podkreśla jej tradycjonalizm. Oczywiście wymieniała tę cechę tylko wtedy, kiedy uznawała, że może jej się do czegoś przydać.

Teraz jednak inicjały jej męża zostały skrupulatnie wymazane z koperty. Nad nimi Olivia nagryzmoła swoje imię oraz adres jakiegoś miejsca na Majorce. Po co napisała do siostry? Teraz przecież nikt już nie wysyła listów. – Z pewnością jest to jakieś zaproszenie – powiedziała do siebie Ágata. Lecz czy charakter zaproszenia mógł stanowić jakąś zagadkę? Oczywiście że nie.

Ágata nie spieszyła się, by otworzyć kopertę. Od małego zawsze uwielbiała bawić się z siostrą w chowanego, dosłownie od pierwszej chwili, gdy obie poznały reguły tej zabawy. Olivia mogła mieć wtedy pięć, sześć lat, Ágata – o dwa mniej. Dwie siostry, ślicznotka i brzydula. Łabędź i brzydkie kaczątko. Ágata zapamiętała swoją dziecięcą naiwność i wiarę w to, że powab przyjdzie z wiekiem. „Jak będę dorosła, to będę tak piękna jak mamusia, a kiedy skończę sześć lat, też będę miała takie proste blond włosy jak Olivia”. „I będę też miała te jej szare oczy”, karmiła się złudzeniami, gdy w sypialni, schowana za fałdami zasłony lub pod stoliczkiem, podziwiała długie warkocze siostry. Niestety, nadeszły szóste urodziny Agaty, potem siódme, a oczy i włosy wciąż pozostawały takie jak przedtem, w kolorze mysim, jak to określała ich matka. „Skarbie, jesteś moją kochaną, puszystą myszeńką”.

„W następnym roku będę śliczna i baaardzo szczupła”, obiecywała sobie Ágata. W oczekiwaniu na spełnienie swoich życzeń dalej

spomiędzy zasłon polowała na warkocze Olivii, wywoływała zawód w szarych oczach siostry, odnajdując jej kryjówkę, którą mogło być na przykład wewnątrz bielizniarki. Odnajdywała tę śpiącą królowną zgiętą wpół w najlepszych, nigdy nieużywanych kompletach pościelowych. Olivia usiłowała się wyprostować, opuścić swoją ciasną kryjówkę, a kiedy już docierało do niej, że łatwiej było wejść, niż wyjść, po prostu wbijała w młodszą siostrę rozczarowane spojrzenie. „No przestań, już się nie bawimy, pomóż mi, bo nie wiem, jak się stąd wydostać”.

Tyle razy to się powtarzało! Nie tylko w dzieciństwie, ale i przez następne trzydzieści kilka lat: Olivia, ta śliczna, ta zawsze zgięta wpół, sięgająca po to, co zakazane, a potem tylko: „Przestań, ja już się nie bawię, więc teraz mi pomóż”. Ágata uśmiechnęła się do swojej kolejnej myśli: zaiste życie pozbawione jest wyobraźni, ciągle wydarza się to samo. Gorzej nawet, raz po raz funduje sobie autoparodię. Dlatego właśnie była przekonana, że niezależnie od tego, co znajduje się w trzymanej w rękę kopercie – zaproszenie czy to na kolejne wesele, czy też z innej okazji – przekaz będzie nadal ten sam: „Pomóż mi, Agato, nie wiem, jak stąd wyjść”.

Aż w końcu rozcięła tę kopertę.

Olivia Uriarte ma wielką przyjemność zaprosić... tak brzmiała zadrukowana część liściku, a potem w wykropkowanej linii jej siostra własnoręcznie napisała: na przyjęcie z okazji mojego rozvodu, w gronie najbliższych przyjaciół (na odwrocie zamieszczam listę zaproszonych). „Sparkling Cyanide” stoi zakotwiczony w Andratx i stamtąd wypłyniemy w morze, Flavio zostawił mi jacht do końca lipca.

Szkoda, że jeszcze nie było dopisane tradycyjne „no i masz najserdeczniejsze pozdrowienia od Flavia”, choć w sumie to i tak unosilo się gdzieś między wierszami. Wokół jej siostry zawsze musiały występować „pozytywne wibracje”, jak to się dziś określa. Z listu wynikało, że Olivia właśnie zakończyła przygodę z piątym mężem, a on mimo wszystko użyczył jej jachtu, aby w środku lata mogła z przyjaciółmi spędzić miłe chwile na wodzie. Oto kolejna z jej niezaprzeczalnych zalet: zawsze była w doskonałych stosunkach ze wszystkimi, z kolejnymi małżonkami, z przyjaciółmi, których zdradziła, nawet z kobietami, którym sprzątnęła sprzed nosa ukochanego. Po

prostu nie dało się długo trwać w złości na nią ani jej odmawiać, gdy była w potrzebie. No cóż, zdarzają się tacy ludzie, którym wszyscy inni zawsze gotowi są spieszyć z pomocą.

Ágata zaczęła się zastanawiać, kim są owi „najbliżsi przyjaciele” i ilu z nich zostało zaproszonych na tak niecodzienne rendez-vous. Liścik informował, że spis gości znajduje się po drugiej stronie. Ágata obróciła kartkę i zaczęła czytać.

Cary Faithful.

Już to pierwsze imię i nazwisko stanowiło nie lada siurpryzę. Mały, dobry i jakże nieważny Cary, zadrwiła Ágata. Nie wyczytywała kolejnych osób, wołała kolejny raz zabawić się z Olivią w chowanego. Próbowwała odgadnąć, kto jeszcze może znaleźć się wśród zaproszonych. Uważała za pewnik, że dziś, w świecie pogrążonym w potężnym kryzysie gospodarczym, na przyjęciu w gronie „najbliższych przyjaciół” nie może zabraknąć kandydata (bądź dwóch) do roli, która wiązała się z haftowaniem nowych inicjałów na kolejnych kompletach bielizny i z grawerowaniem ich na sprzętach domowych. Ágata nie miała co do tego żadnych wątpliwości, jeśli bowiem jej ulubioną rozrywką w dzieciństwie była zabawa w chowanego, to Olivia i wtedy, i potem najbardziej lubiła grać w „gęs” („jak pionek na polu z gęsiami staje, to mojej tury nie oddaję”, czyli przysługiwał dodatkowy rzut kostką). I rzeczywiście zawsze rzucała raz po raz, ponieważ była taka śliczna i miała piękne szare oczy, które nigdy nie straciły tej iskiereki młodości, naiwności i niewinności. Chociaż z drugiej strony nie przesadzajmy – pouczyła samą siebie Ágata. – Olivia nie może wciąż być tym rozkosznym dzieciakiem, którym niegdyś była, we wrześniu stukną jej czterdzieści trzy lata. Poza tym ostatnio spotykają ją same okropności, o wiele gorsze niż wszystko, co człowiek może sobie wyobrazić. Ten straszny wypadek i śmierć dwóch córek... Ale Olivia jest jak wytrawny bokser, nie zamierza rozpaczać z powodu kolejnych ciosów ani uskarżać się na swój los. Dla niej wszystko zawsze okazuje się... „cudowne”.

Tak czy siak, dawno nie widziała się z siostrą i czas po prostu musiał zrobić swoje. Olivia, myślała Ágata, nie może już być tak

oszałamiająco piękna jak niegdyś. Życie i przeciwności losu pozostawiają wiele blizn, a częste zabiegi plastyczne – jeszcze więcej. Olivia nie może być wyjątkiem od tej reguły!

„Zapewniam cię, moja miła, że piękne kobiety *zawsze* starzeją się w sposób znacznie bardziej widoczny niż te brzydkie, a zwłaszcza puszyste, jak ty. Zobaczysz, czas jest nieubłaganym mścicielem”. To słowa pani coach (cóż, tak się teraz mówi), które Ágata usłyszała podczas jednej z ostatnich sesji w poradni o obiecującej nazwie Ciało & Umysł. Wybrała się tam z nadzieją pozbycia się sześciu kilogramów, hmm... może lepiej ośmiu. Teraz jednak nie miała ochoty myśleć ani o *Umyśle*, ani tym bardziej o *Ciele*. Właściwie wszystko, co słyszało się w takich gabinetach, można by puścić w niepamięć – i tylko takie pojedyncze, rzadko trafiające się celne zdania były warte, aby choć na chwilę ocknąć się z letargu. „Piękne kobiety starzeją się w sposób bardziej widoczny niż te brzydkie”. Prawda to oczywista i łatwa do potwierdzenia, nie tylko w przypadku znanych kobiet, które oglądasz w telewizji, lecz także tych, które masz wokół siebie, jeśli tylko dobrze się rozejrzysz. Kiedy młodość ma się ku końcowi, o ślicznotkach mówi się z obłudnym smutkiem: „Tylko zobacz, co się z niej porobiło!”. A o brzydkich dziewczynach tylko: „No cóż, nic a nic się nie zmieniła”.

„Przede wszystkim, Agato, ani nie masz problemów z nadwagą, ani nie jesteś brzydka. To tylko twoje kompleksy, które, co do tego nie ma wątpliwości, wynikają z porównań z siostrą. Tak już bywa, że pomiędzy ludźmi pojawia się nienawiść, a między siostrami niekiedy potrafi okazać się bardzo silna. Nie uwierzyłybyś, ile podobnych przypadków mam na tapecie. Posłuchaj, kochana, i zapamiętaj raz na zawsze: uroda to kwestia odpowiedniego nastawienia, które, w przeciwieństwie do ciebie, ma twoja siostra. Jeśli czujesz się piękna, *jesteś* piękna. Daj sobie powiedzieć, proszę, jedną prostą rzecz: nie jesteś gruba, jesteś ładna, a w głębi serca każdej kobiety kryje się jej grube «ja», możesz mi wierzyć, bo sama coś o tym wiem”.

Słowa pani coach, której nazwiska nie potrafiła sobie teraz przypomnieć, na pół psychoanalityczki, na pół dietetyczki, były dla Agaty niczym balsam. Przepisała jej też tabletki, środek o ponoć zbawiennym działaniu. Zobaczymy, jak to będzie, gdy zakończy się

cudowna kuracja, ale na razie dzięki niej ubyło Agaty aż trzy kilogramy, i to bez odstawiania posiłków, co pacjentka bardzo sobie ceniła.

Ponad trzydzieści lat. Trzy długie dekady, w trakcie których jej starsza siostra co rusz zmieniała mężów i hafty z inicjałami, a Ágata – speców od ciała i konsyliarzy od głowy. W sumie to wcale nie tak źle, jak by się mogło wydawać w pierwszej chwili. Słowa takie jak dietetyk czy psychoanalityk może nie brzmią najlepiej, ale są całkiem przydatne. Poza tym, nawet jeśli Olivia miała szczęście w miłości, to Ágata niewątpliwie miała je w życiu zawodowym. I umówmy się, że nie chodzi tu o jej wyuczony zawód. Wykładanie literatury i języka w szkole niepaństwowej to może nie jest jakiś szczyt marzeń, niemniej jednak Ágata miała jeszcze *inne* życie i inne obowiązki. Rozwijające się z coraz większym powodzeniem, w przerwach między dietetykami a psychoanalitykami, w cieniu składni i fonemów. Zaśmiała się na myśl, jak by to było dobrze, gdyby istniały takie „profesje” jak jej, w których doświadczenie nieszczęśliwego albo spędzonego w biedzie dzieciństwa (a czasem jednego z drugim) okazuje się atutem w pracy.

Marzę o tym, żeby tak mnie anonsowano: „Oto słynna, wyrozumiała madame Poubelle...”. „Madame Śmietniczka”, przetłumaczyła sobie Ágata i znowu zaniósła się śmiechem, co było nieodłączną cechą jej charakteru. Nabytą już wtedy, gdy miała pięć czy sześć lat: ślicznotki osiągają wszystko, co zamierzają, wylewając morze łez, grubaski i brzydule odwołują się do innej broni, do uśmiechu. I chodzi tu zarówno o szafowanie własnym, jak i wywoływanie go na czyjejs twarzą.

Ágata stała w salonie własnego mieszkania. Rozejrzała się wokół. Skromne dwupokojowe mieszkanie z pewnością nie wytrzymało porównania z szokująco luksusowym apartamentem, w jakim z pewnością musiała mieszkać jej starsza siostra. Nie wolno jednak zapominać, że obie przebyły daleką drogę od mrocznych czasów dzieciństwa. Ciekawe, czy Olivia równie często wracała myślami do tamtych wspólnie spędzanych, beznadziejnych lat. Nawet gdyby, to z pewnością musiała upiększyć parę szczegółów tu i tam, zwłaszcza jeśli o tamtych czasach rozmawiała ze swoimi obecnymi, majątynymi przyjaciółmi. Nie wymagało to zresztą szczególnego wysiłku z jej

strony, zważywszy, że dzieciństwo obydwu sióstr łatwo dawało się upiększyć. Wystarczyło zmienić kilka określonych drobnych detali, a już wyglądało na wręcz urzekające.

Za młodu Ágata nieraz miała okazję usłyszeć, w jaki sposób jej siostra opowiadała innym o ich wspólnej przeszłości. Bez trudu mogła więc sobie wyobrazić, co Olivia mówiła swoim bogatym znajomym na pierwszym spotkaniu albo kolejnym mężom i kochankom na pierwszej randce: „Widzisz więc, *cuore*, jestem swego rodzaju ofiarą zimnej wojny, ba, mało tego, jestem szpiegiem, wiesz, że śmiertelnego zimna, jak u Johna Le Carré”. Ágata uśmiechnęła się. Jeśli nadal tak wyglądała paplanina jej starszej siostry, trzeba jej uświadomić, że brzmi przedpotopowo – dziś już niemal nikt nie pamięta, czym była zimna wojna. Z pewnością jednak taka fraza, rzucona w rozmowie i zmyślnie wykorzystana – a Olivia była zmyślna jak cholera – wciąż mogła wzbudzić zaciekawienie. „Szpieg?”, założmy, że tym pytaniem zareagował zaintrygowany rozmówca, na co Olivia na sto procent odpowiedziałaby: „Ano tak, chociaż nie do końca (załóżek uśmiechu), bo widzisz, ściślej mówiąc, tata był szpiegiem w Związku Radzieckim. Wiesz, chodzi o czasy pierestrojki, lata osiemdziesiąte w «stolicy mroku», jak wtedy mówiliśmy o Moskwie. Nie jesteś nawet w stanie pojąć, jak *cu-do-wne* było moje dzieciństwo spędzane między aksamitami ambasad a zapachem kapusty unoszącym się po całej szkole imienia Gorkiego. Widzisz tę bliznę, którą mam tuż przy łuku brwiowym? Pochodzi z zajęć wojskowych. Tak, nie przesłyszałeś się, skarbie. W sowieckich szkołach uczyli nas wkładania i wyjmowania naboju do kałasznikowa. Nawet takie małe dzieci jak my musiały być przygotowane do obrony rewolucji”.

Jeśli ciekawość słuchacza wzrosła do tego stopnia, że padało pytanie, czy Olivia jest Rosjanką, z całą pewnością otwarłaby szeroko swoje przepiękne szare oczy, a potem zmrużyła je fikuśnie, ni to tajemniczo, ni to zalotnie: „Jestem z samego serca Madrytu Habsburgów, ale mieszkałam w tylu miejscach, że czuję się obywatelką świata. Ojciec pracował w korpusie dyplomatycznym...”.

„Obywatelka świata” i „korpus dyplomatyczny” – te dwie łatki zmyślnie przykrywały realia dzieciństwa sióstr Uriarte. Chyba że

wakacje kilkakrotnie spędzone u ciotki, która wyemigrowała, by na południu Anglii prowadzić kantinę wojskową, upoważniały do określenia „obywatelka świata”. Co do „pracy w korpusie dyplomatycznym” – był to zaledwie półtoraroczny pobyt w robotniczej dzielnicy Moskwy z ojcem, który załapał się na podrzędne stanowisko w biurze attaché wojskowego. Ágata wiedziała, że w ten sposób można nałgać do woli, wcale nie odbiegając daleko od prawdy, i dostrzegała te łągarstwa, zawsze w wykonaniu siostry. Ona sama z kolei wcale nie paliła się do upiększania przeszłości, kiedy opowiadała o swoim życiu, choćby tym dietetyczkom i terapeutom (tylko baran kłamie na prawo i lewo, tak uważała), starała się zawsze mówić mniej więcej to samo co siostra, choć w zdecydowanie odmienny sposób.

Zaczynała mniej więcej tak: „Najlepiej zacząć opisywanie naszego dzieciństwa od wyjaśnienia, że ustawicznie było to życie liliputów w krainie olbrzymów, wieczne «chcę, ale nie mogę». Żeby pojąć, co mam na myśli, wystarczy właściwie poznać nasze pełne imiona i nazwiska. María Olivia i María Ágata Sánchez Gómez-Uriarte to odpowiednio siostra i ja. Szybko jednak zrezygnowałyśmy z tych Maryj, w epoce frankistowskiej przydatnych tylko przy chrzcielnicy. Wkrótce potem rozplynęły się jak kamfora fragmenty nazwiska Sánchez i Gómez. Nasze drugie imiona, w Hiszpanii raczej rzadko spotykane i nieco wydumane, wybrała matka, która uwielbiała romansidła. Jej zdaniem nazwisko o arystokratycznym brzmieniu pozwalało na arystokratyczne pretensje. Która to nacja utrzymywała, że patronimik determinuje, kim ktoś zostanie w przyszłości? Eskimosi? Siuksowie? A może Buszmeni?! Zresztą mają słusność. Genezą nadawania imion był cel: otworzyć wrota, stworzyć osobowość, pomóc w wymyśleniu własnej przeszłości, a w jeszcze większym stopniu – przyszłości. Olivia i ja zawitałyśmy do domu naszej ciotki markietanki na południu Anglii, a potem znalazłyśmy się w dalekim ZSRR. I jak się okazało, z posiadania naszych pięknych imion płynęła przynajmniej taka korzyść, że w każdym języku obydwie brzmią doskonale. W Moskwie wytrych, jakim okazały się nasze imiona chrzestne, otwierał absolutnie wszystkie drzwi, przynajmniej na początku. Dzięki temu, jak powiedziałyby moja siostra, mogłyśmy «spędzać czas między aksamitami ambasad a zapachem

kapusty unoszącym się po całej szkole imienia Gorkiego»”.

Na tym etapie opowieści wszyscy ci dietetycy i psychologowie, zawsze upatrujący w dzieciństwie, i w ogóle w czasie minionym, przyczyny zamartwiania się wyglądem zewnętrznym, starannie zapisywali w zeszytach słowo „kapusta”, a chwilę potem „aksamit”. Następnie pytali: „Jakie ma dla ciebie znaczenie, Agato, kombinacja tych dwóch słów? Opowiedz nam o tym!”.

Łatwiej było wyjaśnić „kapustę”, więc Ágata od tego zaczynała. Opowiadała, jak w moskiewskich latach całe miasto, wszystkie republiki i ogólnie cała wspólna radziecka idylla były przesiąknięte zapachem gotowanej kapuchy. W życiu rodziny Sanchezów Gomezów kapuściana woń wypełniała zarówno niedoświetloną kłitkę, w której pracował ojciec Olivii i Agaty, jak i szkołę państwową, w której obie pobierały nauki. A później woń ta opanowała również każdy kąt niewielkiego mieszkania robotniczego, przydzielonego wojskowym „gościom” przez władze.

Bardzo możliwe, że właśnie w tych czterech smutnych ścianach, które pani Sánchez-Gómez dekorowała pocztówkami z różnych dalekich krajów, zupełnie jakby stanowiły dzieła sztuki, Olivia zaczęła snuć marzenia. Ágata wiele razy przyłapała ją na kalkowaniu charakterystycznych konturów pałacu Buckingham lub Wersalu. Wtedy myślała, że w ten sposób starsza siostra zabija dłużyący się czas, którego nie można było spędzić ani na oglądaniu telewizji (nędzna oferta programowa), ani na zabawach podwórkowych (minus dwadzieścia za oknem niezbyt zachęca do wyjścia z domu). Dopiero znacznie później dotarło do niej, że Oli miała zupełnie inne motywy. Dzieci uczą się pisania, stawiając pojedyncze belki pierwszych liter, tak samo jej siostra – mogła w ten sposób poczuć powiew beztroskiego życia, kopiując jego obrysy.

A potem przychodził moment, kiedy trzeba było rozmówcy wyjaśnić zagadkę „aksamitu”. Ágata zawsze przytaczała tę samą scenę, kiedy w sowieckiej stolicy na zaproszenie trzeciego sekretarza hiszpańskiej ambasady obie siostry wraz z matką udały się do Teatru Bolszoi na bajkę symfoniczną *Piotruś i wilk* Prokofiewa w wykonaniu Orkiestry Filharmonii Moskiewskiej. Była to pierwsza i zarazem jedyna sposobność, by siostry wspólnie i z bliska przyjrzały się światu swoich

szkolnych kolegów, mających rodziców o znacznie większych wpływach i pełniejszych portfelach niż one. Dzieci niemalowanych dyplomatów tak samo jak panny Uriarte uczęszczały do państwowej podstawówki (ludowej, a więc bezpłatnej), bo w zagranicznych kręgach dyplomatycznych było dobrze widziane, by posyłać do niej swoje pociechy na tak wczesnym etapie edukacji szkolnej. Mężowie uzasadniali żonom, że to wszystko po to, „kochana, aby przyswoiły sobie rosyjski, nie trzeba się bać takich decyzji, świat należy do zuchwałych, a sama pomyśl, o ile potem na Sorbonie przychylniej spojrzą na nasze dzieci, gdy przekonają się, że oficjalny język RWPG nie jest im obcy”.

Ágata nigdy nie zdołała prawdziwie się zaprzyjaźnić z którymkolwiek z owych uprzywilejowanych dzieciaków. Olivia, rzecz jasna, wręcz odwrotnie. Pewnego razu została nawet zaproszona na podwieczorek do domu małej Sandry o jakimś wyraźnie baskijskim nazwisku, córki ambasadora któregoś z krajów latynoamerykańskich. W ten sposób już w dwunastym roku życia starsza z sióstr mogła zrozumieć, że istnieje niewidzialny most zwodzony, który oddziela majątną śmietankę towarzyską od reszty śmiertelników. Most jest przejezdny tylko we wczesnych latach życia, dzieciństwo jest egalitarne i demokratyczne. Malec z bogatego domu nieskrępowanie bawi się z dzieckiem ogrodnika czy mleczarza, nie pojawiają się uprzedzenia czy podziały klasowe, nie ma pogardy ani zadzierania nosa. Któregoś jednak dnia, bez jakiegokolwiek zapowiedzi, niewidzialny most materializuje się coraz wyraźniej, a potem zostaje podniesiony – i bratanie się odchodzi w przeszłość. „Jesteś moim najlepszym przyjacielem” zamienia się w „mama nie chce mnie puścić”, potem następuje „słuchaj, dziś nie, mam lekcję fechtunku”, a na koniec: „wybacz, czy możesz mi przypomnieć, jak masz na imię?”. Most w pewnym momencie został podniesiony również dla Olivii, mimo że nie potrafiła wtedy pojąć przyczyny takiego stanu rzeczy. Ale miała ją odkryć już niebawem.

W tamtym jednak momencie, w Teatrze Bolszoi, Sandra Urziza szukała swojego miejsca między rzędami aksamitnych foteli, śliczniutka Sandrita w spódnicy w kratkę i w zielonym sweterku, wyglądająca na starszą niż w rzeczywistości. W przeciwieństwie do dziesięcioletniej

Agaty i dwunastoletniej Olivii w ubraniach, uwaga, z wzorkami w plastry miodu i (litości... aż wstyd przypominać!) z powywlekаными rąbkami spódnicy, tak aby nie było widać, że te odświętne ubranka są za krótkie. W końcu zgasły światła. Wielka czerwona kurtyna poszła w górę i wszyscy dali się porwać przygodom *Piotrusia i wilka* – wszyscy oprócz Olivii, która nie spuszczała wzroku z Sandry Urzizy, siedzącej w oddali wraz z innymi koleżankami w spódniczkach w kratę; pomimo wysiłków Olivii ani razu nie skierowała oczu w jej stronę. Ágata nie zapamiętała wyraźnie, co stało się potem, być może zresztą usnęła w fotelu, bo kiedy próbowała zorientować się w fabule, okazało się, że to już ostatnie chwile przedstawienia, finałowy fragment, solo na flecie o jakże szybkich akordach, o tym, jak wilk zamierza zjeść ptaszka będącego przyjacielem Piotrusia. Już chwycił go pazurami, pożre go lada moment. Ágata zauważyła, jak palce jej siostry co rusz nerwowo zaciskają się na miodowych plastrach ubrania, a łza za łzą goni po policzkach. Chciała jej wtedy powiedzieć „daj spokój, Oli, no nie smuć się, to tylko bajka, nie płacz...”, bo miała dopiero dziesięć lat i jeszcze nie wiedziała nic o mostach, które z dnia na dzień nieodwracalnie się podnoszą. Z tych samych powodów nie rozumiała, dlaczego koleżanki jej siostry chichoczą, dyskretnie trącają się łokciami, a po chwili patrzą już w ich kierunku. Wiek nie pozwalał jej nawet odróżnić spojrzeń innych „wygłodniałych wilków”, rzuconych na Oliwię przez chłopców z poprzedzającego je rzędu. W przekonaniu Agaty każdy patrzył na jej siostrę z tych samych pobudek – bo jest śliczna, szarooka, ma blond włosy i zalewa się łzami z powodu ptaszka, którego za chwilę pożre zły wilk. „Nie płacz i nie smuć się, Oli, zobaczysz, że zaraz to się skończy i opadnie kurtyna”.

Z tamtego wieczoru Ágata zachowała jeszcze jedno wspomnienie, już niezwiązane z aksamitnymi wnętrzami Teatru Bolszoi ani z kraciastymi spódnicami Sandrity Urzizy i jej koleżanek, lecz z imieniem i nazwiskiem, które teraz wyczytała na odwrocie zaproszenia przysłanego przez Oliwię. Cary Faithful (Świat jest mały, nie ma co, zauważyła Ágata). Kiedy wilk już pożarł ptaszka i za chwilę miały rozblysnąć światła w sali, jeden z chłopców o równie niskim pochodzeniu, Cary Faithful właśnie, nachylił się w stronę Olivii i

zaoferował jej chusteczkę na otarcie łez, a Agacie zdawało się, że w tamtym momencie niemal ją pocałował. No i dobrze, teraz Sandrita Urziza i jej koleżanki umrą z zazdrości – pomyślała wówczas Ágata, która już wtedy знаła cudowną skuteczność siostrzanego płaczu. Z pewnością tak będzie – utwierdziła się w swoim przekonaniu. – Te głupole musiały doskonale widzieć, jak Oli dostaje całusa od tego chłopca, dobrze im tak.

Oj, naiwna głupiutka Agatita, która niczego nie rozumie. Zamiast bowiem umierać z zazdrości na widok tego całusa, dziewczynki raczej umierały ze śmiechu i z szelmowskimi minami jeszcze intensywniej się poszturchiwały. A gdy Ágata spojrzała na twarz siostry, zaskoczona spostrzegła, że nie było już na niej łez, choćby jednej, i że Olivia nie przyjęła chusteczki, którą podał jej ten przemiły chłopiec, lecz dała mu klapsa w rękę. Tamtego wieczoru Ágata pomimo swojego młodego wieku zrozumiała dwie interesujące prawdy związane z miłością i jej tajemnicami. Ofiarne gesty i pocałunki same w sobie niewiele są warte, więcej zależy od tego, kto nimi szafuje. Piękna dziewczyna zaś może osiągnąć wszystko, wylewając łzy, a mimo to w niektórych przypadkach nie będzie płakać – zwłaszcza wtedy, gdy inne ślicznotki się z niej wyśmiewają.

– Mały, dobry i jakże nieważny Cary – wymruczała do siebie Ágata, a jednocześnie usiłowała przypomnieć sobie ówczesny wygląd tego angielskojęzycznego chłopca. Kto by pomyślał, że taki niezbyt rozgarnięty i niespecjalnie przystojny młokos, sprawiający wrażenie niechlujka o minie wyrażającej wieczne zdziwienie pomieszane z przestracaniem, przeobrazi się w najbardziej znany na świecie symbol seksu? Cary Faithful, z którego śmiała się cała szkoła, a najbardziej z jego żeńskiego imienia, wyrósł na aktora, którego okrzyknięto spadkobiercą jego wielkiego imiennika, Cary'ego Granta. No i co wy na to, mili państwo?

Ileż prawdy jest w słowach mojej dietetyczki. Zaiste, czas jest nieubłaganym mścicielem – zachichotała Ágata. Po tych trzydziestu latach z okładem Sandra Urziza i jej urocze koleżanki niechybnie musiały już stać się przekwitłymi jejmościami. Odzianymi w identyczne kraciaste spódnice, znudzonymi i sfrustrowanymi życiem kurami

domowymi w Quito i w La Paz, w Asunción i Bóg wie gdzie jeszcze, tęskniącymi za obcymi im radościami życia. Pochłaniającymi tony prozacu, matkami kolejnych małych Sandrit, tak samo uroczych i równie często poszturchujących się i naśmiewających z dziewczynek „innych” niż one. Tkwią w tym swoim miłym życiu – rozmyślała dalej Ágata – a kiedy przeglądają plotkarską prasę poświęconą rozmaitym gwiazdom i gwiazdkom, natykają się na postać Cary’ego Faithfula albo na artykuły z życia wyższych sfer, uwielbiające zajmować się Olivią i jej kolejnymi mężami. Wtedy z dumą podszytą fałszem opowiadają swoim przyjaciółkom, również na prozacowej diecie: „O, a wiesz, że tych dwoje znam od małego? W dzieciństwie przyjaźniliśmy się, a ja zawsze czułam, że zajdą wysoko. Nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, jak dobre kontakty utrzymujemy”.

Z pewnością takie właśnie rzeczy wygadują – Ágata znowu nie powstrzymała się od chichotu. – I nawet przez myśl im nie przejdzie, że ja, brzydkie kaczątko przy siostrze łabędziu, jestem równie, jeśli nie bardziej znana od tamtej dwójki. Chociaż na swój sposób. – Oto słynna madame Poubelle. – Ágata znowu zaczęła mówić do siebie na głos z tą specyficzną aurą tajemniczości, jaką lubiła roztaczać, gdy temat dotyczył tej ukrytej części jej własnej osobowości. – Oto niewidzialna i wpływowa, i *nie-o-myl-na* madame Poubelle, która swoje długie i koszmarnie źle opłacane nauczycielskie wakacje postanowiła właśnie spędzić na pokładzie tego luksusowego jachtu, zaraz, jak on się nazywał? Na pokładzie „Sparkling Cyanide”. Przednia nazwa, nie ma co.

Drugi z zaproszonych: Cary Faithful

Early morning tea, nieodłączny zwyczaj towarzyszący angielskiej elicie. Na długo przed godziną pobudki, właściwie wraz z pierwszymi promykami nowego dnia, służący uchyla drzwi sypialni i zostawia na stolyczku tacę z filiżanką jeszcze parującej herbaty, a następnie po cichu się ulatnia, w sposób, po którym od razu można rozpoznać angielskiego lokaja. Jeżeli poprzedniego dnia wraz z wieczorną pocztą zjawiała się jakaś pilna korespondencja, ląduje na tacy obok filiżanki i tam cierpliwie oczekuje momentu, w którym adresat rozetnie kopertę. Cały pozabrytyjski świat nie znosi tego obyczaju picia porannej herbatki, który stał się popularny w czasach imperialnych. Nic dziwnego zresztą, samo poranne wstawanie jest nieprzyjemne, a co dopiero budzenie się kilka godzin wcześniej, by na przewidzianą godzinę zaparzyć herbatę. Temu zwyczajowi wierni pozostali przedstawiciele ziemiaństwa – wierni depozytariusze ducha brytyjskości, fasonu, *stiff upper lip* i takich tam. *Rule, Britannia*.

– *Fuck* – rzecze Cary Faithful, a potem powtórzy to jeszcze dwa razy, by wreszcie otworzyć jedno oko i dostrzec, że obok przekłetej filiżanki herbaty spoczywa szara koperta z czerwoną obwódką. – *Fuck, fuck*. – I dopiero wtedy zwraca się do majordomusa: – Meadows, to pan był tu łaskaw zostawić ten list? – Ale Meadows nie może odpowiedzieć, bo już opuścił pomieszczenie, równie bezszelestnie jak zawsze. – *Fucking Meadows... oh shit*.

Cary Faithful spogląda na zegarek. Wpół do siódmej. Jeszcze pięć godzin do godziny 11.27, kiedy na stację wjedzie pociąg z lady Daliah, jego ciotką. – Zawsze tak jest – sapie Cary – *shitty hell*, to aż nudne, ale na wsi nigdy nie dadzą człowiekowi spokoju, bo zawsze zakłóci go jakaś nudziarska ciotka lub daleki kuzyn. – W jego głowie pojawia się jednak promyk nadziei, że przy odrobinie szczęścia ten list może być właśnie od cioci Daliah, która zmieniła zamiary i jednak nie przyjedzie. – To możliwe! Bogowie bywają czasem litościwi, dlatego może warto przewyciężyć senność – *oh fuck* – sięgnąć po ten list, rozerwać kopertę, zobaczyć, czy los się do niego uśmiechnął, czy też nie, *bloody lazy fuck, fuck*.

Cary Faithful w gustownej pizamie od krawca ze słynnej Savile Row, z wykwintnym monogramem wyhaftowanym na górnej kieszonce, podnosi się. Już trzyma kopertę w dłoni, już ma ją otwierać, kiedy nagle z któregoś kąta, gdzieś po jego lewej stronie, dobiega go nad wyraz antypatyczny, zapluty głos:

– Kurwa mać, co tu się wyprawia, do jasnej cholery? *Raccord!!! Raccord!!!*

„Raccord” to słowo z żargonu filmowców. Jest zarezerwowane dla bardzo ważnego zabiegu odbywającego się w trakcie kręcenia całego filmu – montażowej konsekwencji, „pamięci”, którą trzeba zachować między kolejnymi scenami, a także czujności, by uniknąć żenujących wpadek niczym z planu filmu *El Cid*, w którym nagle – podczas oblężenia Walencji w XI wieku – na ręku walecznego Cyda pojawia się zegarek. „Raccord” ma sprawić, by nie doszło również do tego, że w pierwszej części sceny aktor pojawia się potargany, a kilka sekund później zupełnie niespodziewanie ma już piękną fryzurę.

Osobą odpowiedzialną za dostarczenie raccordu jest zazwyczaj scenarzysta, tego dnia jednak nieborak chyba wybrał się na grzyby albo skupił się na swojej *early morning tea*, bo w powyższej scenie kręconej z udziałem Cary’ego najwyraźniej pojawił się rekwizyt spoza scenariusza. Może nie była to wpadka porównywalna z owym pamiętnym ujęciem, gdy Charlton Heston schwycił swój miecz ręką, na której nadgarstku połyskiwał rolex, niemniej jednak nawet to nie powinno mieć miejsca.

– Po prostu pięknie, kto tu położył kopertę z czerwonymi brzegami? Przygotowany wczoraj list od ciotki Daliah jest biały i posiada niebieski, kurwa, monogram, więc gdzie on, do cholery, jest? A w ogóle skąd żeście wytrzasnęli tę pierdoloną kopertę?

Nikt nie wie, skąd się tam wzięła. Reżyser, spojrzawszy na nią z bliska, zauważa jednak, że jej adresatem jest sam Cary.

– Czy można, do chuja wafla, wiedzieć, czemu twoja prywatna korespondencja wala się po moim planie?

Na co Cary, równie zaskoczony jak wszyscy, odpowiada:

– Kurwa jego mać, nie mam pierdolonego pojęcia, Leslie (tak brzmiało imię reżysera).

Następnie wstaje z łóżka w tej swojej piżamie z Savile Row, wsuwa czarne pluszowe papucie – też z monogramem – i złorzeczy w myślach, że ma już dość tego zasranego filmu. W ogóle ma już dość tych wszystkich równie zasranych produkcji kręconych przez ostatnie trzy lata. Wszystkie były takie same, jakby zesły z powielacza. Za jakie grzechy amerykańscy producenci tak upodobali sobie ten właśnie czas, miejsce i tematykę, a na dodatek jeszcze ten oksfordzki akcent? Tak ich to kręci, tak ich podnieca Matka Brytania, utracona ojczyzna, że za każdym razem kończy się to zmuszaniem aktorów do wymęczania kolejnych kretyńskich filmów, odgrywania nowych Bertiech Woostersów i wygłaszania frazesów tak do bólu stereotypowych, że nie wydusiłaby ich z siebie żadna postać z komiksu Wodehouse'a, coś w stylu: „*Oh dear*, zacna baronowo, gdyby tak pani zechciała nie deptać petunii”.

Mam wrażenie, jakbym całe swoje główniane życie kręcił tę samą scenę: palant z dobrej rodziny, lokaj nazwiskiem Meadows, ciotka Daliah, pociąg o 11.27... ja pier-do-lę. Jedyne, co się zmieniło na lepsze w porównaniu z produkcjami z lat czterdziestych, to wykrzykniki. Kiedyś w każdym zdaniu należało zakrzyknąć: *oh dear!*, *oh dash it!* tudzież *by Jove!*, a teraz w imię współczesności krzyczymy *fuck!*, *shit!*, względnie *shitty fuck!* czy też *bloody hell!* No ale co to za różnica? Żadnej, *fucking* kurwa *shit*, żadnej *bloody* różnicy.

– Już dobra, Cary. Spróbujmy jednak skupić się na tym, co robimy. Gotowi? Jedziemy z tym za dwie i pół minuty.

Cary zerka na kopertę z czerwoną obwódką, która wciąż spoczywa na tacy. Za kilka chwil wróć do filmowania. Jebana siódma rano, a w dodatku, żeby zdążyć do studia, trzeba było zwlec się o czwartej. No i gdzie ten cały glamour, do kurwy nędzy, gdzie magia dziesiątej muzy, jeśli można wiedzieć? Na domiar złego zimno jak skurwysyn, a jeśli ktoś nie zabierze stąd tej jebanej kopertki z jebanej tacki, ponownie zaczną kręcić tę scenę z nią tutaj i trzeba będzie wszystko zrobić jeszcze kolejny raz. I choćby po to Cary postanawia osobiście zabrać list, aby przerwać potencjalny łańcuch nieszczęść, a przy okazji przesuwając go po nim wzrokiem z bliska. Faktycznie, zaadresowana na niego, a co gorsza, od razu poznał to pismo, mimo że sporo już wody upłynęło, odkąd nie miał

wieści od nadawcy. A raczej nadawczyni. Chwila wahania. Nie wie, co począć. Wolałby nigdy nie odczytać tych liter, ale już za późno...

– Cary, w mordę, można wiedzieć, po co tak sterczysz z tą dumną miną? Kładź się do tego łóżka i zaczynamy od nowa. Zaraz, to gdzie byliśmy? No tak, właśnie mówisz, że pociąg ciotki Daliah przyjeżdża o 11.27. Uwaga, trzydzieści sekund!

Kilka godzin później ta sama szara koperta, wciąż nieotwarta, wystaje Cary'emu z górnej kieszeni marynarki. To już nie jest plan filmowy, ale wystrój wydaje się podejrzanie podobny. Znajdujemy się w domu „przy zoo” – eufemizm stosowany przez rezydentów owej londyńskiej dzielnicy, gdy muszą ujawnić miejsce swojego zamieszkania, a nie chcą przy tym wyjść na chełpliwych snobów. Wille kosztują tu miliony funtów, od ośmiu, dziewięciu wzwyż, to tu stacjonują niektórzy intelektualiści i artyści. Nie tylko Paul McCartney, Kate Moss czy Jude Law, bowiem w tej właśnie części miasta, „przy zoo”, mieszka też Cary Faithful, najgorętszy singiel wielkiego ekranu, który choć ma już dość ról nadętych palantów po Eton i Oksfordzie, za swój wysiłek i poświęcenie jest jednak sownie opłacany. Według magazynu „People” Cary stał się w ostatnim czasie drugim najseksowniejszym mężczyzną na świecie, i to pomimo – a może właśnie dzięki temu – że z wyglądu przypomina „niezgrabnego pieska o smutnych ślepiach i stale zmarszczonych brwiach wyrażających ni to zakłopotanie, ni to błaganie, co jakże udatnie dopełnia się z grzywką grzecznego panicza” (słowo w słowo cytaty z „People”).

Przewrotny i okrutny zawód, który zmusza człowieka, żeby był wdzięczny za to, czego najbardziej nienawidzi, konstatacja w myślach Cary, zamykając za sobą drzwi wejściowe. Ale istnieje jeszcze dotkliwsze okrucieństwo, związane nie tyle z jego profesją, ile raczej z nieszczęsnym listem, który kłuł w oczy, mimo że Cary wolał o nim na razie nie myśleć. Aby zmierzyć się z nieuniknionym, najpierw chciał znaleźć się w swoim domu i przedsięwziąć niezbędne środki bezpieczeństwa, czyli: przygotować kąpiel, zdzwonić się ze swoją dziewczyną Mirandą, uraczyć się szklanką whisky, wziąć lexatin, a potem wykonać telefon do Paula, aby spędził z nim noc. Zresztą kolejność obojętna.

Zacznijmy od whisky i wanny, stwierdza Cary, po czym, zostawiwszy marynarkę na krześle w hallu, udaje się do biblioteki, zmierzając w stronę barku pod oknem, gdzie stacjonowały baterie trunków wysokoprocentowych.

Gdyby Leslie Fox, reżyser filmu, kręcił tę scenę, z pewnością na kilka sekund zatrzymałby kamerę na drewnianej boazerii w bibliotece Cary'ego Faithfula – a potem także na żaluzjach, pięknie oprawionych woluminach, ormiańskich dywanach, afrykańskich ozdobach – a zakończyłby krótkim ujęciem z bliska, skupionym na płótnie Torresa Garcíi wiszącym na ścianie po lewej, i na obrazie Bacona po prawej. Jednakże Leslie Fox nie jest obecny, a Cary'ego cały wystrój niewiele obchodzi. To działka Mirandy, naprawdę, i dzięki jej za to. Mija dwa niskie japońskie stoliki stojące pod ścianą po lewej, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi, potem jeszcze dwa fotele zaprojektowane przez Eero Aarnio w latach sześćdziesiątych – Bubble chair oraz Tomato chair – które wyraziście kontrastują z resztą wystroju, tworząc eklektyczny miszmasz klasycyzmu z cechami vintage i orientalizmu. W owej chwili jednak inny mebel, stojący w głębi barek, znajduje się na celowniku Cary'ego, wcale nie ze względu na kunsztowny wygląd zewnętrzny (biedermeier), lecz z racji zawartości. Już jest przy nim. Już go otwiera i bez dalszych ceregieli nalewa sobie potrójną Cardhu z lodem i trzema częstkami pomarańczy. Tak, właśnie pomarańczy, zważywszy że okazja zasługuje na nutkę ekscentryzmu. A potem podnosi jedną z żaluzji i zaczyna sączyć alkohol, wpatrując się w przestrzeń za oknem, na rozpościerający się tam placyk w kształcie półksiężyca, przy którym postawiono liczne białe domy, wszystkie takie same, zgrupowane obok siebie także w formie półksiężyca, otaczające główny ogród. Wpatruje się w nie, jakby usiłując rozwikłać zagadkę logiczną. „Znajdź siedem różnic”. Niby proste, tylko że niepodobna znaleźć choćby jedną najdrobniejszą. Wszystkie domy wydają się cienkimi, wysokimi bezami, powtykanymi obok siebie, w każdym przypadku wyposażonymi w białe drzwi z kołatką z brązu.

Wieść niesie, że w połowie lat sześćdziesiątych w jednym z takich domów Disney nakręcił musical *Mary Poppins*. Może dlatego, odkąd Cary się tutaj wprowadził, nie raz i nie dwa potrafił ze wzrokiem

wbitym w okno puszczać wodze fantazji i kreślić wizję – owszem, może dziecięcą, ale jakże krzepiącą – że wystarczyłoby stanąć w rozkroku, otworzyć parasol i po prostu odlecieć! O tym właśnie marzy, wzbić się ponad ten dom wart koszmarnych dziesięć milionów funtów, ponad tę dzielnicę pełną pseudointelektualistów i farbowanych lewicowców. Wyżej i wyżej, z dala od tego miasta, które uchodzi za najbardziej cywilizowane na świecie, a nawet dalej, jak najdalej od tej absurdalnej planety, na której takie pojęcia jak tolerancja, wolność, wyrozumiałość, różnorodność są tylko wyświechtanymi frazesami, jakże pustymi, spospoliciałymi i pozbawionymi pierwotnego znaczenia. O tak, wznieść się i rozpląnąć w stratosferze niczym kula helu, a cała reszta niech się pierdoli.

– Kurwa, no, kurwa jego mać – rzuca na głos.

Kiedy Cary przebywał sam, zazwyczaj starał się nawet w myślach nie przeklinać tyle, ile zdarzało mu się w pracy, niemniej, kurwa jego pierdolona mać, tym razem okazuje się to szalenie trudne. Co teraz będzie?

Na razie należy wrócić do rytuału pod tytułem „cztery rzeczy, które muszę zrobić, zanim otworzę ten list”. W tym celu musi wejść na piętro swojej rezydencji, puścić wodę do wanny i uraczyć się drugą szklaneczką Cardhu z lexatinem, a potem zadzwonić do Mirandy. Albo inaczej, whisky tak, lexatin tak, ale potem telefon do kochanka, do Paula. Hmm, nie, do Mirandy... O rany, zdecydowanie najlepiej będzie, jak zdecydują za niego święte Cardhu i Matka Boska Lexatinowska, kiedy on zanurzy się już w gorącej kąpieli.

Cary rusza w stronę schodów. Gdyby pocziwy Leslie Fox był tu i filmował teraz tę scenę, z całą pewnością zdecydowałby się na krótkie ujęcie z dołu, ze stopni, a następnie ujęcie z boku. W ten sposób widz miałby sposobność zobaczyć, że ściany wokół wnęki na schody są obwieszane różnymi dyplomami i wyróżnieniami z takiego i siakiego festiwalu filmowego. Znajdowało się tam kilka zdjęć, na których można było dostrzec gospodarza w otoczeniu przyjaciół. Cary grający w kręgle z Madonną, w krykieta z księciem Williamem. Tu dyplom dla najlepszego aktora, otrzymany w 2005 roku na festiwalu w Toronto, tam potwierdzenie przyznania Złotego Globu za rok 2001, jeszcze dalej –

fotografia z Martinem Scorsese, gdy na przyjęciu obaj palą wielkie kubańskie cygara Cohiba. Szereg zdjęć i dyplomów, które nie tylko są interesujące ze względu na znajdujące się na nich osoby, ale też z tego powodu, że ukazują sceny z życia Cary'ego Faithfula. Inna sprawa, że aby w prawdziwy sposób opisać to życie, Leslie Fox musiałby na koniec, nim Cary pokona wszystkie schody, skupić oko kamery na pewnej fotografii. Nieepatującej blichtrzem tak jak pozostałe, natomiast ujawniającej o wiele więcej niż wszystkie inne razem wzięte. Przedstawia Cary'ego z dziewczyną po lewej i chłopakiem po prawej. Ona wygląda na trzydzieści lat z hakiem i chociaż zdjęcie nie jest zbyt ostre, można dostrzec, że jest posiadaczką niesamowitych, bujnych rudawych loków, które czyniłyby z niej idealną mużę dla malarza preraphaelity. Ale nie tylko to ją wyróżnia, jeszcze ten dobrotliwy uśmiech, tak kontrastujący z kanciastymi rysami twarzy, w której dominuje bojaźliwe spojrzenie zielonych oczu. Przechodząc obok owej fotografii, Cary powinien – gdyby to był tylko film – zatrzymać się na co najmniej kilka sekund, po czym wydobyć z siebie zduszony jęk lub gest znużonej tkliwości. Najlepiej, gdyby wypowiedział jeszcze imię – Mirando! – a potem ruszył znowu po schodach, świadomie omijając wzrokiem twarz drugiej postaci, stojącej po jego lewej stronie. W sumie nic w tym nadzwyczajnego, na pierwszy rzut oka postać nie wydaje się godna uwagi w przeciwieństwie do Mirandy. Krzepki, tryskający zdrowiem chłopak, może szesnaście, najwyżej siedemnaście lat, o charakterystycznych, czarnych, nieprzeniknionych oczach, które zdawały się śmiać z całego świata. Na szczęście fotografia właściwie nie mówi nic ponadto o tym chłopcu, dzięki czemu w głowie oglądającego może pojawić się ciekawość i chęć, by dowiedzieć się czegoś więcej o właścicielu tego figlarnego spojrzenia. W ten sposób niektórzy domyślni widzowie mogliby zabłysnąć przed znajomymi: „Ależ młodzieniec, prawda? (porozumiewawczy szturchaniec) Założę się, że to jest ten Paul, o którym wcześniej była mowa. Tylko spójrz na tę twarz, od razu widać, że coś tu między nimi iskrzy”. Wymieniwszy te odkrywcze uwagi, z poczuciem spełnionego obowiązku mogli znowu skupić się na popcornie i coli bez cukru.

Jeszcze dwa łyki Cardhu i Cary już jest na piętrze. Zgodnie z

przewidywaniami whisky w jego głowie powoli zaczyna spełniać swoją błogosławioną rolę. Wyjątkowo skutecznie, więc przez chwilę ma nadzieję, że tym razem nie będzie musiał sięgać po lexatin. – Kąpiel i jeszcze trochę whisky powinno wystarczyć, żebym się uspokoił – mówi do siebie, odkręcając do końca kurki nad wanną. Zaczyna się rozbierać. Zdejmuje ubranie powoli, nieświadomie naśladując ten seksowny sposób, w jaki czynił to na planie ostatniego filmu, *Petticoat Lane*, u boku Hilary Swank. Na tym bowiem polega kolejny minus bycia aktorem – zaczyna się grać swoje role permanentnie, nawet bez publiczności, nawet w chwilach trwogi. A może należałoby powiedzieć, że *przede wszystkim* w takich chwilach? Cary Faithful wzrusza ramionami; cóż to za różnica, obecnie ma większe zmartwienia niż granie czy niegranie roli, i zdecydowanym ruchem zanurza się w starej, zabytkowej wannie. Po przełożeniu prawej nogi genitalia przez chwilę pocierają o krawędź, zimną w przeciwieństwie do wysokiej temperatury wody, a to powoduje, że przez głowę przechodzi mu prąd (Paul, skarbie), ale trwa to tylko ułamek sekundy. Następnie szybko zanurza się w kojącym płynie, w bezpiecznych wodach płodowych wanny, w których nic złego (prawie) grozić mu nie powinno.

Tylko szara koperta z czerwonymi krawędziami wciąż czeka. Tam gdzie wcześniej, w górnej kieszeni marynarki wiszącej na oparciu stylowego krzesła, które stoi na tyle blisko, że wystarczy, by Cary wyciągnął rękę. Znowu nachodzi go potrzeba usłyszenia w słuchawce słów otuchy, tylko do kogo najpierw zadzwonić? Naprawdę wszystko jedno. Czy Paul, czy Miranda, w tym przypadku kolejność działań nie wpływa na wynik równania. Każde z nich równie efektywnie zneutralizuje zgubne skutki związane z tą kopertą.

– Olivia Uriarte. – Pierwszy raz, odkąd obejrzał list, Cary odważa się wymówić nazwisko nadawcy. Kto by pomyślał, że ponad trzydzieści lat temu imię to znaczyło dla niego tak wiele, więcej niż wszystko. Zgoda, właśnie z tego powodu tak bardzo pomylił się co do niej, co do tego, kim była, i wtedy, i później. Zaraz, kto był autorem tych słów, że pierwsza miłość jest jedyną prawdziwą, a wszystkie późniejsze to tylko jej nędzne reminiscencje, niezgrabne wysiłki, by znienacka poczuć znów ten ucisk, ten upragniony niepokój pojawiający się, gdy ktoś kocha po

raz pierwszy? Bodaj Erich Segal, zapomniany autor *Love Story*, a jak nie on, to z pewnością jedna z tych nieprzyzwoicie bogatych autorek romansideł w typie Danielle Steel. To w oczywisty sposób nieprawda, że pierwsza miłość jest jedyną prawdziwą, ale autorzy tych złotych myśli w jednej kwestii na pewno mają rację: pierwsza miłość dzierży klucz do wrót naszego wnętrza, potrafi wprawić w ruch osobliwe mechanizmy, w efekcie otwieramy się przed kimś i stajemy się wobec niego bezbronni. Skutek jest taki, że mogło minąć ponad trzydzieści lat od pierwszej zażyłości, a stare więzi nadal wydają się równie silne jak niegdyś.

Cary zaczyna przyglądać się swemu nagiemu ciału. To ciało magazyn „People” okrzyknął drugim najseksowniejszym na świecie. Gdyby tylko go teraz zobaczyli, kurwa, i jego pomarszczone, drobne przyrodzenie, wąły tors, kobiecy brzuch... Cary nie wie, jaką treść skrywa list od Olivii Uriarte, ale zdaje sobie sprawę, że każdy jej krok miał określoną przyczynę. „Kiedy znowu o mnie usłyszysz, będzie chodziło albo o coś bardzo dobrego... albo bardzo złego...” W ten sposób pożegnała go przed paroma laty.

Natknęli się na siebie w Paryżu, przypadkiem, na ulicy, na wysokości pont de l’Alma, kiedy zaciekawionym wzrokiem turystów oboje patrzyli na miejsce, w którym roztrzaskało się auto z lady Di. A kiedy już przegadali wszystkie oczywiste tematy, „Okropne, prawda?... Miała wszystko, a tymczasem...”, „No właśnie, lepsze dziś jajko niż jutro kokosza, lepiej korzystać z dnia póki można...”, spędzili tę noc razem, czy to inspirowani hasłem *carpe diem*, czy też swą młodzieńczą miłością. W Ritzu, w jej pokoju, jego członek zafundował mu niewypał tysiąclecia. Nawet nie mógł tłumaczyć się nadmiarem wypitego alkoholu – niespodziewane spotkanie miało miejsce akurat w czas „ramadanu”, okresu abstynencji, którą narzucał sobie przez dziesięć, najwyżej dwanaście dni raz na rok. Że też akurat wtedy musiało się to wydarzyć, pozbawiając go jakiegokolwiek alibi. Tak więc po jeszcze dwóch czy trzech próbach, okraszonych prawdziwie dramatycznymi wstawkami („nie wiem, naprawdę, nigdy tak nie miałem”, „poczekaj, daj mi chwilę”, *itepe itede*), Cary wywiesił białą flagę, usiadł na łóżku i opowiedział Olivii swoje życie. Ba, jeszcze gorzej, opowiedział jej tę

jego część, o której nigdy nie opowiadał *nikomu*. Cary zaczął zastanawiać się, czy jakiś psychiatra lub psycholog przebadał już to zjawisko, które on sam nazwał „szokiem poimpotentnym”. Bo – jak twierdził Cary, który przed poznaniem Paula aż zbyt dobrze znał formy męskiego fiaska – w obliczu klęski mężczyzny najczęściej występuje jedno z dwóch zjawisk: grobowa cisza bądź niepohamowane tokowanie, totalny autyzm lub kurewska biegunka słowna. Innymi słowy, kiedy już przydarzy się katastrofa, delikwent albo zamyka dziób, albo w ogóle go nie zamyka i zalewa swoją ofiarę potokiem błahych słów, rozpaczliwie próbując rozmydlić nagą prawdę. W tym szczególnym przypadku, gdy przystąpił do spowiedzi przed Olivią, zmówiły się przeciw niemu dwa demony: wspomniane już widmo pierwszej miłości oraz smutny fakt, że mu nie stanął. Zabójcza mieszanka. To właśnie dlatego Cary zaczął kłapać paszczą i nijak nie mógł skończyć, zdradzając Olivii swoją najpilniej strzeżoną tajemnicę. Tę, której nigdy nie powierzył nikomu. Od tamtych zamierzchłych czasów, kiedy oboje mieszkali w Moskwie, czyli od ćwierćwiecza z okładem, Cary bezdyskusyjnie pozostawał wierny przynajmniej jednej zasadzie: „Ściany mają uszy, a jeśli chcesz coś zachować w tajemnicy, nie mów tego nawet własnemu cieniowi”. Z pozoru banał, a jednak ta prawda wielokrotnie przysłużyła się Cary’emu. Każdy z nas wierzy, że są wyjątki potwierdzające regułę, zaufani przyjaciele, dyskretni bracia, powiernicy milczący jak grób. Całkowity i oczywisty fałsz. Jedynym sposobem utrzymania wstydlivej tajemnicy w sekrecie jest zachowanie jej tylko dla siebie, na zawsze. Cary nigdy nikomu nie ujawnił swojej słabości do chłopców, mimo że wiódł życie wśród filmowców, a więc w środowisku otwartym i teoretycznie tolerancyjnym. W tym durnym świecie, z którego chciał ulecieć niczym Mary Poppins, wszystko jednakże było kłamstwem. Kłamstwem, że nikogo nie obchodzi orientacja seksualna. Niewykluczone, że to zupełnie nie przeszkadza, gdy ktoś jest pisarzem, malarzem, handlowcem, biznesmenem, lekarzem, adwokatem, kancelistą, urzędnikiem, funkcjonariuszem, pilotem, ulicznym sprzętaczem czy osobą na stanowisku kierowniczym. Orientacja seksualna nie jest może też ważna w przypadku bankiera, polityka czy nawet samego premiera. Niestety, ma ogromne znaczenie, jeśli idzie o kogoś, kto zarabia na

srebrnym ekranie, odgrywając role, kurwa, amantów, nawet to słowo samo w sobie jest jakby wyjęte z minionej epoki. Czy byłoby możliwe, żeby odtwórcą roli Rhetta Butlera został gej, by Jamesa Bonda zagrał homoś, a Rocky'ego Balboę – ciota? Oto jeden z tych absurdów, z których składa się jego życie. Cary Faithful wykonuje zawód, który powszechnie uchodzi za jeden z najbardziej wyzwolonych, tymczasem sam tkwi między młotem a kowadłem, między charakterystycznymi rolami tępaków, jakie przyszło mu odgrywać, a rzeczywistością, w której musi wszystkich okłamywać w kwestii uczuć i własnego ja. Marnym, ale zawsze, pocieszeniem jest to, że w tych samych sidłach znalazło się sześciu, siedmiu innych aktorów z pierwszego szeregu (fuu, fuu, gdyby ludzie wiedzieli...), ale każdy z nich milczy jak zaklęty. A cóż innego mogli zrobić?

Cary raczy się kolejnym haustem Cardhu i powraca pamięcią do chwili, gdy ujawnił Olivii swoje upodobania – ze wszystkimi szczegółami, imionami, a przede wszystkim te dotyczące przedziału wiekowego. Z początku patrzyła na niego z jednym z tych matczyńskich uśmiechów pojawiających się na twarzy kobiety, która wysłuchuje męskich zwierzeń. Chwilę potem, niby od niechcienia, zaczęła bawić się swoim telefonem. Cary od samego początku, kiedy tylko wydusił z siebie prawdę, wiedział, że palnął głupstwo. To po prostu się czuje. Pewnie dlatego nie odważył się zapytać Olivii, skąd w trakcie rozmowy wzięło się to nagłe zafascynowanie możliwościami komórki. A jeśli nagrywała jego słowa? Jasne że nie, bez przesady. Dałby sobie rękę uciąć, że kobieta o tak wykwinionych manierach jak Olivia nigdy by tak nie postąpiła...

Jeszcze jeden łyk whisky. Cary odnosi wrażenie, że Cardhu wywołuje skutek nie tylko dobroczynny, ale i cyklotymiczny, jeden łyk pokrzepia go, lecz już następny znów rozbudza niespokojne myśli i obawy. łyk optymizmu i łyk przerażającego pesymizmu. A następny to już byłby łyk nikczemności. Pij z umiarem, Cary.

Niewątpliwie strzelił sobie wtedy w stopę. Pamiętał, że jedyne, co mógł wówczas zrobić, gdy na dodatek owładnął nim niepokój, że Oli ma wszystko nagrane, to błagać ją o zachowanie dyskrecji. – Spokojnie, moje ty zajęcze serce – zapewniła go Olivia, znowu przywołując ten

matczyny uśmiech. – Nie pisnę nawet słówka o tym, że masz słabość do młodzików. Jeśli naprawdę kogoś nienawidzę, to takich typów, które od razu lecą do ilustrowanych magazynów sprzedać swoją wiedzę na temat znanych przyjaciół. A potem dodała z uśmiechem, który nie miał już tego opiekuńczego wyrazu: – Musiałabym być całkiem nierozważna, a przy tym *naprawdę* w biedzie, żeby zrobić coś takiego. Po tych słowach wspólnie znaleźli się pod prysznicem (z inicjatywą wyszedł Cary, ot, erotyczna zabawa jako forma zadośćuczynienia, myślał, ale wystarczyło zerknąć na wielkość jego członka i na wybitnie nieerotyczne zawzięcie, z jakim Olivia skupiła się na gąbce z mydłem, by w lot pojąć, że trafił tym pomysłem jak kulą w płot). A potem przyszedł czas rozstania.

Oli: Szczerze, to było wspaniałe spotkanie po latach.

Cary: Tak, no tak. Trzymaj się.

Oli: Mam zamiar.

I jeszcze Cary na koniec: Tak bardzo chciałbym, żebyśmy się znowu zobaczyli...

Po jakie лихо to wydukał? Cóż, wiedział, że jest „szczęśliwą mężatką”, bo sama mówiła o tym kilka godzin wcześniej. Fakt, że jej mąż miał furę pieniędzy, stanowił doskonałe zabezpieczenie przed pokusą odpłatnego podzielenia się, na prawach wyłączności, nadającymi się na światową sensację wstydliwymi rewelacjami na temat przyjaciela. Mimo wszystko uznał, że rozsądniej będzie utrzymywać kontakt z Olivią, zawsze trudniej przychodzi zdradzić tego, z kim ma się stale do czynienia, niż starego znajomego, którego dawno straciło się z pola widzenia. – Spróbujemy jeszcze raz w przyszłym tygodniu w Londynie, tym razem w asyście szampana i whisky, reflektujesz? Kurczę, Oli, za stare czasy. Jednakże Olivia pozostała nieugięta, obdarzając go kolejnym matczynym uśmiechem: – Skarbie, nie ma żadnego „jeszcze raz”, wybacz. Związek z neapolitańczykiem wymaga pewnych poświęceń, mogę z kimś pójść do łóżka tylko raz. Flavio jest wspaniałym mężem, ale obdarłby mnie ze skóry – i co gorsza pozbawił środków do życia – gdyby wiedział, że się z kimś spotykam.

I zaraz potem wypowiedziała to zdanie, które tak bardzo zaniepokoiło wtedy Cary’ego i cały czas go niepokoi: – Nie przejmuj się, *cuore*. Kiedy znowu o mnie usłyszysz, będzie chodziło albo o coś

bardzo dobrego... albo bardzo złego.

No to może jeszcze jeden łyk Cardhu. Tym razem znowu pesymistyczny, zarazem jednak realistyczny i praktyczny. Po prostu przekonaj się – zachęca sam siebie Cary. – Najlepiej będzie otworzyć ten przekłety list i rozwiązać wreszcie wątpliwości. Poza tym niby czemu musi przynosić złe wieści? Masz niestety, mój drogi, skłonność do panikowania, a potem okazuje się, że to tylko strachy na lachy. Co więcej, z jakiego powodu miałbyś tak źle myśleć o swojej wieloletniej przyjaciółce? Co o niej tak naprawdę wiesz? Nic a nic. Pamiętasz Olivie sprzed trzydziestu lat, ale teraz wiesz tylko tyle, ile mogłeś się dowiedzieć owej nocy, kiedy dałeś plamę, oraz wiesz jeszcze to, co podsuwa ci intuicja. Że jest egoistką? (W sumie kto dzisiaj nie jest?) Że twardo stąpa po ziemi i jest dość cyniczna? (Chwila moment, czy to aby równie dobrze nie mogą być zalety?) Że, jak alarmistycznie podpowiada twoje przecucie, Olivia nie jest osobą godną zaufania? (To na pewno, ale w iluż to przypadkach przecucie okazuje się zawodne?) Daj spokój – pokrzepia sam siebie Cary Faithful – robisz burzę w szklance wody (a nawet w szklance dwunastoletniej szkockiej, co brzmi jeszcze bardziej pretensjonalnie, więc otwórz w końcu ten zasrany list).

„O coś bardzo dobrego... albo bardzo złego”, tak wtedy powiedziała. Ściślej mówiąc, równie dobrze może chodzić o coś optymistycznego, a najbardziej prawdopodobne, że ani o nic dobrego, ani złego, tylko o coś zupełnie błędnego z jego punktu widzenia. Coś, co na przykład może być związane z faktem, o którym wspominała także tamtego wieczoru. Tak, Cary teraz przypomina sobie, że oprócz wynurzeń, którymi ją wtedy uraczył, ona jemu także poczyniła zwierzenie, choć tylko jedno: gorąco pragnęła zostać matką, lecz wiele prób czynionych w tym kierunku spełzło na niczym. Czyż nie mógłby to być *właśnie ten*, tak „dobry” powód, by po tylu latach znowu się do niego odezwać? Że w końcu doczekała się dziecka i chciała się podzielić z nim tą nowiną? List z zewnątrz wygląda na zaproszenie. Czyżby na chrzciny? Ciężko powiedzieć, ale to niewykluczone.

Jeszcze łyk Cardhu i tym razem wszystkie jego obawy już wydają się bezpodstawne. Tak, to dobry trop. Tak egoistyczne osoby jak Olivia kategoryzują dobre i złe wieści zgodnie z tym, czy są dobre lub złe dla

nich, a nie dla innych. – No, otwieraj, śmiało – dodaje sobie otuchy. – Świat się nie zawali.

Cary rozrywa kopertę i w końcu czyta:

Olivia Uriarte ma wielką przyjemność zaprosić... – recytuje wydrukowaną część tekstu na bileciku, a dalej wykropkowany wers, który Olivia następująco wypełniła wielkimi literami swojego ekshibicjonistycznego pisma: Cary'ego i Mirandę (albo weź jednego z tych co to, no wiesz). Następnie mniejszym pismem można doczytać: Świątuję mój rozwód w gronie najbliższych przyjaciół. Flavio zostawił mi „Sparkling Cyanide” do końca lipca, popływamy sobie po Balearach.

Cary jeszcze raz czyta napisane ręką starej znajomej dwa zdania, jakby doszukując się w nich jakiegoś głębszego sensu, który usiłuje się wydobyć z zaszyfrowanej formy. Zwłaszcza pierwsze zdanie wydaje się niepokojące: Olivia zaprasza go z *Mirandą...* a jeśli nie z nią, *to z jednym z tych co to, no wiesz*. Oznaczałoby to dwie rzeczy. Raz, że zna jego „oficjalną”, bieżącą sytuację sercową z *Mirandą*. Dwa, że w żadnym wypadku nie wyleciało jej z głowy to, czego dowiedziała się wskutek jego szoku poimpotentnego. Jej drugie zdanie, dla odmiany, raczej rozwiewa wszelkie obawy. Chociaż zapowiada rozwód (a rozwody, zwłaszcza w przypadku takich kobiet jak Olivia, mogą się wiązać z radykalną zmianą sytuacji materialnej), to jednak fakt, że niejaki Flavio zostawił jej jacht, aby mogła „popływać w gronie przyjaciół”, sugeruje raczej, że nie grozi jej pozostanie bez środków do życia. Żaden mąż – a już zwłaszcza neapolitańczyk, jak przytomnie zauważa Cary – nie udostępniłby luksusowego jachtu swojej byłej, gdyby rozstanie nie przebiegało w dobrej, czy w znakomitej wręcz atmosferze. Tak więc spokojnie. Jak widać, jej finansowe źródło wciąż bije. I płynie szerokim strumieniem – ostatecznie uspokoja się Cary, kładąc na krawędzi wanny list Olivii i stawiając tam szklaneczkę whisky. – A to w sposób oczywisty oddala ode mnie widmo szantażu. A co do samego zaproszenia, czemu nie? Można je przyjąć i pojawić się tam. Z *Mirandą*, rzecz jasna! Na pewno ta moja pół Szkotka, pół Kolumbijka, uwielbiająca ciepły klimat, dusząca się w londyńskiej mgle, ucieszy się z pomysłu spędzenia kilku dni razem na słońcu. Kochana,

pocziwa, niestawiająca warunków Miranda, partnerka idealna... a przy tym – niech Bóg ją błogosławi – tak ślepa, że drugiej takiej próżno szukać w świecie.

A teraz – stwierdza Cary, wkładając elegancki bordowy płaszcz kąpielowy – pora uczcić omyłność mojej durnej intuicji. Gdzie komórka? O, jest.

– Halo, Paul? Słyszysz mnie? Tak, to ja, skarbie. Przyjedź jak najszybciej, mamy całą noc wyłącznie dla siebie, bardzo cię potrzebuję... Tylko czy mógłbyś po drodze skoczyć jeszcze do apteki? Nie, nic poważnego, w każdym razie, słońce ty moje, przywieź opakowanie aspiryny. Mhm, to przy okazji też rozpuszczalny alka-seltzer, bo nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jaki dzisiaj miałem szalony dzień.

Cary ponownie sięga po zaproszenie od Olivii, tym razem jednak bez uprzedniego zatroskanego wyrazu twarzy. – Spójrzmy – uśmiecha się. – Napisała, że na odwrocie jest lista zaproszonych. Kogoś będę kojarzył? Oczywiście jest Ágata Uriarte, kto tam dalej... Sonia San Cristóbal. Z czym, u licha, kojarzy mi się to nazwisko?

Trzecia z zaproszonych: Sonia San Cristóbal

– O, sama widzisz, mamusiu – powiedziała Sonia, spoglądając na matkę. – Teraz świętuje się już nie tylko chrzciny, wesela i pierwsze komunie, ale nawet rozwody. Mega, nie uważasz? Jakie to wspaniałe, że jest co uczyć! Olivia to niesamowita kobieta, że na przekór wszystkiemu zaprosiła nas na swoje party, prawda?

Matka spojrzała na Sonię i znowu odniosła to samo wrażenie, które nawiedzało ją już milion razy. To samo, które pojawiło się pewnego poranka przed dwudziestu jeden laty, kiedy po raz pierwszy trzymała córkę na rękach. To samo, kiedy mała ukończyła pięć lat i przekroczyła próg przedszkola przy Instytucie Brytyjskim w Madrycie. To samo, kiedy jako siedemnastolatka wystąpiła na nowojorskim pokazie ubrań Donny Karan. – *Taita-Dios*, ależ ona ma dziwne poczucie humoru – powtarzała sobie za każdym razem. – Naprawdę dziwaczne. – I pomyśleć, że ta dziewczynka śliczna jak słońce była odpowiedzią na jej wszystkie usilne prośby, chociaż...

Cristobalina Sosa przyszła na świat w Cuzco, a w Hiszpanii zjawiała się przed trzydziestu laty z tekturową walizką i szkaplerzem Chrystusa Ziemiawstrząsającego jako całym dobytkiem. Ledwo postawiła stopę w Madrycie, ucałowała tę obcą ziemię – a nigdy nie widziała *Przeminęło z wiatrem* ani, szczerze powiedziawszy, żadnego innego filmu – wzięła jej garść i poprzysięgła niebiosom, że nigdy więcej nie zazna głodu. Pierwszy rok w hiszpańskiej stolicy okazał się podręcznikowym przykładem rutynowych zajęć. Najpierw służba w domu znajdującym się nieopodal Plaza de Castilla. Spędziła tam tylko tyle czasu, ile potrzebowała na wstępne poznanie miejskich zaułków i wyposażenie się w niezbędne rzeczy: czarne lakierki, mini, która zdecydowanie nie przydawała walorów jej pałakowatym nogom, bezdomnego psiaka, na którego wołała Pisco, oraz nieco zaskórniaków, dzięki którym na pół miesiąca wynajęła klitkę nieopodal stacji metra Tetuán. I choć istniały pewne profesje, w których przypadku ubieganie się o błogosławieństwo Pana Ziemiawstrząsającego jest kwestią nader delikatną, to jednak Cristobalina pamiętała Mu słabość do Magdaleny, modląc się do Niego następującymi słowy: coby, Panie Słodki, te moje

rączki połyskiwały wielkimi drogimi pierścionkami, jakie to mają paniusie z Arequipy. A skoro już jesteśmy przy modłach, Panie Boziu Ty mój, to cobym jakoś w przyszłości doczekała się dziewczynki tak śliczniutkiej, że nie będzie potrzebowała żadnych pierścionków ani złocień, i żeby bez tego kochano ją i szanowano.

Siedem czy osiem lat, tłustych lat, Cristobalina w towarzystwie pieska Pisco pracowała na ulicy. Nie ulega wątpliwości, że nie była ósmym cudem świata. Koślawe nogi, mikry wzrost, szorstka skóra, brak dwóch czy trzech zębów. Obok tych niedoskonałości miała jednakże piękne oczy i umiejętnie posługiwała się niezawodną bronią: sprawiała, że mężczyzna miał poczucie, jakby był najwspanialszy na świecie – nawet jeśli było to szalenie krótkotrwałe i w dodatku całkowicie złudne. Szybko też przekonała się, że europejscy mężczyźni – zwłaszcza pewni panowie z dużymi możliwościami – wcale nie czuli wstrętu do brzydkich Metysek w jej typie, nawet świadomie ich szukali, aby spełnić najskrytsze pragnienia. W ten sposób poznała znaczenie słów, które dotąd były obce jej uszom: „złoty deszczyk”, „czarny pocałunek”, „wiązanie”, „obręcze” i wiele innych. Nie miało dla niej znaczenia, że za tymi dziwacznymi określeniami kryły się Bóg wie jakie perwersje. Najważniejsze, że dzięki nim można było opłacić czynsz (za coraz większy metraż i coraz lepszą okolicę), kupić lakierki (już nie plastikowe, jak na początku, tylko projektowane przez Moschina) i różne inne cacuszka, a to w dobitny sposób oznaczało, że Pan Ziemiawstrząsający rozumiał i akceptował jej wybory życiowe, niewykluczone, że rozumiał przytyk pod adresem Jego i Magdaleny. Kiedy już Cristobalina uzbierała pewien kapitalik, a Pisco dokonał żywota, zostawiając ją bez nikogo bliskiego na świecie, uznała, że nadszedł właściwy moment, by spełnić drugie ze swoich marzeń, trudniejszy z dwóch cudów, o jakie błagała, modląc się do szkaplerza Pana Ziemiawstrząsającego. Już wtedy rozumiała, jak mają się rzeczy tam na górze, w niebie. Jeśli ktoś pragnie, by tu na dole spełnił się jakiś cud, musi najpierw wyłożyć te chleby i ryby. W jej przypadku, jak uznała, będzie to nadzwyczaj proste. Skoro pragnęła ślicznego dziecięcia, musiała po prostu znaleźć odpowiedniego tatusia. Nie pragnęła jednak dręczyć swoich klientów, co to, to nie, nie miała

zamiaru wyłudzać od nich alimentów ani jakiegokolwiek innej pomocy (zresztą trudno byłoby doprosić się o te rzeczy), od swoich wymagających usługobiorców zamierzała uzyskać jedynie spermę – im zaniejsze nasienie, tym lepiej. Dlatego w następnych miesiącach Cristobalina zachowywała się niczym szef castingu w agencji modeli – wstępnego castingu, oczywiście – i poświęcała czas na ocenianie zalet i przymiotów rozmaitych kandydatów. A miała z czego wybierać, bo w jej notatniku z klientami figurowali znani politycy i wybitni ludzie, obywatele o nieskazitelnej reputacji, którą się cieszyli poza czterema ścianami jej mieszkania. Widnieli tam rozpoznawalni aktorzy, popularni dziennikarze mający opinię Sumienia Zachodu, zawodowcy wszelkiej maści, a nawet trzech czy czterech panów z Opus Dei. O genetyce Cristobalina wiedziała tyle, ile podpowiadał jej zdrowy rozsądek wsparty starymi jak świat mądrościami ludowymi z jej rodzinnych stron. Zdecydowała, że w zestawie cech przekazanych dziecku najważniejsze będą piękno i czułość. W efekcie owych rozważań za idealnego kandydata na „byka rozplodowego” uznała Fernandita Lugonesa. Bóg i Pan Ziemiawstrząsający nie są skrajnie niesprawiedliwi – pomimo dowodów świadczących na Ich niekorzyść – wobec czego Fernando Lugones, najukochańszy syn znanego stołecznego notariusza, wytrawny golfista i nienaganny tancerz, okazał się człowiekiem, któremu Opatrzność nie poskąpiła niezrównanej urody, choć dla równowagi zafundowała mózg komara. Cristobalina nie uznała tego jednak za przeszkodę, niebiosą bowiem obdarzyły Fernandita jeszcze inną cnotą, która była niczym wisienka na pięknym torcie: nieprawdopodobną łagodnością, a tej cechy charakteru Cristobalina zdecydowanie pożądała dla swojej córki. – Piękno i czułość – mówiła sobie – to doskonałe połączenie, by odnieść sukces i zarazem ukontentować Naszego Jezuska. Przede wszystkim dlatego – spuentowała – że obycie i rozum, kolejne składniki niezbędne, by wieść udane życie, zapewnią już ja.

Cristobalina dopięła wszystko na ostatni guzik, przez niemal rok wspomagała się jeszcze ziołami z Cuzco, ponoć nie istnieje skuteczniejszy sposób, aby doczekać się dziewczynki bądź chłopca (no ale chłopiec byłby katastrofą). Upłynęło kilka kolejnych miesięcy i Cristobalina tuliła już w swoich ramionach wyczekiwany cud.

– Już wybrałam – odpowiedziała akuszerce na pytanie, czy zastanawiała się nad imieniem dla ślicznej dziewczynki, która właśnie pojawiła się na świecie. Następnie zaś, kiedy ta sama pielęgniarka, przyzwyczajona do porodów takich kobiet jak Cristobalina, taktownie poruszyła kwestię, czy młoda matka zamierza oddać noworodka do adopcji, ta zakrzyknęła, że nic z tych rzeczy, za żadne skarby, a córeczka ma już nie tylko imię, lecz *także* nazwisko. – Sonia San Cristóbal, to moje dziecko – dobitnie podkreśliła, wobec czego akuszerka poniechała pytania, któż to taki kryje się za imieniem świętego, że Cristobalina wymawia je z taką dumą. Gdyby jednak zapytała, w odpowiedzi usłyszałyby dowolną bujdę, byle tylko zmylić trop i oddalić się od źródła prawdy. Tymczasem po prostu dlatego nazwała swoją córkę Sonia, że imię to często gościło na stronach magazynów lifestyle’owych, które regularnie czytała, aby dzięki temu poznać najnowsze trendy oraz reguły wielkiego świata. – Imię dziecka z dobrego domu – utwierdziła się w swoim wyborze. Prawdziwy powód nadania nazwiska wymyślonego na poczekaniu był jeszcze bardziej banalny: święty Krzysztof (San Cristóbal) w papierach córki stanowiłby czcigodną modyfikację jej własnego imienia i swoiste memento, w którym przetrwałaby pamięć o wszystkim, co uczyniła, nim mogła sobie pozwolić na luksus posiadania tak ślicznego niemowlęcia. Od tamtej pory imię Cristobaliny przestało istnieć – już wcześniej kazała nazywać się Aną Christie. W tamtym właśnie czasie odkryła w sobie fascynację dziesiątą muzą, a zwłaszcza dawnymi aktorkami, jakże eleganckimi, jakże dostojnymi. Stąd jej wybór. Poza tym w jej uszach „Ana Christie” brzmiało o wiele lepiej niż „Cristobalina”, bez dwóch zdań, no i szalenie podobało się jej klienteli.

Gdy minęły lata dziewięćdziesiąte, ale jeszcze na długo przed tym, jak Sonia i jej matka otrzymały od Olivii Uriarte zaproszenie na pokład „Sparkling Cyanide”, Cristobalina vel Ana Christie ponownie zdecydowała się na zmianę imienia. Postanowiła zostać dołą Cristiną, co o wiele lepiej pasowało do jej wieku i nieoficjalnie wykonywanego zawodu lichwiarki oraz pośredniczki w branży miłosnej oraz w innych, znacznie bardziej mętnych biznesach.

Tak oto przedstawiały się dotychczasowe losy Cristobaliny vel

Any Christie vel doña Cristiny (lub jak tam ją chcecie nazywać) i jej pociechy o anielskiej urodzie i łagodności, która siedziała naprzeciwko i konsumowała poranną grzanekę z galaretką malinową. Obie przeglądały właśnie stos listów. A spojrzawszy na swoją córkę tak śliczną, tak tryskającą młodością, już drugi raz tego dnia matka westchnęła, myśląc o tym, co tyle razy przychodziło jej do głowy na przestrzeni ostatnich lat: o *Taita-Dios*, Ojcu Niebieskim, i Jego specyficznym poczuciu humoru.

Refleksja ta wciąż wracała do niej przez te lata, bo chociaż Jezus Pan Nasz wysłuchał jej próśb co do jednej, to jednak właśnie na tym polegała cała zagwozdzka: że spełnił *wszystkie* jej pragnienia, wszystko, o co prosiła. Gdyby doña Cristina była lepiej odczytana – a nie była, bo nigdy nie miała czasu na takie duperele – najpewniej przypomniałaby sobie złotą myśl, że należy bardzo uważać na wypowiedane pragnienia, bo jeszcze mogą się spełnić co do joty. W tym przypadku popełniono grzech zaniechania: matka nie wysiliła się, by prosić niebiosa o rozum dla swej córki, zakładała bowiem, że Sonia odziedziczy jej umysł. Tak się jednak złożyło, że inteligencję także wzięła po Fernandicie Lugonesie, jełopie, jakich ze świecą szukać, w efekcie więc ich córka, ten anioł piękna i łagodności, okazała się – raczej w opinii nieco ksenofobicznej doña Cristiny niż dawnej Cristobaliny – nierozgarnięta i głupia jak but.

– Czy widziałaś, mamusiu, co widnieje w zaproszeniu? Okazuje się, że w ostatnim tygodniu lipca Olivia postanowiła spędzić kilka dni w gronie cudownych przyjaciół na pokładzie statku Flavia. Moim zdaniem to naprawdę urocze, że zaprosiła nas obie, a nawet Churriego. Nie uważasz, że to fajniutko?

Doña Cristina upiła łyżeczek czarnej herbaty lapsang souchong i zmrużyła oczy. Nie, nie uważała ani że to uroczo, ani że fajniutko. Oliwię Uriarte zawsze miała za węża. Żmiję. Gorzej nawet – za mangustę, która hipnotyzowała i pożerała inne zwierzęta. To niebywałe, że Sonia nie żywiła do niej choćby nawet *drobnej* urazy za to, co tamta zrobiła jej przed laty, kiedy jeszcze właściwie była dzieckiem. Każda inna dziewczyna, której by skradziono miłość życia dosłownie sprzed samego ołtarza – a tak się stało w przypadku jej córki – nigdy nie

odezwałaby się choćby słowem do takiej złodziejki. Niestety, odziedziczona po Fernandzie Lugonesie nieposkromiona dobroć jej córki objawiła się w tym przypadku w zupełnie zaskakujący sposób. Sonia nie miała do nikogo żalu o to, do czego doszło. Doña Cristina jednak pamiętała, że przed kilku laty córka zakochała się na zabój we Flaviu Viccenzie. Poznała go tuż po podpisaniu papierów rozwodowych kończących jego drugie małżeństwo. Sonia przebywała wtedy na Sardinii i kręciła spot reklamowy na potrzeby jednej z marek produkujących zegarki, Flavio zaczepił ją na ulicy, tak po prostu. Przez następnych kilka miesięcy nie widział świata poza jej oczami. Stali się jak papużki nierozłączki: narty w Cortinie, brunch w Nowym Jorku, Wielkanoc w Petersburgu, Sylwester w Punta del Este... Oczywiście obsypywał ją kosztownymi prezencikami: biżuterią, zegarkami, płaszczami z najosobliwszych skór i innymi gadżetami, które Cristobalina, inwentaryzatorka czuwająca, by w ręce jej córki wpadały frykasy, a nie jakieś tam okruchy, od razu klasyfikowała jako „wyjątkowe”. Wreszcie po siedmiu miesiącach Flavio poprosił Sonię o rękę, ku jej wielkiej radości i jeszcze większej radości doñi Cristiny. Zazwyczaj tak to się układa, że kandydaci, którzy odpowiadają matkom, zupełnie nie leżą córkom i vice versa, w tym jednak przypadku wyglądało na to, że Pan Ziemiawstrząsający zatroszczył się nawet o taki detal. Flavio zresztą tak już miał, że był faworytem i córek, i ich matek. Obłędnie bogaty Włoch, choć jego fortuna miała nieco szemrane pochodzenie, wciąż niestary, przystojny, a nade wszystko człowiek o niezrównanej szczodrości. Czego więcej można chcieć?

Cristobalina zawsze żyła w strachu przed nagłą, niespodziewaną odmianą losu. Przed ślubem córki zwiększyła dawkę codziennych modłów do swego cudownego szkaplerza, podwoiła wsparcie jałmużną lokalnych świętych, byleby tylko nic się nie pokomplikowało. Niestety, gdzieś w niebiesiech musiało dojść do poważnej awarii, nadszedł bowiem pamiętny dzień – w szafie wisiała już suknia ślubna, a Sonia kręciła się po domu z welonem udrapowanym z nabłyszczanego tiulu, fantazjując na temat przyszłości – gdy otrzymała od Flavia obłędnie drogi, wysadzany brylantami zegarek marki Frank Müller, wraz z krótkim listem pożegnalnym. Co się stało? Gdzie został popełniony

błąd? Czemu prysł czar? Doña Cristina, specjalistka od czytania w męskich sercach (a jeszcze większa – w męskich umysłach) niczym w otwartej księdze, od początku nie miała cienia wątpliwości, że chodzi o inną. Jej zdaniem nawet najbardziej wygadani i pewni siebie, a prawdę mówiąc, przede wszystkim oni, w kontaktach z kobietami okazują się istotami kruchymi, próżnymi i rozrzutnymi. Kobieta, która umiejętnie potrafi manipulować tymi trzema defektami faceta, wyprzedzi wszystkie rywalki, w tym młodsze i piękniejsze, o kilka dobrych długości.

Doña Cristina знаła Olivię wyłącznie z plotkarskich stron magazynów ilustrowanych, ale wcale nie musiała znać jej osobiście, aby skutecznie przejrzeć jej zamiary. Nie tylko doskonale znała męską naturę, umiała również czytać z kobiecego oblicza, choćby były to tylko zdjęcia. Twarz Olivii Uriarte nie miała żadnych tajemnic dla takiej specjalistki od miłości jak Cristobalina vel Ana Christie, przemieniona już w doñę Cristinę. Drobne, a zarazem stanowcze wargi, chytre oczka, które zawsze poszukiwały spojrzenia Flavia niby wzrok kobry wypatrującej myszy. A przede wszystkim ta maniera pozowania do zdjęć, zawsze ociupinkę za mężem, tak aby nie przytłoczyć go swoją osobą... – Wiedźma, przekłeta wiedźma – stwierdziła teraz doña Cristina nieomal głośno, a chwilę potem, panując już nad sobą i pilnując się, by nie mogła tego usłyszeć jej najdroższa córka, mówiła do siebie: – W każdym bądź razie krótko trwał twój urok, słodka kobro, raptem kilka lat się uzbierało. A więc przyszła kryska na matyska, co, kobro? Bo nie ulega wątpliwości, że to *bye bye* na zawsze, pokazali ci drzwi bez możliwości powrotu. Co mogło być przyczyną rozstania? Diabli wiedzą. Nie mam dość informacji, by z przekonaniem powiedzieć, że Flavio wymienił cię na kolejną, a może po prostu... model się przejadł, tak to ujmijmy. Natomiast jasne jak słońce, kochaniutka, że w kwestii rozvodu z inicjatywą nie wyszłaś ty, że pomysł był jego. Jaki bowiem mężczyzna zostawiłby łódkę swojej eks, by mogła spotkać się z przyjaciółmi, gdyby wcześniej nie zafundował jej tak paskudnej wieści. Uuu, wielka szkoda... – ironizowała doña Cristina, słowa adresowane do Olivii kierując w stronę grzanki z galaretką malinową, którą przed chwilą ugryzła. – I na dodatek zostawiono cię w najgorszym możliwym momencie, nie zaprzeczysz. Nie tylko ze względu na obecne

niespokojne czasy, lecz przede wszystkim dlatego, że... ile masz już lat, gadzino występna? Czterdzieści cztery, może czterdzieści sześć? Tak czy inaczej, podły to wiek dla kogoś takiego jak ty. Niewielka odprawa, a potem lądujesz na bruku – podkreśliła doña Cristina opiekuńczym tonem, podczas gdy Ana Christie, która wciąż była częścią jej jestestwa, stwierdzała, że zamożni zawsze są źródłem wiecznej niestałości erotycznej, a kobiety służą wyłącznie zaspokajaniu potrzeb takiego gatunku. Z kolei Cristobalina, którą także wciąż miała w sobie, również postanowiła wtrącić swoje trzy grosze w następujących słowach: – Siarczasty kop w dupsko – tak najlepiej określić hojność Flavia wobec ciebie, moje ty kochanie, bo jak to powiadają w moich ojczystych stronach „mąż szczodry i tkliwy, to i pewnie chutliwy”.

Może gdyby mniej doświadczona kobieta dowiedziała się, że miłość życia jej córki rozwodzi się i znów będzie wolna, snułaby naiwne rojenia o ponownym weselu. Ale nie Cristobalina vel Ana Christie vel doña Cristina. Każda z nich doskonale zdawała sobie sprawę, że to już po prostu niemożliwe. Nie dlatego, że Flavio nie byłby skłonny, czemu nie, całkiem możliwe, że i owszem (z jej doświadczeń wynikało, iż mężczyźni są gatunkiem romantycznym z opóźnionym zapłonem, a niedokończona miłość często okazuje się wspaniała i warta odkurzenia). Przyczyną było to, że jej skarb zadurzył się już w innym. W klasycznym przeciętniaku, jak podsumowywała doña Cristina, albo w człowieku zacnym, zdaniem Cristobaliny. Doña Cristina i Cristobalina oczywiście we wszystkim się zgadzały i jak dotąd ta pierwsza zawsze komenderowała tą drugą, niemniej... przyptyw lat może skruszyć nawet najtwardsze charaktery, czas potrafi zapewne zmiękczyć nawet skórę kajmana. W każdym razie w tamtej chwili rodowita mieszkanka Cuzco, która przed trzydziestu laty przybyła do Europy z walizką wypchaną marzeniami, wzięła górę nad zacną dożą. A Cristobalina w głębi duszy uważała za zrozumiałe, że jej córka po rozczarowaniu, jakim okazał się Flavio, wybrała tak, jak wybrała. Stara Metyska, która nikogo nie kochała ani nie zaznała niczyjej miłości, o ile nie liczyć pieska Pisco, co prawda nie pochwałała tego wyboru, jednak niemal rozumiała – to odpowiednie słowo, *niemal* – co przytrafiło się jej dziecku. A co takiego? Ano ten Churri się przytrafił, ot co, a mówiąc mniej lakonicznie

– pojawiła się w jej życiu taka zwykła płotka, mało znaczący bułgarski kelner, niejaki Kardam Kowaczew.

Rozstanie z Flaviem doprowadziło Sonię do załamania nerwowego i ku matczynej rozpaczycy wylądowała ona w szpitalu z podciętymi żyłami, w ciężkim stanie, wykrwawiona nieomal na śmierć. Po tym ciosie Sonia uciekła w pracoholizm i wkrótce stała się jedną z najpiękniejszych i najbardziej pożądanych modelek na świecie. Nigdy jednak nie była już taka jak dawniej. Doszło nawet do tego, że kilka miesięcy później, już po wypisaniu z drogiej kliniki, została aresztowana. Doña Cristina nie lubiła wracać pamięcią do tamtego epizodu z życia córki, ponieważ nawet teraz nie potrafiła pojąć tego, co się wydarzyło. Jak to możliwe, że panna, którą stać na każdy kaprys, postanawia ukraść kolczyki u jubilera? To częste zjawisko, tak przynajmniej twierdził ten niedowarzony psychiatra, który miał opiekować się Sonią po opuszczeniu kliniki. „To częste zjawisko, że kiedy niepewna siebie dziewczyna zostaje pozbawiona tego, czego pragnie najmocniej, pojawiają się u niej objawy kleptomanii. Bywa i tak, że dochodzi do próby samobójczej, jak w przypadku pani córki, señora San Cristóbal. Niech pani przypomni sobie wiele innych znanych przypadków dotyczących najmajątniejszych aktorek czy modelek. Nazywam to «kompensacją emocjonalną»”.

W opinii doñi Cristiny nie to było najgorsze. Po tych wydarzeniach jej córka, do której smaliło cholewki ze czterech czy pięciu kolejnych Flawiów, zaczęła odrzucać wszystkich absztyfikantów po kolei, jak bowiem utrzymywała, wybrała już mężczyznę dla siebie, Kardama Kowaczewa, czyli Churriego. Nie był specjalnie ładny ani tym bardziej bogaty, ani nawet inteligentny czy przedsiębiorczy, był po prostu zwyczajnym kelnerem w stołówce kliniki, w której po zamachu na własne życie Sonia przebywała nieprzerwanie przez trzy miesiące. „Klasyczny przeciętniak”, tak oceniała go doña Cristina. Człowiek znikąd, który zdobył serce córki, opowiadając jakąś łzawą historyjkę o siostrze imieniem Kozyma. Dziewczynie, która najwyraźniej bardzo przypominała Sonię z wyglądu i której stało się coś strasznego i bardzo niesprawiedliwego, choć doñi Cristinie już wypadło z głowy, co to było, no i słusznie, nie będzie przecież zawracać sobie głowy problemami

rodziny jakiegoś Churriego.

Ana Christie z kolei – druga z postaci składających się na jej osobliwą, wewnętrzną trójkę, wierna czytelniczka ilustrowanych magazynów – na to, co wydarzyło się jej maleństwu, patrzyła z zupełnie innej, choć równie krytycznej, perspektywy niż doña Cristina. Uważała, że jej córusię spotkało coś, co często zdarza się ślicznotkom, które teoretycznie mają wszelkie dane po temu, by mieć szczęście w miłości. Syndrom monakijskiej księżniczki Stefanii. Mogła mieć każdego królewicza, a uparła się, by całować żabę.

Trzecia z owej wewnętrznej trójcy, najstarsza z nich, Cristobalina, uważała, że – pozostańmy przy zoologicznych metaforach – jej córka po tylu przejściach nie tyle gustuje w żabach, ile wybrała mężczyznę, który najbardziej przypominał pieska Pisco. Istotę czułą, wierną – uwielbianą nie za to, co na wierzchu, tylko za wnętrze – niestawiającą warunków, dobrotliwą, bardzo rodzinną... idealnego czworonożnego przyjaciela. Dlatego i doña Cristina, i Ana Christie, i oczywiście Cristobalina – trzy postacie jakże inne, choć z jedną i tą samą ambicją – wiedziały, że niewiele tu można poradzić. Choćby wszystkie trzy stanęły na głowie, nie zmienią tego, że w życiu ich dziecka nie pojawi się już ani jeden śliczny i wpływowy Flavio, nie będzie też hucznego wesela, z chrzestną przystrojoną w koronkową mantylę z czarnego jedwabiu, tak jak to czyniły dawniej kobiety w Cuzco, ani nie spełni się żadne z tych pięknych, zbawiennych marzeń, które tyle razy roiła sobie doña Cristina przez te wszystkie lata do spółki z Panem Ziemiawstrząsającym. A wszystkiemu winna Olivia Uriarte. Ta, która skradła jej córce, wówczas jeszcze młodziutkiej, miłość idealną, skazując ją na powrót w środowisko i grupę społeczną, od której jej matka z takim wysiłkiem starała się oderwać. Co za ironia losu!

– No zobacz, mamusiu, tu stoi wyraźnie: Olivia chce, żebyśmy pojawili się na jej jachcie we troje: ty, Churri i ja. Fajno, nie?

Doña Cristina dostawała gęsiej skórki od tego słowa. „Fajno” ucieleśnia całą tę żalostną, jej zdaniem, filozofię współczesności. Fajno jest z okazji rozwodu wyprawić przyjęcie na koszt byłego i sprosić grupę znajomych, aby wspólnie uczcić matrymonialną porażkę. Fajno jest skraść komuś narzeczonego, a następnie podjąć trud, by uczynić z

tego kogoś swoją przyjaciółkę, co w ostatnich miesiącach Olivii w zaskakujący sposób udało się osiągnąć w relacjach z Sonią. Fajno też jest być tak dobrym i prostodusznym jak jej córka i nie zdawać sobie sprawy, że w życiu niekiedy warto być ciut podlejszym, a przynajmniej – bardziej chytrym.

Pewnie, w dzisiejszych czasach każdy jest fajny, mega, *cool* i całkiem spoko – podsumowała doña Cristina, cedząc te kretyńskie słowa, jakże nieprzystające do jej codziennego słownictwa. Jej zdaniem jednak ludzkie namiętności były takie jak zawsze, odkąd świat jest światem, i tak długo takie pozostaną, aż Pan Ziemiawstrząsający nie postanowi inaczej. Psy te same, a tylko obroża inna, oto *najprawdziwsza* prawda – podkreślała doña Cristina. I dlatego pomimo tej całej „fajności”, „kulerstwa” i „bycia mega” szósty zmysł podpowiadał jej, że w tym nietypowym zaproszeniu kryje się jakiś haczyk. Co tak naprawdę knuje Olivia Uriarte, wyprawiając swój bankiet? Doña Cristina rzuciła jeszcze raz okiem na zaproszenie. Znow dwukrotnie przeczytała odręcznie napisane zdania, usiłując odkryć w nich to, co dotychczas jej umykało. *Moja droga*, zaczynała Olivia swoim wyczelowanym charakterem pisma zamożnej dziewczynki. *Na odwrocie zamieszczam listę zaproszonych, którzy zjawią się na przyjęciu z okazji mojego rozvodu, sami najbliżsi przyjaciele...* Doña Cristina odwróciła więc liścik. Najpierw zobaczyła imię Agaty Uriarte, następny z wymienionych to Cary Faithful wraz z jakąś Mirandą. Sądząc po nazwisku, Ágata to bez dwóch zdań jakaś krewna Olivii, a co do Cary’ego... czyżby to miał być *ten* Cary Faithful, który przychodzi jej do głowy? Ten od filmów? No, no, oby. Zważywszy, że doña tak lubiła kino, miałyby przynajmniej taką drobną przyjemność, aczkolwiek uważała, że dzisiejsi aktorzy nie są nawet cieniem tych z przeszłości, naprawdę nie ma o czym dyskutować. Z kolei nazwisko zamykające listę – niejakiego doktora Pedra Fugueta – w ogóle nic jej nie mówiło, w związku z czym ponownie zaczęła przyglądać się zaproszeniu.

...w gronie najbliższych przyjaciół... Więc co tu, w tym „gronie”, robi ona, Cristobalina czy też Ana Christie, czy też najczcigodniejsza z tego grona doña Cristina? Trudno się nie zdziwić, że została wymieniona w zaproszeniu, prawda?

W swoim niekrótkim życiu doña Cristina widziała już niejedno i rozumiała, że w obliczu osobliwych zdarzeń można zareagować na dwa sposoby: albo stawić czoła, albo jakoś się wymigać, co wybiera większość osób. Ale nie ona. Nie byłaby dziś ową osobliwą wielką trójcą, gdyby niegdyś unikała dziwnych sytuacji. I teraz też nie zmieni swojego postępowania.

– Tak, królewno śnieżko – mówi do córki – możesz odpisać swojej przyjaciółce, że obie przybędziemy z radością. We *troje* – szybko się poprawiła, niechętnie przypomniawszy sobie, że zaproszenie obejmuje pieszka Pisco w ludzkiej skórze.

Następnie Cristobalina, chcąc nie chcąc, w wyniku nieuniknionego skojarzenia, pogrążyła się we wspomnieniach o zapchlonym kundlu, swym nieodłącznym starym przyjacielu niosącym pocieszenie przez tyle nocy. Czyż nie byłoby słuszniej, rozmyślała Cristobalina, dać spokój, odłożyć na bok zastrzeżenia i pozwolić, by mała była szczęśliwa z kimkolwiek, kogo sobie wybierze? Lecz w tym momencie dokuczliwe myśli zostały spacyfikowane przez Anę Christie pospołu z dołą Cristina. Co za dyrdymały, jasne że *nie* byłoby słuszniej. Poza tym, któż to wie, może za tym dziwacznym zaproszeniem stoi sam Pan Ziemiawstrząsający? Bo czemu nie? Być może zaplanował to wszystko po to, aby mała w końcu poznała kogoś, kto spowoduje, że porzuci myśli o Churrim (nadzieja umiera ostatnia). A nawet jeśli nie, możliwe, że miał On inne powody. Choćby takie, że ona, Cristobalina Sosa, otrzyma sposobność, by Olivia dostała za swoje, za mącenie zamysłów kogoś takiego jak ona, służącej, można powiedzieć, kogoś, kto zawsze, nie bacząc na żadne przeszkody, potrafił tak wyrzeźbić los swój i swojej córki, jakby to była płaskorzeźba z kultury Mochica.

Do mnie należy pomsta, tak mówi Bóg w Biblii³, prawy Jahwe – przypomniała sobie doña. – Należy jednak zawsze pamiętać, że dla cudów czynionych przez Boga w niebie ktoś w pierw musi tu, na ziemi, przygotować jakiś chleb i jakieś ryby. Dobrze mówię, *Taita-Dios*?

– Czy zrobić ci ciepłą kąpiel w balii, córciu, z olejkami i kadzidłami? – zapytała matka, zbliżyła się do córki i złożyła pocałunek na jej czole, rytuał, który każdego ranka wyznacza początek nowego dnia dla jednej i drugiej. – Woda będzie ani nie za zimna, ani nie za

ciepła, z kilkoma kroplami zapachu bursztynowo-magnoliowego, hmm?
A może wolisz bursztyn z kwiatem pomarańczy? Pomarańczkę, tak? No
jasne, śliczności ty moje, fortuna to coś bardzo ważnego w życiu
każdego człowieka, jak mi się wydaje. No, daj jeszcze buzi mamusi.
Mamusia zajmie się wszystkim, jeśli chodzi o tę podróż. Jak zawsze,
królewno.

Ostatni z zaproszonych: doktor Fuguet

Dwa lata. Tyle czasu upłynęło, odkąd Pedro Fuguet miał ostatni kontakt z Olivią Uriarte. Dwadzieścia cztery dłużące się miesiące, sto sześć tygodni, siedemset trzydzieści niekończących się dni i nocy, w trakcie których jego życie upływało spokojnie, ale i monotennie, jak to życie osób pozbawionych błogiego – przeklętego, powiedzą inni – niepokoju związanego z namiętnością. Przez ten czas Pedro Fuguet nauczył się czerpać korzyści z życia bez wstrząsów, kiedy dzwonek telefonu nie powoduje, że mózg przeszywa prąd radości i zarazem niepokoju, a koperta w skrzynce na listy nie może oznaczać nic bardziej problematycznego niż mandat drogowy.

Mój Boże, to od niej, pomyślał, wyjąwszy ze skrzynki kopertę, a kiedy chwilę później poczuł drzenie lewej ręki, zadumał się nad tym, jak mylne są słowa bolera, które utrzymują, że odległość oznacza zapomnienie. I jeszcze ten kit wciskany przez poradniki psychologiczne, które wmawiają, że istnieje jakiś medykament na miłosną dolegliwość. Zadumał się wreszcie nad tym, jak chwieją się wszystkie twierdzenia antropologii współczesnej, zapewniające, że zakochanie jest li tylko koktajlem endorfin, między innymi dopaminy i serotoniny, pod którego wpływem pozostaje się dokładnie przez trzydzieści miesięcy.

W odróżnieniu od pozostałych osób, które dotąd otrzymały zaproszenie od Olivii na pokład „Sparkling Cyanide”, Pedro Fuguet nie czekał ani chwili i od razu rozerwał kopertę. Na cóż miałby czekać? Zdawał sobie sprawę, że niezależnie od zawartości on i tak nie będzie miał innego wyjścia, jak zastosować się do zawartych w liście poleceń.

Kiedy już przeczytał zaproszenie, nie ogarnęło go zdziwienie, że jego wieloletnia przyjaciółka zamierza w ten rzadko spotykany sposób uczcić kolejny rozwód. Niespecjalnie zainteresowała go lista zaproszonych, z której na pierwszy rzut oka nie znał nikogo. Zwrócił za to uwagę na podpis Olivii. Doskonale znał każdą kreskę tej parafki, tyle razy widział ją na czekach i innych dokumentach, które wspólnie fałszowali. „Nic nie łączy tak jak występki”, mawiała nieraz, jednocześnie obdarzając go jednym z tych swoich wspaniałych uśmiechów, które potrafiły topić góry lodowe i mącić umysły. „Wspólne

łamanie prawa wzmacnia więzy”, sugerowała, i rzeczywiście tak było, a niewidzialny węzeł nadal by ich łączył, gdyby Fuguet w końcu nie zebrał się na odwagę, aby go przeciąć.

Od zarania ich znajomości Olivia miała zwyczaj pojawiać się i znikać z życia Fugueta, kiedy tylko przejawiała taką ochotę, aż któregoś dnia zdołał wreszcie doprowadzić do tego, że więcej miał już jej nie zobaczyć. To sprawiło, że stracił niemało włosów i część duszy, lecz zrobił ten krok świadomie i pozostał nieugięty. A przynajmniej tak mu się wydawało, póki nie zobaczył tego listu. Pedro Fuguet mógłby do znudzenia głowić się, jakie nowe cierpienia i niebezpieczeństwa wiązały się z otrzymaniem teraz zaproszenia. Mógłby też dokonywać porównań swojego obecnego życia z tym sprzed paru lat, kiedy władala nim Olivia. Jednakże jego uwagę przyciągnął podpis, który właśnie miał przed oczami, i przekaz, jaki niósł on ze sobą. Fuguet nie był grafologiem ani żadną wróżką, lecz było coś w tych chwiejnych kreskach i niepewnym kształcie dużej litery „o”, coś zdradzającego oznaki drżenia, co utwierdziło go w jego niepokoju. – Mój Boże – szepnął – stało się coś poważnego i ona mnie potrzebuje. Co więc uczynię?

Była sobota. Przez ostatnie dwa lata swojego uporządkowanego życia, które z takim wysiłkiem zdołał odbudować, soboty Pedro Fuguet poświęcał na dogładanie roślin. Dlatego w tym momencie znajdował się na dziedzińcu i podcinał swój jedyny krzew róży. Mieszkał w starym, malutkim domu kolejarza – rzut beretem od stacji w podmadryckim miasteczku – który krok po kroku przeobrażał i z tego powodu rozpierała go duma. Powojenna zabudowa marnej jakości, wzniesiona z niegdyś dostępnych materiałów, sto piętnaście metrów kwadratowych na trzech piętorkach. „Wysmukła wieżyczka taka jak ta, w której uwięziona była Roszpunka”, tak Olivia podsumowała ten dom niemal cztery lata temu, gdy Fuguet zaprosił ją do siebie. „I jeszcze mnie pytasz, jaka Roszpunka, kochanie, przecież nawet dziecko dobrze wie, o co chodzi. To ta zabójczo piękna długowłosa blond panna z baśni braci Grimm, uwięziona przez wiedźmę w wysokiej i wąskiej wieżyczce bez drzwi i z tylko jednym okienkiem wysoko w górze. «Roszpunko, Roszpunko, zrzuć mi swoje złote warkocze!», krzyczała wiedźma z dołu, kiedy

przynosiła jej jedzenie, a dziewczyna nie miała wyjścia, musiała spuszczać swoje warkocze, aby ta zła kobieta mogła się po nich wdrapać. Aż pewnego dnia pojawił się królewicz...”

W tym miejscu Olivia, zanosząc się śmiechem, kończyła swoją opowieść i tłumaczyła mu, że pomimo niemal stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu to właśnie on był Roszpunką o złotych włosach, zamkniętą w wieżyczce, a ona była wiedźmą, która odwiedzała go wtedy, gdy przysła jej na to ochota, królewicza natomiast nie było i nie należało go oczekiwać.

Pedro Fuguet nigdy nie miał okazji czytać baśni braci Grimm. Będąc dzieckiem, poznawał książki Juliusza Verne’a i komiksowe przygody Kapitana Groma, ale po wielu latach, już po tym, jak Olivia zniknęła z jego życia, Fuguet zrozumiał, korzystając z zasobów sieci, że losy ich obojga faktycznie bardzo przypominają historię Roszpunkki. A ten jego domek, tak wysoki i wąski, stawał się miejscem, do którego ona przybywała zawsze wtedy, gdy akurat czegoś potrzebowała, a on – wielokrotnie wbrew własnej woli – wpuszczał ją do środka i pozwalał sobą dowolnie rozporządzać... Tyle tylko, że szkoda teraz o tym gadać, na szczęście (lub nieszczęście) jej wizyty są już przeszłością.

W latach, które upłynęły od ich ostatecznego rozstania, Fuguet zdołał ostatecznie wyrugować z domku kolejarza wszelkie wspomnienia po Olivii. I za to Bogu dzięki. W nieszczęśliwej miłości bowiem jego zdaniem największy ból sprawia wszystko, co przypomina tamtą osobę, drobne, acz okropne upiory przeszłości oraz pozbywanie się ich. Na szczęście w jego przypadku owa „czystka” nie obejmowała zdjęć, książek ani (jak to dobrze!) innych pomniejszych intymnych rzeczy, takich jak odzież czy bielizna osobista. Na szczęście, bądź nieszczęście, Olivia nigdy nie spędziła tu więcej niż kilka godzin, dzięki czemu Fuguet uniknął sytuacji, o której Joaquín Sabina śpiewa: *przekleństwo szuflady bez własnych ubrań*. Lecz zdaniem Fugueta nieszczęśliwa miłość wszędzie zostawia po sobie ślady, nawet na obszarach, które nie były wcześniej w jej władaniu. Z tego powodu on sam potrzebował lat, aby pozbyć się ze swojego życia wszystkich upiorów nawiedzających go w taki czy inny sposób. Tych, które zaczynają straszyć, kiedy robi się coś po raz pierwszy już bez ukochanej, może to być spacer po „naszej”

ulicy, słuchanie określonej muzyki, jedzenie jej ulubionej potrawy. Kiedy ktoś dobrowolnie – albo zmuszony, jak w jego przypadku – wycina ze swojego życia miłosną narośl, pozostają bolesne rany, które Fuguet znał aż za dobrze. Myślał o tym w czasie przeszłym, bowiem, jak sądził, rany już się zasklepiły, lecz tego dnia, zupełnie jak ktoś, kto po utracie ręki lub nogi niekiedy czuje mrowienie w nieistniejącej już kończynie, Fuguet odkrył, jak bołą go wszystkie palce duszy, zupełnie jakby ich nie odjęto przed kilku laty.

Stojąc na dziedzińcu, przy jedynym różanym krzewie, rzucił okiem spod furtki na swój ładny domek kolejarza i znowu ujrzał tamten stary, zrujnowany budynek, tak jak postrzegał go jeszcze przed swoją przemianą, wówczas, kiedy Olivia wciąż jeszcze wypełniała jego życie. Wydało mu się nawet, że słyszy wesołe, niecierpliwe brzęczenie dzwonka i towarzyszący mu głos: „Fug, jesteś tam?”

Nikt wcześniej ani później nie mówił do niego per Fug. Co za absurdalne zawołanie, chociaż w jej ustach brzmiało całkiem zgrabnie. „Przyniosłam całą dokumentację, wiesz, potrzebną do naszego spiskowania, no chodźmy do środka”, dodawała chwilę potem. Jakże wspaniałe były te wspólne wieczory we dwoje, kiedy władała jego życiem, a wszystko inne w tamtym momencie przestawało istnieć. W tym starym domu tylko najwyższe piętro nadawało się na część mieszkalną, tam się zamykali, aby – jak to ujmowała Oli – „pospiskować”. A o jakie to spiski chodziło? Pedro Fuguet nie chciał teraz o tym myśleć, wołał przypomnieć sobie pocałunki, czułości i te rozkoszne igraszki miłosne, którymi Olivia dogadzała mu, zanim przechodzili ad rem. „Miej świadomość, że sprzedałeś się tej kobiecie za byle miskę soczewicy” – mniej więcej coś takiego powiedziała mu Perkanta X, znajoma poznana rok temu w sieci, pierwsza osoba, której odważył się opowiedzieć historię swojej dawnej miłości. Ale co, u licha, mogła tak naprawdę wiedzieć Perkanta X, która mieszkała w Jujuy w Argentynie? Z takiej odległości (i przy jej stanie wiedzy) jego związek z Olivią musiał oczywiście wyglądać na trudny: on się narażał, poświęcał, co więcej, wiele stracił, podczas gdy ona dała mu w zamian to, co Perkanta określiła jako zwykłą namiastkę, ledwie okruchy czułości. A Fuguet rozmyślał często: Czy jednak kilka miłosnych wieczorów

spędzonych przez żebraka z królową naprawdę można nazwać zwykłymi okruchami?

Fuguet przypomniał sobie okoliczności, w jakich się poznali. Miał dwadzieścia siedem lat, właśnie przybył z Sorii i zaczynał praktykę ginekologa w niewielkiej prywatnej przychodni w pobliżu paseo de La Habana. Trudno było mu uwierzyć, że któregoś dnia w jego gabinecie zjawi się kobieta w typie Olivii, a co więcej, poprosi go, by odtąd został jej lekarzem. Kobiety z jej sfer zawsze mają poważanych ginekologów, żadnych tam żółtodziobów z czystą kartą, jak to było w jego przypadku. „Ale ja nie mam wiele wspólnego z raszplami, o których mówisz, z czasem sam się przekonasz”, odpowiedziała mu, posyłając pierwszy ze swoich firmowych uśmiechów, topiących wszystkie lody. Od tego dnia wkradła się w życie Fugueta, rozświetlając je jak nikt przedtem. Wierutna bzdura, że sprzedał się za miskę soczewicy, głupiutka, nic nierozumiejąca Perkanto X. Początkowo Olivia stała się jego pacjentką, spiski zawiązały się później. Nawet lubił sobie wmawiać, że pierwsza myśl o zboczeniu z torów praworządności zakiełkowała w jego, a nie w jej głowie.

W tamtym czasie była świeżo po trzecim rozwodzie – a może to już czwarty raz? – lecz nawet wówczas, ba, niewykluczone, że właśnie z tego powodu tak bardzo pragnęła dziecka. Jak wyznała doktorowi Fuguetowi, starała się o nie na różne sposoby w poprzednich latach, ale bez skutku: sztuczne zapłodnienie, inseminacja, in vitro, znachorzy, szarlatani, modlitwy. „Co można więcej, chyba tylko sprzedać duszę diabłu. I żebyś wiedział, że to zrobię, jeśli stanę pod ścianą, najpierw jednak chcę, żebyś spróbował mi pomóc”. Powiedziała to po trzeciej wizycie w przychodni; wkrótce potem zaczęły się regularne schadzki w jego mieszkaniu. Pedro Fuguet nie był ginekologiem od wczoraj, więc dobrze wiedział, że istnieją na świecie kobiety, które dla posiadania dziecka są w stanie zrobić dosłownie wszystko, że są także takie, u których już za młodu zdiagnozowano bezpłodność. W czasie swojej praktyki medycznej Fuguet widział rzeczy niepojęte. Kobiety zastawiające dom, kobiety uprawiające nierząd, byle tylko opłacić sztuczne zapłodnienie. Kobiety zdradzające mężów, u których podejrzewają niepłodność, byleby tylko zająć w ciążę. Nawet takie,

które potrafiły wykraść niemowlaka z kołyski i przekonywać potem, że to ich własne dziecko. „Też byłabym w stanie to zrobić, albo i więcej. Pomożesz mi, prawda, Fug? Obiecuj, że pomożesz”.

Wybuchał wtedy śmiechem i odpowiadał, że nie ma potrzeby, by zamieniała się w postrach cudzych kołyszek, bo swoje marzenie można spełnić innymi sposobami. Przede wszystkim sama wciąż jest jeszcze młoda, a poza tym nawet, gdyby jej defekt okazał się nieodwracalny, zawsze mogła zdecydować się na adopcję, co zważywszy na jej majątność i wpływy, nie powinno być szczególnie trudne, nawet jeśli akurat nie nosiła obrączki na palcu.

Tak to się zaczęło. Pierwsze aspekty spiskowania, o którym wspominała Olivia, wydawały się zgoła niewinne. Dla Fugueta oznaczało to całkowicie standardowe, niegroźne rzeczy jak sporządzenie dokumentu lekarskiego zaświadczonego, że pacjentka nie poddawała się żadnym zabiegom leczenia bezpłodności, co było warunkiem koniecznym dla rozpoczęcia długich i żmudnych procedur adopcyjnych. Władze były na to szczególnie wyczulone i nie dopuszczały oszustw. Tymczasem Olivia mijała się z prawdą, mówiąc, że nie była w trakcie leczenia. Fuguet szybko zorientował się, że miesiąc w miesiąc próbowała szczęścia u madryckich gwiazd ginekologii. „A nuż tym razem się uda, na takiej zasadzie to robię, Fug... Każda kobieta znajdująca się w tej smutnej sytuacji gra na dwa fronty, wiesz, co mam na myśli, prawda?”

Pewnie, że ją rozumiał, a w miarę jak ona coraz bardziej polegała na nim, wspieranie jej stało się jego największym pragnieniem. Robiłby to bez czegokolwiek w zamian, za zwykłe spojrzenie, za jeden choćby uśmiech, tymczasem Olivia okazała się o wiele bardziej szczodra, właśnie wówczas zaczęli widywać się poza przychodnią. Niezapomniane spotkania w domku kolejarza były na porządku dziennym. „Bo teraz jesteś już nie tylko moim lekarzem i współnikiem, Fug, jesteś też moim kochankiem”, powiedziała mu któregoś wieczoru, a godność ta, o wiele bardziej znacząca niż cokolwiek, o czym śmiał kiedykolwiek marzyć, wydała mu się jakąś nagrodą w zamian za pierwsze fałszerstwo, o które go poprosiła, zupełnie małe i dość pospolite, odkąd adopcje stały się tak modne. Spędzili tak ileś miesięcy,

sześć, może siedem. Raz nawet ona zaszła w ciążę, a Fuguet, chociaż był ginekologiem i dobrze wiedział, jak mgliste miała szanse powodzenia, puścił wodze wyobraźni i myślał, że dziecko mogłoby być jego, a nie z próbówki. Jej organizm jednak utrzymał płód w sobie nie dłużej niż przez kilka tygodni, a wraz z poronieniem rozwiały się złudzenia zarówno jej, jak i jego. Żadne z nich nie rozczułało się zbyt nad sobą, ot, życie toczy się dalej. Olivia musiała zajmować się pokonywaniem kolejnych przeszkód, jakie urzędy piętrzą przed osobami starającymi się o adopcję: tony dokumentów, wywiady psychologiczne, szkolenia, petycje, łapówki... Podczas całej tej drogi przez mękę on zawsze był przy niej, przygotowywał przed rozmowami, rozwiewał obawy i odwracał wzrok, gdy usiłowała płacić za cudzą przychylność. „Mój Boże, człowiek odnosi wrażenie, że oni karmią się rozpaczą osób takich jak ja, ileż durnych wymogów, ileż przeszkód, nie mówiąc o tym, że staranie się o cholerną adopcję przez osobę samotną, jak w moim przypadku, jest tysiąc razy trudniejsze. Może po prostu powinnam sobie znaleźć nowego męża. A ty, Fug, co o tym myślisz?”

(Przez jedną cudowną sekundę w jego głowie zakiełkowała myśl, że Olivia chce wziąć z nim ślub. Ale nie, królowe nigdy nie wychodzą za żebraków, a wielkie damy za kloszardów, chyba że w filmach Walta Disneya. Nie, oczywiście że nie).

– Mam już dosyć tego wszystkiego, Fug, znajdę męża w agencji matrymonialnej, żeby mnie więcej nie katowali. Okej, nie tylko z tego powodu, również dlatego, że powoli kończą mi się zielone. Niestety, w życiu tak już jest, że szczęście zawsze wystawia wysoki rachunek.

Właśnie wtedy, po owym wyznaniu intencji, rozpoczęła się gehenna Fugueta, jednak nie dostrzegł tego od razu. Teraz jednak, z perspektywy, którą mogły zapewnić jedynie upływ lat i ochłodzenie relacji, owe słowa Olivii zdawały się prorocze i zapowiadać wszystko, co wydarzyło się niedługo potem. Najpierw okazało się, że odmówiono jej zaświadczenia o spełnianiu wszystkich warunków umożliwiających adopcję. Często czyjaś przyszłość zależy od drobnych cudzych złośliwości, od tego, że jakiś urzędnik czy urzędniczka koniecznie chce pokazać, kto tu rządzi. I właśnie na tym polegał pech Olivii.

Wystarczyła obecność inspektorki, odpornej na jej urok, oraz donos, że

petentka wciąż walczy o odzyskanie płodności, w efekcie zakwalifikowano ją jako nieodpowiednią kandydatkę. Dla Olivii oznaczało to koniec marzeń o przeprowadzeniu legalnej adopcji, lecz nie zamierzała składać broni. Po wieczorze spędzonym razem w łóżku, kiedy ona całkowicie pochłonięta była uzalaniem się nad samą sobą, a Fuguet oddawał się cudownie przyjemnemu współczuciu i pocieszaniu, tak jak pociesza się małe dziecko, ona, naga, blada, otarła łzy i spojrzała mu w oczy:

- Pomóż mi, Fug, tylko ty możesz mnie uratować.
- Naprawdę nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić – odpowiedział.
- Już i tak jestem w to umoczony, wydając ci fałszywe zaświadczenia, za co pewnie postawią mnie przed sądem. Dobrze wiesz, że dla ciebie mogę zrobić wszystko, niemniej...

Za żadne skarby nie powinien był tego mówić; Olivia z determinacją i spokojem, który Fuguetowi wydał się przerażający, zaczęła formułować swoją kolejną prośbę:

- Moje szczęście jest w twoich rękach, Fug, masz tylko zrobić to, co ci powiem.

– Co takiego, słońce?

Oswobodziwszy się z jego objęć, patrzyła na niego wyniośle, obojętnie; w tym negliżu przypominała posąg.

- Zrobiłam rozeznanie na własną rękę. Są jeszcze inne metody zdobycia dziecka, banalnie proste dla kogoś takiego jak ty.

– Kogoś takiego jak ja? – powtórzył zupełnie zaskoczony. – Nie wiem, o czym mówisz.

Wtedy Olivia zaczęła opowiadać mu o półświatku, o którym Fuguet nie miał bladego pojęcia, w najlepszym razie mógł uważać ten temat za jakąś podejrzaną legendę. Opowiedziała mu o koneksjach łączących niektórych uznanych lekarzy z osobami dokonującymi nielegalnych aborcji oraz z pozbawionymi skrupułów położnymi i pielęgniarzkami. Opisała też prywatne przychodnie, na zewnątrz szacowne, w których na porządku dziennym były zarówno zupełnie normalne porody, jak i te nie tak znowu zwyczajne. Miejsca, gdzie młodociane matki – niekiedy właściwie jeszcze dziewczynki – wydawały na świat potomstwo, które następnie było im odbierane,

czasem za ich przyzwoleniem, a częściej dzięki skutecznemu przekonaniu ich, że dziecko zmarło przy narodzinach. Przybliżyła mu wreszcie temat niemałych sum, jakie wiązały się z tymi porodami, a mówiła z wielką precyzją, sypiąc liczbami, przytaczając konkretne dane, nie pozostawiając Fuguetowi jakichkolwiek wątpliwości, że rozpoznaniu i zgłębieniu tego tematu poświęciła wiele godzin i sporo grosza.

– Zupełnie oszalałaś – przerwał jej w końcu. – Nawet jeśli założymy, że cały ten czarny rynek istnieje, to ja na pewno nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Olivio, zastanów się dobrze, rusz głową. Jak zalegalizujesz adopcję, gdy podziemie przekaże ci noworodka? I jakie masz gwarancje, że te potwory nie posuną się potem do wielokrotnego szantażu i nie zatrują ci życia...

Pozwoliła mu się wygadać. A potem, nadal zimna, trupio blada, wstała z łóżka i na jego oczach zaczęła się ubierać. Robiła to powoli i wymownie, nie pozostawiając Fuguetowi cienia wątpliwości co do tego, że widzi ją po raz ostatni, o ile nie uczyni czegoś, by ją zatrzymać. Zaczęła od wisiora, potem przyszła kolej na pierścionki, kolczyki. Następnie zaczęła wkładać czarną bluzkę, która powoli coraz bardziej zakrywała nagie piersi, potem ospale przystąpiła do zapinania guzików, jeden po drugim. Odgrywała przewrotne przedstawienie, bowiem na widoku wciąż było jej łono, a on mógł napawać się jego widokiem. Potem pochyliła się, żeby włożyć buty, wysokie i jakże wyzywające... Na Boga, niech ta udreka dobiegnie końca – rozpaczał w myślach Fuguet. – Słońce moje, Olivio, kochanie najdroższe. – Wyciągnął rękę, rozpaczliwie pragnąc jej dotknąć, a ona, wbrew jego przewidywaniom, pozwoliła mu na to. Była zimna jak gład.

Dwa dni później Pedro Fuguet rozpoczął etap życia, który najchętniej wymazałby z pamięci raz na zawsze i udawał, że nigdy nie miał miejsca. Od tamtej pory setki razy marzył, by rzeczywistość przypominała ten wspaniały świat internetu, w którym wystarczy wcisnąć DELETE, by wszystko bezpowrotnie przestało istnieć. Niestety. Życie nie dysponuje klawiszem DEL. Dlatego chociaż Fuguet starał się nie myśleć o tamtych miesiącach, każdy szczegół tkwił w jego głowie, zapisany w niemożliwej do skasowania pamięci. Przede wszystkim pamiętał sposób, w jaki, idąc za wskazówkami Olivii, nawiązał kontakt

z podziemiem, jak się okazało ku jego autentycznemu zdumieniu, przypadkowo lub nie, funkcjonującym nawet w jego placówce, w przychodni nieopodal paseo de La Habana, w której przyjmował pacjentki. Czy można być tak niewinnym lub po prostu tak ślepy, żeby nie widzieć, co się wokół ciebie dzieje? Jak widać, można, choć brzmi to niewiarygodnie. Kiedy minął pierwszy szok związany z odkryciem, jak znaczne nazwiska wchodziły w skład tego tajnego grona, uwagę Fugueta zwrócił biurokratyczny formalizm, który obowiązywał przy tych... pertraktacjach, tak to określimy, oraz fachowość procedur postępowania w poszczególnych przypadkach. Z rozmów z kolegami z pracy, którzy teraz patrzyli na niego ni to pogardliwie, ni to z dezaprobatą – zupełnie jakby chcieli powiedzieć: „no i co, teraz jesteś jednym z nas” – dowiedział się na przykład, że w przypadku takich podejrzanych praktyk uczestnicy zawsze przestrzegają formalności, może po to, aby nawzajem utwierdzać się w poczuciu, że ich postępowanie to nic aż tak strasznego. Nie mówiono o matkach, tylko o „cedentkach”. Noworodki nie były dziećmi, lecz nieledwie „adopcjami”, a lekarzy i położne, którzy brali udział w przyjmowaniu tych porodów, nazywano „prowadzącymi”. Kobieta, która chciała uzyskać dziecko tą drogą, była określana mianem „klientki”, a zapłata za całą procedurę nie była, rzecz jasna, łapówką, lecz zwykłą płatnością. „W gotówce, czeków nie przyjmujemy”.

W tych okolicznościach, paradoksalnie o wiele mniej zawiłych i długotrwałych niż w przypadku legalnej ścieżki adopcyjnej, Olivia została przydzielona do oczekiwania na „rozwiązanie”, które miało nastąpić kilka miesięcy później. Znalazłszy się raz w tym podziemnym świecie, Fuguet uświadomił sobie, jak szybko nieprawidłowości zaczynają być traktowane jako coś zupełnie zwyczajnego. Jeden z jego kolegów po fachu, również biorący udział w tym procederze, wprowadził go na przykład w szczegóły specjalnej oferty: po uprzednim uiszczeniu umiarkowanej dodatkowej kwoty organizatorzy zapewniali „klientce” możliwość potajemnego zobaczenia „cedentki”. „Nic prostszego – stwierdził – we wtorek oboje zajdziecie do mnie do gabinetu, ona przyjdzie tam na comiesięczną kontrolę, będzie z kimś z rodziny. Bo, jak zobaczysz, Fuguet, wszystko odbywa się tu z poszanowaniem reguł i profilaktyki. Poza tym w ten sposób będziecie mogli ocenić, i

klientka, i ty, jak śliczna jest wasza cedentka”.

Błagał Olivie, żeby nie przychodziła, po co bowiem zwiększać ładunek emocjonalny towarzyszący temu procederowi, lecz ona, kolejny raz przybierając pozę lodowatego sfinksa, która budziła w Fuguecie autentyczny lęk, odparła, że wybierze się niezależnie od jego opinii na ten temat. Pójdzie z nim lub sama. Trzy dni później do orszaku demonów nawiedzających głowę Pedra Fugueta dołączył kolejny – twarzyczka trzynastoletniej Bułgarki, dziewczynki, która nie wyglądała na więcej niż dziesięć, jedenaście lat, biorącej udział w owym „interesie” z inicjatywy własnego ojca. Wyraz twarzy, coś między trwogą a bezbronnością, miał pozostać na zawsze w pamięci Fugueta. Twarz, która odtąd miała przyporządkowane imię: Kozyma. Znajomość imienia cedentki była „absolutnie niewskazana” w tym półświatku, lecz tak się złożyło, że wymusnęło się ojcu tej biednej dziewczynki, a owe trzy sylaby błyskawicznie zasiliły poczet sennych zmór doktora Fugueta. I gdyby tylko w prawdziwym życiu istniał klawisz DELETE, ową scenę rozgrywającą się za weneckim lustrem Pedro natychmiast wykasowałby z pamięci. Gdyby mógł, tym bardziej raz na zawsze wymazałby z pamięci scenę, która rozegrała się ledwie dziewięć tygodni później, podczas porodu. Zdarzenie miało jeszcze bardziej plugawy wydźwięk: aby cedentka i prowadzący nie narobili sobie kłopotów i aby wszystko było prostsze z punktu widzenia klientki, która zapłaciła dodatkową sumę za swoją obecność, „rozwiązanie” nie odbyło się w przychodni przy paseo de La Habana, lecz w mieszkaniu Kozymy, w warunkach całkowicie uwłaczających wszelkim prawom medycyny i zasadom higieny. Tu miało swój początek koszmarne wspomnienie Pedra Fugueta, które nawiedzało jego sny częściej niż inne zjawy i wspomnienia, bezskutecznie odpędzane przez ostatnie lata. Krzyk leżącej w łóżku – jakże dziecięcym, jakże niestosownym, z narysowaną na wezglowiu Myszka Miki – młodocianej matki, kiedy ujrzała zakrwawioną jeszcze twarzyczkę własnego dziecka.

Fuguet dowiedział się dopiero później, że zazwyczaj przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności, aby tego typu „niedogodności” nigdy nie miały miejsca, aczkolwiek od czasu do czasu dochodziło do nieprzewidzianych sytuacji. Prawdę powiedziawszy, nikt z obecnych

przy porodzie – ani nikt z prowadzących, ani nawet on sam, obecny tam, z duszą na ramieniu – nie mógł zapobiec temu, co się wydarzyło. Noworodek, który właśnie przyszedł na świat, został owinięty w regulaminowe zielone prześcieradło, ale nagle Kozyma, błyskawicznie i zupełnie niespodziewanie, zważywszy na jej stan, szybkim ruchem ręki odłoniła dziecko. To z tego właśnie powodu Fuguetem wciąż wstrząsały dreszcze, gdy nachodziło go wspomnienie, przeżywanie raz jeszcze chwili, kiedy matka, sama wciąż jeszcze będąca dzieckiem, błaga wniebogłosy, aby pozwolono jej ucałować maleństwo, tylko raz, tylko na pożegnanie.

Scena trwała nie dłużej niż kilka sekund. Ojciec Kozymy natychmiast rzucił się w stronę córki i zakrył jej usta, podczas gdy prowadzący owijali noworodka w ręcznik, by go stamtąd zabrać, zabrać daleko, do świata, w którym wszyscy uczestniczyli w tym handlu żywym towarem. Fuguet, stojący w rogu pomieszczenia, twarzą zwrócony do wyblakłej ściany, dygotał od stóp do głów, ale nie potrafił – ty cykorze, ty tchórze śmierdzący – nie potrafił zdobyć się na to, by przerwać ten koszmar.

DELETE, DELETE, DELETE.

Gdyby życie oferowało ten dobroczynny klawisz, Fuguet nacisnęłoby go jeszcze co najmniej raz, dwa, a może i trzy razy, aby wymazać jeszcze inny szereg scen, które również stłoczyły się w jego pamięci. Na szczęście te, o których teraz mowa, łaskawie okazały się zaledwie mgnieniem, były niemal nieuchwytnie. Nawet teraz, na dziedzińcu swojego domu, z zaproszeniem przed chwilą otrzymanym pocztą w jednej ręce i z sekatorem w drugiej, Pedro Fuguet ujrzał oczami wyobraźni, znienacka i tylko przez chwilę, zniewalający uśmiech Olivii Uriarte. Stoi pochylona nad kołyską, patrzy na dziecko, i mówi: „Mam prześliczną córeczkę, prawda Fug?”.

Clara, tak nazwała noworodka, a trudno byłoby jej dobrać imię mniej pasujące. Clara była ciemna⁴, szkaradna i chorowita, ale parada wspomnień Pedra postępowała tak szybko, że twarze Olivii i Clary po chwili się rozplynęły i ustąpiły miejsca kolejnej scenie. Ta miała miejsce ledwie kilka miesięcy później, na tym samym dziedzińcu, również związana była z wyjmowaniem listu ze skrzynki, tak jak to uczynił

przed kilkoma minutami z zaproszeniem na pokład „Sparkling Cyanide”. Na liściku widział ten sam charakter pisma co dzisiaj, chociaż wówczas kształt litery „o” w jej imieniu oraz inne części pisma wyrażały pewność i beztróskę:

Fug, mój kochany!

Wiem, jak ucieszy Cię wiadomość, że jestem bardzo szczęśliwa. Właśnie wysłałam za męża. Przesyłam Ci zdjęcie z Bahamów, na którym jest Flavio, Clara i ja. Wszyscy troje przesyłamy Ci całusy.

Kocham Cię,

Olivia

Upłynęło już tyle czasu, a mimo to na wspomnienie owego krótkiego listu Pedro Fuguet odczuwał to samo co tamtego dnia, dziwne uczucie, zupełnie jakby słońce nad głową z zawrotną prędkością chowało się za horyzontem, a wszystko wokół pogrążało w ciemnościach. A on patrzył na to, nie rozumiejąc, jak w ciągu jednej sekundy dzień może zamienić się w noc, a światło przejść w mrok. Aż do tamtej chwili Pedro nie wiedział nic o żadnym Flaviu. Wprawdzie ostatnio Olivia była wiecznie zajęta, twierdziła, że dużo podróżuje, od kilku tygodni nie odwiedzała domku kolejarza, lecz ona po prostu tak już miała, wciąż zjawiała się i znikwała z jego życia, i aż do tej chwili jej ciągle nieobecności nie miały znaczenia. Do tej chwili.

Wspomnienie rozplywa się, by zrobić miejsce następnemu. Tym razem nie jest to obraz, lecz dźwięk, wesoły trel dzwonka u drzwi w znanej mu sekwencji: długi sygnał, potem dwa krótkie.

– Fug, jesteś tam?

Do tego wspomnienia powinno się jeszcze tylko dodać frazę jak z opowiadania braci Grimm: „Roszpunko, Roszpunko, zrzuć mi swoje złote warkocze”, albowiem cztery czy pięć miesięcy po liście obwieszczającym zamążpójście Olivia któregoś dnia zjawiała się w domu Pedra Fugueta, jakby nigdy nic. Wpuścił ją, nie zadając żadnych pytań, a po tej wizycie nastąpiły dwa popołudnia, dwa wspaniałe popołudnia, kiedy ona nie mówiła o niczym, co miało miejsce poza czterema ścianami tego domu. „Niech będzie tak jak zawsze między nami. Ty i ja

przeciw całemu światu. Pocałuj mnie, Fug”. A on ją całował, jakżeby inaczej, z taką zapamiętałością, z rozpaczą i czując takie ukojenie. Aż w końcu ona nagle wymknęła się z jego objęć, przetoczyła na drugą stronę łóżka i spojrzała na niego z jednym z tych swoich znanych mu tak dobrze uśmiechów.

– Fug, potrzebuję cię, musisz mi pomóc.

Jeśli wszystkie wcześniejsze wspomnienia przez moment jedynie przelatywały w pobliżu, to następna reminiscencja litościwie okazuje się jeszcze krótsza. Dlatego Fuguet tylko się wzdryga, ponownie przeżywając ową scenę. On i ona, oboje nadzy na skotłowanych prześcieradłach, ramieniem otacza Olivie, jej plecy są wtulone w jego długie ciało, „niby dwie łyżeczki razem w szufladzie, uwielbiam tak z tobą leżeć, Fug, czuję się wtedy ochraniana”. Użyła dokładnie tych słów na chwilę przed tym, nim oswobodziła się z jego ramion i poprosiła ponownie, precyzując:

– Posłuchaj, potrzebuję twojej pomocy, chcę oddać Claritę.

Z początku zdawało mu się, że musiał źle zrozumieć, co ma na myśli. Ton, jakim wypowiedziała te słowa, był zupełnie zwyczajny, beztroski. Kolejne formułowane przez nią zdania nie pozostawiały jednak cienia wątpliwości.

– Owszem, dobrze usłyszałeś, chcę zwrócić to dziecko. Daj spokój, Fug, naprawdę, nie patrz na mnie w ten sposób, najwyższy czas, żebyś przestał bujać w tych swoich obłokach. Tu mamy prawdziwe życie i takie sytuacje mają miejsce każdego dnia. Tylko ty, w tej swojej wieżyczce z kości słoniowej, wciąż wierzysz w bajki, natomiast świat jest, jaki jest, niekoniecznie taki, jakiego byśmy sobie życzyli. Mówię ci, nie rób takiej miny, nie jestem potworem czy coś. Nie wiesz, jak wysoki odsetek adopcji kończy się niepowodzeniem? Nie wiesz, do ilu zwrotów dzieci dochodzi? W tym roku, a mówimy tylko o Madrycie, było od pięciuset do sześciuset takich przypadków, tak mówią statystyki, mogę ci je przedstawić.

– A ty jak zwykle masz niezbite dowody – zdołał wykrztusić Fuguet, wciąż mając w pamięci, jak przed adoptowaniem dziecka Olivia również zrobiła rozpoznanie tematu, równie szczegółowe, co przerażające. Ale teraz zbyła jego przytyki niecierpliwym machnięciem

ręki.

– Owszem, masz rację, lubię dogłębnie przebadać jakąś kwestię, zanim zacznę działać. Życzysz sobie więcej liczb, Fug? Mogę ci je przytoczyć, proszę bardzo. Dziewięćdziesiąt pięć procent adoptowanych dzieci miewa w trakcie dojrzewania problemy psychologiczne, tylko piętnaście procent nigdy nie podważa więzi z przybraną rodziną. Clarita jest jeszcze malutka, ale widać gołym okiem, że nie będzie ani szczęśliwym, ani zdrowym dzieckiem. Nie może takim być, bo nigdy nie powinnam wyrywać jej z życia, które było jej przypisane z urodzenia. Moja wina polega na tym, że chciałam postąpić wbrew przeznaczeniu małej. Poza tym jest jeszcze inny ważny powód, aby przeplanować jej przyszłość. Jestem w ciąży, Fug, a mój lekarz tym razem zapewnia mnie, że wszystko skończy się dobrze. Nareszcie będę miała dziecko, rozumiesz, naprawdę moje, moje własne! Przy odrobinie szczęście może będzie chłopczyk, czego bardzo pragnąłby Flavio. Dobrze wiesz, jakie to ważne dla mężczyzny – zwłaszcza dla kogoś wywodzącego się z tak tradycyjnej rodziny jak jego – aby doczekać się męskiego potomka, z własnej krwi, sam mi to powiedział. No i wiesz, muszę ci się przyznać, że pomimo tego całego wyzwolenia i innych błahostek my, kobiety, koniec końców okazujemy się takie głupie: zawsze chcemy dogodzić temu, kogo kochamy. No powiedz, Fug, nie cieszysz się moim szczęściem? Pomożesz mi znaleźć matkę Clary, żeby oddać jej dziecko, pomożesz, prawda? Na pewno będzie taka zadowolona! Obie razem będą szczęśliwe. No i ja też.

DELETE, DELETE, DELETE.

Pedro Fuguet żarliwie pragnął wymazać z pamięci wszystkie dotychczas przywoływane wspomnienia. Te, które nastąpiły później, przeciwnie, zasługiwały na to, aby zostać zapamiętane. Choćby jego sposób reakcji na tłumaczenia Olivii, i to, że był w stanie wmówić jej – a głos mu przy tym nawet nie zadrżał – że jej pomoże, że spełni jej pragnienia, chociaż już w tamtej chwili doskonale wiedział, że nigdy więcej tego nie uczyni.

Wybrał drogę kłamstwa dlatego, że nie istniał inny sposób pozbycia się jej z jego łóżka, z jego domu, z jego życia. Bo tylko tak, kiedy już jej nie było, mógł jakoś zmusić się do nieodbierania jej

telefonów, tylko kiedy nie stała przed nim i nie był wystawiony na urok i barwę jej głosu, zapach jej ciała, czar jej spojrzenia, jej zagubiony uśmiech. Dać odpór jej naciskom dokonywanym przez esemesy, przez nagrania na automatycznej sekretarce – niekiedy rozkazujące, innym razem utrzymane w błagalnym tonie. Zignorować nawet brzęczenie dzwonka wejściowego, wielokrotnie wypróbowany sygnał długiego dzwonka i następujących po nim dwóch krótkich dźwięków, czemu towarzyszyło wesołe: „Fug, jesteś tam? No weź otwórz, nie bądź śmieszny”.

Zupełnie jakby, od tamtego dnia poczynając, Roszpunka ścięła swe długie warkocze, tak aby wiedźma nie mogła dostać się po nich do środka wieży. To nie były tylko postrzyżyny, lecz amputacja mająca na celu zahamowanie gangreny, w każdym razie potrafił się trzymać swojej decyzji i czuł się z siebie dumny. Nie miał ani jednej chwili słabości, nawet tego dnia, niemal rok później, gdy zupełnie przypadkowo i niespodziewanie poznał zakończenie swojej nieudanej bajki. Pedro Fuguet nigdy nie czytał magazynów ilustrowanych, unikał ich, któryś z nich bowiem zawsze mógł roztrząsać życie Olivii. Raczej przeznaczenie niż przypadkowy szturchaniec sprawiło, iż któregoś ranka w zapchanym autobusie, którym jechał do pracy, jego wzrok padł przypadkowo na strony jednego z takich kolorowych periodyków. – Pani wybaczy – przeprosił właścicielkę magazynu i już miał odwrócić się do wyjścia, kiedy ujrzał zdjęcie zapłakanej Olivii wspartej na czyimś ramieniu. Rany boskie, pomyślał, próbując nie wypatrywać szczegółów. Niestety, nagłówek był zbyt duży, żeby go nie przeczytać, nawet jeśli chciało się tego unikać. *Podwójna tragedia Olivii* – obwieszczał tytuł na trzy szpalty, a nieco mniejszymi literami pod spodem widniał podtytuł: *Najpierw śmierć maleństwa, teraz jeszcze utrata starszej córki, Clary.*

W sensacyjno-cukierkowym stylu, klasycznym przy tego typu publikacjach, artykuł opowiadał o nieszczęściu Olivii Uriarte: w środku miasta miała wypadek samochodowy, w wyniku którego zginęła jej córeczka, mające niespełna rok maleństwo o imieniu Caridad, o czym Fuguet dowiedział się z lektury. Clara podróżowała na tylnym siedzeniu, wskutek wypadku zapadła w śpiączkę, z której nigdy się nie obudziła; umarła kilka tygodni później.

W pierwszej reakcji po przeczytaniu artykułu Pedro Fuguet chciał natychmiast złapać za słuchawkę i zadzwonić, powiedzieć jej, że jest tutaj, w tym miejscu co zawsze, gdyby tylko czegokolwiek potrzebowała, i że ją kocha, i że odtąd wszystko idzie w zapomnienie... Ostatecznie jednak powstrzymał go strach przed nawrotem gangreny. Miłość do Olivii pochłonęła znaczną część jego duszy, a nie mógł sobie pozwolić, by pochłonęła ją do cna, wciąż istniały otwarte rany, które się nie zasklepiły, zbyt wiele kikutów w zbolałym ciele. Poza tym trudno było zaprzeczyć, że pomimo tych dramatycznych wydarzeń ona jednak nie próbowała się z nim skontaktować. Gdyby to zrobiła, nie miałby wyboru, musiałby stawić się, skapitulować, usłuchać, jednakże z tego, co widać, życie dało mu chwilę wytchnienia, a on nie powinien, wręcz nie mógł tego stracić.

Dokładnie dwa lata. Tyle czasu upłynęło od lektury tamtego kolorowego magazynu do nadejścia listu od Olivii. W międzyczasie Pedro kilkakrotnie zmieniał miejsce pracy. Obecnie był lekarzem w dużym szpitalu na peryferiach, cieszył się zawodowym uznaniem, stopniowo stawał się też niezłe sytuowanym człowiekiem. Niewiele za to zmieniło się w jego prywatnym życiu. Jakby określiła to ona sama, wciąż „przebywał zamknięty w swojej wieżyczce Roszpunki, jak zawsze samotny”. Oczywiście od tamtego czasu nawet taka niezdojta wieżyczka była połączona ze światem w stopniu większym niż niegdyś. Połączona, a przy tym nienaruszająca jego samotni, a Fuguet dokładnie tego potrzebował. Sprawy więc tak się potoczyły, że po ścięciu tamtych warkoczy Pedro Fuguet pozwolił urosnąć innym, jeszcze dłuższym. Bujny, niekończący się warkocz, który z jednej strony łączył go ze światem zewnętrznym, z drugiej zaś – chronił przed tym światem i jego upiorami.

Internet – tak się nazywał ten nowy warkocz, a może w jeszcze większym stopniu jego nowa kochanka, niemal tak nietuzinkowa jak poprzednia, a przy tym o wiele mniej zaborcza. Gdyby ktoś zdołał zerknąć przez najwyżej usytuowane okno w domku kolejjarza należącym do Pedra Fugueta, zobaczyłby, jak tam, na górze, w tym samym odcięty od świata pomieszczeniu, które było świadkiem minionych uniesień miłosnych, właściciel poświęca każdą noc na pielęgnowanie

swojego nowego romansu. A nowa, łaskawa kochanka zaspokajała tak wiele jego pragnień, nie żądając niczego w zamian! Nie szczędziła rozrywki, współczucia, wiedzy – tak wiele wspaniałych niespodzianek bez konieczności choćby wstania z krzesła. Niewątpliwie jednak największą satysfakcją, jaką zapewniała mu wirtualna sieć, była możliwość porozmawiania z wieloma innymi samotnymi sercami, które w rozproszeniu żyły na całym świecie, a on wyobrażał sobie, że też są odgródzone od świata w takich wysokich wieżyczkach. Osoby w różnym wieku i o różnej pozycji, byty, z którymi nawiązywało się kontakt dogłębny bądź zupełnie ulotny, zależnie od ochoty w danej chwili. Niewidoczni przyjaciele i przyjaciółki, jak choćby Perkanta X z argentyńskiego Jujuy, niekiedy spełniający rolę jego powierników, depozytariuszy jego najskrytszych i najtrudniejszych do wypowiedzenia tajemnic. Trzeba przyznać, wirtualne kontakty stanowiły wspaniały wynalazek. Przyjaciele i relacje, które o dziwo i zgodnie z jego jednym z najstarszych pragnień *faktycznie można* było wykasować i unieważnić jedynie za pomocą wciśnięcia zbawiennego klawisza DEL. Dokładnie tak postąpił ze swoją przyjaciółką z argentyńskiego Jujuy, wykasował ją ze swojego życia raz na zawsze, gdy tylko zaczęły go nużyć jej dobre rady, kazania i sugestie, że sprzedał się Olivii „za byle miszkę soczewicy”. No bo w sumie co owa Perkanta X mogła wiedzieć o nim i o jego miłości? Nic. Nic a nic, tak więc po prostu nastąpiło pożegnanie, pa, pa, Perkanto, bywaj, mój ty argentyński pampasie; wymazał ją zupełnie tak samo jak wszystkie inne wirtualne znajomości. Prawie wszystkie. Ostatnio odkrył swój cyberideał, niezrównany, niezastąpiony.

Jej nick brzmiał „madame Poubelle”. Kim była owa madame? Któż może wiedzieć, wszak jej tożsamość skrywała się pod owym płaszczykiem anonimowości, który dla niego stanowił jeden z asów atutowych ukochanego internetu. *Madame Poubelle zapewni ci schronienie i wsparcie, jakiego potrzebujesz* – tak zachęcał nagłówek jej bloga. – *Witam wszystkie samotne serca, które biją niezrozumiane* – pisała dalej, a jej aktywność potwierdzała owe słowa. Madame Poubelle nie ostrzeliwała serią moralizatorskich porad, trajkotem niespełnionej psycholożki ani paplaniną innego typu. Nie gorszyła się, gdy ktoś powierzał jej jakiś straszny sekret bądź czynił inne przerażające

wyznanie. Fuguet dobrze to wiedział, albowiem wystawił ją na kilka prób, nim otworzył przed nią swoje serce. W sieci Pedro Fuguet stale używał nicka „Roszpunka”, aczkolwiek miał w zanadrzu jeszcze kilka innych, z których korzystał, gdy nie chciał zostać rozpoznany. Korzystając więc z dwóch, trzech innych nicków, wysyłał swojej madame różnorakie zmyślane wyznania, sprzeczne z naturą, jedno bardziej pomysłowe od drugiego. „Madame Poubelle, chodzi mi po głowie myśl, by zabić kochanka mojego męża, co mi madame doradzi?”; „Jestem piętnastoletnią dziewczyną, która zakochała się w swoim bernardynie. Madame Poubelle, co mam robić?”; „Madame Poubelle, jestem księdzem i modłę się każdej nocy, aby Pan zesłał mi dwunastoletnią dziewczynkę, która na mój widok będzie miała lubieżne myśli. Jak mogę odpędzić tego demona, który tak bezlitośnie mnie kusi?”

Jej odpowiedzi na wszystkie te nonsensy były tak błyskotliwe, wyważone i pełne zrozumienia, że Fuguet utwierdził się w przekonaniu, iż madame Poubelle jest jedyną osobą, której może powierzyć swą najskrytszą tajemnicę. Także teraz, po otrzymaniu tego listu, wciąż z sekatorem w dłoni, Roszpunka porzuciła krzew różany w połowie prac pielęgnacyjnych, wspięła się po schodach do najwyższej położonego pomieszczenia w wieżyczce, po czym natychmiast weszła na stronę Klubu Samotnych Serc, na blog swojej nowej przyjaciółki i powiernicy. *Witaj, madame Poubelle*, napisał, a po pobieżnym przedstawieniu okoliczności swoich relacji z Olivią (zmienił, rzecz jasna, imiona oraz inne charakterystyczne fakty, tak aby jego historia nie mogła zostać skojarzona nawet w tak mało prawdopodobnej sytuacji jak ta, że któregoś dnia los zetknie ich oboje na swej drodze) tak zakończył wiadomość:

...teraz, kiedy już wie Pani to wszystko, madame, proszę powiedzieć, jak Pani uważa, czy powinienem/powinnam przyjąć zaproszenie, które przysłała mi ta osoba?

Nie minęło kilka minut, a już przyszła odpowiedź. Następująca odpowiedź:

Nieszczęśliwa przeszłość, droga Roszpunko, może zostać zamknięta

*tylko wtedy, gdy zostanie wystawiona na bezwzględne światło dzienne
teraźniejszości. Dlatego właśnie radzę Ci, abyś z miejsca przyjął/ęła to
zaproszenie.*

Przygotowania do podróży

Nakarm kruki, a wydziobią ci oczy, pomyślała Olivia Uriarte, sycąc wzrok widokiem obnażonych, kształtnych pleców uwijającego się w słońcu Vlada Romescu.

Vlad – to słowo brzmi w uchu prawie jak po angielsku „krew”. Vlad. Takie imię nosił też ten gospodar, który stał się pierwowzorem postaci Drakuli. Wład Palownik, mściciel. Olivia była pewna, że tylko jej mogło się przytrafić coś takiego: sprosić gości na pokład łodzi o takiej nazwie, „Sparkling Cyanide”, a na dodatek pod dowództwem kapitana noszącego imię tak niegodne zaufania. W najlepszym przypadku okaże się, że porzuci statek dryfujący wśród skał, skazując wszystkich pasażerów na nieuchronne roztrzaskanie się. No cóż, pomyślała, a może to też obróci się na moją korzyść. Zostawmy, niech los sam zdecyduje.

Olivia zapaliła papierosa. Właśnie opalała się na werandzie swojego domu w Andratx – tego samego, który już niebawem miał przestać być jej domem i dostać się w ręce wierzycieli. Z tej wysokości mogła patrzeć, jak Vlad (jej pracownik, który wkrótce również nieuchronnie przestanie nim być) pakował do range-rovera (już własności banku) walizkę i kilka toreb (okej, te jeszcze należały do niej, ale lichy nie śpi), następnie miał je zawieźć na przystań. A tam właśnie, w porcie, niecierpliwie kołysał się „Sparkling Cyanide” (własność wierzycieli, jasne że proste), gotowy do wyruszenia w ostatni rejs, oczekujący przybycia zaproszonych gości.

– Ostrożnie z tą torbą, skarbie – ofukała Vlada. – W środku są moje najlepsze kapelusze, nie życzę sobie, żeby się pogniosły. Dobrze, a teraz w drogę, ruszaj przodem. Ja za chwilę podjadę swoim autem.

Vlad rzucił jej mordercze spojrzenie błękitnych oczu, a uśmiechnięta Olivia znowu pomyślała o krukach i wydziobywaniu oczu, okraszając to kolejną mądrością ludową: „wyświadczyć przysługę, a stracisz kumpla”.

Już za dziesięć minut na przystani mieli stawić się pozostali, ale punktualność nigdy nie była jej mocną stroną, ba, uważała ją wręcz za obciachową. Niby mówi się, że punktualność jest grzecznością królów,

ale Olivia miała w tej kwestii zupełnie odmienne zdanie. Ważne osoby i piękne kobiety zawsze każą na siebie czekać, taki ich przywilej, niemalże obowiązek. – W sumie to nie zamierzam spóźnić się aż tak bardzo – powiedziała do siebie, myślami błądząc znów gdzieś wokół Vladimira i rozmyślając nad prawdziwością powiedzenia, które przywołała przed momentem. – Faktycznie, spotkałam się z tym nieraz, są tacy, co nie czują wdzięczności za wyświadczoną przysługę, mało tego, potrafią nienawidzić cię za to, że pomogłaś. Czyżby nie chcieli, żebyś wypominała im te gorsze chwile? A może uwiera ich tak zaciągnięty dług? Osobliwe.

Olivia zapaliła kolejnego papierosa i wyciągnęła rękę po stojący na stoliku obok kieliszek z białym winem. Zbliżyła go do ust, ale wino zrobiło się już ciepłe, a połączenie tytoniu z letnim alkoholem znowu przywiodło jej na myśl postać Vlada, który właśnie obrzucił ją kolejnym charakterystycznym spojrzeniem, już siedząc za kółkiem range-rovera, po czym minął ją i rozplynał się w potężnej chmurze pyłu. Nie jest już tak jak niegdyś, pomyślała, i siłą rzeczy przypomniała sobie tamten moment, kiedy po raz pierwszy ujrzała te wspaniałe błękitne oczy. „Oli, pozwól, że ci przedstawię, to mój kuzyn Vlad. Nawet nie zauważysz, jak szybko przypadnie ci do gustu, tak bardzo przepadasz za dzieciakami”. To były słowa samego Flavio, jej męża, kiedy przedstawiał jej tego chłopaka. Hmm, zgoda, trzydziestodwuletni mężczyzna to nie do końca dziecko, zwłaszcza gdy prócz iście wyjątkowych oczu dysponuje obłądnym śniadym ciałem i firmowym uśmiechem. Flavio jednak najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tych detali. Jak przystało na porządnego Włocha z południa, rodzina była dla niego wszystkim, religią niemal, a słowem „dzieciak” określał każdego młodszego o te dziesięć, dwanaście lat krewniaka, któremu należało pomóc i którego należało chronić. W ciągu tych wciąż niewielu lat spędzonych razem Olivia niejednokrotnie widziała, jak jej mąż wspomaga całe zastępy powinowatych o bardzo różnorodnych charakterach – od rozpuszczonych, bezproduktywnych tatysynków po starych wujków, całkowicie obłąkanych i splukanych, gdzieś pośrodku znalazłoby się jeszcze miejsce dla kilku dalekich kuzynek, *sedottas* i *abbandonatas*. Flavio był niewzruszony w stosunku do reszty gatunku ludzkiego,

własną rodzinę natomiast hołubił. No ale jak daleko może sięgać ten stary neapolitański ród, że spod ziemi wyrastają coraz to nowi krewni? Olivia nie zdołała rozwikłać tej zagadki, tak jak nie była w stanie pojąć, dlaczego część krewnych wykazywała się dobrymi manierami i wykształceniem, podczas gdy inni, jak choćby jej śliczniutki, a przy tym niewątpliwie prząsny Vlad, zdawali się dopiero co przybyć z jakiejś zapomnianej dziury w najbardziej zacofanej części Włoch. W przypadku Vladimira dochodziła jeszcze jedna zagadka, jego imię, pasujące raczej do kogoś z Europy Środkowej. Kiedyś nawet zagadnęła o to Flavia, lecz rozwikłał on tylko część owej tajemnicy. Vlad najwyraźniej należał do trzeciej kategorii krewnych w kłopotcie, tej samej, w jakiej znalazłyby się *sedottas* i *abbandonatas*. Przed laty jedna ze starszych kuzynek Flavia podczas prac przy zbiorze truskawek – najwyraźniej całkiem popularnej rozrywce wśród znudzonych rówieśnikami bogatych uczennic – zaliczyła wpadkę z rumuńskim robotnikiem dniówkowym Vladem Romanem. Jej przelotna miłośćka wydarzyła się poza granicami Italii, co pozwoliło przedstawić ten żaloszny wybryk w bardziej akceptowalnym świetle; nieznanego ojciec dziecka w oficjalnej wersji w cudowny sposób zamieniał się z robotnika w księcia, a nazwisko nie brzmiało już Roman, lecz Romescu, jak kataloński sos, ponadto zaś został uśmiercony – w trakcie miesiąca miodowego miał jakoby zostać postrzelony na polowaniu na jelenie. Kuzynka Flavia wróciła więc ze zbioru truskawek w ciąży z synem, rzekomo pogrobowcem, któremu po narodzinach nadano nazwisko rodowe utraconego ojca. Oczywiście po nim też Vlad odziedziczył swe obłędne oczy.

O wszystkich szczegółach dotyczących jego pochodzenia Olivia nie usłyszała od męża. Flavio nigdy by ich nie opowiedział, w tradycyjnych rodzinach bowiem, takich jak jego, pewne rzeczy po prostu *nie mają miejsca*, koniec i kropka. Im bardziej jednak ktoś dokłada starań, aby sekret nie ujrzał światła dziennego, tym łatwiej wydostaje się on na powierzchnię. Takie brudy stanowiły chleb powszedni w kręgach, w jakich obracała się Olivia, i w efekcie już raptem kilka tygodni po tym, jak Vlad pojawił się w jej życiu, znała już wszystkie okoliczności jego przyjścia na świat. Minęły niemal dwa lata od chwili, gdy się poznali, a w owym czasie wydarzyło się całe mnóstwo rzeczy

kształtujących geometrię tego osobliwego i zmiennego trójkąta, jaki rychło zaczęli tworzyć Flavio, ten chłopak i ona. Początkowo wszystko wyglądało zwyczajnie i przewidywalnie. Vlad, który przyszedł na świat i spędził dzieciństwo w rybackiej mieścinie nieopodal Sorrento, gdzie jego matka „po owdowieniu” spędziła trochę czasu, miał podobno tytuł magistra ekonomii. Zamierzał znaleźć posadę w którymś z rozlicznych przedsiębiorstw Flavia i z tym zamiarem rozpoczął maraton po jego firmach, aby zorientować się, gdzie będzie mu najlepiej. Rozglądając się za miejscem najbardziej odpowiadającym jego umiejętnościom (a wieloma nie grzeszył, przynajmniej na pierwszy rzut oka), coraz częściej składał wizyty w domu Olivii i Flavia, a w któryś weekend wybrał się nawet z kuzynem i jego żoną na Majorkę, aby spędzić z nimi kilka dni na pokładzie „Sparkling Cyanide”. Wkrótce potem wydarzyło się coś, o czym zwykły instynkt samozachowawczy kazał jej zapomnieć i jak najmniej o tym mówić: wypadek samochodowy i śmierć obydwu córek. Najpierw straciła małą Caridad, tak upragnione dziecko, miało niespełna roczek, następnie Claritę po wielu tygodniach cierpień. To było niczym potworna klątwa lub kara. Olivia zapala kolejnego papierosa. Zaiste powinna rzucić palenie, a przynajmniej nieco ograniczyć dawkę przyjmowanej nikotyny. Nieszczęścia chodzą parami, więc – jak jej oświadczył lekarz – należy podejść do sytuacji z całą powagą.

„Trzustka”. To słowo doktor Pedralbes wymienił na początku, zanim przeszedł do wyjaśnienia, co ono oznacza w jej przypadku. „«Trzustka» i «nieuleczalność» to słowa, które często towarzyszą jedno drugiemu” – tak to ujął w skrócie, doprawdy piękny eufemizm. Chwila, chwila, ale czy to ma teraz jakiegokolwiek znaczenie?, myśli Olivia. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z jej zamierzeniami, to tak czy siak wkrótce umrze. Każdego to kiedyś czeka, wcześniej czy później, a tak naprawdę nieważne *kiedy* to się stanie, tylko *jak*.

Gwałtownie zaciągnęła się świeżo zapalonym marlboro, a podczas wypuszczania dymu z płuc usiłowała za wszelką cenę uniknąć wspomnienia Caridad, jej maleństwa, i nieszczęsnej Clary, starszej córki. Próbowwała skupić się na roztrząsaniu po raz kolejny tylko tego, co stało się tydzień po śmierci Clary. „Olivio, musisz jakoś stawić temu czoła, odwagi. Wiesz, trochę się zastanawiałem i chyba już wiem, czego

ci potrzeba. Zobaczysz, że mój pomysł przypadnie ci do gustu”. Flavio, który w jej odczuciu przetrwał śmierć dzieci ze spokojem zanadto ocierającym się o obojętność, któregoś ranka zademonstrował jej dwa bilety lotnicze na Baleary. Przez chwilę myślała, że to propozycja spędzenia kilku dni sam na sam, z dala od wszystkiego, byleby tylko zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Tymczasem jednak on wyprowadził ją z błędu przepaszającym wyjaśnieniem: „Oczywiście chciałbym bardzo, ale wiesz, praca, w tej części roku nawet nie ma co się łudzić, powiedziałem więc dzieciakowi, żeby ci towarzyszył”.

„Dzieciak”, jak później się dowiedziała, niespecjalnie skakał z radości, usłyszawszy tę propozycję. Vlad pragnął odnaleźć swoje miejsce w świecie wujkowego biznesu, a nie stawać się pocieszycielem zrozpaczonych pań. Nie pozostało mu jednak nic innego, jak zaakceptować ten pomysł, co oznaczało, że dla Olivii rozpoczynał się właśnie dość przyjemny antrakt. Rychło odkryła, że w oddaleniu od przyjaciół i rodziny łatwiej jej przychodziło nie myśleć o tragicznych wydarzeniach i nie litować się nad samą sobą. Ponadto Vlad okazał się przemyślnym towarzyszem. Z początku wydawał się zanadto wyciszony i melancholijny, lecz już po kilku dniach oboje pozwalali nieść się od portu do portu, racząc się licznymi margaritami, być może zbyt licznymi, tylko w asyście dyskretnej załogi jachtu „Sparkling Cyanide”. Składała się ona z kilku marynarzy filipińskich bądź malajskich, poruszających się po jachcie jak niemowy i – w odczuciu Olivii – jak ślepcy.

To właśnie na pokładzie tego dwumasztowca odkryła, że „jej kuzyn” ma prawdziwy dar w dwóch kwestiach, zdecydowanie niemających zbyt wiele wspólnego z biznesowym światem, w którym miał zamiar się zadomowić. Najpierw chodziło o to, że choć na lądzie Vlad przypominał nieokrzesaną o manierach słonia, na morzu przechodził jakąś cudowną metamorfozę, wystarczyło tylko spojrzeć, jak porusza się po pokładzie i z jaką zręcznością chwyta ster w dłoń. Od razu stawało się jasne, że musiał dorastać wśród marynarzy, chłonąc ich wiedzę i podzielać ich sposób patrzenia na życie. Było to na tyle wyraźne, że nawet załoga, która nigdy nie reagowała dobrze na rozkazy wydawane przez byle kogo, jeśli nie był to formalny przełożony, w tym

przypadku zaakceptowała zwierzchnictwo Vlada i chętnie wykonywała jego polecenia. – Oto twój świat – powiedziała mu któregoś dnia, szerokim ruchem ramienia wskazując na morze i na białe wnętrze jachtu. Ku jej zaskoczeniu Vlad natychmiast uciął ten wątek, twierdząc, że nie po to opuścił swoje strony, aby stać się pomagierem jakiegoś bogatego krewniaka. Olivia nie zamierzała go obrazić, w ogóle nie chciała myśleć zbyt wiele na jakikolwiek temat, więc nie wracała więcej do tego. Zapominanie o wielkiej stracie, którą poniosła, przychodziło jej o wiele łatwiej podczas wspólnych rozmów, poznawania właśnie odkrytych umiejętności Vlada, a także rozkoszowania się samym rejssem.

Drugi z jego wrodzonych atutów objawił się pewnej nocy przy lekkiej bryzie i dźwiękach Viniciusa de Moraesa, a jedynymi świadkami był mistral i kilka porządnie schłodzonych margarit. Nie wiadomo, czy wina była po stronie bossa novy, czy tequili, niewykluczone też, że zawinił wiatr. Zaraz, jednak nie, bowiem za wszystko niewątpliwie odpowiadał inny czynnik, mimo że Olivia żyła w przekonaniu, że jest na niego uodporniona – był to odczuwany ból w połączeniu z zapachem ciała osoby wyraźnie od niej młodszej.

Tylko jak w tym przypadku określić ten nieodparty zapach? Ona sama oceniała, że ma do czynienia z mieszanką soli z cynamonem, potu z tequilą, w połączeniu z wodą kolońską Old Spice, nieraz wyczuwaną już na innych ciałach, równie tania, co wstrętna, lecz akurat na tej skórze tworzącą miksturę, której nie mogła się oprzeć. Początkowo musiała włożyć wiele wysiłku, żeby uwieść tego chłopca (a przynajmniej tak jej się wówczas wydawało), ale po krótkiej walce jej podchody przyniosły efekt, kochali się tej nocy, kochali się też o świcie. Robili to też rano przed śniadaniem, chociaż zdawali sobie sprawę, że krzątający się w pobliżu małajscy marynarze mogą być niemowami, ale na pewno nie są aż tak ślepi.

Wszystko nie miałoby absolutnie żadnego znaczenia, gdyby nie coś, co jednak odróżniało ten przypadek od wielu innych przygód Olivii. Tamtego dnia pierwszy raz złamała zasadę, której dotąd zawsze pozostawała wierna. Wszystkim poprzednim kochankom mówiła, że jeśli chodzi o niewierność małżeńską, to kiedy jedna strona ma męża

trudnego lub kapryśnego – lub gdy obie te cechy występują jednocześnie – obowiązuje reguła, że nigdy nie ma drugiego razu. To jedyna możliwość igrania z ogniem w taki sposób, aby się nie sparzyć. – Przykro mi, skarbie – tak samo zaczęła rozmowę z Vladem – ale ja mogę sobie pozwolić tylko na jedną taką noc. Z tego powodu odtąd będzie między nami tak, jakby nigdy do niczego nie doszło.

Praktycznie nie zmieniła ani słowa w formułce, którą recytowała już tylu innym mężczyznom, wypowiedziawszy jednak ostatnie słowo, od razu zrozumiała, że tym razem nie zdoła dotrzymać swojego postanowienia. Być może potrafiłaby się oprzeć tym błękitnym oczom, a także pięknie rzeźbionemu ciału, które właśnie w tym momencie leżało w łóżku obok niej, nagie i dumne, być może potrafiłaby odrzucić niezdrowy układ, jakim odtąd byłoby widywanie Vlada każdego dnia, w obecności Flavia. Zgadza się, potrafiłaby odmówić każdemu i wszystkiemu – tylko nie tej specyficznej woni soli i cynamonu, potu i old spice’a. Niebawem, żeby woda kolońska, której nigdy nie znosiłam, tak mogła porwać – zastanawiała się w duchu, ni to zaskoczona, ni to zaniepokojona. – Czy kobieta może zakochać się w zapachu, który ją odrzuca?

Po zejściu z pokładu „Sparkling Cyanide” oboje uprawiali miłość jeszcze wiele razy, co stanowiło doskonałą odtrutkę na jej smutki. Robili to w tanich motelach i na opustoszałych plażach, również w środku range-rovera, który przed kilkoma minutami zniknął z jej pola widzenia, zmieniając się w chmurę kurzu. Tak oto poznała ozdrowiającą moc niebezpiecznych związków. Odkryła stale obecny cudowny niepokój i pokochała go. Niewątpliwie stosunki między nimi kształtowałyby się w ten sposób jeszcze długo, gdyby nie pewne zdarzenie, które miało miejsce kilka tygodni później. Panuje opinia, że mąż zazwyczaj dowiaduje się o niewierności żony jako ostatni, w przeciwieństwie do niej, bo dla odmiany ona zawsze pozna, kiedy on ją zwodzi. Olivia uważała, że nie wynika to z faktu, że kobiety są bystrzejsze i wrażliwsze, lecz dlatego, iż nie potrafią oszukiwać siebie na równi z mężczyznami. Zgodnie z jej teorią i mężowie, i żony prędzej czy później natykają się na pierwszy niepodważalny dowód zdrady, kiedy jednak oni wolą zlekceważyć go i schować gdzieś na dnie podświadomości, one

postanawiają wziąć sprawy w swoje ręce i dotrzeć po nitce do kłębka.

Założenie Olivii znalazło pełne potwierdzenie w rzeczywistości, wystarczyło jej bowiem natknąć się na jedną czy dwie niepokojące niteczki, aby zdać sobie sprawę, że w życiu Flavia pojawił się ktoś jeszcze. W jego przypadku brakowało klasycznych dowodów wprost. Brak karminowych śladów na kołnierzyku, żadnych blond włosów na marynarce, ani jednej zapomnianej szpilki do włosów na gumowej wycieraczce w aucie.

– Co to jest? – zapytała któregoś ranka Olivia, natknąwszy się na czarne gatki Calvina Kleina pośród par bokserek, których jej mąż używał od początku ich znajomości. Pospieszna reakcja Flavia, który wyrwał jej to z ręki, mówiąc „to moje, zostaw”, stała się pierwszą poszlaką, a może lepiej powiedzieć, że okazała się pierwszym kamyczkiem z tych, które miały zaprowadzić Tomcia Palucha, czyli ją, ku niespodziewanemu odkryciu. Kilka dni potem, w weekend, z tej samej werandy, na której obecnie się opalała, mogła obserwować w dole Flavia i jego kuzyna, jak przy garażu dłubali z zapamiętaniem przy zepsutym starym motocyklu. Nie docierały do niej fragmenty rozmowy, lecz gestykulacja bywa niekiedy bardziej wymowna niż tysiąc słów. Być może ktoś mniej od niej bystry nie przykładałby takiej wagi do obserwowanej sceny, ostatecznie przecież chodziło tylko o dwóch spokrewnionych facetów, wspólnie skupiających się na jednej z tych czynności, które tak zajmują mężczyzn. Ale w ich ruchach niewątpliwie dało się wyczuć napięcie. Widziała obnażony, spocony tors męża, słyszała charakterystyczny śmiech Vlada, szczyptę ostrzejszy i bardziej infantylny niż zwykle, który niósł się wśród niezrozumiałych szeptów. Odtąd postanowiła zwracać większą uwagę na kamyczki Tomcia Palucha, które los położył na jej drodze. Idąc tym szlakiem, stopniowo zbliżała się do zamkniętych drzwi.

Drewnianych drzwi, doskonale znanych Olivii, aczkolwiek nigdy nie przekroczyła ich progu. „Skarbie, jak świat światem, tylko pewni siebie, a więc naiwni kochankowie mogą popełnić taką niezręczność i kochać się w sypialni któregoś z nich”. To właśnie Vlad usłyszał z jej ust, gdy po raz pierwszy i ostatni wysunął pomysł zamknięcia się w zbudowanym nad garażem pokoiku, który był dla niego tymczasową

stancją, kiedy cała trójka odwiedzała Majorkę.

Jak widać, niektórzy nigdy nie wyciągają wniosków z roztropności innych – Olivia przypomniała sobie, że tak wtedy pomyślała, gdy z wysokości tarasu, w bezpiecznej odległości, dyskretnie śledziła poczynania kuzynów. Powiedziała to zupełnie jak ktoś, kto nie przykłada większej wagi do sprawy (starła się zachować swój charakterystyczny sarkazm, będący zarazem jej schronieniem w najtrudniejszych chwilach). Dwa, jeszcze trzy kroki po schodach, w ślad za ich chichotami, a potem to uczucie, jakby jej serce miało wyskoczyć, gdy zatrzasnęły się za nimi drzwi. Nie była ani masochistką, ani jedną z kobiet, które aby w coś uwierzyć, muszą tego własnoręcznie dotknąć lub same mocno się uszczypląć. Mimo to postanowiła w tym przypadku postąpić inaczej (przeklęta niech będzie ta chwila). Jakiś dziwny impuls kazał jej spojrzeć w górę, w stronę wąskiego lufcika z matową szybą otwierającego się w górnej części drzwi. Podejrzeć czy nie, dotknąć tego wrzodu czy poniechać? Sama nie wiedziała, co lepsze, ostatecznie jednak nie zdecydowała się na to drugie rozwiązanie. Kilka minut później, korzystając z krzesła, Olivia Uriarte mogła już oglądać scenę, jaka rozgrywała się po drugiej stronie drewnianych drzwi. Dziękowała zniekształcającej szybie za to, że oszczędzała jej najdosadniejszych szczegółów, w każdym razie chropowata powierzchnia pozwalała na rozróżnienie dwóch postaci, które splatały się i rozczepiały w pięknym, acz ordynarnym balecie. Dwa nagie męskie ciała, z którymi tyle razy się kochała, jedno niezwykle blade, drugie w odcieniu zboża. Doskonała synchronia ruchów zdawała się wyznaczać rytm wszystkich wydawanych przez nie dźwięków: śmiechów, natarć, jęków, westchnień i sapnięć, przerywanych jedynie trzeszczeniem drewna lub rytmicznym skrzypieniem sprężyn.

Olivia przypomniała sobie, co wtedy przyszło jej do głowy: Jakże odmienne w takiej sytuacji są ruchy dwóch mężczyzn, zaskoczyła ją także nieodparta siła przyciągania, jaka niekiedy płynie z widoku tego, co najbardziej nienawistne. Nie przestawała więc patrzeć, niemal wstrzymując oddech, chłoneła ową scenę zniekształconą przez chropowatość szyby, zadziwiająco piękną, ale też zabójczą. Jej postawa bardzo przypominała paraliżującą fascynację, z jaką schwytna w sieć

mucha obserwuje sposobiącą się do posiłku tarantulę. Ile czasu w ten sposób upłynęło? Tego nie pamiętała, w każdym razie zbyt wiele, aż w końcu, podobnie jak owad w sieci, tak i ona przewyciężyła niemoc, aby wydostać się z podstępnej pułapki i zorganizować odwrót.

Tak, uciec, najważniejsze bowiem, aby opuściła to miejsce jak najprędzej, oswobodziła się, uwolniła od owego straszliwego widoku. Olivia była osobą racjonalną, wyrachowaną w najlepszym tego słowa znaczeniu. Musiała usunąć się przede wszystkim po to, aby przemyśleć, co w tej sytuacji powinna uczynić. Ucieczka tak naprawdę nie była skomplikowana. Wystarczyło po prostu bezgłośnie zejść z krzesła i wykonać kilka kroków w stronę korytarza. Zaczęła się odwracać, robiła to powoli, lecz nie opanowała się i rzuciła okiem jeszcze jeden, ostatni raz, przez matowe szkło. Nie powinna tego robić, akurat bowiem dwa cienie po drugiej stronie uprawiały nowy balet krótkich gwałtownych ruchów, na tyle hipnotycznych, że mucha w sieci nie była już w stanie poruszyć choćby mięśniem, i trwała tak, pochwycona, niepotrafiąca oderwać oczu od tego, na co patrzyła.

Przypuścić atak – oto druga ze strategii, pozostająca każdej ofierze, gdy zorientuje się, że ucieczka staje się niewykonalna. Inna sprawa, że nie brakło jej do tego ani ochoty, ani sił. Czyż nie mówi się przy każdej okazji, że najlepszą obroną jest atak? No pewnie. Wystarczyłoby otworzyć drzwi i rozpętać awanturę stulecia, natrzeć na tych dwóch pedałów tak, żeby cały świat dowiedział się, ile są wari, jemu wyrzeszczyć, że zażąda rozwodu, a potem wydusić z niego ostatni grosik wraz ze spadkiem całej tej rodzinki wytwornych mafiosów, tej sitwy gnojników, tego rodu niewieściuchów, sodomitów i kurwisonów, skurwionych pedałów, do jasnej cholery.

Wątle skrzydełka schwytej w pułapkę muchy usiłują doprowadzić do wzbicia się w powietrze, tak aby wykonać powzięty zamiar. Przypuszczają pierwszą próbę, wkrótce potem drugą, aż wreszcie trzecią, lecz nawet najmniejszy skrawek ciała nie słucha właścicielki. Więc mucha rozgląda się wokoło i po krótkotrwałym zaskoczeniu wreszcie dociera do niej, co paraliżuje jej ruchy – to skrzydła, jej własne skrzydła przygniecione na amen.

Intercyza – oto jakie miano nosi ten ciężar ponad siły, który

uniemożliwia jej wzbicie się w powietrze i nalot. Intercyza, *prenup*, jak mówią gringos, pod tą nazwą kryje się umowa, którą zawarła z Flaviem przed ślubem, w dzisiejszych czasach dość pospolity środek ostrożności ze strony możnych tego świata. „W przypadku rozwodu, *niezależnie od okoliczności, jakie do niego doprowadzą, druga strona* (wiadomo, że chodzi o Olivie) *nie może domagać się większej renty aniżeli takiej, jaką pierwsza strona* (czyli Flavio, niech go szlag) *uzna za odpowiednią*”. A czemu to parafowała? Cóż, z pewnością nie ze względu na romantyczne uniesienie ani wrodzoną hojność, lecz z czystego wyrachowania – dobrze wiedziała, że w starciu z tymi naprawdę najbogatszymi jedyną niezawodną bronią jest okazanie pokornego *désintéressement*. Zresztą wystarczająco dobrze знаła wielu takich Flawiów, aby wiedzieć, że z niektórymi można wygrać tylko dzięki temu, że zrobi się minę niewiniątka. Oto przyczyna zaakceptowania tych jakże niekorzystnych warunków. Oferta brzmiała: „to albo nic”, co jej wyłuszczył angielski nadęty kauzyperda, spec od intercyz, którego Flavio przysłał, aby, jak sam to ujął, „wyjaśnić dwie czy trzy duperele, *amore*, nic wielkiego, sama się przekonasz”.

„(...) Mam nadzieję, że podejdzie pani do tego ze spokojem, Ms. Uriarte. Rzecz jasna, to nic osobistego, po prostu chodzi o to, że mój klient jest wciąż w trakcie drugiego rozwodu i mocno obstajemy za ostrożnością w tak delikatnych sprawach. W kwestiach chrematystycznych *nigdy* nie można niczego być absolutnie pewnym, nie sądzi pani podobnie, Ms. Uriarte?”

Mniej więcej tak ujął to ten człowiek o nieznośnie uniżonych manierach i zadzie płaskim jak łopata. Poza tym na dłoniach miał manikiur, a wokół oczu kajal, przez co trudno było o nim zapomnieć, mimo że nie była to przyjemna reminiscencja. – Jak o tym teraz myślę – powiedziała do siebie Olivia, przywoławszy te wszystkie szczegóły – to nie wątpię, że taki typ musi stanowić część tęczowej mafii, która trzęsie dziś światem. Czyżby i on łąsił się do Flavia? Czy na tym zasranym świecie nie ostał się już żaden heteroseksualny facet?

Stercząc przed matową szybą, nagle zdała sobie sprawę, że skoro odpada zarówno strategia ucieczki, jak i ataku, pozostaje jej odwołanie się do ostatniej, zupełnie rozpaczliwej możliwości, jaka otwiera się

przed omotaną pajęczą ofiarą. Kiedy teraz, po niemal roku, Olivia przypomniała sobie o niej, zapalając kolejne marlboro, uśmiechnęła się, bowiem obrany sposób wymaga sporego hartu ducha i jeszcze większej wytrwałości, ale gdy zostaje chytrze użyty, okazuje się niezawodny. Nazywała to katalepsją.

Stworzenie, które nie ma innej drogi ucieczki, w ostateczności zaczyna udawać nieżywe; tamtego dnia ona postanowiła uczynić podobnie. Udawać, że niczego nie widziała, niczego nie słyszała, niczego nie *czuła*, w biernym oczekiwaniu na chwilę, gdy los się odmieni i pozwoli na realizację jej zamierzeń. Dlatego po ledwie godzinie, jeszcze tego samego wieczoru, zasiadła do stołu w towarzystwie obydwu mężczyzn, zupełnie jakby nic nie zaszło. Jakby była przygłupia, ślepa i głucha, jakby nie zauważyła ich spoconych i przeczesanych czupryn, które przydawały im wyglądu dwóch małych psotników, którzy dyskretnie przyglądają włosy i robią miny niewiniątek, usiłując ukryć swój kolejny wybryk. Przygłupia, ślepa, głucha i na dodatek niema – tak zachowywała się przez następne miesiące, czekając na odpowiednią chwilę. Miesiące, w trakcie których Flavio wciąż usiłował pomóc kuzynowi w znalezieniu stanowiska stosownego do umiejętności, w jakie wyposażyła go natura. Szybko jednak stało się oczywiste dla wszystkich – nawet dla Flavia – że w przypadku Vlady słowo „wyposażony” odnosiło się do talentów, które bynajmniej nie miały wiele wspólnego ze światem biznesu. W trakcie tych jakże bolesnych i poniżających miesięcy pozornie martwa mucha konsekwentnie trzymała się strategii katalepsji, aż w końcu zauważyła, że najprawdopodobniej zaczyna zachodzić – wciąż jeszcze subtelna – zmiana w postawie Flavia względem kuzyna, co stanowiło dla niej dobrą prognozę, zapowiedź rychłej sposobności, by rozegrać tę partię po swojemu. Okazja nie nadarzyła się z dnia na dzień, trzeba było na nią jeszcze trochę poczekać, w każdym razie ona знаła zwierzyńcę, na którą się zacięła, co w tym przypadku oznaczało jej męża i warstwę społeczną, do której należał. Bogaty ma taką wadę – Olivia nierzadko lubiła pocieszać się taką myślą – która zależnie od okoliczności może okazać się wielką zaletą: prędzej czy później nuży się każdą zabawką.

Nadszedł w końcu taki dzień – jeden z wielu, gdy Flavio wracał do

domu bardzo późno w towarzystwie kuzyna po, jak twierdził, „podróży w interesach” – kiedy zorientowała się, że na wzmiankę o Vladzie jej mąż już nie prostuje nieznacznie szyi, co zawsze świadczyło o tym, że w danej kwestii ma się na baczności. Szybko zdała sobie też sprawę, że kiedy byli we trójkę, opowiadane przez chłopca żarty i inne wygłaszane teksty przestały Flavia bawić, a ziewnięcia stały się częstsze niż uśmiechy. To właśnie wtedy pozornie martwa mucha jąła rozprostowywać członki i powoli przygotowywać się do ponownego lotu.

Dla drugiej osoby nie można zrobić chyba nic miłszego i wspanialszego, niż bez prośzenia pomóc jej w zrzuceniu ciężaru, który bardzo ją uwiera, ale z jakiegoś powodu nie ma odwagi się go pozbyć. Właśnie taką rolę wzięła na siebie Olivia – niewinnego, mimowolnego współnika w doprowadzeniu do upadku Vlada. Rozważywszy sprawę gruntownie, zrobiła to, aby nadać zupełnie nowy kształt zmiennej geometrii tego osobliwego trójkąta miłosnego, który tworzyli ona, jej mąż i ten chłopak.

– Tak sobie myślę – odezwała się do Flavia któregoś wieczoru przy kolacji – że chociaż zrobiłeś naprawdę wiele, żeby pomóc Vladowi, to jednak wyraźnie widać, że biedaczysko nie za bardzo ma smykałkę do finansów. Nie czyni sobie, skarbie, wyrzutów z tego powodu, tak to już jest, że każdy w życiu powinien robić to, co mu wychodzi najlepiej. Wiesz co, trochę nad tym myślałam i chyba wpadłam na pomysł, jaka praca byłaby dla niego idealna. Co prawda posada, o której mówię, odsunie go trochę od nas, no ale musimy się zdobyć na jakieś poświęcenie, żeby chłopak znalazł sobie odpowiednie miejsce, nie sądzisz?

Sposób, w jaki Flavio odłożył sztucce na talerz, by lepiej wsłuchać się w jej słowa, pozwolił Olivii domyślić się, że poszła dobrym tropem. Wobec tego dalej drażyła temat:

– Twój problem, Flav, polega na tym, że jesteś po prostu zbyt dobry i zbyt szczodry dla wszystkich wokół. Trudno wymenić wszystko, co zrobiłeś dla Vlada – dodała, a po wymówieniu tych ostatnich słów poczuła, jak łamie jej się głos, więc dla niepoznaki kontynuowała ze zdwojonym naciskiem. Sięgnęła po swoją

najwyborniejszą broń, jaką była umiejętność perswazji, aby wyjaśnić Flawiowi, że najlepiej będzie zlecić kuzynowi nieco mniej złożone zadania, a więc odpowiedniejsze dla jego konstrukcji wewnętrznej. – Jemu najbardziej odpowiada morze, warto więc wysłać go na Majorcę, aby nadzorował remont, który podczas zimy przeprowadzasz na „Sparkling Cyanide”. Bądź co bądź – dodała ze swoim firmowym uśmiechem samarytanina – Vlad jest stworzony do tego, aby przebywać wśród marynarzy, żagli i kotwic, *oto* jego prawdziwe powołanie. Poza tym teraz będzie chłodno, więc rzadziej będziesz bywał w Andratx, natomiast ja z kolei mogę tam się pojawić raz na jakiś czas i powiedzieć mu, jakiej pracy od niego oczekujemy. Cała ta koncepcja nie wywołuje we mnie ekscytacji, chłopak za każdym razem wydaje mi się jeszcze bardziej ograniczony, w każdym razie czego się nie robi dla rodziny, prawda?

Olivia zaciągnęła się swoim marlboro i wśród dymu papierosowego odtwarzała w pamięci, jak Vlad od tamtej pory nieuchronnie zmienił się w zużytą i już niepotrzebną zabawkę. Doszło do tego właśnie tu, na Majorce, został wygnany z salonów, a nawet z wytwornej części rezydencji w Andratx, zesłany na zawsze w cztery ściany pokoiku nad garażem. Odtąd ściany te stały się niemym świadkiem nowych miłosnych schadzek. Nie raz i nie dwa owo śniade ciało, które wcześniej na jej oczach spletało się z ciałem Flavia Vicenza – nigdy nie potrafiła wymazać tej sceny z pamięci – obecnie obcowało z ciałem nowego kochanka. Nowej kochanki, mówiąc ściślej, bowiem Olivia we własnej osobie znów stała się jego właścicielem, często odwiedzała wyspę, by potowarzyszyć banicie na jego zesłaniu. „Abyś nie był sam, skarbie, i żeby między nami wszystko było tak jak wcześniej. Lubisz, kiedy jesteśmy razem, prawda? Nie zapomniałam o tobie, sam widzisz, że ja nie z tych, co zapominają. Vlad, pocałuj mnie”.

Vlad, o ile nie chciał skończyć na ulicy, nie miał innego wyjścia, jak całowanie jej, kochanie się z nią, wyrażanie wdzięczności... Zemsta bywa słodka. A nawet jeszcze słodsza. Olivia wkrótce odkryła, że chociaż za pierwszym razem w tych nowych okolicznościach zaciągnęła Vlada do łóżka przede wszystkim po to, by pokazać, kto tu rządzi, to jednak miała jeszcze inny skryty motyw. Sól i pot, tequila i old spice,

oto nieodparty powód. Nie robiło jej większej różnicy, że teraz młodzieniec patrzył na nią z zupełnie innym błyskiem w oczach, który bez trudu mogła odczytać jako przejaw swego rodzaju nienawiści. Nie zamierzał wyrażać wdzięczności za ocalenie go od okrutnego losu czekającego zużyte zabawki, ale jakie to ma teraz znaczenie? Uczucia potrafią być tak dziwne – powtarzała sobie Olivia – że czasem kobieta, gdy nie ma co liczyć na inną miłość, zakochuje się w kimś na przekór, tak jak ja we Vladzie. Jak to mówią Francuzi? Już wiem, miłość *à contre coeur*, innymi słowy, z przyczyn, których samemu się nie rozumie ani nie akceptuje. „No chodź, skarbie, chodź tutaj. Och, całuj mnie jeszcze”.

Pozostałe wspomnienia Olivii Uriarte dotyczące trójkątów i porzuconych zabawek nie przywodziły już na myśl nic pozytywnego. Zmienne geometrie i kaprysy prawdziwych bogaczy rządzą się swoimi nieubłaganymi regułami, a odstępstwa niestety zdarzają się tylko od wielkiego dzwonu. Chociaż więc przez kilka miesięcy trwała w przekonaniu, że rozegrała wszystko jak trzeba i partia została wygrana, a każdy wierzchołek trójkąta wylądował dokładnie w tym miejscu, w jakim ona chciała go widzieć, ostatecznie jednak owa równowaga okazała się dość wątła. Któregoś dnia na jej drodze ponownie zaczęły pojawiać się zupełnie nowe, bardzo wyraźne kamyczki należące do Tomcia Palucha. Jeden, drugi, trzeci. Tym razem kamyczki zdecydowanie bardziej pasowały do klasycznego wzorca niewierności małżeńskiej. W rolach głównych zamiast gatek Calvina Kleina i męsko-męskich uśmiechów wystąpiły „zapomniane” szpilki do włosów na fotelach jego samochodów, a także kołnierzyki jego koszul umazane cherry d’amour – odcieniem szminki, który Olivii zawsze wydawał się nazbyt krzykliwy.

Oho, chyba wracamy na tradycyjny grunt, uznała, gdy zauważyła to nowe odkrycie. Nie przeszywał jej ból z tego powodu, po prostu rozpoczęła przygotowania do ponownego przyjęcia strategii katalepsji, która poprzednio przyniosła tak wspaniałe efekty. Niestety, tym razem na niewiele się to zdało, bowiem po ledwie tygodniu Flavio sam jej powiedział o wszystkim. Kalina – tak miała na imię jego nowa zabawka. Miała metr osiemdziesiąt, kasztanowe włosy, a oczy równie błękitne jak Vlad. Tylko że (tego akurat nie powiedział, ale wydawało się to

oczywiste) w odróżnieniu od ostatniego wysoku Flavio tym razem nie potrzebował alibi w postaci ślepej, głuchej i niemej żony.

– Liczę, Oli, że zrozumiesz sytuację. Kalina ma osiemnaście lat, a w tym wieku wszystko wydaje się takie niewinne, cudowne i romantyczne. Co więcej, pochodzi z ultrakonserwatywnej krakowskiej rodziny, równie tradycyjnej jak moja własna (*tak, właśnie tak powiedział, drań jeden*), tak więc chcemy się pobrać. Zresztą to nie wszystko. Spodziewamy się dziecka, będziemy mieć malutkiego Flavio III. No, sama zobacz, nareszcie będę miał syna (*owszem, ten skurwiel nad skurwiele miał czelność także i to powiedzieć, dzięki czemu Olivia mogła pojąć to, czego dotąd zupełnie nie rozumiała: dość oziębłą, żeby nie powiedzieć, niemal lodowatą reakcją jej męża po śmierci dzieci*). Nie martw się o nic, Oli – dodał jeszcze Flavio – potrafię być szczodry w stosunku do osób, które są dla mnie dobre, a ty pod każdym względem byłaś wspaniałą żoną. Śpij spokojnie, zostawię ci tyle, że będziesz żyła jak królowa.

Raczej jak królowa zdetronizowana – tak sobie pomyślała Olivia o tym, co on jej zostawi. W każdym bądź razie – dodawała sobie otuchy, raz jeszcze usiłując spojrzeć na bieg wydarzeń z pozytywnej strony – cóż mi innego pozostaje? A kiedy przemyślała swoją sytuację na spokojnie: W sumie to rola rozwódki po bogatym mężu o niepewnej orientacji seksualnej nie jest taka zła, wydaje się w każdym razie, że o wiele mniej poniżająca aniżeli rola nieszczęśliwej żony.

I kiedy tak szykowała się do zaadaptowania się do nowych warunków (kolejna zmiana...), na horyzoncie znienacka pojawił się następny cios. Nigdy w życiu nie podejrzewała, by mógł na nią kiedykolwiek spaść, a już na pewno nie na Flavia Vicenza. Kryzys – oto imię tego nowego widma. Kryzys, krach, (de)konstrukcja (Olivia zadawała sobie pytanie, czemu wszystkie klęski zaczynają się na literę „k”?) „K” jak Kozyma, „k” jak Clara, „k” jak Caridad, „k” jak Kalina. A także „k” jak klęska, kolaps, kataklizm. I wreszcie – „k” jak koniec tego, co było, zapowiedź zmian (na gorsze, niestety, gorzej być nie może), jak choćby tych, które ją teraz czekały, zważywszy że majątek Flavia ulotnił się jak kamfora w ten sam sposób jak wiele innych fortun w dobie międzynarodowego kryzysu finansowego. Ach, ile tych „k”, przeklętych

„k”.

Olivia zapala nowe marlboro i patrzy na zegarek, luksusowy model Francka Müllera z limitowanej serii. – Tylko to mi ocalało z katastrofy – mówi do siebie z uśmiechem, wiedząc, że dotrze na miejsce mocno spóźniona, wszyscy zaproszeni z pewnością znajdują się już na pokładzie od ponad godziny. – A co oni tam będą robić na „Sparkling Cyanide” w oczekiwaniu na mnie? Zakładam, że Vlad zaproponował każdemu po kielichu na przełamanie lodów, tak aby zaczęli się poznawać. O tak, z pewnością już są tam wszyscy i teraz patrzą podejrzliwie po sobie: moja siostra Ágata, Sonia San Cristóbal wraz z chłopakiem i swoją czarującą mamusią, Cary Faithful w towarzystwie Mirandy, Pedro Fuguet, no i oczywiście mój śliczniutki przybrany kuzyn Vlad Romescu. Która z tych osób nienawidzi mnie najmocniej? Która z nich wyświadczy mi przysługę i ułatwi odejście na tamten świat? Już widzę, jak moja ukochana siostrzyczka reaguje na moje słowa, od razu zaczęłaby zadawać tysiące pytań, co ja właściwie chcę osiągnąć, organizując tak dziwny zlot „przyjaciół”. Jestem w stanie odgadnąć, co by powiedziała: „O rety, Oli!” (Ágata była jedyną znaną jej osobą, która używała tego zdecydowanie przebrzmiałego, dziecinnego wyrażenia). „O rety, wyjaśnij mi z łaski swojej, co ty tam kombinujesz. Czy aby nie jest to nazbyt pogmatwane? Kiedy ktoś chce opuścić ziemski padół – pomińmy motywy, zakładam, że masz swoje powody – to nie sprasza innych, aby zostać zabitym. Normą jest raczej, o ile w tym przypadku cokolwiek można nazywać normą, poradzenie sobie samemu, a jest przecież kilka sposobów, żeby to uczynić, przy czym niektóre są bezbolesne, jeśli właśnie o to ci chodzi, że boisz się cierpienia. Tylko że jest coś jeszcze, czyż nie? No więc powiedz, z jakiego powodu lepiej, aby twoja śmierć nie wyglądała na samobójstwo? Śmiało, wyjaśnij mi, przecież od tego ma się siostrę...”

To pewne jak w banku, że gdyby moja kochana Ágata mnie teraz słyszała, powiedziała by mi coś w tym stylu. Zresztą to prawda, mam swoje powody, aby wyglądało to właśnie w taki sposób. Agatita, a może domyślasz się, jakie to powody? Nie, pewnie że nie. Nigdy, kochana, nie grzeszyłaś nadmiarem wyobraźni, pomimo że nosisz imię jednej z moich ulubionych pisarek, jednej z najinteligentniejszych i obdarzonych

największą wyobraźnią osób, jakie miałam okazję czytać. Tak, skarbie, żebyś wiedziała... Mam dobrze dopracowany plan, a ty będziesz go odkrywać krok po kroku. Zapewniam cię, że nie będzie to szczególnie trudne. Zamierzam zostawić ci wszystkie tropy, których po mojej śmierci będziesz potrzebować nie tylko do odkrycia motywu, ale i sposobu. Zupełnie tak, jak czyni to twoja imienniczka w każdej ze swoich powieści. I zupełnie tak, jak za naszego dzieciństwa, kiedy bawiłyśmy się w chowanego. Nie wiem, czy pamiętasz, zawsze znajdowałaś mnie, ale nigdy przenigdy bez wskazówek, które, zadając sobie ten trud, zostawiałam ci niby przez roztrzepanie. Kochana Ágata... a może trafniej rzec – kochana Agatha... A więc... Agatho, czy jesteś gotowa, by rozpocząć naszą nową zabawę? Skup się, skarbie mój, bo właśnie zaczynamy.

Na pokładzie

Zgodnie z przewidywaniami Olivii wszyscy zaproszeni goście dotarli na przystań znacznie przed nią, najwcześniej zaś jej siostra Ágata, jak zawsze punktualna niczym szwajcarski zegarek. Na miejscu pojawiła się pierwsza nieprzewidziana przeszkoda. W portowym kapitanacie Agacie udzielono informacji, że „Sparkling Cyanide” nie jest przycumowany na nabrzeżu, lecz kołysze się poza wodami portowymi w dość znacznej odległości od brzegu. Musiała trochę się nabiedzić, w końcu jednak udało jej się wynająć ponton Zodiac, którym miała zostać zabrana na jacht.

To cała moja siostrzyczka, znów wystawia cierpliwość innych na próbę, rozmyślała, pomagając jednocześnie nieudolnemu marynarzowi, który nie potrafił wtaszczyć na ponton jej jedynej starej walizki. Usadowiwszy się w tylnej części tego środka transportu i zadbawszy w pierwszej kolejności o to, aby jej laptop nie wylądował w wodzie, która zalegała na dnie zodiaca, Ágata Uriarte mogła następnie skupić swoją uwagę na coraz wyraźniejszej sylwetce jachtu i na rozmyślaniu, co też przyniesie jej czas spędzony na morzu. Na dobry początek stwierdziła, że z powierzchni wody ten granatowy dwumasztowiec, mający czterdzieści metrów długości (i ośmiometrowe maszty – obie przybliżone wartości podał ten marynarz niezguła), jawił się naprawdę imponująco. Tylko czy okaże się wystarczająco duży, aby na osobności mogła znaleźć kilka chwil dla siebie, potrzebnych do dalszej aktywności w sieci i prowadzenia jej Klubu Samotnych Serc? Raczej nie. Madame Poubelle zapewne będzie musiała udać się na przymusowy urlop, a sama Ágata – odpocząć od wirtualnego świata, w którym tak dobrze się odnajdywała, i zanurzyć się w tym rzeczywistym. Lub, co gorsza, w tym siostrzanym, w głupkowanym, grymaśnym, parweniuszowskim światku Olivii Uriarte, który Agacie wydawał się równie nieznanym, co irytującym.

– „Sparkling Cyanide” – wypowiedziała nazwę na głos, usiłując zachować jak najbardziej zdystansowany i lekceważący ton, aczkolwiek prawda była taka, że nigdy nie była na pokładzie tak okazałego jachtu.

Abstrahując od przestronności i zbytku, które niewątpliwie go cechują, czterdzieści metrów to w sumie jednak nie aż tak dużo, a

będziemy tam funkcjonować w gronie ośmiu osób, które w ogóle się nie znają, a do tego jeszcze dochodzi załoga. Cóż, nigdy nie może być zbyt prosto...

Perspektywa dni spędzonych razem wciąż zaprzętała jej głowę. – To niemal tak jak w przypadku eksperymentu, podczas którego kilka laboratoryjnych szczurów zamyka się na ograniczonej przestrzeni. Wiadomo, do czego to prowadzi. Szczury najpierw się przyglądają jeden drugiemu, potem zaprzyjaźniają (a niektóre nawet spółkują ze sobą), po pewnym jednak czasie zaczynają okazywać zniecierpliwienie, podenerwowanie, a koniec końców się pożerają.

– Przepraszam, możemy wysiadać. – Z rozmyślań wyrwał ją głos właściciela zodiaca. – Dotarliśmy. Niech pani będzie tak miła i wejdzie na pokład, a już ja zajmę się bagażem.

Ágata zadarła głowę. Nadeszła chwila, kiedy trzeba było wspiąć się po trapie, który prosto z morza prowadził na pokład jachtu. Zważywszy na zbytkowność całego „Sparkling Cyanide”, ów dobudowany na rufie jachtu trap był, prawdę powiedziawszy, zaskakująco rozchwierutany. Cóż – pomyślała z rezygnacją, podnosząc się z pontonu – jak na to mówią? Chyba marynarski krok. Zaraz zobaczymy, czy mogę się takim pochwalić. Następnie zaś, przywołując zdrobnienie własnego imienia (miała w zwyczaju tak robić, gdy myślała o sobie z ironią bądź gdy – tak jak w tym przypadku – chciała dodać sobie animuszu), uśmiechnęła się: No, śmiało, Agatita, w górę, kochana, pora rozpocząć tę komedię.

Powstanie na nogi wewnątrz na wpół zalanego wodą zodiaca nie było tak trudne, jak się spodziewała. Wielkim wyczynem nie okazało się także pokonanie skokiem odległości między łodzią a trape. Kiedy jednak wspięła się ledwie kilka szczebelków, nagle znieruchomiała obok bulaja.

Typowe, typowe – pomyślała po chwili. – Klasyczne zachowanie dla mojej starszej siostry ekshibicjonistki, każdy musi najpierw rzucić okiem na jej kajutę, jeśli chce wejść na pokład. Faktycznie, większy niż gdzie indziej, pozbawiony zasłon bulaj pozwalał swobodnie obejrzeć każdy szczegół głównej kabiny. Z zewnątrz można było dostrzec wyłożone piękną boazerią ściany z jasnego drewna, szafy przesłonięte

lustrem, obrazy – wszystkie równie drogie, co niedorzeczne i niezrozumiałe – i oczywiście wielkie łóżce małżeńskie, na którym mościły się poduchy, w tym jedna inna niż wszystkie, z koronkowym haftem i widocznym z daleka napisem: *Miłość potrafi zabić*⁵. Cudaczna poduszka i wyświechtana sentencja, hmm, to nie pasuje do Olivii – zauważyła Ágata, przezornie trzymając się poręczy, ale potem naszała ją refleksja, że jej siostra nie robi niczego na próżno i że owa złota myśl wyhaftowana na poduszce również musi zajmować jakieś poczesne miejsce w jej planach. – Czy ma to oznaczać, że rejs stanie się swoistym castingiem, mającym na celu dokonanie wyboru kolejnego męża? Bo jeśli tak, to jaka rola mnie miałyby przypaść na tym spotkaniu? Przyzwoitki? Siostry brzyduli, dla porównania i lepszego podkreślenia kraszy tej drugiej? Chusteczki na otarcie łez dla odrzuconych absztyfikantów, którzy będą prosić o radę, jak odzyskać względy pięknej Olivii? Warto zauważyć, że wielokrotnie już w życiu spełniała taką rolę. W okresie dorastania i w trzeciej dekadzie życia Agacie przyszło nieść pocieszenie niezliczonej liczbie odrzuconych kandydatów smalących cholewki do jej starszej siostry. Tak naprawdę to dzięki temu właśnie wpadła na pomysł stworzenia madame Poubelle i jej Klubu Samotnych Serc, których tak wiele błąkało się po świecie.

Dalsze rozmyślenia Agaty zostały zakłócone przez pojawienie się długiego, śniadego i umięśnionego ramienia, które wysunęło się przez burtę jachtu. Dzięki niemu Agacie udało się wspiać na pokład i stanąć twarzą w twarz z wyjątkowym przystojniakiem. – Vlad jestem – powiedziała zjawa, Ágata tymczasem zdołała tylko wyjąkać: – A ja... yyy... ja... no... jestem siostrą Olivii. Na szczęście jednak szybko zapanowała nad sobą i zdobyła się na uśmiech. Sieroto, co za brak obycia – zganiała samą siebie – wychodzisz na prostaczkę. Gorzej nawet, na jakąś babę ze wsi sprzed dobrych trzech dekad, bo teraz już nikogo nic nie jest w stanie zdziwić, nawet objawienie się, hmm, archanioła.

Milczący marynarz z Dalekiego Wschodu zajął się wciągnięciem bagażu na pokład, co Ágata wykorzystała, by rozejrzeć się wokoło, dla rozrywki wyszukując w pamięci wszystkie terminy żeglarskie, których nauczyła się za młodu, podczas lektury *Wyspy skarbów* i powieści Salgariego. Dostrzegła więc dwa wielkie maszty ze starego, złotawego

drewna, pokład z nieskazitelnego teku, wspaniałe kabestany lśniące w słońcu, a dalej pokład rufowy wyściełany poduchami obleczonej skórą w kolorze kości słoniowej. Jakże szykowny musi być ten jacht o tak błękitnym kadłubie i tak białym wnętrzu. I jakże odpowiednia – pomyślała Ágata – jest nazwa, którą mu nadano: „Sparkling Cyanide”, Musujący Cyjanek (cyjan to zresztą odcień niebieskiego, czyż nie? Cyjan cyjanku, cyjan chorego na cyjanozę). W jej przekonaniu te dwa słowa najlepiej oddawały pierwsze wrażenie wywoływane przez tę wyjątkową łajbę. Zaśmiała się: przypomina wielki kielich koloru kobaltowego, wypełniony po brzegi przez Dom Pérignon.

– Proszę za mną – grzecznie odezwał się Vlad.

Co, u licha, taki czaruś jak on robi w tym wspaniałym i zarazem niepokojącym otoczeniu?, zastanawiała się Ágata, sycąc oczy widokiem sylwetki chłopca wychylającego się przez reling sterburty. Choć do głowy cisnęło jej się jeszcze wiele pytań, on nie dał jej czasu na ich roztrząsanie. Przywoływał ją charakterystycznym ruchem ręki.

– Chyba chce pani zobaczyć swoją kajutę? Zapraszam, pokażę pani.

– Mam na imię Ágata, mów mi per „ty”, jeśli możesz. Nie jestem nie wiadomo kim – poprosiła, kiedy oboje schodzili pod pokład i znaleźli się w obszernym pomieszczeniu. Oślepiąca słońcem, z początku nie mogła niczego dostrzec w ciemnościach, ale potem stopniowo zaczęła odzyskiwać wzrok. Po chwili mogła więc przekonać się, że wszystkie ściany zostały wyłożone drewnem w kolorze miodu. Żaluzje z szarymi lamelkami odcinały dopływ światła słonecznego z okien wychodzących na pokład. Korytarze w rufowej części jachtu tonęły w mroku. Niebieska wykładzina dywanowa o tak ciemnej tonacji, że aż wydawała się czarna, wzmacniała wrażenie ogólnego zaciemnienia. Kanapy, także obite ciemną skórą, miały podglówki z haftami o tematyce afrykańskiej, żonglujące różnymi odcieniami czerni, zieleni, malwy. Nawet zapach tego miejsca wydawał się wyjątkowy, stanowił połączenie woni drewna i skóry, łączył się w coś przypominającego aromat orientальной żywicy bądź rozgrzanego bursztynu. Ágata zatrzymała się. Jakże odmienny zdawał się ten świat od jej własnego, z madrycką norą o powierzchni pięćdziesięciu metrów

kwadratowych. Równie odległe wydawały się jej usystematyzowane obowiązki nauczycielki literatury i języka w ogólniaku. Czy naprawdę tak właśnie wyglądało otoczenie, w którym od dawna z powodzeniem obracała się jej własna siostra? Ile lat świetlnych dzieliło obydwie światy?

Kilka sekund upłynęło jej na rozmyśleniach. Nie miała jednak innego wyjścia, niż podążyć za blond czupryną Vlada, który właśnie zniknął w załomie schodów, także obitych ciemną wykładziną dywanową. Szybko zorientowała się, że stopnie prowadziły do wnętrza „Sparkling Cyanide”, do korytarza, gdzie w szeregu znajdowało się wiele drzwi. Wszystkie były otwarte, dzięki czemu Ágata nie musiała się wysilać, by zobaczyć, co się za nimi kryje. Dwie pary drzwi po prawej stronie prowadziły do przestronnych, eleganckich kajut z podwójnymi łózkami, łatwo więc wywnioskowała, że są przeznaczone dla par. Pozostałe dwie kabiny były co prawda równie duże i wytworne, niemniej jednak miały łóżka o mniejszych wymiarach, określane w Ameryce mianem *queen size*. Które zwykłemu śmiertelnikowi doskonale służyłoby za małżeńskie, pomyślała, sądząc najwyraźniej, że któraś z tych dwóch kabin przypadnie jej.

Vlad tymczasem wyminął wszystkie drzwi szerokim łukiem i zmierzał dalej (w stronę dziobu, zawsze po sterburcie, jak zauważyła w myślach, ciesząc się swoim słownictwem żeglarskim). Najwyraźniej tam dalej są jeszcze inne równie okazałe kajuty – pomyślała. – Chyba jednak ten jacht jest jeszcze większy, niż się wydawało z zewnątrz.

Postępowali naprzód, a Ágata zdała sobie sprawę, że wystrój stopniowo ulega zmianie. W pierwszej kolejności zniknęła elegancka ciemna wykładzina, wkrótce potem weneckie żaluzje z szarymi lamelkami, aż w końcu ulotnił się wspaniały zapach drewna, żywicy i bursztynu, zastąpiony przez woń, która od razu skojarzyła jej się z bardzo tłustą smażeniną, orientalną mieszanką soi z kapustą lub czymś w tym stylu.

Cały czas szła krok w krok za milczącym Vladem, aż w końcu znalazła się w ukrytym sercu jachtu, funkcjonalnym i zapracowanym. Najpierw kuchnia okrętowa, następnie wychodzące na bakburkę pomieszczenie, w którym dwóch filipińskich, a może malajskich

kelnerów nakładało na talerze jedzenie dla czterech czy pięciu innych marynarzy, również o dalekowschodnich rysach, wystrojonych w błękitne koszule z białym drobnym napisem: „Sparkling Cyanide”.

– Dzień dobry – grzecznie przywitała się Ágata, lecz żaden z obecnych zdawał się nie słyszeć jej słów, wobec czego po prostu ruszyła dalej za swoim przewodnikiem, który w końcu stanął przed niewielkimi drzwiami znajdującymi się kilka metrów dalej. Sekundę później Vlad odsunął się, po dżentelmeńsku puszczając Agatę przodem do kajuty o bardzo niewielkiej powierzchni, na której z trudem upchano wąskie łóżko, metalową szafkę oraz stojący w kącie i nieco już sfatygowany stolik nocny. Łóżko przykrywała bura kapa, na niej leżały trzy ręczniki. Na stoliczku dostrzegła książkę.

– To moje? – zapytała, aczkolwiek nie miała złudzeń co do odpowiedzi.

– Tak, obawiam się, że wszystkie inne kajuty zostały już niestety rozdysponowane – odparł Vlad zmartwionym głosem, który Agacie wydał się autentyczny, w związku z czym natychmiast postanowiła nie roztrząsać już tego tematu. I aby pokazać, że faktycznie nie dba o to, posłała mu uśmiech, udając jednocześnie, że ogląda grzbiet książki na stoliku. Chociaż taki przejaw gościnności w tej mnisiej celi, pomyślała, po czym pi razy oko oceniła, że jej kajuta może być rozmiarów co najwyżej szafy wnękowej, jaką miała jej siostra, oczywiście bez owej otoczki glamouru.

– Aha, Agato... Jeszcze jedna rzecz – głos Vlada wytrącił ją z rozmyślań. – Zawsze tak było, że osoba zajmująca tę kajutę korzysta z tej samej łazienki co ja. Mam nadzieję, że nie będzie to dla ciebie olbrzymim kłopotem.

– Nie ma problemu – odpowiedziała, od razu czując, że odtąd będzie spoglądała łaskawszym okiem na otrzymany przydział. – To czysta przyjemność – dodała, a on wynagrodził jej odpowiedź uśmiechem, pierwszym, jaki jej sprezentowały te wspaniałe usta.

Dziesięć minut później, kiedy Ágata umieściła już laptopa w bezpiecznym miejscu i rozpakowała walizkę, usiłując przy tym nie obijać się nadmiernie o ściany (przyszło jej do głowy porównanie z hipopotamem, któremu przydzielono w zoo zbyt małą klatkę),

postanowiła skorzystać z bulaju kajuty i obejrzeć osobliwą defiladę – przybycie pozostałych gości na pokład „Sparkling Cyanide”, którzy kolejno musieli skorzystać z transportu tym samym zodiakiem.

Czyżby to był Fuguet, ten lekarz?, zastanawiała się, widząc, jak na przedzie owego niewzbudzającego specjalnego zaufania środka transportu z każdą chwilą powiększa się sylwetka trzydziestokilkuletniego mężczyzny o posepnym wyrazie twarzy. Kiedy ponton przybił już do jachtu, nieznajomy stanął wyprostowany, dzięki czemu Ágata mogła się zorientować, że jest bardzo wysoki i tak wychudzony, że jego ciało zdawało się chybotać i przechylać pod wpływem silnego wiatru, mimo że nie było mowy o choćby najdelikatniejszej bryzie. Co za rzeczy ci się przywidują – zganiła samą siebie. – Bez przesady, nie chybotce się ani nie przechyla. Po prostu widać na pierwszy rzut oka, że zupełnie nie ma pojęcia, jak w tych warunkach zrobić jakiś ruch. Biedaczek zdaje się być z zupełnie innej bajki, tak jak ja. Jakie stosunki łączyły go z Olivią? Nie wydaje mi się, żeby mógł być uczestnikiem castingu na kolejnego męża.

Dziesięć minut później znajdowała się w malutkiej łazience (tej, którą będzie dzielić z Vladem – ach, cóż za niespodziewany dar niebios), zajęta rozkładaniem swoich przyborów toaletowych i całej baterii środków wyszczuplających. Niespodziewanie jej uwagę przykuły nowe głosy dobiegające z zewnątrz, od strony morza. Ágata Uriarte ostatnio żyła samotnie, więcej łączyło ją z literaturą i kinem niż ze światem doczesnym. Pomijając coraz dłuższe godziny, które zajmowały jej obowiązki madame Poubelle, pozostały czas spędzała z książką bądź upajając się starymi filmami. Zapewne właśnie z tego powodu do głowy zaczęły przychodzić jej skojarzenia z bohaterami srebrnego ekranu, kiedy ujrzała kolejne osoby zbliżające się do jachtu na pokładzie zodiaca (tym razem byli to doña Cristina San Cristóbal z córką Sonią i jej narzeczoną Churrim). Ależ ona jest podobna do madame Serpent! – zauważyła w myślach, gdy tylko dojrzała Cristobalinę Sosę siedzącą na przedzie pontonu niczym co prawda niewielki, ale przerażający galion. Ágata w tym momencie nie pamiętała prawdziwego imienia owej postaci filmowej, którą tak bardzo jej przypominała owa dama, w każdym razie odtąd zawsze już miała w myślach tak ją nazywać.

Oczywiste było skojarzenie z drobniutką i tajemniczą cesarzową Chin pojawiającą się w *55 dniach w Pekinie*, obwieszoną biżuterią i otuloną jedwabiami, której najbardziej charakterystyczną cechą były wąskie usta i malutkie oczy.

Tak, tak, widzę oczywiście, moja madame Serpent nie jest proweniencji chińskiej, tylko peruwiańskiej bądź boliwijskiej, tak na pierwszy rzut oka – dumiała Ágata, snując swoje przypuszczenia. – Jej sięgająca ziemi suknia w kolorze pomarańczowo-cukierkowo-różowym również niewiele ma wspólnego z Orientem, jeśli już, to prędzej z odzieżą Dolce & Gabbany. No ale te oczy... – dorzuciła po chwili w myślach. – Mój Boże, przywodzą na myśl dwa mandzurskie sztylety. Kim, u licha, jest ta kobieta i z jakiego powodu Olivia ją zaprosiła?

Jej myśli wciąż jeszcze krążyły wokół doñi Cristiny, lecz wzrok już badawczo mierzył pozostałą dwójkę pasażerów zodiaca. Efekty obserwacji okazały się o wiele prostsze do wyjaśnienia, a przy tym przyjemniejsze dla oka. Tony Manero z domieszką krwi środkowoeuropejskiej – wydała wyrok po przyjrzeniu się mężczyźnie, Churriemu. Po chwili dodała, zupełnie jakby sporządzała rysopis na potrzeby śledztwa. – W moim przekonaniu: dwudziestokilkulatek, wzrost metr siedemdziesiąt i coś, częste wizyty w siłowni, wystarczy spojrzeć na bicepsy. Skąd on może być? Turek, Serb? Może Bułgar? Pewne jest tylko jedno, że czuje się równie nieswojo jak madame Serpent i jak ten facet, który wcześniej dotarł na pokład. No i zresztą tak jak ja – dodała po chwili, uśmiechając się. – Tak więc jest już nas czwórka osób z zupełnie innego świata niż ten...

Domysły pod adresem trzeciej pasażerki pontonu, Soni San Cristóbal, nie wymagały zestawień z jakąkolwiek postacią ze świata kinematografii. Ágata wcześniej nie mogła dostrzec jej twarzy skrytej pod słomkowym kapeluszem, kiedy jednak nakrycie głowy zostało zdjęte w chwili wejścia na pokład, zdała sobie sprawę, że jest to twarz doskonale jej znana. Proszę, proszę, w końcu na pokład „Musującego Cyjanku” wejdzie ktoś, kogo człowiek spodziewa się spotkać na tak wystrzałowej łajbie. Momencik, jak, u licha, nazywa się ta ślicznotka? Jej nazwisko widniało na zaproszeniu Olivii, no ale akurat teraz wyleciało mi z głowy, uch, przeklęty alzheimerze, robisz błyskawiczne

postępy. Mimo wszystko jestem przekonana, że widziałam ją w wielu magazynach, no i w telewizji. Do cholery, kto to jest? Mam to na końcu języka. Linda Evangelista? Nie, na pewno nie, jest sto razy młodsza od Evangelisty. Eva Longoria? Też nie, w żadnym razie, ta tutaj jest wyższa przynajmniej o dwadzieścia centymetrów.

– Ostrożnie, księżniczko, trzymaj się mocno poręczy. Oj, ostrożnie, skarbenku, ostrożnie. – Do uszu Agaty dobiegł głos madame Serpent, która właśnie bardzo się starała, aby długa suknia od Dolce & Gabbany nie zamieniła się w żagiel i nie pociągnęła jej na pełne morze.

Kiedy Ágata usłyszała ten głos i rozpoznała południowoamerykański akcent, natychmiast sobie przypomniała, kim była dziewczyna. No jasne! – oświeciło ją. – Ależ ja jestem głupia, przecież to Sonia San Cristóbal, słynna madrycka modelka, która miała jakoby być córką andyjskiej Indianki o wzroście ledwo metr pięćdziesiąt i urodzie zdecydowanie niezapewniającej tytułu miss Peru. Zawsze mi się wydawało, że to jakaś legenda, ale jednak nie. Jak to możliwe, że z takiej matki urodziło się tak boskie stworzenie? – zadała sobie to pytanie, widząc, jak odgarnąwszy z twarzy ciemne, niemal kruczoczarne włosy, Sonia spogląda na pokład jachtu błyszczącymi oczami, błękitnymi niczym dwa akwamaryny. – W każdym razie – dodała Ágata – genetyka bywa niezwykle kapryśna i miewa swoje osobliwości. Zresztą kto może o tym wiedzieć lepiej niż ja sama...

Wskazówki zegara ospale zbliżały się do godziny osiemnastej. Ágata już jakiś czas temu skończyła rozpakowywać swoje nieliczne bagaże, w związku z czym mogłaby sobie pozwolić na wycieczkę na pokład z zamiarem dowiedzenia się czegoś o nowo przybyłych bezpośrednio od nich samych. Woląла jednak zostać tam, gdzie przebywała. Zawsze ciekawiej obserwować, nie będąc widzianym, oceniać, samemu unikając oceny. Oho, przybywa Charon z kolejnymi pasażerami na pokładzie – stwierdziła, zobaczywszy, że stara łódź pontonowa z wciąż tym samym marynarzem przy sterze robi już trzeci kurs. – Kim będą kolejni goście zaproszeni do naszego Hadesu?, dodała, szykując się na kolejną porcję domysłów.

Tym razem jednak nie musiała trudzić swojej bogatej wyobraźni, bowiem przynajmniej jednego z pasażerów znała od najmłodszych lat.

– Patrzcie, kogo tu mamy – wyrwało jej się na myśl o rychłym pojawieniu się na pokładzie Cary’ego Faithfula, starego znajomego ze szkolnej ławy. – Ten to prawie się nie zmienił.

Przez te wszystkie lata, jakie upłynęły od czasów młodości, Ágata widziała niezliczoną ilość zdjęć Cary’ego, a także kilka filmów z jego udziałem, zawsze jednak odnosiła wrażenie, że chodzi o zupełnie inną osobę niż ta, którą swego czasu dobrze знаła. Wystarczyło jej jednak kilka minut szpiegowania ze swojej kryjówki, by zdała sobie sprawę, jak zwodniczy potrafi być wielki ekran i jak nieprawdopodobne bywają cuda Photoshopa. Chociaż w kinie i na okładkach Cary wydawał się przystojny, seksowny i miał zawsze ironiczne spojrzenie, tu i teraz wszystkie te cechy nie były już takie oczywiste. Moja kajuta może i jest koszmarna jako miejsce do spania, ale okazuje się niezastąpiona jako punkt obserwacyjny, pomyślała Ágata, nie bez cienia satysfakcji. – A ja muszę teraz przypominać podglądaczkę, uśmiechnęła się, a po chwili powiedziała sobie, że i dobrze, że czemu nie, może kobietom tak mało ważnym jak ona prędzej pisana jest właśnie rola obserwatorki aniżeli uczestniczki życia. Skoro suma plusów i minusów zawsze wychodzi na zero, to w zamian można powiedzieć, że nikt nie zna napotykanych na swej drodze innych osób tak dobrze jak szpieg lub voyeur.

– Ciekawe, co jeszcze zobaczę – powiedziała na głos, zupełnie pewna, że nikt jej nie może usłyszeć. – Zaokrąglony brzuch przyszłej matki? Pierwsze wypadające włosy, o ile nie łysinę w stopniu dużo bardziej zaawansowanym? Czy byłbyś tak uprzejmy, Cary, zdjąć na chwileczkę te okulary przeciwsłoneczne, abym mogła przyjrzeć się twoim oczom? O, dziękuję! – krzyknęła, dokładnie bowiem w tym momencie, zupełnie jakby dosłyszał jej prośbę, przekazał swojej towarzyszce ray-bany, aby przetała je jeszcze przed wejściem na pokład, a dzięki temu odkrył przed Agatą swoje spojrzenie, bez wahania zakwalifikowane przez nią jako wzrok porzuconej sieroty.

Jakim cudem przyszło jej do głowy to słowo, jakże niepasujące do autentycznej gwiazdy srebrnego ekranu i niewątpliwie multimilionera? Być może – rozmyślała dalej – ze względu na zachowanie względem dziewczyny, która stała obok niego. Z tego, co mogła zobaczyć Ágata, była trzydziestoparoletnia, rudowłosa i niezwykle ponętna.

Zadziwiająca, że pomimo różnicy wieku ona traktuje go mniej więcej tak jak matka małego syneczka – zauważyła w myślach. Z zainteresowaniem zaczęła się zastanawiać, kim mogła być ta kobieta, której zachowanie absolutnie nie wskazywało na to, by mogła być partnerką życiową Cary’ego. – Czy to jego sekretarka? Osobista trenerka? Może specjalistka od kreowania wizerunku? Prywatna pielęgniarka? Tak czy inaczej, wygląda bardzo dziwnie, bowiem kobieta pracująca w roli asystentki czy jako wielofunkcyjna pomoc dla celebryty powinna prezentować się zupełnie inaczej, być mniej widoczna. Ta dziewczyna natomiast robi wrażenie pomyłki castingowej. To zupełnie tak jakby do roli Matki Teresy z Kalkuty wybrano Ritę Hayworth albo co gorsza Rachel Welch.

Agata obserwowała, jak rudowłosa dziewczyna starała się zajmować wszystkim spokojnie i skutecznie: przypilnowała hisowania bagażu na pokład, ostrzegła Cary’ego, żeby uważał na stopniach trapu, z latynoskim akcentem podziękowała właścicielowi pontonu i wręczyła mu sowity napiwek. Wydaje mi się, że spokojnie mogłybyśmy zostać przyjaciółkami – pomyślała, zupełnie jakby z nowo przybyłą nagle połączyła ją niespodziewana więź sympatii i solidarności. Już po chwili jednak uznała, że musi zachować większą ostrożność. – Nie zapędzajmy się zbyt daleko – dodała. – Takie kobiety w praktyce, jak to mówią Anglicy, okazują się *too good to be true*, zbyt piękne, aby były prawdziwe.

– Mirando, ratunku! Chyba w pontonie zostawiłem moje blackberry, bardzo cię proszę, zrób *coś* z tym. – Cary Faithful zwrócił się po angielsku do rudowłosej dziewczyny tonem błagalnym i zarazem nieznoszącym sprzeciwu.

Miranda – na twarzy Agaty wykwitł kolejny uśmiech. – Piękne imię, na dodatek brzmi tak samo w każdym języku. Ma bardzo brytyjski wygląd, ale nie wiem, z jakiego kraju może pochodzić. Czy to Kubanka? Wenezuelka? Kolumbijka? – deliberowała dalej. – Zważywszy na różnorodność narodowościową, jaka zapanowała na naszym statku, można by użyć stwierdzenia „współczesna wieża Babel”, które niewątpliwie zastosowałby jakiś badacz społeczny, gdyby miał okazję tu trafić. Choć ja bym to raczej przyrównała do arki Noego, ba, niezły

inwentarz się zebrał – spuentowała. – Nikt z tu obecnych nie jest typem osoby, które, jak sądziłam, zostaną sproszone na jacht przez moją obytą w świecie starszą siostrę. Do Olivii bardziej pasowałoby skrzyknięcie mieszanki dekadentkich elit z ruskimi czy włoskimi mafiosami lub z międzynarodowymi fałszerzami, dajmy na to. Bardzo mnie zastanawia, po jakie licho zaprosiła akurat *te* osoby, których raczej nic ze sobą nie łączy.

Później, odczekawszy kilka chwil, aby się upewnić, czy aby nie pojawi się ktoś jeszcze, Ágata stwierdziła: – Ale chyba jeszcze bardziej mnie zastanawia, czy kogoś jeszcze brakuje na pokładzie tej naszej osobliwej arki. Może jakiegoś kolejnego gatunku zwierzęcia, rośliny, może minerału? Coś mi się wydaje, że po prostu brakuje tylko jej, naszej kochanej gospodyni, która jak zawsze przybędzie spóźniona.

Czy Olivia naprawdę *nigdy* nie nauczy się punktualności?

Przygotowania do kolacji

Cristobalina Sosa alias Ana Christie alias doña Cristina zajmowała krzesło przed toaletką. Lustro, przed którym siedziała, umożliwiała jej patrzenie na znajdujące się za jej plecami wyposażenie przydzielonej kajuty. Podwójne łóżko przykryte zieloną narzutą, dwa stoliki z jasnego drewna, współgrające ze ścianami wyłożonymi boazerią i z wezłowiem o tej samej barwie co nakrycie łóżka. Panie Boziu, śliczny pokój – pomyślała podczas pudrowania nosa. – Spójrzmy, ciekawe, czy jest tu coś jeszcze godnego podziwu – dodała, zaczynając inspekcję pomieszczenia od drewnianego stolika w kolorze ciemnokorzennym, afgańskiego dywanu rzucającego się w oczy na tle ciemnej wykładziny i prążkowanych zasłon utrzymanych w spokojnych barwach. – Pełen sztyk, nie ma co – przyznała niemal z przykrością, albowiem jej zrozumiała niechęć względem Olivii liczyła na wychwycenie jakiegoś niedopatrzenia.

Wszystko wskazywało na to, że niczego takiego nie znajdzie. Kontynuowała lustrowanie pomieszczenia, aż w końcu... – Mam cię! – wyrwało jej się, kiedy wreszcie natknęła się na coś, co zdecydowanie nie pasowało do reszty dobranej w tak znakomitym guście. – Ta wyświechtana książka, której ktoś zapomniał stąd zabrać, burzy harmonię całości. Boże, ona chyba nawet jest pobrudzona keczupem albo czymś jeszcze gorszym! – zgorszyła się, kiedy ujęła ją w dwa palce. – Pas-kudz-two... A tytuł? Hmm, *Nemesis*, Agatha Christie. Tylko i wyłącznie ze względu na tytuł nie wrzucę tego od razu do kosza – oświadczyła, przy czym nieuważnie kartkowała pierwsze strony. – Chwileczkę, zdaje się, że ma dedykację...

Mojej siostrze Agacie, aby w nagłej sytuacji mogła zasięgnąć porady Mycrofta H.

Po co zostawiono mi książkę, która jest przeznaczona dla innej osoby, i kim jest ten niejaki Mycroft H.? W *Nemesis* nie występuje żaden Mycroft, jestem tego więcej niż pewna, bo oglądałam film i bardzo mnie wciągnął. Wspaniałe nastrój, mnóstwo różnorodnych charakterów, wszystko znakomicie zrealizowane. Pamiętam nawet

rozwiązanie zagadki. Na końcu morderczynią okazuje się osoba, która zabiła, aby uniknąć większego cierpienia.

Uwielbiam takie niejasne historie, w których ci źli okazują się tymi dobrymi, a ci dobrzy tymi złymi – zauważyła doña Cristina, ponownie zasiadając przy toaletce i patrząc sobie w lustrze w oczy. – Dużo więcej mówią o prawdziwym życiu niż te wszystkie brednie, które teraz ogląda się i czyta, bez dwóch zdań.

Doktor Pedro Fuguet skończył rozpakowywać bagaż i właśnie miał umieścić laptopa w szafie, kiedy nagle podskoczył, usłyszawszy po przeciwnej stronie drzwi charakterystyczny głos Olivii Uriarte, która zwracała się do nieznanego mu osoby:

– Soniu, skarbie, nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro, że nie mogłam powitać was na pokładzie. Strasznie się cieszę, że tu jesteście. Odpowiada ci twoja kajuta?

Słowa nie mogły być bardziej zwyczajne i błahe, niemniej jednak na Fugueta podziałały, jakby przeszył go prąd.

Mój Boże! – pomyślał. – To ona. Już tu jest. – A ponieważ miał laptop na wyciągnięcie ręki, a do wyznaczonej pory kolacji brakowało jeszcze pół godziny, natychmiast postanowił włączyć go i skorzystać z azylu, jaki zawsze dawał mu bezkresny, miłosierny wirtualny świat. Spoczął na łóżku z zamiarem uruchomienia odpowiedniej aplikacji, lecz kilka minut czekania okazało się nadaremnych. Fuguet zdołał wejść jedynie na tę irytującą stronę Internet Explorera, która obwieszczała: „Program nie może wyświetlić witryny sieci web”. Spróbował podłączyć swój modem, który zawsze dobrze mu służył w podróżach, ale i ten plan nie wypalił.

– Na statku nie ma ani wi-fi, ani zasięgu, przynajmniej w tym momencie – mruknął, po czym nagle poczuł się bardzo samotny i pozbawiony podstawowych wygód. – Jak rozbitek na pełnym morzu – dodał w myślach, w rozpaczliwej próbie wyśmiania samego siebie i swojego uzależnienia od tego genialnego wynalazku. – Daj spokój, głupcze – upomniał się. – To notoryczne uciekanie w wirtualny świat zaczyna być naprawdę kretyńską słabością. Poza tym wiedziałeś, co cię czeka, jeśli przyjmiesz to zaproszenie. Prędzej czy później będzie musiała nastąpić chwila, kiedy się z nią zetkniesz, więc musisz pogodzić

się z tym faktem.

Zamknął laptop i znowu zamierzał odłożyć go na miejsce, kiedy nagle zza drzwi rozległo się wesołe pukanie kilku palców. Ten dźwięk bardzo przypominał dawny sygnał rozpoznawczy, jakże dobrze mu znaną sekwencję: jeden długi dzwonek, a potem dwa krótkie.

– Jesteś tam, Fug?

– Czy zauważyłeś, jak wspaniały zegarek Olivia nosi na nadgarstku? – W tym samym momencie Sonia San Cristóbal rozmawiała ze swoim Churrim.

– Nie – odparł krótko.

– Franck Müller z tourbillonem, limitowana seria. Ma ponad dwadzieścia lat, ale właśnie dlatego podoba mi się, jest taki niecodzienny. Co tak dziwnie patrzysz? Bardzo chciałabym mieć taki. A w ogóle, to sam chyba przyznasz, że moja przyjaciółka jest cudowna i po prostu megaśliczna, czyż nie?

– Nie – odrzekł niewzruszenie.

– Churri, naprawdę musisz zdobyć się na ten wysiłek i spróbować być nieco sympatyczniejszy względem innych. Na przykład przed chwilą nie tylko nie podałeś ręki Olivii, ale wręcz okazałeś jej nieżyczliwość... Jeżeli zachowujesz się tak ze względu na to, jak postąpiła ze mną kilka lat temu, to posłuchaj, naprawdę szkoda twojego wysiłku, dawno już o tym zapomniałam. Mamcia mówi, że od tamtej pory bardzo się zmieniłam, ale uważam, że w sumie dobrze się stało. W innym przypadku nigdy bym cię nie poznała, no nie?

– Nie – powiedział Churri.

– Zobacz, jaka Olivia jest wspaniała, uścisnęła cię tak serdecznie, mimo że tak dziwnie na nią spojrzalesz, no i nawet zapytała uprzejmie, co u twojej siostry Kozymy. A ty wtedy zrobiłeś minę, jakby ci było niedobrze. Widzisz, Churri, nie należy zbyt prędko oceniać kogoś, kogo się wcześniej w ogóle nie znało. No bo przecież wcześniej nigdy jej nie widziałeś, prawda? No bo gdyby... Hmm, a w ogóle to skąd ona, do cholery, wiedziała o twojej siostrze?!

Churri tym razem nie odpowiedział.

W tamtej chwili Vlad Romescu również przebywał w swojej kajucie znajdującej się w części przeznaczony dla załogi. W dłoni

dzierzył świstek papieru z odręcznym pismem, przyniesiony przed chwilą przez któregoś z marynarzy.

Kochanie!

To absolutnie niezbędne, abys tego wieczoru zjadł kolację w naszym towarzystwie. Potem wytłumaczę ci dlaczego. Zapewniam, że powód może cię bardzo zainteresować.

Całuję,

O.

– Nie zamierzam się tam pojawić – stwierdził. – Czyżby Olivia uwierzyła, że to rejs turystyczny, a ja jestem kapitanem jak ten ze *Statku miłości*, takim, który wieczorami jada z gośćmi i cały czas uśmiecha się jak skończony palant?

Wciąż ściskając w rękę liścik, Vlad zapalił papierosa i zaciągnął się dwukrotnie. Regulamin zabraniał palenia w tej części jachtu, no ale teraz nie robiło to większej różnicy. Bankructwo Flavia spowoduje, że niebawem ten jacht i wszystko inne ulotni się jak kamfora. Albo jak ten świstek papieru – pomyślał, po czym zbliżył do karteczki od Olivii rozżarzoną część papierosa, a następnie patrzył, jak zajmuje się ogniem, poczynając od górnego rogu. Płonęła niespiesznie, a Wład bawił widok poszczególnych liter jej pisma ciemniejących pod wpływem ognia. Najpierw słowo „Kochanie”, potem „to absolutnie niezbędne”, aż w końcu „dlaczego”. A potem zdarzyło się coś zaskakującego – płomień skupił się na dolnej części i spalił słowa „Całuję, O.”, za to oszczędził ostatnie zdanie listu, pozostawiając je dosłownie nietknięte.

Co za paranoja, zirytował się Vlad i po chwili chciał dopalić resztki liściku Olivii, bo nadal nie miał najmniejszego zamiaru zastosować się do jej prośby. Jednak cofnął rękę. Zdanie, które oparło się płomieniom, brzmiało: „powód może cię bardzo zainteresować”. A Vlad, przesądny, przezorny, a może i jedno, i drugie, uznał, że przeznaczenie rzadko kiedy daje sygnały tak oczywiste jak w tym przypadku.

Niech będzie. Pójdę – podjął decyzję. – Ale nie zamierzam rozmawiać z żadnym z tych posranych snobów, to nie leży w moich obowiązkach. Ba, nie usiądę tam, gdzie mnie będzie chciała usadzić

Olivia, tylko tam, gdzie mi się spodoba, na przykład obok Agaty. Dogaduję się z nią. Pewnie dlatego, że w ogóle nie przypomina swojej siostry, tej skończonej suki.

– Co robisz, Miri? – w tej samej chwili Cary Faithful skierował pytanie do swojej wybranki.

– Nic takiego, coś piszę. Wiesz co, redaguję swój pamiętnik. To będzie bomba, chociaż mam podstawy sądzić, że na tym statku nie znajdę wi-fi, więc moi czytelnicy będą musieli uzbroić się nieco w cierpliwość, zanim będą mogli oddać się lekturze – zażartowała.

Cary spojrział na nią. Miranda z blackberry w dłoni i ze zmarszczonymi brwiami faktycznie wydawała się skupiona wyłącznie na swojej pracy.

– Tutaj je spisujesz? Co za pracuś z ciebie, ale ta klawiatura jest chyba zbyt mała? Mam nadzieję, że nie przyszło ci do głowy pisać prawdy o mnie. Obawiam się, że moje życie nigdy nie przejdzie przez cenzurę. – Cary wpisał się w żartobliwą konwencję, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma się czego obawiać. Miranda nigdy nie powiedziała by ani nie zrobiła niczego, co mogłoby mu zaszkodzić; nigdzie nie ma drugiej tak lojalnej osoby. Ile razy miała już w rękę bliźniaczo podobne blackberry należące do niego? Ileż razy, na przykład, mogła już wykryć cały zestaw skandalicznych esemesów od Paula i od innych możliwych kochanków, a tymczasem nigdy tego nie dostrzegła ani oczywiście nie domyślała się niczego.

– A z czego składają się twoje pamiętniki, Miri?

– Wszystko w swoim czasie, kochanie. Za każdym razem, kiedy poznaję kogoś nowego, lubię sporządzić mu krótki profil i zapisać swoje odczucia. W dalszej perspektywie i tylko dzięki tym danym będę potrafiła odtworzyć scena po scenie wszystko, co przeżyłam w towarzystwie takiej osoby. Jestem wyjątkową obserwatorką.

– *Of course you are, my dear.*

Gdyby ten dialog toczył się w innym języku... Tymczasem myśli Cary'ego miały nieco inny odcień: Tak, tak, i niech wszyscy święci chronią ten twój wzrok, Miri.

Zapoznanie się z treścią poniższej ulotki jest bardzo ważne,
wyczytała Ágata Uriarte, starając się czytać słowo po słowie instrukcję

dołączoną do medykamentu, który ścisnęła w dłoni. *Nongrass 321 jest lekiem najnowszej generacji, którego skuteczne działanie polega na zapobieganiu, by enzymy trawienne odpowiedzialne za rozkład tłuszczów łączyły się z nimi i wspomagały ich działanie. W efekcie organizm nie przyswaja tłuszczów zawartych w posiłku. Działanie leku ogranicza się tylko do obszaru jelita, dzięki czemu środek nie wywiera żadnego wpływu na inne organy, takie jak serce, wątroba czy mózg. Enzymy z grupy lipaz i amylaz bla bla bla...*

Agata nie potrafiła temu zapobiec – za każdym razem, gdy czytała ulotkę dołączoną do któregoś z wielu specyfików, które składały się na jej arsenał środków na odchudzanie, gdzieś uciekał jej główny wątek. Uwaga zaczynała się rozpraszać, a myśli krążyły wokół innych rzeczy, a w najlepszym wypadku treść lektury mieszała się z własnymi myślami, co wyglądało mniej więcej tak:

...Lipaza i amylaza odpowiadają za proces trawienia tłuszczów i węglowodanów... A to ciekawe, zdaje się, że książkę, którą moja kochana siostrzyczka była łaskawa zostawić na stoliku nocnym, ktoś przełożył teraz na łóżko. Ciekawe, co to jest... Kiedy praca enzymów zostaje zahamowana dzięki działaniu leku Nongrass 321, absorbowanie tłuszczów staje się... Eee, Agatha Christie, Zabójstwo Rogera Ackroyda, jestem rozczarowana. Na podstawie strony tytułowej sądziłam, że to inny rodzaj literatury... Nongrass należy zażywać trzy razy dziennie przed lub po najważniejszych posiłkach obfitujących w tłuszcze. Tabletkę należy połknąć i popić szklanką wody... Jak widać, Olivia uwzięła się – zupełnie jak wtedy, kiedy byliśmy małe – żebym polubiła twórczość mojej imienniczki. Mówiąc szczerze, nie będzie to takie proste... Kategorycznie niewskazane jest zażywanie środka Nongrass, jeśli pacjent jest w trakcie kuracji osmotycznymi lekami przeczyszczającymi... Mimo wszystko pamiętam, że całe wieki temu dostałam od niej akurat tę powieść, która zresztą wtedy całkiem mi się podobała. Na końcu ta sama postać, która jest narratorem w pierwszej osobie (lekarz), okazuje się mordercą... zalecane jest także skonsultowanie się z dietetykiem, jeśli pacjent spożywa produkty bogate w błonnik... Zaiste, bardzo zmyślna intryga... Nongrass 321 nie powinien być zażywany w okresie ciąży i karmienia piersią, w przypadku

występowania objawów biegunki, niedoborów witaminowych, jelitowych chorób zapalnych bla bla bla...

Lista przeciwwskazań była tak długa, że Ágata w końcu odłożyła ulotkę na bok i ponownie zainteresowała się porzuconą książką. Zamierzała otworzyć ją i trochę poprzeglądać, ostatecznie jednak odstąpiła od tego zamiaru, bo zrobiło się późno. Rzucę na nią okiem jutro czy pojutrze, uznała, po czym znów spróbowała skupić uwagę na instrukcji do cholernego nongrassu 321.

– No dobrze, tyle z mojego eksperymentu odchudzającego na dzisiaj – powiedziała do siebie, na dobre zapominając o książce, a do pudełka na lekarstwa wykonanego z masy perłowej odłożyła magiczną pigułkę, którą wybrała spośród innych, z zamiarem zażycia jej tego samego wieczoru, na pół godziny przed kolacją. Lekarze stanowczo odradzaliby jej to, co właśnie zamierzała uczynić – z dnia na dzień wypróbowałyby różne środki odchudzające. Nawet wydawało jej się, że słyszy słowa swojego dietetyka: ...Nie warto, żebyś to robiła, Agato, masz minimalną nadwagę, sześć czy siedem kilo to naprawdę nic.

A to zależy, do kogo to porównać, ha, jak to zawsze w życiu, pomyślała, wzdychając ni to ironicznie, ni to tragikomicznie, po czym pomyślała jeszcze, że na tym jachcie pełnym osób pięknych i bogatych miałyby ochotę zobaczyć Toñi, swoją dietetyczkę (umówmy się, że też nie jest chuda jak szczapa). Z pewnością ona także stosowała drastyczne środki. Trudno, oczywiście nic się na to nie poradzi, że w niektórych kręgach człowiek musi czuć się jak słonica, niemniej jednak zamiar skorzystania z nongrassu w tym przypadku wynikał z czegoś innego – Ágata była pewna, że przy wsparciu tej kohorty milczących dalekowschodnich marynarzy Olivia zaplanowała dla gości wyborne biesiadowanie, któremu, niech to szlag, trudno będzie się oprzeć. Moja kochana siostrzyczka nie byłaby sobą, gdyby postąpiła inaczej, w każdym razie należy oddać jej sprawiedliwość, że zawsze okazywała się gospodynią prima sort – przyznała w myślach Ágata, aby następnie wmówić samej sobie, że to właśnie gościnność Olivii jest powodem wzięcia ze sobą tego arsenału cudownych środków. – Gdyż, jak wskazuje treść tej długasnej ulotki dołączonej do środka Nongrass 321, dzięki jednej tabletki będę mogła jeść wszystko, na co mi przyjdzie

ochota, z błogim przeświadczeniem, że przemknie to przez mój przewód pokarmowy bez dodania choćby jednego nadprogramowego centymetra w pasie.

– Ech – westchnęła na koniec z nutką ironii – gdyby tak można było ubeztłuszczyć się nie tylko od środka, znongrassować się także od zewnątrz, i żeby nie tylko jedzenie, ale i inne sprawy życiowe też mogły przemknąć tak bezboleśnie...

Część druga
DZIESIĘCIU MURZYNKÓW

W tę ciszę wdarł się nagle głos. Bez żadnego uprzedzenia,
przenikliwy, sztuczny.

– Panie i panowie! Proszę o ciszę!

Wszyscy poruszyli się nerwowo. Obejrzeni się wokoło, spojrzeli na
siebie, na ściany... Kto to mówi?

Czysty i wysoki głos zabrzmiał znowu:

– Wszyscy jesteście postawieni w stan oskarżenia.

AGATHA CHRISTIE, *Dziesięciu Murzynków*

(przeł. Roman Chrzastowski)

Nader nietypowy drink

– Spójrzcie, oto coś, co sama określam mianem Sparkling Cyanide – obwieściła Olivia Uriarte, przyglądając się pod światło zawartości kieliszka, w którym bąbelkował cudownie niebieski napój. Zapaliła papierosa i pozwoliła, aby dym niczym żmija owinął się wokół wysmukłej nóżki kieliszka. – Wygląda na zabójczą mieszankę, prawda? Tymczasem to nic innego jak curaçao w jednej czwartej, w trzech czwartych szampan oraz dosłownie kilka kropelek wódki angostury. Nie macie nawet pojęcia, jak wybornie może smakować taki melanz.

Szybko zrobiła się druga w nocy. Fały bębniły o maszty, a malejący księżyc oświecał szarym światłem mesę, w której podano do stołu. Po wspaniałej kolacji (tak jak to sobie wyobrażała Ágata) część gości wyraziła życzenie powrotu pod pokład, żeby schronić się przed chłodem nocy na morzu, choć przede wszystkim po to, aby zwalczyć dziwny wpływ owego drinka, którym Olivia uparła się wznieść toast, kiedy podano desery.

– No to zdrowko! Kochani, jednym haustem, jak na wikingów przystało!

– Chyba powinienem już się położyć, te hiszpańskie pory rautów są doprawdy wbrew naturze – stwierdził chwilę później po angielsku Cary Faithful, powoli usiłując wstać od stołu.

Doznał jednak silnych zawrotów głowy i szybko dał za wygraną. Ciężko opadł na krzesło.

– Pójście spać wzbronione – powiedziała wesoło Olivia. – Zwłaszcza że wciąż jeszcze nie nastąpiło najlepsze. Czy jesteście gotowi na wielką niespodziankę?

Teraz to Ágata zdobyła się na próbę podniesienia się z krzesła.

– Starczy już tego, Oli, zrobiło się bardzo późno i wszyscy jesteśmy skonani. Nie próbuj nas teraz wciągać w którąś z tych swoich tanich grupowych rozrywek, założę się, że chcesz zagrać w mafię albo w grę w prawdę, czyż nie? Dzisiaj już odpuść sobie. Jutro znajdzie się na to czas. Ja też już idę spać.

Powiedziała to, ale nie zdołała się poruszyć. Zesztywniałe mięśnie odmówiły posłuszeństwa.

– O rety, Oli, co ty żeś wlała do tego specyfiku?

– Przecież już wam mówiłam. – Olivia znowu się uśmiechnęła. – To tylko curaçao i Dom Pérignon, mieszanka absolutnie nieinwazyjna. Czyż nie jest wam obłędnie dobrze?

Wieczór rozpoczął się kilka godzin wcześniej, w okolicznościach zdecydowanie mniej kontrowersyjnych. Ágata jako pierwsza wyszła na pokład, a po paru minutach niczym zjawa ukazała się Sonia San Cristóbal. „Zjawa” to niewątpliwie najwłaściwsze słowo. Gwiazda wybiegów miała na sobie białą krótką sukienkę z bawełnianej tkaniny, z delikatnymi srebrnymi zdobieniami na mankietach. Z przodu do złudzenia przypominała anioła, na plecach zaś suknia miała głębokie wycięcie, sięgające poniżej kibici.

– Wspaniały wieczór – stwierdziła Sonia, kiedy już się poznały. – A gdzie podziewa się moja mamcia? Czy była już tutaj?

Jej słowa podziały niczym zakłęcie. Ágata nie zdążyła nawet mrugnąć okiem, a już obok Soni niespodziewanie wyrosła madame Serpent. Owa druga zjawa, bynajmniej nie wyglądająca jak anioł, miała na sobie długą suknię (z tkaniny podobnej do tej, z której uszyty był strój jej córki) przesłaniającą poskręcane, drobne ciało. Ubiór różnił się jedynie tym, że był czarny i nie miał głębokiego wycięcia na plecach. Dzięki Bogu – pomyślała z ulgą Ágata. – Co za duet, jak dzień i noc, jak słońce i mrok. – Nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy stwierdziła, że matka sięga córce mniej więcej do łokcia. Podsumowała: – Są jak dwie części tej samej litery, dość ciemna kropka i bardzo jasne „i”.

– Pani zapewne jest siostrą Olivii, nie mylę się? – zagaiła doña Cristina. Ágata odniosła wrażenie, że rozmówczynię musiała na jej widok najść refleksja nad niebywałą kapryśnością genetyki. – Jesteście siostrami z tego samego ojca, a także z tej samej matki? – dopytywała się z ewidentnym niedowierzaniem. Ágata ledwie zdążyła zapewnić ją, że tak jest w istocie, gdy wtem głucho grzmotnięcie obwieściło pojawienie się na pokładzie kolejnej osoby z grona zaproszonych.

– O Jezusku! – zawołała madame Serpent. – Ależ pan się rąbnął w głowę. Jak się pan czuje, nic się nie stało?

– Nie, dziękuję pani, to raczej nic wielkiego – odparł nowy przybysz, którym był doktor Fuguet we własnej osobie. Wychodząc na

pokład, uderzył czołem w nadproże, z dużą siłą, sądząc po dźwięku, który usłyszeli.

– Ot, jaka niekorzyść płynie z posiadania długich nóg – pouczająco powiedziała doña, z uśmiechem ukazując zebrany wspaniałe uzębienie, którego rekonstrukcja musiała kosztować majątek. – Przy pana wzroście trudno zmieścić się w wymiarowych drzwiach, a co dopiero na jachcie. Na morzu trzeba mieć oczy z tyłu głowy, chłopcze, każdy dobrze wie, że uderzenia i różne wypadki są tu na porządku dziennym.

– No jarecka, ja cię fikam, proszę nie być aż tak upierdliwą zrzędą! – nie wytrzymała trzecia postać, która właśnie wyłaniała się powoli z wnętrza jachtu. Ágata od razu rozpoznała w nim narzeczonego Soni, niejakiego Kardama Kowaczewa alias Churriego.

W księżycowej poświacie i w świetle lamp na pokładzie Ágata miała sposobność przyjrzeć mu się wnikliwiej. Na podstawie wcześniejszej obserwacji przez szybę iluminatora, mogła stwierdzić, że Churri jest mężczyzną niskiego wzrostu, zapewne środkowoeuropejskiego pochodzenia, i wielbicielem siłowni. Teraz można było przypisać mu kolejne cechy, na przykład łagodno-smutne spojrzenie, które zupełnie nie pasowało do grubiańskiego tekstu, jaki przed chwilą był uprzejmy wygłosić. Ágata Uriarte uwielbiała odgadywać charaktery różnych osób na podstawie ich sposobu wysławiania się, była też żarliwą wyznawczynią zasady: „pokaż, jak mówisz, a powiem ci, kim jesteś”. W przypadku tego młodzieńca jednak zachodził wyraźny dysonans poznawczy. Zadziwiająca – pomyślała. – Jego wypowiedź pod adresem „jareckiej” nosiła znamiona wulgarności i złośliwości, lecz chłopak ten wcale mi się nie wydaje wulgarny ani złośliwy. Chociaż... zaraz, tak, chyba już wiem, skąd może brać się owa sprzeczność – Ágata niemal podskoczyła, jakby właśnie odkryła Amerykę. – Cierpi na tę samą przypadłość co inni imigranci, którzy na ulicy usiłują w krótkim czasie przyswoić nowy język. Nie potrafią potem wychwycić pewnych niuansów, których w każdym języku jest pełno, dlatego w rozmowie ze starszą kobietą stosują te same wyrażenia jak podczas wymiany zdań z kumpelą. Jestem tylko ciekawa, co doña Cristina na to, że została nazwana upierdliwą zrzędą i

jarecką-ja-cię-fikam.

Pytanie było czysto retoryczne, wystarczyło bowiem zaobserwować mordercze spojrzenie, jakie madame Serpent posłała Kardamowi w owej chwili, aby mieć pewność co do jej uczuć.

Parada kolejnych zaproszonych trwała w najlepsze, po chwili bowiem pojawił się Cary Faithful ze swoją Mirandą.

Tak, właśnie parada, bowiem w przekonaniu Agaty wszystko w końcu zaczynało coraz bardziej przypominać to, czego spodziewała się jeszcze przed wyjazdem: wybieg na pokazie mody.

– *Hi, Agatha* – Cary pozdrowił ją niedbałym ruchem prawej ręki.

A niech to – pomyślała Ágata, jeszcze zanim odpowiedziała swoim *hi*, równie leniwym jak to w wykonaniu jej dawnego kolegi ze szkoły. – Cary na pokładzie oznacza, że wszyscy będziemy czuli obowiązek rozmawiania po angielsku, mimo że to takie nużące. Zawsze w większej grupie musi mi się trafić jakiś nietutejszy. Nigdy nie mówią w naszym języku, bo ich własny uchodzi za międzynarodowy, więc ostatecznie wszystkich zmuszają do dukania po ichniemu.

– Och, Cary, *darling* – dodała po przywitaniu, umyślnie stosując swój *macaronic English* i nie usiłując ukryć szyderczego tonu. – Nie sądzisz, że to nieco absurdalne z twojej strony? To wieczór tylko wśród swoich, żadnych kamer, jeśli jeszcze nie zdążyłeś zauważyć.

Ostatnie dwa zdania odnosiły się do tego, że Cary zjawił się na pokładzie uzbrojony w okulary przeciwsłoneczne. Komentarz Agaty nie wywarł na nim żadnego wrażenia. Zmierzał w stronę najbliższego leżaka z zagubionym wzrokiem, utkwionym w jakiś punkt na horyzoncie. Stevie Wonder...

Z całej tej pierwszej wymiany zdań jedyne, co okazało się godne zainteresowania Agaty, to osoba Mirandy, która postępowala krok w krok za nim, ściskając w dłoniach sweter na wypadek, gdyby jej partnerowi zrobiło się chłodno. Miranda wyjaśniła Agacie dwie sprawy. Przede wszystkim stwierdziła, że nie trzeba mówić po angielsku. Coraz wyraźniejsza obecność latynoskiego świata w Los Angeles i samym Hollywood spowodowała, że wielu aktorów zdecydowało się na intensywne kursy języka hiszpańskiego. Pod tym względem Cary nie należał do wyjątków. Miranda wyjaśniła również kwestię czarnych

okularów na nosie gwiazdora.

– To z powodu świateł na pokładzie – wyjaśniła przepaszająco. – Biedaczek od nadmiaru reflektorów punktowych ma strasznie przemęczone oczy.

Szczerze mówiąc, nawet to wyjaśnienie nie przekonało Agaty. Kilka godzin wcześniej, tuż po przybyciu na statek, podczas pierwszej bardzo krótkiej wymiany zdań, Cary twardo nie zdejmował okularów, mimo że pod pokładem nie było żadnego oświetlenia.

Mnie się wydaje, że po prostu niektórzy wolą uchodzić za ślepych jak krety, niż pokazać innym swoje oczy – zauważyła, a potem przyszła jej do głowy myśl, od której zaniósła się śmiechem. – Już sama nie wiem, czy to dlatego, że nasz statek nazywa się jak musujący cyjanek, czy też z tego powodu, że zebrało się tu tak różnorodne towarzystwo, w każdym razie ewidentnie zaczynam przypominać detektywa, podglądać innych i szufladkować, zupełnie jakbym usiłowała wpaść na nie wiadomo jaki trop.

A potem była kolacja, która początkowo przebiegała bez przygód i niespodzianek. Agata zażyła dwie pastylki nongrassu zamiast jednej, wobec czego pofolgowała sobie już przy wykwinnych przystawkach (karmelizowana wątróbka obowiązkowo, no i kawior, że palce lizać... można by go jeść łyżkami). Potem na stole pojawiło się jedno z jej ulubionych dań, kremowe *salmorejo*, następnie zaś przepyszny turbot w papilotach, podany z jakże tuczającymi ziemniaczkami, a wreszcie legendarny suflet *coulant* nasączony baileysem, absolutne niebo w gębie, z nieskończoną liczbą kalorii. Przyjemność była tym większa, że Vlad Romescu usiadł obok niej, i chociaż przez cały wieczór starał się milczeć jak zaklęty, to w tych nielicznych przypadkach, kiedy otwiera usta, by coś powiedzieć, zwracał się wyłącznie do niej. Wspólna rozmowa ze wszystkimi pozostałymi także okazała się bardzo przyjemna. Dotyczyła błahych lub ogólnych tematów, czyli dokładnie tego, czego w takiej sytuacji można się było spodziewać. Raptem tylko raz można było wyczuć, jak to określiła Agata, aurę nieznośnego snobizmu: Olivia i Sonia poświęciły ponad pół godziny na wychwalanie walarów zegarka, który gospodyni nosiła na nadgarstku. Najwyraźniej był to jeden z tych nieprawdopodobnie kosztownych, markowych

gadżetów. Akurat Agacie nazwa absolutnie nic nie mówiła, lecz większość obecnych przy stole wyrażała podziw, przede wszystkim dla faktu, że na świecie istniała ściśle limitowana liczba egzemplarzy. „Mogłabym zabić, żeby mieć taki” – słowa Soni dobiegły uszu Agaty, zanim zupełnie wyłączyła się ze śledzenia dyskusji. W ten sposób upłynęła mniej więcej godzina, wyznaczana leniwym rytmem brazylijskiej muzyki (ściślej mówiąc: Maríi Bethanii i Gal Costy). Dopiero po filiżance kawy Olivia wymogła na każdym wypicie mikstury o jakże niepokojącym niebieskim kolorze, a nikt nie odważył się jej odmówić, zwłaszcza że drink został ochrzczony tak samo jak jacht. Abstrahując od przedziwnego wyglądu, po skosztowaniu okazało się, że napój ma smak nieco gorzkawy, a przy tym – każdy musiał przyznać – niezaprzeczalnie wspaniały.

Już po upływie paru minut goście zaczęli odczuwać skutki wypicia go. To nie było uczucie przykre, lecz po prostu paraliżujące. Dosłownie.

Zupełnie jak u Buñuela – pomyślała Ágata. – Jak wtedy, gdy zaproszeni goście chcą wyjść z przyjęcia, lecz mimo usilnych starań nie mogą tego zrobić. Jak się nazywał ten cholerny film? – Skupiła cały wysiłek na przypomnieniu sobie jakichś detali lub przynajmniej tytułu, lecz jej pamięć pracowała na równie zwolnionych obrotach jak reszta ciała. Pomimo to stopniowo przez ten mętlik spowolnionych myśli zdołała przebić się jedna, która chodziła Agacie po głowie przez cały wieczór, chociaż nie potrafiła ubrać jej w słowa: przygnębiające wrażenie, jakie sprawiał wygląd od dawna niewidzianej starszej siostry. Kiedyż to przywiedła jej kwitnąca uroda, kiedy przygasł blask tych wiecznie roześmianych, szarych oczu? Olivia sprawiała wrażenie zmęczonej, skarłałej, zupełnie jakby nieubłagany czas uruchomił proces kurczenia się jej ciała i rysów twarzy, które niegdyś były pełne i przede wszystkim o wiele bardziej proporcjonalne. Jakby się nad tym zastanowić, to tylko jej głos pozostał ten sam co zawsze. I to właśnie ten głos, pewny i czysty, znenacka przerwał milczenie wszystkich zebranych.

– A teraz, kiedy wreszcie jesteście rozluźnieni i w głowie szumi wam już niejeden kieliszek, posłuchajcie uważnie, oto bowiem nadchodzi chwila ujawnienia mojej niespodzianki. Agato, przed chwilą

wspominałaś o grze w prawdę. Rzeczywiście, za chwilę zagramy w coś, co przypomina taką zabawę. Mam jednak nadzieję, że nigdy nie mieliście okazji zagrać w nic podobnego.

Niecodzienna propozycja

Brazylijska muzyka nagle ucichła, a z głośnika niespodziewanie dobiegło ich wyraźne nagranie. Wszyscy bez trudu rozpoznali głos Olivii Uriarte:

Zapewne nikt z was nie będzie zdziwiony, jeśli zdradzę, że nasze spotkanie ma cel inny niż ten, który widniał na zaproszeniu wysłanym pocztą. Tak naprawdę ma służyć nie tyle świętowaniu mojego rozwodu, ile raczej skłonieniu kogoś z obecnych do popełnienia morderstwa.

Słowa z głośnika dobiegły każdego wyraźnie, pomimo percepcji stepionej ilością spożytego alkoholu. Wszyscy zwrócili oczy na gospodynię wieczoru. Olivia, paląc nie wiadomo już którego papierosa, obserwowała ich z niepokojącym uśmiechem na twarzy.

Każde z was ma swoje słuszne powody, aby życzyć mi śmierci. Każdy z osobna wie, o co mi chodzi, ale uważam za konieczne, aby wszyscy poznali powody innych. Posłuchajcie więc:

Cary Faithful. Nasz wielki Cary Faithful, drugi z najseksowniejszych facetów na ziemi, do którego wzdychają miliony kobiet. Nie wiecie, jaki sekret skrywa? A ja wiem, mam nawet nagrane jego „wyznanie”. Na razie poprzestańmy na tym, że chodzi o pewną zabawę z dziećmi. A im śliczniejsze i młodsze będą te „dzieci”, tym lepiej. Zgadza się, Cary?

Pedro Fuguet. Mój jakże mi drogi doktorze Fuguet, jeśli ktoś miałby mieć istotne powody, żeby mnie nienawidzić, to w pierwszej kolejności właśnie ty. Pamiętasz, jak wykorzystywałam cię nie raz i nie dwa, pamiętasz te odrażające rzeczy, które robiłeś dla mnie, bo spowodowałam, że czuleś się zobowiązany do tego? Fug, czy jeszcze pamiętasz maleńką Clare? A Kozymę, która wydała Clare na świat, kiedy miała skończone ledwie trzynaście lat? Z pewnością nie mogłeś zapomnieć twarzyczki tej młodocianej matki, kiedy błagała, żeby pozwolono jej ostatni raz ucałować wciąż jeszcze zakrwawioną twarz swojego dziecka.

Doña Cristina San Cristóbal, wcześniej znana jako Ana Christie, a jeszcze wcześniej jako Cristobalina Sosa. Już pomijając nierząd oraz inne nieczne i zapewne nielegalne postęпки, które pozwoliły ci osiągnąć

obecną pozycję i wychować córkę – powiedz, do czego wciąż jesteś zdolna dla niej? Czy byłabyś w stanie usunąć kogoś, kto zagraża jej szczęściu? Pomścić dawną wielką zniewagę, za którą to ja odpowiadam? Usunąć każdą przeszkodę, która stanęłaby na drodze do tego, co nazywasz „swoim” wielkim dziełem? Znalazłoby się więcej powodów. Czyż nie mam racji, moja droga?

A teraz skupmy się na tobie, Soniu. Jedyne mężczyzna, którego autentycznie kochałaś, wystawił cię do wiatru dla mnie, a ty po samobójczej próbie wylądowałaś w miejscu, które teraz eufemistycznie nazywa się „zakładami leczniczymi”. Każdy wie, że jesteś ucieleśnieniem dobroduszości – i głupoty, tak na marginesie. Niemniej jednak nawet najbardziej uległa i durnowata osoba jest czasem w stanie zrobić rzeczy, o które nikt by jej nie podejrzewał...

Vlad, skarbie, ciebie także nie mogło zabraknąć na mojej liście. Nie zostałeś tutaj oficjalnie zaproszony, jesteś zwykłym marynarzem, sierotą, po prostu nikim, a w dużej mierze to ja zadbałam o to, żeby tak się stało. Do wiadomości wszystkich obecnych: Vlad sypiał z moim mężem, więc ja zesłałam go tutaj, na galery. Za to wszystko z pewnością darzy mnie szczerym uczuciem, to rozumie się samo przez się.

Niejedno z was pewnie zastanawia się, czemu na mój sabat zaprosiłam dwie osoby, których właściwie zupełnie nie znam, mam na myśli Mirandę de Winter oraz Kardama Kowaczewa. Miranda znalazła się tutaj, ponieważ należy do specjalnego gatunku osób – takich, które kochają zbyt mocno. Kochają niepomierne i są nieświadome tego, że dla ochrony kochanej osoby będą w stanie nawet zabić. Tak wygląda stosunek Mirandy do Cary’ego. No sama powiedz, Miri, nie jest tak?

Przypadek Kardama jest nieco bardziej złożony. Tylko ja i on wiemy, jaki jest powód tego, że tu się znalazł. Życie czasem składa się ze zbiegów okoliczności, no i tak się złożyło, że Kardam jest bratem Kozymy – matki mojej małej biednej Clary. Kozyma nigdy nie doszła do siebie po traumie porodu. Od tamtej pory trafia do coraz bardziej zapuszczonych psychiatryków. Zawsze przysięgałeś, że pomścisz ją, nieprawdaż, Kardamie?

Na koniec zostawiłam sobie moją drogą siostrę Agatę. Cóż mogę wam o niej powiedzieć? Myślę, że każdy z obecnych pamięta historię

dwóch braci, Kaina i Abła. Starszy, Abel, przystojniak, człowiek sukcesu, wszystko zawsze mu wychodziło. Egoistyczny, wygodnicki, dni upływały mu lekko i przyjemnie, mimo to zawsze cieszył się względami Jahwe. Kain, odpowiedzialny i pracowity, człowiek, którego wysiłki wciąż spęzały na niczym, a wszystko wychodziło na opak. Biedny Kain, wielki pechowiec pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia. Czy naprawdę muszę wam przypominać, jaki koniec miała ta historia? Jedna z najstarszych historii na świecie, swoją drogą.

Głos raptownie ucichł. Wszyscy spojrzeli po sobie, a na pokładzie zapanowała głucha cisza. Ktokolwiek usiłował się poruszyć, nie mógł tego uczynić, zupełnie jakby mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Ze swoich miejsc siedzących wszyscy mogli za to wyraźnie widzieć, jak Olivia Uriarte wstaje z krzesła u szczytu stołu, powoli oddala się i znika pod pokładem. Zupełnie jakby stopniowo pochłaniały ją trzewia „Sparkling Cyanide”.

Niech ktoś otworzy te drzwi, na Boga!

Ale miałam dziwny sen – to była pierwsza myśl Agaty po obudzeniu się wczesnym rankiem następnego dnia. Bolała ją głowa i dzwoniło w uszach, lecz pomijając te drobne przypadłości, nie wierzyła, aby zapamiętane przez nią wydarzenia poprzedniej nocy faktycznie miały miejsce. – To musiał być jakiś absurdalny koszmar – uznała, tylko że zaprzeczało temu leżące obok ubranie, które wieczorem miała na sobie, i puste obecnie pudełko na lekarstwa, w którym wcześniej trzymała dwie pastylki nongrassu 321. – A może jednym ze skutków ubocznych zażywania tego medykamentu jest występowanie koszmarów, a nawet niewielkich halucynacji? – zastanawiała się. – Z pewnością nie, no ale tak czy inaczej muszę odtąd bardziej uważać z tymi cud-tabletkami.

Ágata postanowiła nie zwlekać dłużej i ubrać się. Do tego, aby wyjść na pokład i zażyć porannych promieni słonecznych, wystarczyło bikini i owinięcie się pareo w celu przesłonięcia tłustego tego i owego. Opalanie bez świadków – pomyślała z nadzieją, bowiem pierwsze chwile w bikini po tyłu zimowych miesiącach zawsze były dla niej przeżyciem przygnębiającym, by nie powiedzieć, wstrząsającym. – Oj, żeby tak złapać choć trochę opalenizny, która przyciemni te fałdy – zaśmiała się, po czym po cichutku ruszyła długim korytarzem, aż dotarła na pokład. Wszystkie mijane po drodze kajuty były zamknięte. – No i dobrze. Kąpiel słoneczna bez konieczności pogawędki to luksus, jakich mało.

Pierwsze, co zauważyła po wyjściu na pokład, było położenie jachtu, znajdował się dość daleko od brzegu. Musieli płynąć całą noc, gdyż w porannej mgle kontury wyspy rysowały się niewyraźnie w odległości kilku dobrych mil. Bycie w ciągłym ruchu, oto charakterystyczna cecha bogatych – zauważyła. – Kiedy są w jednym miejscu, zaraz ruszają ileś tam mil do innego, im dalej, tym lepiej, a potem znowu dawaj w to pierwsze. Dzięki tej płasawicy jesteśmy z pewnością ze dwie godziny drogi od lądu – stwierdziła, po czym zrzuciła z siebie pareo. Poczowała się wspaniale i nie myślała już o bogaczach. Poranna bryza była na tyle delikatna, a morze tak spokojne,

że aż chciało się rozkosznie dać nurka w tę wodę, skacząc z drabinki umocowanej na rufie. Na szczęście nie zdecydowała się na to. Gdyby spróbowała, uderzyłaby o pomost rozpościerający się dwa, trzy metry niżej, tuż nad powierzchnią wody. A to co za lichy – pomyślała. – Kiedy wczoraj wchodziliśmy na pokład, nie było tu tej drewnianej landary. Na pewno chodzi o to – wydedukowała – że pomost składają przed samym wypłynięciem w morze, a kiedy potem jacht zatrzymuje się lub stoi na kotwicy, rozkładają go, by ułatwić pasażerom zejście do wody.

Następnie Ágata przypomniała sobie przesłane jej poprzedniego lata zdjęcie siostry, w formie pocztówki, jak to Olivia miała w zwyczaju. Na fotografii była ona na rufie statku, tyłem do morza, usadowiona na relingu, o który Ágata w tej chwili opierała łokcie. Mogę się założyć, znając Oli, że na potrzeby zdjęcia kazała rozłożyć pomost, chociaż przez to nie robiło się bezpieczniej. Utrata równowagi i człowiek leci przez plecy za burtę, a o to coś można sobie roztrzaskać głowę – oceniła zdroworozsądkowo, pamiętając, że w dzieciństwie to ona, malutka siostrzyczka, baczyła na wiecznie beztroską i nieświadomą możliwych zagrożeń Olivie. Skoro już przywołała imię swojej kochanej siostry, myśli zaczęły krążyć wokół niej. – Zastanawiam się, co ją ugryzło, żeby wczoraj po kolacji zachowywać się tak karygodnie i pleść takie bzdury. „Gra w prawdę”, tak to nazwała, rany, co za kosmos, nigdy czegoś podobnego nie widziałam. Czyżby to najświeższa rozrywka w środowisku znudzonych milionerów? Wmawianie tych horrendalnych głupstw, kiedy każdy jest tak pijany, że nie może się ruszyć ani zaprotestować? Rany, co za ludzie! Moim zdaniem oni po prostu nie wiedzą, jak inaczej przydać życiu nutki emocji.

Dobiegający z wnętrza statku szmer prysznicza raptownie przerwał jej rozważania. No cóż – stwierdziła z delikatnym gestem rozczarowania – wygląda na to, że ranne ptaszki zaczynają wstawać. Postanowiła natychmiast wejść do wody i zażyć kąpieli na osobności, nim pozostali pojawią się na pokładzie. Podeszła do jednej z balustrad, ale nie tej od strony rufy, pod którą rozpościerał się pomost dla amatorów kąpieli, lecz na bakburcie, o nią opierał się trap, którym dzień wcześniej wszyscy weszli z pontonu na pokład jachtu. Nie czujesz strachu przed taką kąpielą – pytała samą siebie – tyle mil od brzegu, bez świadków na

pokładzie, gdyby coś się stało? A co mi się może stać? Przecież rekin mnie nie pożre. Najgorsze, co może mnie spotkać – powtarzała sobie jak ktoś, kto usiłuje przezwyciężyć nieuzasadnioną obawę – to że natrafię na meduzę; ale z tego co gdzieś czytałam, meduzy najczęściej pojawiają się przy brzegu.

Najpierw zamierzała zejść do wody, korzystając ze schodków trapowych, potem jednak poczuła przypływ siły i zdecydowała się na skok (na pewno nie na główkę, nie czuła się aż tak pewnie, po prostu zwykły skok na nogi). Raz, dwa, trzy, i hop. Kilka sekund później Ágata znajdowała się już w wodzie o intensywnym odcieniu błękitu, przypominającym kolor atramentu. Pierwsza samotna poranna kąpiel okazała się naprawdę cudowną przyjemnością, ten dotyk kropeł spływających po jej skórze z ramion, z dłoni, niknących potem w głębinie. Na chwilę otworzyła oczy i przyglądała się, jak snopy światła przenikają gęstą ciemną toń, aż niktąd gdzieś głęboko, w miejscu odległym, niewidocznym i nieodkrytym. To tylko krótkie pluskanie – powtórzyła sobie, przezornie pamiętając o nieoddalaniu się nazbyt od jachtu, było bowiem oczywiste, że skoro nikt nie wiedział, że ona przebywa w wodzie, to również nikt nie będzie jej w stanie pomóc, gdyby coś się zdarzyło. Cóż, kochana, zawsze trochę byłaś cykorem – uśmiechnęła się do swoich myśli. – Przecież nie zaszkodzi ci, że odpłyniesz na kilka metrów. – Co następnie uczyniła. Popływała w pobliżu statku, a po mniej więcej dziesięciu minutach postanowiła wrócić na pokład. To wtedy uświadomiła sobie, że aby wejść na górę, musi po drodze minąć bulaj głównej kajuty, przez co znowu, tak jak dzień wcześniej, rzuci okiem na pomieszczenie, w którym przebywa jej siostra. Podejrzewam jednak – stwierdziła – że o tej porze zasłony będą zaciągnięte, a Oli śpi jak kamień. Zdecydowanie nie jest rannym ptaszkiem – pomyślała, a potem przypomniała sobie słowa często powtarzane przez starszą siostrę: „Przed jedenastą rano nie dzieje się nic, co byłoby godne mojej choćby najmniejszej uwagi”. Typowy komentarz w ustach Olivii, całkowicie zgodny z jej filozofią życiową. Zresztą łatwo takie rzeczy mówić komuś, kto nigdy nie musiał zrywać się o świcie. W przeciwieństwie do Agaty, która w szkole meldowała się już przed ósmą rano. Czekwała na przybycie zaspanej młodzieży, która

kwesie języka, a już zwłaszcza literatury pięknej, miała po prostu w nosie.

Wdrapywała się na pokład, wciąż nad tym rozmyślając, kiedy nagle zauważyła ze zdziwieniem, że zasłony w kabinie Olivii są rozsunięte – nie rozchylone nieznacznie lub nieuważnie, lecz całkowicie odsunięte na bok.

Spanie na oczach wszystkich, co za zupełnie zbędny ekshibicjonizm, skonstatowała z purytańskim wyrzutem, ale chwilę potem zauważyła, że jej siostra wyciągnięta na łóżku leży bezwładnie, jakoś tak nienaturalnie. Agatę bardzo to zaniepokoiło.

– Oli! – zawołała, uderzając knykciami w szybę iluminatora. – Dobrze się czujesz? Coś się stało?

Na wpół przesłonięta włosami twarz, a także reszta ciała jej siostry wyginała się na prześcieradle w kształt niezwykle przypominający znak zapytania.

Ágata chciała krzyknąć, ale głos uwiązał jej w gardle. Musiała jak najszybciej wspiąć się na górę, zejść pod pokład w stronę kajuty Olivii, otworzyć te drzwi, wyważyć, jeśli okazałoby się to konieczne. Rany boskie, co tam się mogło stać?

– Ratunku, niech ktoś tu pomoże, na Boga!!!

Ostatni figiel

Kilka minut później wszyscy zgromadzili się w ciasnym korytarzu przed drzwiami do głównej kajuty. Wyraźnie zaspana Sonia San Cristóbal trzymała małą różową *baby doll*. Cristobalina Sosa miała na sobie zwiewną i niewątpliwie bardzo drogą podomkę z białego jedwabiu. Cary z Mirandą dzielili jedną pidżamę, ona miała na sobie górę, on dół. Nieco bardziej po prawej stał Kardam Kowaczew przepasany ręcznikiem i pytał pozostałych, czy będzie potrzebny do wyważania drzwi. Z odpowiedzią pospieszył Vlad; jako kapitan jachtu stwierdził, że nie trzeba, wystarczy klucz otwierający wszystkie zamki, za chwilę go przyniesie, i naprawdę nie ma sensu panikować.

– Panikować? A kto tu panikuje? Na pewno nie ja – stwierdziła doña Cristina, gdy czekali, aż Vlad wróci z uniwersalnym kluczem. – Jeśli ją zamroczyło, to z pewnością przez to świństwo, które kazała nam wczoraj wypić. Zresztą zasłużyła sobie, choćby za te niewybaczalne teksty, które wieczorem wygłaszała.

– A co takiego powiedziała? – wmieszał się Cary, który w samych spodniach od pidżamy i w nieodłącznych okularach przeciwsłonecznych sprawiał jeszcze bardziej dwuznaczne wrażenie niż zwykle. – Nie pamiętam nic z tego, co się działo po deserze.

– Ja tak samo – dodała Miranda de Winter. Wyglądała zupełnie inaczej niż dzień wcześniej; jej wspaniałe włosy rodem z prerafaelickiego obrazu tym razem przesłaniał ręcznik. Przez brak najbardziej charakterystycznego atrybutu wyostrzał się jej kształt nosa i podbródka, przez co wyglądała niemal jak skrzydlaty drapieжник.

– Mam dokładnie to samo wrażenie. Zupełnie nic nie pamiętam z tego, co mówiła Olivia – dołączył się Vlad, który właśnie wrócił z kluczem w rękę i usiłował otworzyć drzwi (inna sprawa, że nie wykazywał przy tym jakiegoś szczególnego zdecydowania).

Kłamią – stwierdziła w myślach Ágata, podczas gdy mocowanie się z zamkiem trwało w najlepsze. – Oczywiście, że pamiętają wydarzenia ubiegłej nocy, jakżeby inaczej. I co on, do cholery, wyrabia z tym kluczem, że drzwi jeszcze nie są otwarte? Na miłość boską, Vlad, na co czekasz?!

Wszystko trwało raptem kilka minut, trzy, w sumie może cztery. Gdy znacznie później Ágata starała się uporządkować przebieg wydarzeń tamtego dnia, sama była zaskoczona, że może odtworzyć wszystko, co się wtedy wydarzyło, nawet z tak błahymi szczegółami, jak choćby kolor podszewki szlafroka Cristobaliny Sosy (żółty, wyblakły), włącznie z tymi pozbawionymi jakiegokolwiek znaczenia: sposób, w jaki Cary Faithful bawił się sznurkami od spodni pidżamy, gdy mówił, że z poprzedniego wieczoru za cholereę nic nie pamięta. Albo tymi dziwnymi: wzrok Kardama Kowaczewa, który badawczo przyglądał się twarzom obecnych, jakby doszukiwał się w nich nie wiadomo czego. Grymasu zdradzającego winę? Porozumiewawczego gestu ze strony współsprawcy? Przejawów skrywanej radości z tego, co się stało?

Niewiele minut, które tak się dłużyły, a tyle szczegółów można było dostrzec. Ágata widziała spojrzenia, jakie wymieniły Sonia z matką, gdy zamek w drzwiach wciąż nie dawał się otworzyć. A także moment, w którym doktor Fuguet, który jako ostatni dołączył do zgromadzonych przed kabiną Olivii, znienacka utorował sobie przejście między zebranymi. Nieludzko opanowany, w czym jednak można było wyczuć olbrzymi niepokój, stanął obok Vlada, w kilku zdawkowych, groźnie brzmiących słowach zażądał, by chłopak oddał mu klucz. Kilka sekund później nastąpiło cichutkie szcęknięcie i drzwi ustąpiły, umożliwiając wszystkim gwałtowne wejście do środka. Z tamtych chwil Ágata doskonale zapamiętała, że po wejściu uderzyła ich wyczuwalna w całej kajucie woń gorzkich migdałów oraz okrzyk stojącego obok niej doktora Fugueta („Mój Boże!”), niechybnie w tej samej chwili, gdy i on poczuł ten zapach. Na łóżku pośród skotłowanych prześcieradeł leżało ciało Olivii Uriarte. Twarz częściowo przesłaniały blond włosy, a sztywne ramiona spoczywały po jednej stronie materaca.

Tylko dwie osoby natychmiast rzuciły się w jej kierunku. Błada jak kreda Ágata jako pierwsza, tuż za nią Pedro Fuguet z potwornym, ochrypłym wrzaskiem.

– Olivio! – jej imię rozbrzmiało w ustach obojga, a już sekundę później okrzyk przerażenia przeszedł w okrzyk zdziwienia na widok Olivii przeciągającej się na łóżku i spoglądającej na nich wzrokiem, który wyrażał najwyższe zdumienie. Wyglądała jak ktoś, kto właśnie

budzi się z letargu lub komu nagle wraca świadomość po nienaturalnie długim i całkiem przyjemnym śnie.

– Można wiedzieć, co się wam wszystkim stało? Skąd ten rwetes? Wyglądacie, jakbyście właśnie zobaczyli ducha.

Zapanowała powszechna konsternacja, nikt nie był w stanie wydusić z siebie choćby słowa. Głucha cisza sparaliżowała wszystkich obecnych, zupełnie tak jak to miało miejsce dzień wcześniej, po deserze.

Zaledwie osiem godzin po tych wydarzeniach Olivia Uriarte była martwa. Tym razem naprawdę.

Przypomnij sobie, przypomnij

– Proszę pani, niech się pani uspokoi, najważniejsze, żeby sobie teraz wszystko przypomnieć. Rozumiem, że to dla pani trudna chwila, ale proszę zapanować nad nerwami i spokojnie pomyśleć. Każdemu z państwa zadamy kilka pytań, w miarę możliwości każdemu z osobna, więc muszą państwo koniecznie pozostać w swoich kajutach.

Ágata przyglądała się stojącemu przed nią mężczyźnie. Jakże oni, prawdziwi policjanci, nie są podobni do tych filmowych – pomyślała, kiedy ujrzała tego drobnego, młodego funkcjonariusza, który nieomal ginął w zielonym mundurze Guardia Civil. – Ile on ma lat, dwadzieścia cztery, może dwadzieścia pięć? Zresztą wygląda na jeszcze mniej.

– Czy chce pan, żebym teraz zaczęła? – zapytała.

Młodzieniec (przedstawił się jako kapral Padilla) uspokoił ją ruchem ręki.

– Mamy czas. Kiedy mój przełożony porucznik Gálvez zakończy wizję lokalną, podejmiemy czynności związane z zeznaniami. Proszę tu poczekać i przypomnieć sobie godziny poprzedzające chwilę odnalezienia zwłok. Każdy szczegół może okazać się istotny.

Ciało odkrył Vlad, to pierwsza rzecz, jaką zdołała sobie przypomnieć Ágata. I to, że odnalazł je na pomoście dla kąpielowiczów. Nie było widać śladów walki. Zapamiętała też, że na krzyk kapitana wszyscy zlecieli się na pokład, nawet załoga. Kiedy Ágata przybiegła na miejsce, był już tam doktor Fuguet, który przez chwilę, która Agacie wydawała się wiecznością, usiłował reanimować poszkodowaną, ale bez skutku. Co się stało? Ktoś z zebranych uznał za oczywiste, że mogła wychylić się przez poręcz i wypaść. Ale czy była wtedy sama, czy może był tam ktoś jeszcze? Wszyscy zaprzeczyli, by cokolwiek widzieli lub słyszeli.

Z policją skontaktowano się przez radio, po czym jacht wrócił do portu, zgodnie z wytycznymi policyjnych służb morskich. Teraz „Sparkling Cyanide” cumował w Andratx w oczekiwaniu na lekarza sądowego; niestety, trzeba było uzbroić się w cierpliwość. Na autostradzie podobno doszło do jakiegoś wypadku, byli zabici, więc konsyliarz mógł pojawić się na statku najwcześniej za godzinę.

Wystarczająco dużo czasu, aby uporządkować myśli, tak jak prosił kapral Padilla. Czy pozostali robią to samo w swoich kabinach? Ágata pomyślała, że wspomnienia różnych osób rzadko okazują się zgodne, chociaż akurat ona była absolutnie pewna swoich. Zastanawiała się jednak, czy Olivia miała rację, mówiąc, że śmierć zazwyczaj poprzedzają zauważalne przestrogi i oznaki. Ágata spróbowała odtworzyć sobie rozmowę, jaką przeprowadziła raptem kilka godzin wcześniej z siostrą ubierającą się do śniadania. Czas pokazał, że słowa Olivii miały solidne podstawy.

– Jak mogłaś zrobić coś takiego, Oli, tak kretyński dowcip?! Kretyński to mało powiedziane, jeśli wspomnieć twoje wieczorne popisy. Okrutny i makabryczny. Udawać martwą, a na dodatek jeszcze wypryskać pomieszczenie zapachem gorzkich migdałów, zupełnie jak w jakimś tanim, lichym kryminale. Skąd ci przychodzą do głowy takie idiotyzmy? Podejrzewam, że to kolejna z twoich nowobogackich rozrywek dla znudzonych milionerów, tylko że wdzięku w tym nie ma za grosz. Wystarczy spojrzeć na miny twoich gości.

– Głuptasie, przecież *właśnie* to chciałam osiągnąć, ujrzeć ich twarze. Nie rozumiesz?

– Wygląda na to, że nie. Niby co mam rozumieć?

– Czasem jesteś taka ograniczona, że aż trudno uwierzyć, skarbie. W porządku, spróbuję to wyjaśnić inaczej. Mówi się, że gdybyś w chwili śmierci mogła obserwować twarze osób z twojego otoczenia, dowiedziałabyś się, kto cię szczerze kochał, a kto nie, a także kto byłby w stanie cię zabić. To prawda. Dzięki temu teraz *doskonale wiem*, co pojmują o mnie każde z was. Możesz mi zapiąć suwak? Zupełnie nie pojmuję, jak kobiety radzą sobie bez męża i służącej, kiedy wkładają suknie z zapięciem na plecach? Jak robisz to choćby ty, skoro nigdy nie miałaś ani jednego, ani drugiego?

– O rety, dosyć tego, Oli – przerwała Ágata. Nie miała cierpliwości do jej komentarzy. – Już nawet ja, twoja siostra, nie nabieram się na ten festiwal błazenady i prowokacji, w jaki zamieniłaś swoje życie. Niby co chcesz mi wmówić, wspominając o obserwowaniu twarzy? I po co taki cyrk, jak wczoraj wieczorem albo jak ten poranny popis?

– „O rety”? Wciąż używasz tego tekstu z epoki lodowcowej?

Słoneczko, jesteś tak rozkosznie niedzisiejsza.

– Skończ wreszcie z tymi głupotami i odpowiedz na pytanie.

Olivia westchnęła głośno, widząc, że musi uzbroić się w cierpliwość.

– Dobrze, moja droga, przekonajmy się, czy teraz załapiesz, o co chodzi. Nie ma ludzi, którzy beztrąsko i otwarcie mówią to, co myślą i czują. Mam rację, prawda? Hipokryzja, zwana również dobrym wychowaniem, bo to jest jedno i to samo, to wspaniałe wynalazek, służy przede wszystkim do tego, aby uniknąć kłopotliwej sytuacji, jaka wynikłaby z otwartego wyrażania niestosownych myśli. Jesteśmy jak dotąd zgodne, tak? Kiedy jednak owe zasady zostają złamane... i ktoś, tak jak ja wczorajszej nocy, bez ogródek mówi rzeczy, do których zapewne nikt nie przyznaje się przed samym sobą, wówczas wzorce uprzejmości idą do diabła. Natomiast istnieje jeszcze bardziej interesująca sytuacja, kiedy to najczęściej wychodzi szydło z worka, czyli ta, którą odegrałam: sytuacja śmierci, prawdziwej czy udawanej, wszystko jedno. Kilka minut temu ujrzałam na twarzach tych wygłodniałych wilków prawdę. Ale to tylko próba generalna przed tym, co stanie się niebawem, o ile wydarzenia potoczą się zgodnie z planem.

– A co ma się stać, do cholery? Nic, zupełnie nic. Z mojego punktu widzenia twoje wymądrzanie się w ogóle nie ma sensu.

– No i tu jest pies pogrzebany, słoneczko. Z twojego punktu widzenia, a właściwie z twojego punktu myślenia. Nigdy nie potrafisz wyjść poza pudełko.

– Poza jakie znowu pudełko?! Bardzo proszę, wyjaśnij mi swoją kolejną genialną teoryjkę – odparowała Ágata raczej z sarkazmem niż zainteresowaniem.

– Teoria nie jest ani nowa, ani moja, chociaż zawsze stosowałam ją w praktyce. Wyjść poza pudełko, *out of the box*, myśleć poza ramami, czyli rozumować inaczej niż wszyscy, wyjść poza szablon, według którego dwa plus dwa zawsze równa się cztery. Tu chodzi o łączenie odmiennych rzeczy, rozumiesz, o mieszanie jabłek z gruszkami, aby rozwiązać to, co pozornie nierozwiązywalne.

– Niezła brednia – podsumowała ewidentnie rozdrażniona Ágata, a zniecierpliwionym machnięciem prawej ręki dała do zrozumienia, że nie

przyjmuje do wiadomości żadnego z właśnie usłyszanych argumentów.

Ścisłej mówiąc, zaszufładowała to w tym zakątku swego umysłu, który mógłby być opatrzony etykietką „Zagrywki Olivii” lub „Siostrzane bzdety”. Stworzyła go już dawno temu i od razu wrzucała tam różnorodną, choć zawsze męczącą twórczość Olivii. Po co dalej słuchać tych głupot? Zbliżyła się jedenasta przed południem, z pewnością podano już do stołu obfite śniadanie (przy odrobieniu szczęścia przyjdzie też Vlad, tak jak poprzedniego wieczoru). Jedno z tych śniadań, jakimi można delectować się w ekskluzywnych i koszmarnie drogich lokalach, w których roi się od barwnych potraw, takich jak rolmopsy, arepy, bliny nadziewane kawiozem, *huevos rancheros*. Olivia zawsze uwielbiała łączyć różne kuchnie i smaki, dworowała sobie siostra. Czy powinnam wziąć kolejny nongrass 321?, przyszło jej do głowy, kiedy zamykała za sobą drzwi kajuty Olivii i ruszyła z powrotem na pokład. Agacie wydawało się, że po drugiej stronie ściany słyszą zduszony, zgorzkniały śmiech, ale i to umieściła w przegródce z napisem „Zagrywki Olivii”. Przede wszystkim skupiła się na rozważaniach, czy zażyć nongrass, czy dla odmiany wypróbować jakiś inny cudowny środek na odchudzanie. Może spróbować bardzo drogiej pastylki homeopatycznej, do czego zachęcała ją sąsiadka z naprzeciwka. Z ulotki załączonej do tego leku wynikało, że miał działanie umiarkowanie przeczyszczające.

Kiedyś jednak będę musiała skończyć eksperymentowanie z tymi dietami cud – zaklinała się (oczywiście bez najmniejszego choćby zamiaru dotrzymania słowa). – Od jutra, obiecuję, od jutra będę już rozsądna – dodała, ale już po chwili myślała o czymś innym: – Pora na śniadanie! Umieram z głodu. Po tych popisach Olivii jestem bardzo ciekawa, co się znowu wydarzy, kiedy wszyscy znów siądziemy do stołu.

Ágata na chwilę przerwała wspomnienia. Czy kapral Padilla i porucznik Gálvez usłyszą z jej ust podczas przesłuchania to wszystko, co uporządkowała sobie do tej pory? Owszem, czemu nie, a niech poznają osobowość Olivii. Policja zawsze próbuje ustalić takie szczegóły, przynajmniej tak to się odbywa w filmach.

Natomiast za żadne skarby świata nie wspomnę o moich

perypetiach ze środkami odchudzającymi – obiecała sobie Ágata. – To nie ma znaczenia dla nikogo. No dobrze, gdzie to ja byłam? Już wiem, udałam się na pokład, żeby zasiąść do śniadania...

– Zobaczycie, że tak zrobię. – Agatę dobiegły słowa doñi Cristobaliny Sosy w chwili, gdy wyłoniła się z wnętrza jachtu. – Ja tam nie jestem wykształcona ani w Sacré-Kur (tak to wymawiała), ani w żadnych innych drogich szkołach, do jakich było wam dane uczęszczać, i nigdy nie mam w zwyczaju owijać czegokolwiek w bawełnę. Jestem też za stara, żeby znosić idiotyzmy znudzonych bogatych pańienek. Albo więc ta kobieta przeprosi za to, że tak nas wszystkich dzisiaj wystraszyła, i za wczorajsze słowa, albo koniec i wracam do portu, i to od razu.

– Nie przesadzaj, mamusiu, to tylko żarty bez znaczenia – uspokajała ją Sonia San Cristóbal, która tym razem miała na sobie białe szorty i niedbale rozchełstaną błękitną koszulę. Oczywiście wyglądem wyróżniała się na tle innych.

Przypatrując się twarzom pozostałych osób, Ágata bez trudu mogła wywnioskować, że co najmniej troje z nich (Miranda de Winter, Kardam Kowaczew, a nawet doktor Fuguet) przychyliła się do zdania madame Serpent, a nie jej zachwycającej córki.

Cary Faithful z kolei obrał swoją tradycyjną już strategię i zachowywał się, jakby wszystko wokoło nie robiło na nim najmniejszego wrażenia. Pozorną obojętność wzmacniały tego dnia jeszcze bardziej nieprzeniknione ray-bany, za którymi kolejny raz ukrył swoje oczy. Przyjętą postawę „nie ze mną te numery” podkreślał fakt, że jego uwagę całkowicie pochłoneła obsługa blackberry (czyżby w końcu miał zasięg?!), na którego ekranie pisał przydługie teksty, a towarzyszyły temu krótkie komentarze, a to zniechęcenia (*oh shit*), a to infantylnego znudzenia (*oh, come on, for Christ's sake, fucking shit*).

– A oto i nasza królewna – oznajmiła doña Cristina parę minut później, zobaczywszy Oliwię wyłaniającą się spod pokładu. – Chodź no tutaj, droga pani, bo mam zamiar powiedzieć ci to i owo.

– Jasne, już idę – Olivia odpowiedziała niedbale, ale nadal szła tym samym krokiem, nawet zatrzymała się przed doktorem Fuguetem, którego obdarzyła jednym ze swoich rozbrajających uśmiechów, tak

dobrze znanych jej siostrze.

Nadal jest piękna – pomyślała Ágata, nie zwracając już więcej uwagi na dąsy madame Serpent, które zmniejszały się z każdą chwilą. – Ciekawa sprawa, że Oli wygląda teraz zupełnie inaczej niż wczoraj wieczorem, kiedy wydawała się spięta i przywiedła, i inaczej niż dziś rano w swojej kajucie. Teraz jest niemal jak mała dziewczynka, uznała Ágata, chociaż szybko musiała zweryfikować to wrażenie. Kiedy tylko uśmiech przeznaczony dla Fugueta zgasł na ustach Olivii, twarz zaczęła wyglądać równie mizernie jak wcześniej. Ágata zerknęła na lekarza. Czy Pedro Fuguet widział to samo co ona? Potwierdzał to zaskoczony wyraz jego oblicza. Biedaczysko, stracił dla niej głowę, pomyślała, a potem zaczęła się zastanawiać, czym zasłużył sobie na uśmiech siostry. Może to tylko zwykła uprzejmość i nie ma sensu doszukiwać się w tym nie wiadomo czego.

Ágata drugi raz przerwała wspomnienia. Czy kaprała Padillę zainteresują te moje deliberacje? – pytała samą siebie. – Rany boskie, jak trudno oddzielić to, co dla policjanta ważne, od tego, co po prostu nieistotne.

W każdym razie Ágata jest absolutnie pewna, że o dwóch wspomnieniach, które były następne w kolejce, *zdecydowanie nie* opowie ani policjantowi, ani nikomu innemu. Nie zrobię tego, bo przecież kogoś, kto zajmuje się wypadkiem – mówi sobie Ágata – najbardziej interesują rozmowy między zaproszonymi, szkoda tylko, że akurat tych w ogóle nie pamiętam. („Jak to możliwe, a wygląda pani na bardzo spostrzegawczą osobę”, tak mógłby powiedzieć Padilla, bystry na swój sposób). Tylko że to najprawdziwsza prawda, nie pamiętam ani słowa, zaznacza Ágata. Z kolei tego, co *jak najbardziej* pamięta, nie myśli komukolwiek opowiadać, choćby ją mieli kroić. No bo tak naprawdę – usprawiedliwia się – to jak opowiedzieć o dwóch zdarzeniach, jednym bardzo miłym, a drugim wyjątkowo nieprzyjemnym, jak przedstawić je w taki sposób, żeby nie zostały zbyt śmiechem?

Bohaterem pierwszej sceny był Vlad Romescu i przepyszne *huevos rancheros* z ostrą papryką poblano, drugiej natomiast... Drugą może lepiej rozłożmy na czynniki pierwsze. Tego dnia miały miejsce

niewątpliwie o wiele tragiczniejsze wydarzenia, lecz Agatę wciąż przeszywał dreszcz na myśl właśnie o tej sprawie.

Śniadanie. Zajęła jedyne wolne miejsce przy stole, między Carym Faithfulem (który w końcu porzucił swoje blackberry i zaczął wpatrywać się w bicepsy Kardama Kowaczewa z zapamiętaniem przekraczającym granicę dobrych manier) a wiecznie milczącym doktorem Fuguetem. Śniadanie odbywało się w formie szwedzkiego stołu, każdy z obecnych musiał wstać z krzesła i podejść do drugiego blatu z jedzeniem, stojącego przy burcie na rufie. Na stole znajdował się cały zestaw wspaniałych delikatesów: owoce tropikalne, jajka przygotowane na trzy sposoby, boczek, łosoś, kawior, różnorakie wędliny, nawet śledzie w śmietanie, na myśl o nich Agacie aż ciekła ślinka. Wszystko to znajdowało się w zasięgu ręki stołowników, natomiast gorące i zimne napoje podawali marynarze, którzy krążyli między gośćmi z dwoma termosami, jednym z wrzątkiem na herbatę, drugim z dymiącą kawą.

Wróciłam od stołu z jedzeniem, na sam jego widok człowiek nabierał apetytu. – Ágata wróciła pamięcią do tamtej chwili, niemal mogła nawet odtworzyć sobie smakowitą woń tych wszystkich pyszności na talerzu. W świetle reflektorów znalazły się trzy małe bliny z kawiozem, wielka porcja śledzi w śmietanie, a na środku talerza dumnie prężyły się dwa złociste, chrupiące *huevos rancheros* z dużą ilością chili – samotna wyspa otoczona zewsząd czarną fasolą.

Kiedy delektowałam się śledziami w śmietanie i czekałam na termos z kawą, zrobiłam dwie rzeczy. Najpierw zażyłam magiczną pigułkę homeopatyczną polecaną przez sąsiadkę, potem zaś oddałam się oglądaniu Vlada Romescu, który dopiero pojawił się na pokładzie. Patrzenie nic nie kosztuje, powiedziałam sobie w duchu. Jednocześnie przypomniało mi się, że o ile uwagi Olivii z poprzedniego wieczoru w ogóle były prawdziwe (dlaczego zresztą miałyby być inaczej?), to sprawiający tak męskie wrażenie, oszałamiająco apetyczny Vlad, od którego nawet na chwilę nie mogłam oderwać oczu, był... hmm, powiedzmy, że był przykładnym żołnierzem w spartańskich szeregach. Jesteś głupia albo jeszcze gorzej – zganiłam się za swoje zainteresowanie Vladem. – Zobaczysz, co to będzie, jak on przejdzie

przed nosem Cary'ego, który jest tej samej orientacji, i kiedy zetkną się ich ciała. Do czego to doszło, że łatwiej o nosorożca białego niż o heteroseksualnego faceta, westchnęłam z rezygnacją, a w oczekiwaniu na potwierdzenie mojej teorii wetknęłam, jeśli dobrze pamiętam, wielką pajdę chleba w pomarańczowe żółtko jednego z moich dwóch *huevos rancheros*, usiłując ukryć moje olbrzymie rozczarowanie. W końcu nadszedł moment, gdy Vlad znalazł się nieopodal Cary'ego, a ja znowu zaczęłam ich obserwować. Mimo że skupiałam na tym wszystkie wysiłki, nie zdołałam zauważyć niczego podejrzanego, żadnej demaskującej go zmiany. Naprawdę dziwne, uznałam, a tymczasem mój ideał mężczyzny podszedł do miejsca, gdzie siedziałam.

W tym miejscu Ágata zrobiła kolejną przerwę. Chciałaby delektować się tym, co nastąpiło później, smakować tę chwilę powolutku, jak znakomitą potrawę. Nie było to jednak przeżycie kulinarne, aczkolwiek równie apetyczne, w każdym razie... Kiedy zbliżył się do niej, by ją pozdrowić, to *on* jej dotknął, nawet nie raz, tylko dwa. Tak, tak, nie było co do tego żadnej wątpliwości. Vlad pozwolił, aby jego ramię ześlizgnęło się po ramieniu Agaty i pozostało przy nim, w czasie gdy mówił coś do niej, ale ona za Chiny nie pamiętała co, bo była skupiona na komunikacji zupełnie innego typu, mającej niewiele wspólnego ze strunami głosowymi.

Daj spokój, kochana – wyrzucała sobie, pałaszując talerz śledzi w śmietanie zmieszanej z dwoma żółtkami. – Lepiej przerwać to teraz, niż bawić się w jakieś harlequiny. Nie jesteś w jego typie (to zresztą całkiem zrozumiałe), ale nie tylko ty, uświadamiam ci raz jeszcze, żeby to dotarło do ciebie: ten facet to g-e-j, żałośnie przeliterowała to słowo w myślach, jakby chciała wytatuować owe trzy litery na swoim złamanym sercu.

I właśnie wtedy, o ile Ágata dobrze pamiętała, doszło do katastrofy. Nie była ona wcale związana ze śmiercią siostry, co miało nastąpić kilka godzin później, lecz z innym nieszczęściem. Wcześniejszym, mniej przerażającym, chociaż niewątpliwie odgrywającym kluczową rolę w tym, jak Ágata odbierała wszystkie wydarzenia owego dnia. Winny był ten niespodziewany dotyk, jakim obdarzył ją Vlad Romescu. A może kawa, która okazała się szatańsko

mocna? Niewykluczone, że to te dwa *huevos rancheros* spałaszowane wraz ze śledziami w śmietanie, niemal bez przeżuwania. Najpewniej jednak znaczenie miała każda z tych rzeczy, a do tego jeszcze lek homeopatyczny o skutkach, pozał się Boże, przeczyszczających. W każdym razie kiedy tylko Vlad oddalił się kilka metrów, aby nałożyć sobie grzanki, Ágata poczuła pierwsze oznaki poruszenia. A właściwie istnego tsunami, które wystąpiło bynajmniej nie na zupełnie spokojnym tego dnia morzu, lecz w jej brzuchu, w okolicach jelit. Człowiek zawsze czuje, kiedy zbliża się tego typu kataklizm. Najpierw odbiło jej się kawą zmieszaną z chili poblano. Wkrótce nastąpił odgłos niczym z zatkanej rury, a potem plumknięcie, które wywołało w niej dreszcze i wystąpienie zimnych potów. No nie! – zirytowała się w myślach, lecz nic już nie mogła poradzić. Wszystkie objawy były z gatunku tych, o których lepiej nie wspominać, bo nawet kiedy samemu się o nich myśli, twarz rumieni się ze zgrozy. Spadło to na nią tak zniecka, że być może (tak, o Jezusie, tak, oby!!!) nikt nie miał czasu zauważyć, jak na jej pareo (w kolorze khaki, co za szczęście w nieszczęściu) rośnie coraz większa wstydliva brązowa plama. W końcu Ágata zdołała powstać z krzesła i ruszyć pod pokład szalonym biegiem.

Siedząc na skraju łóżka w oczekiwaniu na kaprala Padillę i jego decydenta, porucznika Galveza, którzy mieli przystąpić do serii pytań, Ágata przycisnęła kolana do siebie i zwarła pośladki. Nie ma mowy. O tym wszystkim nie miała zamiaru opowiadać żadnemu funkcjonariuszowi, choćby ją przypiekali na ruszcie. Musiała jednak koniecznie zmyślić jakiś dobry powód, dlaczego nie przebywała z pozostałymi od śniadania aż do piątej po południu, czyli do chwili, kiedy odkryto zwłoki Olivii.

Widzi pan, kapralu, po śniadaniu miałam niewielkie zawroty głowy (mhm, tak właśnie powie; zawroty, to brzmi godnie, a przy tym jak najbardziej wiarygodnie na pokładzie statku)... naprawdę niewielkie, natomiast wie pan, jak uprzykrzające to może być uczucie. Oto przyczyna tego, że tyle godzin spędziłam w kajucie sama. „Czy dobrze rozumiem, że od pory śniadania aż do momentu, kiedy znaleziono ciało pani siostry, nic pani nie widziało ani nie słyszało?” Padilla i jego szef z pewnością zadadzą tego typu pytanie, potem mogą

nawet dodać: „Proszę powiedzieć, panno Uriarte, nikt w tym czasie nie zbliżał się do pani kabiny, żeby sprawdzić, jak się pani czuje? A przez bulaj też nic pani nie zauważyła ani nie usłyszała, żadnej rozmowy, żadnego krzyku, żadnego uderzenia?”

Ágata pomyślała, że jeśli policjanci z krwi i kości faktycznie choć trochę przypominają tych filmowych, to po tego typu pytaniu Padilla i jego przełożony najprawdopodobniej wychyliliby się przez iluminator w jej kajucie i natychmiast przekonali się, że widać stamtąd co najmniej połowę drewnianego pomostu – tego, który Ágata zauważyła na początku dnia przed kąpielą, tego samego, na którym po południu pojawiło się martwe ciało jej siostry.

„Bardzo nieszczęśliwy upadek. Wszystko wskazuje na to, że pani siostra siedziała na górze tu, na rufie, na poręczy, tyłem do morza, rozmawiając przez telefon (na kładce znaleźliśmy też jej komórkę), i spadła. Skrecony kark, łatwo się domyślić, że właśnie to stało się bezpośrednią przyczyną zgonu. Ważne jednak, aby ustalić, czy była sama, czy może ktoś jej towarzyszył. Niech pani jeszcze raz się zastanowi, czy kiedy przebywała pani w kajucie z objawami lekkich zawrotów, widziała coś pani lub słyszała?”

Ágata jeszcze mocniej przyciska kolana do siebie. Nad jej ciałem wisi groźba kolejnego ataku tsunami, a do gardła znów podchodzi posmak zjełczalej kawy. No tak. Jeśli funkcjonariusze zadadzą to pytanie, nie będzie miała wyjścia, musi odpowiedzieć twierdząco. Przez te pięć czy sześć godzin dobiegały do niej urywki rozmów. A przed szybą iluminatora, z którego faktycznie można dojrzeć część kładki, Ágata widziała wtedy majaczące cienie. A co mówiły te głosy? I co wyrabiały te cienie? Gdyby to był film, a nie prawdziwe życie – znowu pograżyła się w rozmyślaniach – to z pewnością teraz moja pamięć stopniowo odtwarzałaby te strzępki rozmów, luźne słowa, nawet jakąś wizję, krótkotrwałą, acz wyjaśniającą bardzo wiele, coś, co pozwoliłoby ustalić, jak doszło do śmiertelnego wypadku. Tylko że to nie jest film, to rzeczywistość. A jak widać, prawdziwe życie nie waha się mieszać nienaprawialnego z niewytłumaczalnym, rzeczy żałosnych ze wstydnymi. A mówiąc wprost i dosadnie – śmierci mojej jedynej siostry z potężną sraką.

We wspomnieniach Agaty Uriarte przewijały się więc i mieszały pojedyncze słowa i skurcze żołądka. Śmiech, który urwał się równie nagle, jak się zaczął, nader infantylny, a potem, po kilku minutach, przelotny widok czegoś przez iluminator (komórka na ziemi, okulary przeciwsłoneczne), wszystko oczywiście przeplatane bieganiem do łazienki i żalosnym jękiem, gdy kolejny raz nie zdążyło się na sedes.

Życie to fatalny, a przy tym wyjątkowo bezlitosny scenarzysta, stwierdza z żalem Ágata, wciąż trzymając kolana ściśnięte, i usiłuje przypomnieć sobie i uporządkować to, co pamięta, zanim otworzą się drzwi, pojawią się kapral Padilla z porucznikiem Galvezem i zaczną zadawać pytania.

Rusz głową, Agato, wysił mózg, choćby nie wiem co. Co dokładnie widziałaś i słyszałaś, i w jakiej kolejności? Przypomnij sobie, przypomnij...

ZAPROSZENIE NA MORDERSTWO

ZAPROSZENIE NA MORDERSTWO

Uwagi do ewentualnej powieści

autorstwa Agaty Uriarte

Od śmierci mojej siostry upłynęło już trochę czasu, więc oto jestem, z kartką i ołówkiem w dłoni (to taka licentia poetica, oczywiście piszę na komputerze, cóż, nie ma rady), aby opowiedzieć, co wydarzyło się od tamtego dnia. Część mnie samej uważa, że taką historię warto wydać w formie powieści, a może jeszcze lepiej w formie bloga, tak aby inni mogli zapoznać się z wieloma osobliwymi okolicznościami tej historii. Druga część mnie, mająca obecnie głos decydujący, opowiada się jednak za tym, aby szczegóły nie ujrzały światła dziennego. Zdarzają się czasem historie, których lepiej nigdy nie poznawać.

Tak czy siak, tę zamierzam teraz szczegółowo opisać. Czyżby kolejna z moich wewnętrznych sprzeczności? Z pewnością. Ale prawdą jest również to, że niektóre fragmenty własnego życia można całkowicie pojąć dopiero po rozłożeniu na czynniki pierwsze.

Zresztą, gdybym po ukończeniu kroniki wciąż nie zmieniła zdania i nadal nie chciała jej publikować, zawsze mam możliwość spalenia jej, a nawet jeszcze lepszą opcję – wciśnięcia klawisza DEL. Każdy, kto spędza wiele godzin w sieci, zna to boskie uczucie, kiedy w wyniku jego decyzji znika coś, czemu poświęcił nieco czasu, kiedy rozplywa się w ciągu sekundy, ot tak i bez śladu. Oho, zdaje się, że zaczynam już zbyt dywagować. Zacznijmy więc od początku, a na starcie tej opowieści jestem sobie ja w Magaluf, leżę na łóżku w jakiejś zapadłej hotelowej norze o nazwie Sa Tomasa, tydzień po nagłej śmierci Olivii, sama (czyli nic nowego), otoczona wycinkami z czasopism i gazet. Zanim jednak przejdę do opisu wydarzeń, powiem może kilka słów o moim obecnym samopoczuciu. Chyba tak postąpiłby prawdziwy pisarz, tacy zawsze podkreślają znaczenie, jak to mówią, „czynnika ludzkiego”. Świetnie, pójdę za ich przykładem. Muszę więc się przyznać, że w

tamtym czasie czułam się oszołomiona, przejęta, również pusta. Uważam, że to ostatnie słowo najlepiej opisuje mój stan ducha. Co prawda z Olivią nigdy nie trzymałyśmy się jakoś szczególnie blisko, nie zmienia to jednak faktu, że była to ostatnia bliska osoba z mojej rodziny (nie mówiąc o tych dalekich krewnych w Anglii, których od lat nie widziałam). I kiedy taka osoba odchodzi na zawsze, coś nieodwołalnie gaśnie w człowieku, przynajmniej tak było w moim przypadku. Nie widzę też powodu, by udawać, że jestem niewzruszona i twarda – widok martwego ciała kogoś, z kim łączą cię więzy krwi, jest po prostu koszmarny. Chociaż kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że Olivia po śmierci sprawiała nader pogodne wrażenie... Mogę nawet przysiąc, że kiedy znaleźliśmy ją bez życia, w kącikach jej ust majaczył uśmiech. Chociaż nie, to raczej tylko moje wyobrażenia, chyba nikt inny nie zwrócił na to uwagi. Dlatego lepiej, żebym wróciła tam, gdzie miałam rozpocząć opowieść, do tego podrzędnego hotelu w Magaluf i do gazetowych wycinków porozrzucanych na moim łóżku.

„Śmierć pływa po morzu”, krzyczał nagłówek jednego z artykułów, inny brzmiał zaś: „Śmiertelny upadek wieńczy życie splukanej rozwódki”. Trzeci tytuł – „Aktor Cary Faithful i top modelka Sonia San Cristóbal świadkami przypadkowego dramatu” – inaczej rozkładał akcenty. Oprócz tego mogłabym wymienić jeszcze ze trzy, cztery inne, widniejące na pierwszych stronach pisemek, gazet, a nawet na jednej z goniących za sensacją stron internetowych, którą po prostu wydrukowałam, aby wczytać się w treść z większą uwagą. Podtytuły w każdym przypadku skupiały się na cyfrach: „Nikt niczego nie widział ani nie słyszał, choć tragedia rozegrała się na czterdziestometrowym zbytkownym jachcie z dziesiątką marynarzy i ósemką gości na pokładzie”. W innym piśmie ujawniono inne liczby, które stanowiły dla mnie prawdziwe zaskoczenie: „Dziesięć milionów funtów długu, trzeci rozwód i kilka innych kłopotów kładą się długim cieniem na tej przypadkowej śmierci”. Niezwykle skrupulatnie przedstawiono zupełnie mi nieznane położenie materialne Flavia Vicenza, byłego męża Olivii. Pojawiła się informacja o bankructwie sprzed kilku miesięcy i refleksja na temat tego, jak wielkie imperium finansowe może upaść dosłownie z dnia na dzień. Dla mnie, pełnego laika w zawiłościach

kapitalistycznego ustroju, najbardziej jednak zaskakujące okazały się następne zdania, które dowodziły, że cały nasz pobyt na pokładzie „Sparkling Cyanide” – zbytek, trzygwiazdkowe posiłki, a nawet niewidoczny zastęp milczących azjatyckich marynarzy – to jedno wielkie złudzenie. „Jak to w ogóle możliwe, że ktoś tak doszczętnie zrujnowany jak Flavio, całkowicie pozbawiony swojego majątku, wciąż dysponuje czterdziestometrowym jachtem – ba, może nawet podarować go byłej żonie – którego utrzymanie kosztuje, bagatela, ponad cztery tysiące euro dziennie?”, retorycznie pytał autor interesującego reportażu, a w następnej części artykułu, zatytułowanej „Bogaci też płaczą... ale nie tyle co inni”, przybliżał kolejny fakt, który po prostu wydawał się niewyobrażalny, przynajmniej dla mnie. Chodzi mi o to, że – w przeciwieństwie do zwykłych śmiertelników, którzy w wypadku bankructwa tracą wszystko i lądują na ulicy – multimilionerzy po plajcie po prostu przestają mieć mnóstwo pieniędzy, a zaczynają mieć mnóstwo długów, cała reszta zostaje po staremu. Im więcej wisisz wszystkim wokół, tym lepiej, i tacy zadłużeni bogacze płyną dalej – pyszna metafora, trzeba przyznać autorowi artykułu – aż w końcu jedni wypływają na powierzchnię, inni zaś, co najwyraźniej miało miejsce w tym przypadku, nieodwołalnie idą na dno. I nawet kiedy toną, robią to z prawdziwą klasą. Przypomina to katastrofę „Titanica”, który zniknął pod lustrem wody wśród uczt i balów, a orkiestra ponoć do końca grała *Być bliżej Ciebie, Boże, chcę*.

Nie wszystkie informacje były sarkastycznymi uwagami lub przybliżały ekonomiczne okoliczności wypadku Olivii. Inne artykuły, które usiłowały wycisnąć sensacyjny potencjał z tego wydarzenia, doszukiwały się spraw jeszcze innego rodzaju. Obok całkiem udanego zdjęcia Oli widniała na przykład fotografia jakiejś środkowoeuropejskiej blond ślicznotki, tak młodej i doskonałej, że zdawała się dziełem grafika komputerowego. Niżej przybliżono jej osobę – nazywała się Kalina, była już w ósmym miesiącu ciąży i zdaniem magazynów ilustrowanych stała się powodem błyskawicznego rozwodu mojej siostry. Wspominano też, że w wyniku rozstania Olivia tak czy inaczej nie dostałaby złamanego grosza, nawet gdyby jej zrujnowany mąż nie znajdował się w tak opłakanej sytuacji. Przyczyną był *prenup*, słowo, którego wcześniej

nie znałam. Intercyza. Teraz już wiem, że chodzi o małżeńską umowę majątkową (zazwyczaj krzywdzącą dla jednej ze stron).

Mogę przysiąc, że o szczegółach małżeństwa Olivii czytałam tak, jakby dotyczyły kogoś zupełnie innego, całkiem obcego. Okazało się, że nie znałam własnej siostry i dopiero teraz, już po jej śmierci, zaczęłam odkrywać, kim naprawdę była. Jak to możliwe, że nigdy nie opowiadała mi o swoim życiu, które – dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę – było powszechnie znane? Na pewno nie starczyło czasu na rozmowę o tym wtedy, na statku. Wspólnie spędziłyśmy tam półtorej doby, a tych krótkich chwil, kiedy byłyśmy razem, Oli nie poświęciła na opowiedzenie mi o swojej trudnej sytuacji. Wolała tak charakterystyczne dla siebie żarty, aby nabrać pewności, że każda z zaproszonych na pokład osób będzie mieć dobry powód do popełnienia zbrodni. Kilka godzin później, zupełnie jakby los zakpił sobie z niej i poniekąd także z nas wszystkich, doszło do tego wypadku. „Opatrzność ma specyficzne poczucie humoru”, lubiła powtarzać moja siostra, a ja obawiam się, że tym razem także miała rację.

Życie mojej siostry zakończył wypadek, straszny, głupi, wręcz absurdalny, ale jednak wypadek. Od razu o tym mówię, żeby było jasne, że od początku nikt nie miał co do tego wątpliwości. Nawet wszystkie żadne sensacji szmatławce, które podjęły temat, ani razu nie zaczęły snuć przypuszczeń, że mogło być inaczej. W sumie to cud, bo napływające z różnych stron najświeższe materiały o nagłej plajcie i pospiesznym rozwodzie w zestawieniu z okolicznościami, w jakich doszło do śmierci mojej siostry, stanowiły łakomy kąsek i dobrą okazję, by pospekulować na temat możliwych przyczyn. Jestem przekonana, że gdyby Olivia miała grubszy portfel, lepszą pozycję lub po prostu gdyby nie została porzucona przez Flavia, to teraz wszędzie huczałoby od plotek. Na szczęście klęski i bankructwa sprawiają, że przynajmniej nie robi się zbyt głośno wokół trupa osoby, która została gołodupcem.

Skoro już to napisałam, sądzę, że przyszedł najwyższy czas, aby poświęcić więcej miejsca przybyciu morskich służb porządkowych i opisać, jak przebiegało tak zwane postępowanie wyjaśniające. Widziałam już tyle filmów w życiu, że miałam bardzo sprecyzowaną wizję, jak powinno wyglądać śledztwo policyjne. Wydawało mi się

choćby, że musi nastąpić szczegółowa rewizja w poszukiwaniu śladów i pobranie próbek DNA. Już sobie wyobrażałam przesłuchania potencjalnych podejrzanych, oczywiście na osobności, aby potem porównać przedstawione wersje. Byłam też przekonana, że dopełnieniem tych wszystkich posunięć będzie skrupulatne zbadanie miejsca tragedii. Cóż, jeśli mam być szczerą, to z tych trzech wyobrażeń tylko ostatnie w jakimś stopniu znalazło potwierdzenie w rzeczywistości i przypominało to, co działo się w kryminałach. Zrobiono zdjęcia, pomost, na którym odnaleziono zwłoki Olivii, został zmierzony wzdłuż i wszerz, jednocześnie skatalogowano przedmioty znalezione przy denatce. Jeśli chodzi o pozostałe czynności spotykane w książkach i filmach, to zostały całkowicie pominięte, co po prostu rzucało się w oczy.

Zacznijmy od pierwszego punktu. Gdy dochodzi do wypadku ze skutkiem śmiertelnym, zazwyczaj pobiera się tak zwane ślady biologiczne, odciski palców i tym podobne rzeczy, jednak kapral Padilla w bardzo uprzejmy sposób wyjaśnił mi, czemu w naszej sytuacji tego nie uczyniono: „Jakich odcisków i śladów DNA mielibyśmy szukać na czterdziestometrowym jachcie, szanowna pani?”. Jego słowa miały sens, nie trzeba być Einsteinem, żeby zauważyć, że w takim przypadku jak ten – dwadzieścia osób przebywających obok siebie na bardzo ograniczonej przestrzeni – nie było żadnego kącika czy choćby centymetra kwadratowego, na którym nie odnaleziono by odcisków palców, czyjegoś włosa, śladu po ludzkich wydzielinach, może jednej osoby, a może kilku. Wyborne okoliczności do popełnienia morderstwa – pamiętam, że taka myśl przemknęła mi przez głowę, kiedy usłyszałam jego wyjaśnienia, lecz oczywiście szybko oddaliłam ją od siebie, uznając za dziecinną. Wtedy jeszcze nie miałam żadnych wątpliwości, że śmierć Olivii jest wynikiem nieszczęśliwego wypadku.

Jeśli chodzi o przesłuchanie podejrzanych (świadków, mówmy: „świadków”, bo przecież tak powinno się nas nazywać), również ono nie przypominało scenerii zapamiętanej z filmów. Wbrew słowom Padilli, który zapowiadał rozmowy na osobności, przesłuchanie ostatecznie wyglądało zupełnie inaczej. „Proszę zrozumieć, my tu nie ścigamy nowego wcielenia Kuby Rozpruwacza. Takie nieszczęścia zdarzają się

codziennie, choć niekoniecznie w tak wspaniałym otoczeniu”, nie powstrzymał się od komentarza porucznik Gálvez, a mnie się zdało, że dostrzegam nutkę ironii w tym wyjaśnieniu, które stanowiło odpowiedź na pytanie madame Serpent. To właśnie ona kilka minut wcześniej oświadczyła, że chciałaby zeznawać w swojej kajucie, „bez udziału niepotrzebnych uszu”, jak się wyraziła.

Szereg rutynowych pytań, które następnie zadali nam obydwaj przedstawiciele władz, trudno określić mianem przesłuchania. Zwołano nas do salonu pod pokładem „Sparkling Cyanide”. Każdy musiał podać imię, nazwisko, adres oraz powód znalezienia się na łajbie, potem zapytano nas, czy w czasie, gdy mniej więcej nastąpił wypadek, widzieliśmy coś, co mogłoby okazać się godne uwagi. A także, czy rozmawialiśmy z ofiarą i kiedy. Na to ostatnie pytanie oczywiście każdy odpowiedział twierdząco. Każdy rozmawiał o innej porze – trudno oczekiwać, aby było inaczej. Tak się złożyło, że ciało mojej siostry zostało znalezione o piątej po południu, w czasie sjeisty, kiedy praktycznie wszyscy oddalili się do swoich kajut. Cary zeznał na przykład, że po raz ostatni rozmawiał z nią w okolicach czwartej. Jak utrzymywał, wyszedł na pokład z zamiarem wykąpania się w morzu i widział Olivię opalającą się w rufowej części jachtu. Miranda również powiedziała, że ostatni raz widziała ją mniej więcej o tej samej godzinie. Z ich wersji wynikało, że Miranda również wyszła na pokład kilka minut po Carym, aby upewnić się, czy nie potrzebuje ręcznika.

Sonia z kolei zapewniała, że widziała Olivię *później* niż tamta dwójka. Gdzieś o czwartej trzydzięci, jak stwierdziła, może za kwadrans piąta. Wcześniej zostawiła iPoda na pokładzie. Widziała, że moja siostra długo rozmawiała z kimś przez telefon (do tej rozmowy będę musiała potem jeszcze wrócić, bo to kolejne niezwykle zrzędzenie losu, jeśli chodzi o okoliczności śmierci Olivii).

Nie pamiętam dobrze, czy madame Serpent powiedziała, że na pokład wyszła kwadrans po czwartej, czy może za kwadrans czwarta. W sumie nie sądzę – a przynajmniej nie *sądziłam* w tamtym momencie – by te uściślenia miały jakieś znaczenie. Dobrze zapamiętałam za to powód, jaki podała. – Zapomniałam książki, którą właśnie czytam – wyjaśniła, po czym zdradziła tytuł, chociaż nikt o to nie pytał. – *Nemesis*

– stwierdziła, a następnie podzieliła się opinią, co według niej jest najlepsze w powieściach detektywistycznych: – *Każdy musi wypić piwo, którego sobie nawarzył.* – Dokładnie tak brzmiały jej słowa, trzeba przyznać, że niezbyt fortunne w tamtej chwili.

Po obiedzie Kardam Kowaczew jako jedyny z zaproszonych gości nie zszedł odpocząć w kajucie. Funkcjonariuszowi zeznał, że pragnął pobyć choć przez chwilę sam, spacerował więc po pokładzie dziobowym. Na pytanie kaprała Padilli, czy aby nie dokuczał tam zbyt duży skwar, przed którym nie było gdzie się schować, Kardam potrząsnął filozoficznie głową. – Lepiej być w słońcu niż zbyt blisko cieni – brzmiała jego zadziwiająca odpowiedź, ale w tamtej chwili nie uważałam, żeby to miało wielkie znaczenie. Hiszpański w ustach tego chłopaka pozostawiał wiele do życzenia. Pamiętam tylko, że pomyślałam wtedy: Z pewnością chciał powiedzieć „zbyt blisko cienia”, w liczbie pojedynczej.

Zważywszy, że Kardam przebywał na pokładzie, w odległości mniejszej niż trzydzieści metrów od miejsca, w którym doszło do fatalnego upadku, policjanci przedłużyli jego przesłuchanie. Poproszono go między innymi, aby przypomniawszy sobie, czy widział lub słyszał coś, co byłoby godne wzmianki. Zaprzeczył kilkakrotnie ruchem głowy. – Nie patrzyłem w stronę rufy – odparł, potem jednak, gdy zastanowił się przez kilka sekund, wspomniawszy, że w pewnym momencie, piętnaście, jak sądził, może dwadzieścia minut przed tym, jak Wład odkrył zwłoki na pływającym pomoście i wszczął alarm, podmuch wiatru przyniósł mu pojedyncze słowa wypowiedziane przez Olivię. – A pierwsze brzmiało tak: „Wiedziałam” – zacytował; po chwili miała ona dodać (pamiętajmy, to wersja Kardama), że „nieszczęścia chodzą parami”, a potem wybuchnąć śmiechem. – To na pewno była rozmowa przez telefon – stwierdził. Przełożony kaprała Padilli dociekał dalej: – Czy słyszał pan coś jeszcze? – Ale chłopak zaprzeczył, dodając, że nie ma w zwyczaju podsłuchiwać cudzych rozmów, zwłaszcza takich osób, które nie podobają mu się „za grosz”, tak właśnie stwierdził. Nie miał nic więcej do powiedzenia.

Seria pytań trwała dalej, przyszła kolej na Władę. Nie rozmawiał z Olivią od zakończenia posiłku. Zeznał za to, że w okolicach piątej

zaczynało wiać coraz mocniej, w związku z tym wyszedł na pokład, aby zapytać „szefową” (tak ją nazwał, podejrzewam, że po to, aby przed policjantami jego słowa zabrzmiały bardziej formalnie), czy życzy sobie, aby podnieść kotwicę i poszukać lepiej osłoniętego miejsca. – Nie znalazłem jej na rufie, więc spojrzałem na morze, bo pomyślałem, że pewnie zażywa kąpeli – wyjaśnił. – I wtedy zobaczyłem ciało, na dole, rozciągnięte na pomoście. Chyba rzeczywiście w chwili upadku musiała rozmawiać przez komórkę, bo ta leżała obok niej. Dostrzegłem także jej okulary przeciwsłoneczne – uzupełnił. – Moje okulary – szybko wtrącił się Cary. – Pewnie zostawiłem je, kiedy wychodziłem z wody. W sumie nie zdawałem sobie dotąd sprawy, że je zawieruszyłem.

Doktor Fuguet z kolei zaczął od zapewnienia, że widział Olivie dokładnie o piątej po południu, lecz po krótkiej chwili wycofał się z tego, kiedy przypomniał sobie, że o tej godzinie odkryto zwłoki. – No tak, no tak, to musiało być nieco wcześniej – sprostował swoje słowa z widocznymi oznakami zdenerwowania. Następnie stwierdził: – Nie wiem, dlaczego wyszedłem na pokład. Chyba wydawało mi się, że przez bulaj dosłyszałem jej śmiech, na pewno nie należał do wesołych. – Czyli pan także widział i słyszał, jak rozmawiała przez telefon? – zapytał jeden z policjantów. – Tak, na rufie siedziała na barierce, tyłem do wody. Nigdy bym nie pomyślał, że to może być tak niebezpieczne. Nie przypominam sobie, że bym wtedy widział jakąś platformę poniżej, i to niedopatrzenie będzie mnie prześladować do końca życia. Nie zbliżałem się jednak do miejsca, w którym siedziała. Postanowiłem nie przeszkadzać jej i wrócić do kajuty, nie chciałem przerywać rozmowy. – Czy słyszał pan, co mówiła? – Tylko trzy słowa – odpowiedział Fuguet i zacytował je: „Nie-ma-czasu”.

W tym miejscu muszę odejść od tematu przesłuchania i wyjaśnić coś, co wyszło na jaw wkrótce potem. Chodzi mi o długą rozmowę telefoniczną, którą Olivia prowadziła na kilka minut przed wypadkiem. Numer zachował się w pamięci komórki, więc ustalenie, z kim rozmawiała, nie sprawiło najmniejszych trudności. To okazało się kluczowe dla ujawnienia jeszcze jednej okoliczności śmierci mojej siostry. Chodziło o lekarza, doktora Pedralbesa, uznanego specjalistę w swoim fachu. Kiedy dowiedział się o tragicznym wypadku, nie robił

przeszkód i poinformował, czego dotyczyła rozmowa. Moja siostra chorowała na raka trzustki, kilka dni wcześniej przeszła badania. To ona zadzwoniła, aby z doktorem jeszcze raz omówić ich wyniki. „Wspaniała kobieta – utrzymywał Pedralbes. – Wiadomość o chorobie przyjęła ze spokojem. Co do naszej rozmowy, stwierdziła, że dzwoni, bo chce, abym jeszcze raz jej wyjaśnił szczegóły postawionej diagnozy. W jakimś ważnym celu, którego nie chciała zdradzić” – dodał.

Służby postąpiły elegancko i przekazały mi słowa doktora Pedralbesa na osobności, jako osobie najbliższej związanej z Olivią, niemniej jednak postanowiłam poinformować o tym wszystkich pozostałych. Mogłam zachować te fakty dla siebie, w końcu dotyczyły intymnych spraw mojej siostry, jednocześnie jednak doskonale wyjaśniały to, co zdarzyło się owego popołudnia. Poza tym najwyraźniej pomogły one ukrócić ironiczne spojrzenia madame Serpent i Kardama Kowaczewa oraz typowo brytyjską, flegmatyczną podejrzliwość Cary’ego Faithfula co do tego, jak doszło do wypadku. Bądź co bądź, to nawet zrozumiałe, że rozmowa z lekarzem na tak delikatny temat może zburzyć spokój i doprowadzić dosłownie do utraty równowagi. Niewykluczone nawet, że po zakończeniu rozmowy Olivia doznała zawrotów głowy. W każdym razie na pewno nie wcześniej, doktor Pedralbes bowiem był absolutnie przekonany, że upadek *nie nastąpił* w trakcie konwersacji. „Na pewno bym się zorientował, prawda?”, dobitnie podkreślił.

Biedna siostrzyczka, pomyślałam wtedy, ale potem szybko zmieniłam zdanie. W pewnym sensie można powiedzieć, że przebieg wypadków okazał się zbawienny dla Olivii – nawet w ostatniej chwili życia dała o sobie znać jej szczęśliwa gwiazda. Bo przecież to chyba oczywiste, że jeśli można wybierać między długotrwałym bolesnym dogorywaniem wskutek nieuleczalnej choroby a niespodziewaną, nagłą śmiercią, która nastąpi błyskawicznie, to każdy wybrałby to drugie. Możliwe, że w ogóle nie cierpiała, pomyślałam, po czym zalałam się łzami. Pierwszy raz, wcześniej nie płakałam. Doktor Fuguet otoczył mnie ramieniem i powiedział czule: – Zrobilibyśmy dla niej wszystko, prawda? – A mnie zaskoczyła zarówno ta liczba mnoga, jak i sama uwaga, ale oczywiście nic nie powiedziałam. To nie była odpowiednia

chwila.

W tym miejscu kończy się kronika dotycząca krótkiego śledztwa policyjnego, które umorzono wraz z pojawieniem się lekarza sądowego. Wniosek pozostał ten sam co wcześniej: nieszczęśliwy upadek ze skutkiem śmiertelnym. Nie trzeba chyba wspominać, że kilka minut później śmierć mojej siostry Olivii została uznana za sprawę zamkniętą. Policja lubi takie przypadki, żadnych niewyjaśnionych wątków, zero miejsca na wątpliwości, wszystko ustalone i zarchiwizowane bez męczących znaków zapytania, które stałyby się pożywką dla spekulacji. – Łączę się z panią w bólu – usłyszałam od Padilli na pożegnanie, to samo powiedział jego przełożony. Ten etap już został zakończony, teraz należało zająć się przygotowaniem do kremacji i pogrzebu, co było dla mnie doświadczeniem bolesnym i zarazem trudnym, zważywszy że musiałam wszystko zorganizować w obcym mieście i bez czyjejkolwiek pomocy. Vlad musiał pojąć moją sytuację, bo zaoferował swoje wsparcie, gdybym czegokolwiek potrzebowała. – Dzięki – odpowiedziałam i znowu wybuchłam płaczem. Tak oto dobiegła końca podróż morską rozpoczęta raptem dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Jak długie potrafią czasem wydawać się takie godziny...

Historia pewnej dedykacji

Podejrzewam, że komuś, kto umie lepiej niż ja przelać wspomnienia na papier, nigdy nie przyszedłby do głowy równie kakofoniczny tytuł jak ten, który właśnie wystukałam na klawiaturze. Cóż, nie ukrywam, że to jedna z zalet sytuacji, gdy nie pisze się dla potomności bądź dla chwały: do diabła z pięknem prozy! „Historia pewnej dedykacji” brzmi strasznie drętwo, lecz dobrze oddaje to, o czym chcę tu napisać. Wątek ujawnił się w tej samej scenerii co wydarzenia poprzedniego rozdziału, w salonie pod pokładem „Sparkling Cyanide”, kilka minut po odpłynięciu funkcjonariuszy służb morskich. Chwilę potem wszyscy jak jeden mąż wyjęli i przyłożyli do ucha telefony komórkowe. Ostatnio często zauważam, że kiedy dzieje się coś wykraczającego poza normy zwyczajności – jakieś zjawisko meteorologiczne, wypadek, jakiegokolwiek inne nietypowe zdarzenie – ludzie wcale nie zwracają się do osoby obok, by omówić to, co zaszło (a tak to przecież wyglądało odkąd świat światem), lecz wyciągają komórkę i składają meldunek matce, ciotce, wszystkim świętym. To samo nastąpiło tamtego dnia. Przez dłuższą chwilę wszyscy krążyliśmy wokół salonu (a raczej „krążyli”, oni krążyli, ja nie miałam do kogo dzwonić), prowadząc rozmowy z nie wiadomo kim. Po telefonie do kogoś najbliższego, prawdziwego powiernika uczuć, który wysłuchał opowieści o przesłuchaniu policyjnym, w przypadku każdego przychodziła kolej na drugie połączenie. Najczęściej z osobą z zupełnie innej parafii, czyli z pracownikiem biura podróży, żeby usilnie zażądać biletów powrotnych do domu („Jak najszybciej, tak, właśnie tak, dosłownie na teraz, owszem, wydarzyło się coś nieprzewidzianego i przykrego” itd.). Powiedziałam, że wszyscy? Muszę uściślić. Telefonów w tym rodzaju nie wykonali Sonia San Cristóbal, Cary Faithful i Vlad Romescu. Pierwsza dwójka dlatego, że mogli pod tym względem liczyć odpowiednio na matkę i na anioła stróża, którzy zajmowali się nużącymi czynnościami związanymi z podejmowaniem takich decyzji. Vlad natomiast dlatego, że nie miał dokąd jechać.

– I co teraz zrobisz? – zapytałam go, zbliżywszy się do miejsca, w którym siedział, a on uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Nie po raz pierwszy przychodzi mi zaczynać od zera – stwierdził. – Coś się znajdzie, przynajmniej mam taką nadzieję.

Chętnie ciągnęłabym jeszcze tę rozmowę, szkoda tylko, że do głowy nie przyszło mi nic, co mogłabym dodać. Jak wspominałam, Vlad zaproponował pomoc w załatwianiu niezbędnych spraw związanych z kremacją. Zdałam sobie sprawę, że nawet nie dałam mu numeru swojego telefonu, więc szybko nadrobiłam to, korzystając z okazji, by pobyć z nim jeszcze chwilę. – Możesz zadzwonić także potem, jak będzie po wszystkim – powiedziałam i natychmiast ugryzłam się w język: jak mogłam być tak naiwna? Pomyślałam, że prędzej bieguny roztopią się jak dwa sorbety, niż taki facet jak Vlad zadzwoni do mnie po zakończeniu uroczystości pogrzebowych, zresztą nieważne, nie był to najszcześniejszy moment, żeby o tym myśleć. W tamtej chwili pragnęłam tylko jak najszybciej opuścić pokład „Sparkling Cyanide” (a w tym pragnieniu niewątpliwie nie odróżniałam się od pozostałych, którzy wciąż paradowali z komórkami przyklejonymi do ucha i organizowali sobie powrót). Nikt nie chce spać w miejscu cudzej śmierci, jeśli tylko może tego uniknąć, zauważyłam w myślach. Na koniec ogarnęłam pożegnalnym spojrzeniem te luksusowe wnętrza, po czym udałam się ku schodom prowadzącym do mojej kajuty. Wtedy po raz ostatni miałam przebyć tę drogę, w związku z czym niespiesznie stawiałam kroki. Pewnie dlatego, dotarłszy do spocznika na dole schodów, od razu dostrzegłam, że drzwi kajuty mojej siostry tylko wydawały się zamknięte. Delikatna smużka światła wydostająca się przez drzwi zdradzała, że były na wpół otwarte, w jakimś sensie zapraszały do środka. Popchnęłam je, otworzyły się bezszelestnie.

W śmierci być może najgorsze jest to, że nie trwa tej jednej krótkiej chwili, trzeba potem poczekać na niezliczoną ilość pomniejszych śmierci, które są powolnym, acz nieubłaganym następstwem pierwszej. Mam na myśli choćby przedmioty należące do osoby, która niedawno odeszła, przez jakiś czas jeszcze przeczące faktom dokonany. W tym sensie Olivia w swojej kajucie nadal była żywa. Istniała w swoim ulubionym zapachu, który wciąż unosił się w pomieszczeniu, w porzucanej garderobie, którą zostawiła tak nieuporządkowaną, naprędce ubierając się do obiadu. A przede

wszystkim w owym podglówku z wyhaftowanym paskiem, który zauważyłam już w dniu naszego przybycia na pokład i na którym można było wyczytać: *Miłość potrafi zabić*. Wciąż widać było niewielkie wgłębienie – ślad po głowie, która opierała się tu kilka godzin wcześniej – zupełnie jakby moja siostra dopiero przed chwilą z niego korzystała. Zabrałam go ze sobą, nie mogłam się powstrzymać. W końcu należał do niej, do Oli, mojej rodzonej siostry.

Spieszę donieść, że podglówek Olivii nie był jedyną rzeczą, jaką zabrałam z jachtu. Pół godziny później, kiedy już domykałam walizkę, jeszcze jeden przedmiot przykuł mój wzrok. Książka, którą ktoś (Olivia, no bo kto, jeśli nie ona?) poprzedniej nocy zostawił na moim łóżku. Niezbyt uważnie przesunęłam kciukiem po krawędzi kartek, rozłożyłam grzbiet książki w szeroki wachlarz, i właśnie wtedy spostrzegłam, że w środku znajduje się dedykacja:

Dla Agaty, która zawsze potrafi mnie odnaleźć, kiedy bawię się w chowanego.

Tak było napisane. Oprócz tego niżej, na dole tej samej strony, znajdowały się cztery słowa zanotowane charakterystycznym pismem mojej siostry, oraz strzałka skierowana do środka książki: „Kto szuka, ten znajdzie”.

Uśmiechnęłam się ze smutkiem. Takie polecenia były tak typowe dla Olivii. Poszukam, poszukam, tylko kiedy indziej, pomyślałam, bo owe cztery słowa nic więcej mi nie mówiły, przynajmniej w tamtej chwili i przez kilka kolejnych dni. Nie miały znaczenia choćby podczas kremacji, która przebiegła w smutku i samotności. Zjawilo się może z tuzin osób, ale tylko trzy z feralnego rejsu: Vlad, doktor Fuguet, który wobec mnie znów zachowywał się niezwykle szarmancko, no i ja.

W ramach anegdotki wspomnę, że Flavio Vicenzo, hojny mężulek, który użyczył nam swojego jachtu, abyśmy mogli sobie popływać po Morzu Śródziemnym, znalazł się na liście nieobecnych. Najpierw zapowiedział, że się pojawi i jest wstrząśnięty tym, co się wydarzyło, że bardzo kochał Olivie, a to niespodziewany finał jej życia, wygłosił jeszcze długą listę innych miłych i równie przewidywalnych uwag, a potem w ostatniej chwili zadzwonił, żeby usprawiedliwić swoją absencję. Ceremonia pogrzebowa wypadła w tym samym czasie co

narodziny jego syna. Jeszcze jedno ironiczne zrządzenie losu. A kolejnym paradoksem stała się historia z paparazzi. Kiedy dotarłam do krematorium, zauważyłam, że dwóch czy trzech z nich krąży w pobliżu. Kiedy jednak zrozumieli, że wśród gości pogrzebowych nie będzie nikogo wartego uwiecznienia na zdjęciu, zniknęli w okamgnieniu. Doświadczony sępy błyskawicznie wyczuły, że zabraknie tu padliny, na którą tak wyczekują.

Dość. Nie zamierzam skupiać się na przykrych detalach, które niczego nie wnoszą do głównego wątku. Lepiej powróćmy do chwili, która miała rozpocząć fabułę. Tego jakże istotnego poranka (tak, tak, zaraz w końcu wyjaśnię, dlaczego jest on taki istotny), nazajutrz po skremowaniu ciała mojej siostry, kiedy leżałam wyciągnięta na łóżku w jakiejś hotelowej norze w Magaluf. Za kilka godzin miałam samolot z powrotem do Madrytu, przeglądałam więc gazetowe wycinki, aby zatrzymać te, które uznam za warte uwagi. Coś, co będzie ostatnim wspomnieniem – pomyślałam i dokładnie w tamtej chwili mój wzrok padł na pewne zdjęcie. Co ciekawe, w towarzyszącym fotografii przykrótkim podpisie nie było choćby jednej wzmianki o Olivii, a ja tak naprawdę niezbyt dobrze pamiętałam, z jakiego powodu wycięłam ten fragment. Zdjęcie przedstawiało ubraną w dresy Sonię San Cristóbal, kiedy wychodziła z siłowni, zostało zrobione dzień, może dwa dni po śmierci mojej siostry. Przy dolnej krawędzi widniał tekst: „Po urlopie na morzu Sonia San Cristóbal wraca do codziennych zajęć”. Nie było nic więcej, wobec czego poświęciłam jeszcze kilka sekund na przyjrzenie się zdjęciu, szukając nie wiadomo czego. Być może chciałam tylko zlustrować jej zachowanie i wyraz twarzy, sprawdzić, czy w jakimkolwiek stopniu odbiło się na niej to, co przeżyliśmy na „Sparkling Cyanide”. Sonia miała podniesioną rękę, lewą dłonią zasłaniała część twarzy. W sumie nic nadzwyczajnego, założę się, że wielu celebrytów i celebrytek wykonuje ten gest mechanicznie, kiedy nie chcą być fotografowani, przede wszystkim zaś, kiedy zostają zaskoczeni bez makijażu i tak dalej. I wtedy zobaczyłam to. Z pewnością nie poznałabym tego przedmiotu, gdyby ona sama nie opowiadała o nim tyle w noc poprzedzającą śmierć Olivii. Nieziemsko drogi zegarek, noszony kiedyś przez moją siostrę, teraz można było zobaczyć na

nadgarstku Soni San Cristóbal. Poszperałam w pamięci. Jakich słów użyła wtedy ta dziewczyna? A tak, już mam, powiedziała, że to należy do rzadkości, że istnieje limitowana liczba egzemplarzy i że „mogłabym zabić, żeby mieć taki”.

Bzdury, plecione trzy po trzy, nic nieznaczące, pomyślałam, próbując odsunąć to zdanie od siebie, albowiem w przeciwieństwie do Olivii jestem racjonalistką, tak, zdecydowanie nie mam bujnej wyobraźni mojej siostry. Z jednej strony za racjonalistkę uważałam się przez całe życie. I nadal taka będę. Tak jest rozsądniej. Z drugiej strony...

Z drugiej strony, jeżeli ktoś miał okazję układać puzzle, zna to uczucie, kiedy już zostanie ułożony piękny krajobraz z pozornie dopasowanych do siebie fragmentów, i nagle okazuje się, że został jeszcze jeden niesforny elemencik, który za żadne skarby nigdzie nie pasuje. Okazuje się wtedy, że inny puzzle, który wydawał się dobrze wpasowany, nie jest jednak na swoim miejscu. To samo z drugim, potem z następnym, aż w końcu okazuje się, że krajobraz na pewno nie został dobrze ułożony, choć wcześniej wszystko wyglądało nieźle. Wspominam o tym, bo aż dotąd nie przykładalam wagi do słów, które Olivia wypowiadała w czasie naszego pobytu na jachcie. Mówiła wiele, to był jej zwyczaj od najmłodszych lat. Po prostu taka była, uwielbiała prowokować, gorszyć wszystkich wokół. Poza tym czy można brać na poważnie kogoś, kto mówi, że zaprasza grupę przyjaciół do popełnienia morderstwa? Jasne że nie, tym bardziej po tamtym poranku, kiedy dla ukoronowania swojego dowcipu Olivia odegrała śmierć w jakże idiotyczny sposób. Obawiam się, że na tym polega kłopot z kłamczuchami i osobami przesadnie lubiącymi znajdować się w centrum uwagi – nikt im nie wierzy, nawet kiedy mówią prawdę (a może należałoby powiedzieć: zwłaszcza wtedy). Jedyne, co teraz było pewne, to że ledwie kilka godzin po swojej taniej prowokacji Olivia była naprawdę martwa. Zbieg okoliczności? Niewykluczone, czasem bywa i tak, że los potrafi spłatać figla figlarzowi. Ale inne możliwości także należało wziąć pod uwagę. Postanowiłam pójść po nitce do kłębka. W trakcie oficjalnego przesłuchania każdy wyjaśnił, co robił w godzinach poprzedzających wypadek i kiedy widział Olivię po raz ostatni. Ze

wszystkich przekazanych informacji wynikało, że nie wydarzyło się nic niepokojącego. Skoro jednak teraz dostrzegłam zegarek Olivii na ręce Soni, inne elementy tej układanki, dotąd przystające do siebie, przestały tworzyć logiczną całość. No bo tak: funkcjonariusze policji zwrócili uwagę na okulary przeciwsłoneczne, które leżały na pomoście obok ciała mojej siostry. Kiedy wspomniano o tym, Cary Faithful natychmiast stwierdził, że to jego okulary, a w jego roztargnieniu nikt nie dostrzegł nic dziwnego. Zgoda, każdemu się zdarza, że zdejmie okulary przed wejściem do wody, a potem zapomni je zabrać i nie pamięta o nich przez kilka godzin. Ale przecież wyraźnie widziałam, że ze swoich przyciemnionych okularów Cary korzysta przez *cały* czas, nawet kiedy nie ma słońca. Czy to możliwe, że nie zauważył ich braku aż do chwili, kiedy wspomnieli o nich policjanci? A teraz Kardam Kowaczew. Pochylmy się nieco uważniej nad jego zeznaniem. Czy rzeczywiście mógł, tak jak powiedział, być ledwie dwadzieścia, w sumie może trzydzieści metrów od Olivii w chwili, gdy doszło do wypadku, i nie widzieć zupełnie *nic*? A co z doktorem Fuguetem? Czyż na początku czynności dochodzeniowych nie zeznał, że widział Olivię jeszcze o piątej, i czy potem nie zaczął szybko się z tego wycofywać, kiedy uświadomiono mu, że o tej właśnie godzinie Olivia straciła życie? Mogłabym jeszcze dalej szukać nieścisłości w zeznaniach pozostałych zaproszonych osób, lecz wzmianka o Fuguecie przypomniała mi słowa, które Olivia odtworzyła w wieczór przed śmiercią:

Pedro Fuguet. Mój jakże mi drogi doktorze Fuguet, jeśli ktoś miałby mieć istotne powody, żeby mnie nienawidzić, to w pierwszej kolejności właśnie ty. Pamiętasz, jak wykorzystywałam cię nie raz i nie dwa, pamiętasz te odrażające rzeczy, które robiłeś dla mnie, bo spowodowałam, że czuleś się zobowiązany do tego?

To był kolejny element (kluczowy, tak na marginesie), który nie pasował do mojej układanki. Skupiłam myśli na Fuguecie, dobrym i cichym lekarzu, zakochanym w Olivii tak bardzo, że – jak sam mi przyznał – zrobiłby dla niej *każdą* rzecz, a tutaj rzeczywiście... A gdzie to ja niedawno słyszałam bardzo podobną historię do tej, którą opowiedziała Olivia w ostatnią noc swojego życia? Zaraz, czy to aby nie te same wydarzenia, o których przeczytałam na moim blogu Klubu

Samotnych Serc raptem kilka dni przed wyprawą na statek? A do tych wszystkich puzzli, które porzucane wirowały mi w głowie, tak jak wiele innych znaków zapytania, nie pozwalając zebrać myśli, należało dodać jeszcze jeden. Mam na myśli te strzępki rozmowy, którą podśluchałam przez bulaj swojej kajuty na kilka godzin przed śmiercią starszej siostry, kiedy wciąż byłam niedysponowana. To musiał być jej głos, jestem tego pewna, tylko czy nie było tam kogoś jeszcze? Ze słów Soni, Kardama i Pedra Fugueta wynikało, że Olivia prowadziła długą rozmowę telefoniczną, teraz już wiemy, że ze swoim lekarzem, natomiast wydaje mi się, że pamiętam inny głos, a właściwie *inne* głosy. Czyje? A przede wszystkim – co mówiły? Nie pamiętałam dokładnie, ale te głosy, w zestawieniu z niesfornymi puzzlami, o których przed chwilą wspominałam, stanowiły według mnie wystarczający powód, aby chociaż raz w życiu ustąpić siostrze i nie zbyć wszystkiego niedbałym komentarzem: „Ot, zagrywki Olivii”.

Z tych powodów postanowiłam zachować gazetowe wycinki, aby spokojnie przyjrzeć im się w Madrycie, może naprowadzą mnie na kolejny trop, tak jak w przypadku tego zdjęcia Soni. A chcąc, żeby mi się nie zawieruszyły ani nie podarły w walizce, postanowiłam umieścić je pomiędzy stroniczkami *Zabójstwa Rogera Ackroyda*, powieści, którą siostra położyła na moim łóżku w wieczór przed śmiercią, a którą postanowiłam zabrać ze sobą na pamiątkę. Kiedy wzięłam książkę do ręki, żeby powkladać wycinki, wówczas – może przypadkowo, może nie, któż to może wiedzieć – utworzyła się na trzeciej stronie, tam, gdzie widniała znana mi już dedykacja, nakreślona łatwym do rozpoznania pismem mojej siostry.

Dla Agaty, która zawsze potrafi mnie odnaleźć, kiedy bawię się w chowanego.

– A więc chcesz się bawić, Oli, zupełnie jak wtedy, kiedy byłyśmy małe, a ty się gdzieś chowałaś, tak? – powiedziałam na głos i nie powstrzymałam się od uśmiechu. – Jak cię znam, musiałaś niezłe się bawić już wtedy, gdy zostawiałaś mi wskazówki, według których miałam się poruszać. Umowa stoi, wchodzę do gry. A co więcej, sądzę, że już wiem, od czego zacząć.

Moje pierwsze śledztwo

– Dobrze, że nie żyje, bardzo się z tego cieszę – wypalił Kardam Kowaczew, podnosząc głowę i patrząc mi prosto w oczy. – Nigdy bym tak nie powiedział o zwierzęciu ani żadnej innej żywej istocie, ale spokojnie mogę to powiedzieć o twojej siostrze, taki już jestem.

Następnie oparł się na ściskanym w dłoniach kiju od miotły, a ja wtedy znowu mogłam spojrzeć z uznaniem na jego imponujące bicepsy. Niby wiem, że w dzisiejszych czasach młodzi często wyglądają jak uczestnicy zawodów kulturystycznych lub jak wykapany Hulk, ale jego mięśnie spowodowały, że raz jeszcze zaczęłam rozmyślać o sprzecznościach, które musiały tkwić w tym chłopaku. Pomimo kulturystycznej rzeźby ciała, mimo nawet tych twardych słów, które właśnie wypowiedział pod adresem mojej siostry, w jego osobowości było coś łagodnego, wręcz bezbronnego.

– Przykro mi, Agato, mówić ci to z tak brutalną szczerością, ale ja nie owijam w bawełnę, a skoro już los nas skojarzył...

Jedno jest pewne: osobą, która nas skojarzyła, nie był los. Ustalenie miejsca, w którym obecnie pracował Kardam, kosztowało mnie sporo wysiłku. Zasięgnęłam języka w różnych kręgach, w efekcie z moich informacji wynikało, że poznali się z Sonią, kiedy on pracował jako kelner w jednym z luksusowych i nieziemsko drogich ośrodków odosobnienia dla wielkich tego świata, za którego murami znajdują schronienie, gdy życie daje im popalić. Kiedy jednak jego przełożeni zorientowali się, że widuje się z jedną z pacjentek (co gorsza, mającą za sobą próbę samobójczą), nie przedłużyli z nim umowy. Obecnie Kardam pracował w kawiarni nieopodal dzielnicy Manoteras. Pomyślałam o tym, jak bardzo miejsce to kontrastowało z wystrojem, w którym widzieliśmy się poprzednio. Z jego słów wynikało jednak, że był dumny ze swojej pracy, a przede wszystkim z tego, że trzyma się z dala od środowiska, w jakim obracała się jego kobieta. – Tutaj jest prawdziwy świat – dodał. – A tamten każdego ranka zamienia się z powrotem w dynię.

Nie wiedziałam, czy komentarz z dynią miał być metaforą wziętą z bajki o Kopciuszku, czy raczej wynikał z jego specyficznego sposobu wzbogacania języka hiszpańskiego: poprawnie, ale mimo wszystko dość

osobliwie. W każdym razie nie zamierzałam dociekać. Odnalazłam go po to, aby ustalić – jak najsubtelniej, wzbudzając jak najmniej podejrzeń – w jaki sposób zegarek mojej siostry wylądował na ręce Soni San Cristóbal. Oczywiście kiedy ma się takie podejrzania, lepiej pójść na policję lub – co bardziej literackie – wynająć prywatnego detektywa. Niestety, nie miałam wystarczająco mocnych dowodów, by udać się w to pierwsze miejsce, ani wystarczająco dużo zasobów finansowych na to drugie, w sumie więc nie miałam wyboru, musiałam osobiście wcielić się w rolę niezrównanej panny Marple. Byłam od niej nieco młodsza i, mam nadzieję, wyraźnie chudsza (zwłaszcza jeśli za punkt odniesienia weźmiemy Margaret Rutherford, która zagrała ją na srebrnym ekranie), a przy tym gotowa naśladować jej słynny sposób postępowania. Chyba się powtarzam, stwierdzając, że nie jestem zbyt zafascynowana Agathą Christie, w każdym razie nie trzeba być wybitnym znawcą jej książek, aby wiedzieć, na czym polega metoda panny Marple. Tworząc tę postać, moja imienniczka niewątpliwie postanowiła wyposażyć ją w najstarszy oręż, jakim kiedykolwiek dysponowały kobiety, a przy tym jeden z najskuteczniejszych: udawać roztrzepaną idiotkę, jak to mówią Wyspiarze.

Idąc za jej przykładem, nie musiałam zbyt się wysilać, by wmówić Kardamowi Kowaczewowi, że moja obecność w tej odległej dzielnicy wynika z tego, że dłużący się urlop szkolny wykorzystuję do badań nad wakacyjnymi zachowaniami młodych osób z dzielnic podmiejskich, „to bardzo istotne dla nas jako pedagogów” i tak dalej, i tak dalej. – I co za niebywały zbieg okoliczności, że trafiliśmy na siebie! – wystrzeliłam, dając mu całusa na powitanie, czego zupełnie się nie spodziewał. Między buziakami a chwilą, gdy wypowiedział to nieprzyjemne zdanie o mojej siostrze, która niedawno przeniosła się na tamten świat, była kawa z mlekiem (odtłuszczonym, rzecz jasna) i cola light. Zbyt dużo czasu, aby mój zamiar unikania jedzenia między posiłkami nie skończył się na dobrych chęciach, ale wystarczająco dużo, by wdrożyć strategię panny Marple, to znaczy sprowadzić rozmowę z tematów ogólnych w rejony bardziej sprzyjające osobistym zwierzeniom.

– Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tych słów pod adresem

Olivii – przeprosił już drugi raz. – Bądź co bądź, jesteś zupełnie inna, jesteście jak dzień i noc – doprecyzował w jakże charakterystyczny dla siebie sposób.

Oczywiście skorzystałam z okazji, by potwierdzić, że zupełnie nie mam nic przeciwko takim komentarzom, a także wspomnieć, że mój świat miał o niebo więcej wspólnego z jego światem niż z tym, do którego należała Olivia. W ten sposób rozmowa z Kardamem coraz bardziej schodziła na wspólnie znany nam temat, sprzyjający moim zamiarom. W rolach głównych: osoby, które należą do jednego środowiska, ale mają kogoś bliskiego w zupełnie innym.

– ...pewnie dlatego nigdy nie czułam się swobodnie podczas tych niewielu okazji, gdy odwiedzałam Olivię – zwierzyłam się. – W życiu nie wybrałabym tego środowiska, tak zakłamanego i jednocześnie tak przewidywalnego. Ale siostra to siostra, więc od czasu do czasu miałam z tym światem do czynienia, nie było wyjścia. A jak wyglądało twoje wejście w świat Soni? Prawie w ogóle się nie znamy, ale podejrzewam, że wolałbyś, aby obracała się ona w innych kręgach. Jak to się zaczęło między wami?

Jego odpowiedź trwała tyle, ile skonsumowanie drugiej coli light i chrupiącego croissanta, niestety, jak sędzę, kipiącego cholesterolem. Akurat była jedenasta rano, idiotyczna pora, kiedy kawiarnie już nie podają śniadania, a jeszcze nie pojawiły się przekąski, więc w lokalu nie było nikogo poza mną. Całe szczęście, że w zasięgu wzroku nie było też szefa. Ze słów Kardama mogłam wywnioskować, że był to klasyczny podstarzały Hiszpan, który nie lubił strzępić języka, a jeszcze mniej lubił, gdy robili to jego pracownicy. Nie mogłam więc nadziwić się mojemu fartowi, bo mój rozmówca – a choćby i tylko po to, by postąpić na przekór – tego dnia okazał się wyjątkowo gadatliwy. Dowiedziałam się, że wbrew przewidywaniom to Sonia zainteresowała się nim jako pierwsza, Kardam zaczął mi też wyjaśniać, że on nie zainteresował się nią dla tych oczywistych powodów, dla jakich każdy mężczyzna zwróciłby uwagę na tak śliczną dziewczynę. – Przez Kozymę – skwitował, przytaczając imię, które wszyscy na jachcie usłyszeli z ust Olivii w wieczór poprzedzający tragedię. Zamiar dowiedzenia się czegoś więcej zmusił mnie do zamówienia piwa bezalkoholowego i całego

mnóstwa orzeszków, myślę jednak, że poznane szczegóły były warte zafundowania sobie tej bomby kalorycznej. Z jego słów wynikało, że Sonia bardzo mu przypominała siostrę, podobnie jak ona osadzoną w zakładzie zamkniętym, chociaż w przypadku Kozymy chodziło o pobyt stały i nieuleczalny.

– Teraz jako osiemnastolatka wciąż zachowuje się, jakby miała tyle lat co wtedy, kiedy wydarzyło się „tamto”, w czym musiała maczać palce twoja kurewska siostrzyczka – dobitnie oświadczył Kardam, charakterystycznie zniżając głos jak ktoś, kto ujawnia wielką tajemnicę, mimo że w pobliżu nie było nikogo poza nami. – Druga z osób odpowiedzialnych za „tamto” już jakiś czas temu zapłaciła rachunek. Żebyś nie miała wątpliwości, chodzi o naszego ojca. Nie mogę i nie potrafię zapomnieć ani wybaczyć, Agato, nie wiem, jak zapominać i wybaczać.

Szybko zrozumiałam, że mój rozmówca należy do tych osób, które rzeczy niewyobrażalne wolą zastępować zaimkiem wskazującym lub rodzajem nijakim, bo pewnych spraw nie są nawet w stanie nazwać po imieniu. Dlatego w dalszej części rozmowy świadomie usiłowałam unikać takich słów jak „poród”, „rabunek” i wszelkich innych, które mogłyby okazać się dla niego bolesne. Jego wdzięczność wyrażała się w ten sposób, że szczegółowo opisywał mi okoliczności tego nietypowego porodu.

– Potworna historia – powiedziałam, kiedy skończył opowieść, ciarki przeszły mi po plecach. – Powiedz mi jednak, czy ty...

– ...to ty powinnaś znać wtedy moją siostrę – przerwał mi. – Trzynastoletniego aniołka, prawdziwą ślicznotkę o kruczoczarnych włosach i lśniących oczach. Nawet sobie nie wyobrażasz, czym się teraz stała!

Pozwoliłam, by zapadła między nami chwila ciszy. Kozyma i szczegóły jej życia interesowały mnie coraz bardziej, nie tylko ze względu na związki z Olivią, lecz także z zupełnie *inną* osobą ze statku. Jedną z pierwszych rzeczy w Madrycie, jaką zrobiłam po powrocie z Balearów, było przejrzanie archiwów Klubu Samotnych Serc i utwierdzenie się, że słowa Olivii pod adresem doktora Fugueta, wypowiedziane dzień przed jej śmiercią, zgadzają się co do joty z

historią opisaną niezawodnej madame Poubelle przed ledwie kilkoma dniami przez jedno z samotnych serc. Historia nadesłana przez kogoś kryjącego się pod nickiem „Roszpunka” idealnie pasowała także do tego wszystkiego, co Olivia opowiedziała o Kardamie Kowaczewie i jego siostrze Kozymie. Nie wiem, czy w życiu może dojść do tak niewiarygodnego zbiegu okoliczności: by tak oddalone od siebie, tak różne osoby przypadkiem spotkały się na pokładzie jednego jachtu. W każdym razie ja w coraz mniejszym stopniu wierzyłam w zbiegi okoliczności, a w coraz większym w rękę, która pociągała za sznurki. Właścicielką tej ręki musiała być moja siostra, rzecz jasna.

W kwestii związków między Fuguetem a Kozymą musiałam poszperać głębiej. Na razie chciałam się dowiedzieć czegoś w sprawie, która sprowadziła mnie aż tutaj i sprowokowała do pozornie przypadkowego spotkania z Kardamem. Sprawie zegarka. Istniało jakieś nikłe prawdopodobieństwo, że w ciągu kilku godzin, które spędziłam w samotni mojej kajuty, między śniadaniem a godziną wypadku, Olivia podarowała Soni to cacko, ale sama nie byłam do tej wersji przekonana. Moja siostra potrafiła czasem być obłędnie szczodra, ale zważywszy na jej sytuację materialną w tamtym momencie, jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, aby lekką ręką pozbyła się przedmiotu o takiej wartości. Już prędzej przychodziło mi do głowy, że Sonia sama go zabrała, albo przed śmiercią Olivii, albo już po. Tylko dlaczego?

Każdy wie, że jesteś ucieleśnieniem dobroduszości – i głupoty, tak na marginesie. Niemniej jednak nawet najbardziej uległe i durnowate osoby są czasem w stanie zrobić rzeczy, o które nikt by ich nie podejrzewał...

Mniej więcej tak brzmiały słowa Olivii poświęcone Soni, kiedy wyłuszczała gościom powody, dla których każdy z nich (każdy z *nas*, oj, bądźmy uczciwi) mógłby popełnić morderstwo. Ale czy ta dziewczyna mogła być aż tak głupia, jak utrzymywała Olivia? Czy mogła zabić, a potem paradować z rzeczą należącą do ofiary, w dodatku z przedmiotem tak przykuwającym wzrok? Muszę przyznać, że w przeciwieństwie do tego, co można wyczytać w powieściach i co dyktuje zdrowy rozsądek, doświadczenie internetowej deponentki cudzych tajemnic podpowiada mi, że ludzie niekiedy są w stanie zrobić rzeczy sakramencko głupie.

Ale żeby aż tak?!

Znalezienie odpowiedzi na to pytanie i chęć usłyszenia od Kardama Kowaczewa czegoś więcej na temat charakteru Soni stało się więc zasadniczym powodem, który skłonił mnie do rozmowy z nim. Nie mogłam raczej oczekiwać, że tak po prostu, z dobrej woli, wyjawi grzeszki swojej ukochanej, i to osobie, którą ledwie znał, uznałam więc, że większy pożytek przyniesie wzięcie go pod włos. Innymi słowy, pociągnę go za język, ale *nie* na temat Soni, tylko jej matki, czyli mojej ulubionej madame Serpent. Miałam głęboką nadzieję, że w ten sposób, przy odrobinie szczęścia, w trakcie rozmowy uda mi się wydobyć jakiś fakt, który okaże się istotny dla rozwikłania zagadki zegarka.

– Niesamowita kobieta, naprawdę wielce ją podziwiam – nieoczekiwanie zaczął Kardam, kiedy poruszyłam temat doñi Cristiny. W trakcie pobytu na jachcie zauważyłam, że nie darzy ona zbytnią sympatią swojego „zięcia”, na tej podstawie sądziłam więc, że uczucie jest odwzajemnione. Tymczasem okazało się, że jest wręcz odwrotnie, słowa Kardama zdradzały olbrzymi szacunek. – Soni poświęciła praktycznie całe życie – ciągnął. – Podejrzewam, że już znasz jej sprawy... obyczajowe, tak to okreśmy. Odkąd jej córka stała się sławna, brukowce wytrwale opisują wszystko z najszeptniejszymi szczegółami. Ja mogę powiedzieć tylko jedno: doña Cristina zrobiłaby wszystko dla swojej córki. Zresztą pokazała to choćby wtedy, kiedy wydarzyło się „tamto”.

Kardam kontynuował: – Od chwili, kiedy na wpół wykrwawiona Sonia znalazła się w zakładzie, w którym pracowałem, aż po dzień jej wypisania, kilka tygodni później, nie odstępowała jej ani przez chwilę, była przy niej dniami i nocami. Nie pozwalała, by ktokolwiek inny mył ją albo pielęgnował. Nie zgodziła się też, by czasem ktoś ją wyręczył, choćby nawet na czas posiłku. Wiesz, że spała przy Soni zwinięta w kłębek? Nie na łóżku czy kanapie, ale na podłodze, jak zwierzę, jak pies. Rozumiesz to, Agato? Cóż, jestem pewien, że zupełnie tego nie rozumiesz. Dla was, obywateli pierwszego świata, takie zachowanie może wydawać się groteskowe. Tak właśnie mówi się po hiszpańsku? Groteskowe, po prostu pocieszne. I wszyscy w sanatorium śmiali się z niej, a pewnie!, boki zrywali ze śmiechu. Co za prymitywna kobieta,

mówili, z jakiego dzikiego plemienia się wzięła, że zachowuje się w ten sposób. Tylko że ja rozumiem, czemu to robiła. Bo prawdziwa miłość jest oddaniem, czy też tak mówicie w waszym języku? Oddaniem, zniewoleniem. Tak ona pojmuje miłość i ja również tak ją odbieram. Dla swojej córki doña Cristina mogłaby zabić i nie jest to czcze gadanie. Ale wy, cywilizowani, *rozważni*, w ogóle nic z tego nie rozumiecie – zakończył.

Jeżeli czegoś nie rozumiałam i nawet czułam pewien niepokój z tego powodu, to łatwość, z jaką ostatnio tyle osób wypowiadało wyrażenie „móc zabić dla”. W noc poprzedzającą śmierć Olivii użyła go Sonia, z uśmiechem od ucha do ucha. Coś podobnego stwierdził Pedro Fuguet tuż przed opuszczeniem pokładu „Sparkling Cyanide”, kierując te słowa do mnie. A teraz jeszcze bardziej dosłownie nawiązał do tego Kardam, mając na myśli i doinę Cristinę, i samego siebie.

– To musiało być dla niej bardzo trudne – bąknęłam, nie wiedząc, co można jeszcze powiedzieć. – To znaczy, dla kogoś tak twardego jak doña Cristina. Komuś o tak niecodziennym harcie ducha musiało być niezwykle ciężko, by zaakceptować cudzą słabość, zwłaszcza u osoby tak jej bliskiej i uwielbianej. I założę się, że jeszcze trudniej jest jej przyjąć do wiadomości, że wskutek takiej słabości ta osoba zakochała się w kimś, kto nie jest dla niej wymarzonym ideałem – dodałam z pełną świadomością, że stąпам po śliskim gruncie.

Kardam mógł się poczuć dotknięty moimi słowami i uznać rozmowę za skończoną, tymczasem kolejny raz zaskoczył mnie odpowiedzią.

– Ona *wie* – stwierdził i uważnie popatrzył na mnie, jak sądzę po to, aby zobaczyć moją reakcję. – Nigdy się nie przyzna, ale to prawda. Ma świadomość słabych stron swojej córki, wie, do czego jest zdolna, a do czego nie. Z tych względów rozumie, że Sonia po tym, co ją spotkało, zdecydowała się na takiego bezdomnego kundla jak ja – wyjaśnił z niemal niezauważalnym mrugnięciem swych czarnych oczu. – Tak naprawdę doña Cristina rozumie wszystko z wyjątkiem tych bredni o kompensacji emocjonalnej.

– Kompensacji?

– Emocjonalnej. Tak to określił wyelegantowany psychiatra, do

którego wysłali Sonię po wypisaniu z sanatorium. Człowiek, który i na mnie, i na doñę Cristinę patrzył tak, że tylko brakowało, żeby wydusił: „Proszę opuścić to miejsce, tam są drzwi”. Widziałem go tylko raz, nigdy nie byłem obecny przy jego wywiadach z Sonią, ale po zakończeniu wizyt opowiedziała mi wszystko i mieliśmy niezły ubaw z jego wytwornych manier. Doña Cristina miała do niego niemniejsze uprzedzenie – tu Kardam niepoprawnie wypowiedział hiszpańskie słowo „uprzedzenie” – kiedy wybuchła afera z kolczykami od jubilera, a on wyskoczył z tą kompensacją emocjonalną...

Opowiedział mi, jak kilka miesięcy po wypisaniu Soni z zakładu, już po tym, jak powróciła do swoich obowiązków modelki w Nowym Jorku, nakryli ją na kradzieży kolczyków ze sklepu jubilerskiego na słynnej Madison Avenue. Kardam utrzymywał, że nawet nie jakichś specjalnie drogich. Takich, jakie mogłaby otrzymać – a może nawet takie otrzymała – od ich właściciela w zamian za pokazanie się w nich na jednym z niezliczonych przyjęć, na których musiała bywać, w końcu na tym polegał jej zawód. Kradzież była więc tym bardziej niewytłumaczalna. Ponieważ jednak przestępstwo miało miejsce w Stanach Zjednoczonych, dalsze konsekwencje czynu Soni mogły być złożone i bolesne (cały czas przytaczam wersję Kardama). W Stanach nikt się nie patyczkuje z przestępcami, zwłaszcza jeśli nie mają obywatelstwa, w efekcie dziewczyna została zatrzymana na dwie doby. Kiedy doña Cristina dowiedziała się o wszystkim, wsiadła w Madrycie w samolot i przyleciała, aby zapłacić za kolczyki i rozwiązać każdą inną potencjalną trudność. Najwyraźniej udało jej się załatwić nawet to, że informacja nie przeciekła do prasy.

– Ostatecznie wszystko skończyło się dobrze, ale to był jedyny raz, kiedy widziałem, jak płacze. – Kardam znowu zniżył głos, jakby właśnie wyjawiał największą tajemnicę. – A także jedyny raz, kiedy rozmawiała ze mną bez ogródka, tak to się mówi po hiszpańsku? Bez ogródka, chodzi mi o to, że zwierzała mi się szczerze ze swoich obaw. „Ma wszystko, co tylko chce, więc *dłaczego*, Kardamie, *dłaczego*? Co oni zrobili mojej córce? W co ją przemienili? I kto ją obroni, kiedy mnie zabraknie?” Oczywiście niemal mnie nie słuchała, kiedy zapewniałem ją, że zawsze stanę obok niej, że będę chronić nasz skarb – ciągnął

Kardam. – Opętało ją od myślenia o skutkach tej kradzieży. Nie rozumiem, po co przykładła do tego taką wagę, zwłaszcza taka kobieta, która z niejednego pieca chleb jadła. Lepkie rączki to jeszcze nie koniec świata, zgodzisz się, Agato? Ileż modelek i aktorek zrobiło to samo co nasza Sonia? Zapewniam cię, że wiele. Tam, skąd pochodzę, takie rzeczy oczywiście się nie zdarzają. Nikt nie kradnie tego, co ma, tylko to, czego potrzebuje. Wasz świat jest naprawdę dziwny, chociaż staram się go zrozumieć. Dla niej.

Kardam mówił jeszcze inne rzeczy o doñi Cristinie, o Soni, o jej wyelegantowanym psychiatrze, o jego teorii kompensacji emocjonalnej, o grzeszkach bogaczy, ale ja już go nie słuchałam. Miałam już wstępne wytłumaczenie, jak doszło do tego, że zaginął zegarek Olivii, musiałam tylko ustalić, jak i gdzie skieruję teraz swoje śledztwo. Kiedy już rzucisz motek i rozplączesz pierwszy wątek, praktycznie nie można się wycofać, rozplątujesz dalej, a jeden koniec wątku staje się początkiem następnego, et cetera... Coraz trudniej było mi uwierzyć, że Sonia San Cristóbal jest tak nieskomplikowana, jak dawali do zrozumienia i jej partner, i jej matka, i nawet Olivia. Zamieniłam z nią niewiele słów, ale w żadnym wypadku nie wydała mi się durna. Wręcz przeciwnie, w jej pięknych oczach, zimnych jak dwa akwamaryny, czaił się jakiś osobliwy blask. A może to tylko moje wyobrażenia? Może. Olivia zawsze mawiała, że przygłupie osoby potrafią niekiedy wydać się bardzo inteligentne, albowiem wygadują tak niestworzone rzeczy, tak absolutnie wzięte z sufitu, że w głowie się nie mieści, by ktoś mógł w ten sposób konfabulować. W tych rewelacjach człowiek zaczyna doszukiwać się sensu i usiłuje je interpretować za wszelką cenę. Może właśnie dlatego, że wszystko to wydawało mi się nader frapujące, a może i z tego względu, że mieliśmy lipiec, a dla nauczycielki literatury i języka letnia przerwa bywa długa i zdecydowanie nudna, zaczęłam wciągać się w tę zgaduj-zgadulę, jakże inną od wszystkich gier umysłowych, jakie dotąd znałam. W przeszłości przyzwyczaiałam się już do patrzenia na życie z zewnątrz, zza węgła, jak to się mówi, a częściowo też przez cudowne okno wirtualnej sieci. Oj tak, zaiste jest ono cudowne; dzięki Klubowi Samotnych Serc madame Poubelle zdobyłam ogromne doświadczenie w kwestii ludzkiej natury. Teraz

przede mną otwierała się możliwość kontynuowania tych praktyk, tym razem nie w wirtualnym, a w jak najbardziej rzeczywistym świecie, którego zawsze się bałam i poniekąd unikałam. Obszar ten zawsze wydawał mi się niedostępny dla osób takich jak ja. Rzeczywiste życie, którego wszyscy tak chętnie używają i podobno tak je kochają, oto był świat Olivii (do niedawna), za to ten drugi, świat cieni, należał do mnie. Tylko że wszystko się pozmieniało. Olivia już nie żyła, a ja owszem. Na tym polegała największa różnica między nami.

Co się może wydarzyć – zapytywałam sama siebie – jeśli niby przypadkowo wpadnę na kolejnego pasażera ze „Sparkling Cyanide”? Pasażerkę, mówiąc ściślej. Jakie nowe wątki z tego motka rozplączą się w trakcie rozmowy z Sonią San Cristóbal, dajmy na to? Czyż nie przypomina to działalności prywatnych detektywów ze wszelkich napisanych dotąd – lepszych i gorszych – powieści detektywistycznych, gdzie przesłuchuje się podejrzanych i próbuje wyciągnąć z nich jakieś zeznania? Jakie nowe elementy tej przedziwnej układanki zdołam umieścić na właściwym miejscu, korzystając z tej równie starej, co nadal skutecznej, jak widać, metody? Tamtego dnia zrozumiałam, że kiedy ktoś zaczyna udawać i kłamać, wkrótce odkrywa, że obie postawy mogą być użyteczne, a przy tym szalenie rozrywkowe. Dlatego spróbowałam zdobyć się na anielski uśmiech, po czym zadałam Kardamowi następujące pytanie:

– Aha, słuchaj, czy możesz mi powiedzieć, jaki jest adres siłowni, do której uczęszcza Sonia? Na statku wspominała, że korzysta z naprawdę znakomitej, która na dodatek, z tego co pamiętam, znajduje się dość blisko mojego domu. Wtedy nie zapisałam, gdzie to jest, a skoro już zakończyłam ten projekt poświęcony młodzieży podmiejskiej, wspaniale byłoby nabrać nieco kondycji przed wyprawą na plażę. Gdzie? Chwila, moment, muszę zapisać. Masz może długopis?

Wszyscy kłamią

– No i bardzo dobrze, że umarła – rozpoczęła temat Sonia San Cristóbal, patrząc na mnie swoimi dwoma powalającymi akwamarynami, nieco przygaszonymi po wysiłku fizycznym. – Mamcia zawsze powtarza, że powinnam bardziej uważać na słowa, bo nie każdy może je dobrze zrozumieć. No ale mówi też, że innym należy życzyć tego, czego i sobie by się życzyło.

– Hm, że jak? – zapytałam, bo zupełnie nie rozumiałam jej toku myślenia.

– Oj, to proste – zaśmiała się Sonia. – Chodzi mi o to, że w kontekście ostatnich wieści z życia twojej biednej siostry ten wypadek to najlepsze, co mogło ją spotkać, nie uważasz? Mamcia mówi mi także, że w niebie dokładają starań, aby w ludzkim życiu wszystko wychodziło na dobre. W przeciwieństwie do niej, mnie nie kręca ci wszyscy święci, ale w tym przypadku w pełni się z nią zgadzam.

Właśnie miałyśmy przerwę po rzeźbieniu mięśni przez ponad pół godziny bez wytchnienia, oj, zbawienną przerwę przyznaną w końcu przez osobistych instruktorów. Skorzystałam z okazji i dałam temu delikwentowi do zrozumienia, że mnie już naprawdę starczy, wielkie dzięki, może następnym razem. Ćwicząca obok Sonia pocila się w absolutnie uroczy sposób. Ledwie kilka perlistych kropelek pojawiło się na jej czole i górnej wardze, ja natomiast wyglądałam, jakby wyciśnięto ze mnie ostatnie soki. Tak to przynajmniej pokazywała szklana tafla przed nami. Podejrzewam, że lustra w klubach fitness służą właśnie do tego, by podkarmić narcyzm pięknych i szczupłych, a także wyrzuty sumienia pozostałych, którzy nie są ani piękni, ani szczupli. Dlatego oglądanie naszych odbić sprawiało mi mizerną przyjemność, ale nie było wyjścia, mimo tak zawstydzających różnic między mną a Sonią nie miałam jak odkleić oczu od gładkiej powierzchni lustra. Dzięki temu scenę, którą za chwilę opiszę, mogłam oglądać na żywo, zupełnie jak na srebrnym ekranie.

Nie zamierzam rozwodzić się nad wystrojem otoczenia i naszym ubiorem, zwłaszcza że Sonia paradowała w szarych króciuchnych szortach i białym topie, a ja założyłam zużyte bermudy i koszulkę polo,

w której było mi potwornie gorąco. I bynajmniej nie wspomnę, że ona korzystała z pulsometru i iPoda, kiedy ja miałam do dyspozycji przedpotopowego walkmana oraz krokomierz. Myślę, że nie warto również rozpisywać się o tym, że mojej detektywistycznej zabawy nie kontynuowałam tym razem pod pozorem przypadkowego spotkania. Tak było z Kardamem Kowaczewem, którego teraz wykorzystałam jako wytłumaczenie, dlaczego wylądowałam w tym miejscu i teraz pociałam się jak mysz.

– ...No tak, któregoś dnia zupełnie przypadkowo wpadłam na twojego chłopaka nieopodal jego miejsca pracy i chwilę rozmawialiśmy. Nic ci nie mówił? W każdym razie wspomniał, że chodzisz do tego klubu, no i pomyślałam sobie, że może też skorzystam, a czemu nie? I jeszcze miałam fuksa, bo już na miejscu zobaczyłam promocję, jeden dzień gratis na wypróbowanie tych wszystkich przyrządów, więc pomyślałam sobie: rewelacja, upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu, nie dość, że zobaczę się z Sonią, którą tak polubiłam, to jeszcze skorzystam z okazji, aby pozbyć się kilku fałdek.

Po chwili okazało się, że wzmianka o „dwóch pieczeniach” była błędem. Kretańskim zbiegiem okoliczności tak właśnie nazywano tutaj kosmiczny przyrząd do ćwiczeń, o kilka metrów od nas, no i Sonia uparła się, że muszę go natychmiast wypróbować. – Po prostu nie *możesz* tego przegapić. Niesamowicie skuteczny, a najlepsze jest to, że pracuje na dwóch poziomach, głębokim i powierzchniowym. Chodź, wszystko ci pokażę – podniecała się, popychając mnie w kierunku tego narzędzia tortur z typowym dla sportowych neofitów, nieznoszącym sprzeciwu entuzjazmem, wobec którego opór jest z góry skazany na niepowodzenie. Do rozmowy mogłyśmy wrócić dopiero po kwadransie autentycznej udreki. Kwadransie? Nieprawda. To było niemal dwadzieścia minut mordowania się bez szansy na wymianę choćby paru słów. Kiedy tkwiłam uwięziona w „dwóch pieczeniach na jednym ogniu”, Sonia zasiadła do ergometru wiosłarskiego, aby popracować nad swoim – i tak już doskonałym – bicepsiem i trójgłowym. To jej jednak nie wystarczyło. Gdy w moim urządzeniu wreszcie rozległ się zbawczy sygnał oznajmiający koniec ćwiczenia, uparła się, żeby pokazać mi to urządzenie z wiosłami, aby wzmocnić strukturę wewnętrzną mojego

przedramienia. – To nieposłuszny i strasznie wkurwiający fragment ciała – stwierdziła Sonia, dosłownie w ten sposób. Jakby moje ciało miało jakiś fragment, który nie jest wkurwiający, pomyślałam, ale nie było wyboru, musiałam się dostosować. Lepiej wywiesić białą flagę, bo ludzie mający hopla na punkcie sportowego i zdrowego trybu życia nie rozumieją, że u niektórych wywołuje niepokój hasło *mens sana in corpore insepulito*⁶ (podałam tak, jak lubię je przekręcać).

Kiedy byłam już o włos od nabawienia się kontuzji mięśniowej, Sonia położyła mi ręcznik na szyi, jak wianek na głowie czy nawet laur zwycięstwa, i powiedziała: „Starczy, kochana, wydaje mi się, że obie zasłużyłyśmy na soczek ogórkowy, ja stawiam”, i z uśmiechem ruszyła w stronę bufetu. I niech Bóg ją za to wynagrodzi.

O ile wyciągnięcie zwierzeń z Kardama wiązało się z koniecznością spożycia kawy z mlekiem, croissantów i innych produktów tuczających, to akurat podczas rozmowy z Sonią licznik kalorii pozostał na niskim poziomie: przyznaję się tylko do dwóch koktajlów, sojowego z kardamonem (nie taki paskudny, jak mogłam sądzić na podstawie składników) i ogórkowego z żeń-szeniem (nawet nie odważyłam się spróbować). Ale sukcesy odniosłam nie tylko na polu diety. Nie wiem, czy to z racji endorfin, feromonów (oj, jak się nazywa to paskudztwo opioidowe wytwarzane w trakcie ćwiczeń fizycznych?) czy raczej przez poczucie koleżeństwa związanego ze wspólnym uprawianiem sportu, a może po prostu dzięki temu, że Sonia jest jedną z tych osób, które nie mają specjalnych oporów, w każdym razie już po kilku minutach w bufecie nasza rozmowa krążyła wokół tematów, które interesowały mnie najbardziej.

– Tak, zdecydowanie – stwierdziła Sonia – to wielka szkoda, że tych kilka uroczych dni zakończyło się czymś tak potwornym. Wspaniały jacht, ciekawi goście, no i te kapitalne zgrywy Olivii z zabójstwem i udawaniem nieżywej. Tylko ona była w stanie stworzyć tak czadową atmosferę.

Tak powiedziała, a ja po raz kolejny musiałam zastanawiać się, czy mówiła poważnie, czy robiła mnie na szaro. Szczerze mówiąc, coraz trudniej było mi stwierdzić, co może kryć się w tej nieprzeciętnie ślicznej główce. Postanowiłam raz jeszcze uciec się do sposobu, który

przyniósł tak dobre skutki w przypadku Kardama. Chodzi mi o atak przyczajony, o subtelne pociągnięcie za język, ale nie na temat wydarzeń z pokładu „Sparkling Cyanide” widzianych z jej perspektywy, lecz w kwestii pozostałych pasażerów jachtu. Moim zdaniem to bardzo sprytny wybieg. Ludzie potrafią kłamać na temat własnych opinii, ale rzadko to robią, gdy chodzi o powtarzanie cudzych.

– Co pozostali myśleli o dowcipie Olivii? – Sonia powtórzyła moje pytanie, pijąc koktajl ogórkowy. – Chodzi ci o ten pierwszy dowcip, kiedy mówiła, że każdy z nas ma powód, żeby wysłać ją na tamten świat, czy o ten drugi, jak zaczęła udawać, że faktycznie ją zabiliśmy? Mnie bardziej podobał się ten wieczorny, szalenie pomysłowy. Ale mam wrażenie, że dla pozostałych to nie było takie całkiem spoko. Pamiętasz choćby, co się stało następnego dnia po śniadaniu? To faktycznie było całkiem dziwne.

W tym miejscu przerwałam Soni i przypomniałam, że nie było mnie od śniadania do chwili odnalezienia ciała Olivii o piątej po południu.

– Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak mi było hiperniedobrze, czyściło mnie że hej – wyjaśniłam, niezamierzenie przejmując od Sonii upodobanie do wyolbrzymień językowych. – Czułam się megaźle – podkreśliłam raz jeszcze. – Upłynęły ponad cztery godziny, które spędziliście razem z nią, a ja o tym czasie nie wiem nic a nic. Streść mi, co się wydarzyło, powiedzmy, że możesz zacząć od tej historii po śniadaniu. Zdarzyło się coś ciekawego?

– Początkowo nie, sama nuda – stwierdziła Sonia, słodko wzruszając ramionami. – Wiesz, jak mogą wyglądać takie poranki na jachcie: opalanie, kąpiel, mało konwersacji, każdy zajmuje się sobą, czyta albo rozmawia przez komórkę. Ale doskonale pamiętam, że na przykład mamcia była na Oliwie wściekła za te wszystkie żarty i kilkakrotnie musiałam ją uspokajać, że to bez znaczenia i tylko po to, aby było dużo śmiechu. Cary stał po mojej stronie, tylko że on próbował przekonać ją jakimś angielskim megamądrym przysłowiem, które brzmiało mniej więcej tak: „na głupie pytania nie ma odpowiedzi”. Mamcia odrzekła na to, że to zawsze było hiszpańskie przysłowie. Poszła do swojej kajuty, trzaskając drzwiami, wcześniej jednak zdążyła

ponarzekać, że wśród nas, młodych, relatywizm i uszczęśliwianie innych na siłę dochodzi już do poziomu absurdu, że nic już nie ma znaczenia, a tak w ogóle to sami zobaczymy, do czego to może doprowadzić. Później nie pojawiła się na pokładzie. Nawet obiad trzeba było podać jej do kajuty, pozostała tam aż do popołudnia, kiedy odbyła tę długą rozmowę z Olivią.

– Jaką rozmowę? – spytałam zaskoczona, bo przecież w trakcie policyjnego przesłuchania nie padło ani słowo o poobiednich rozmowach Olivii z innymi osobami. Jedyne, co zostało powiedziane, to że kilkoro gości przez moment widziało ją tuż przed śmiercią, kiedy rozmawiała przez telefon. Nic więcej.

– Ależ moja droga – prychnęła Sonia, mieszając słomką swój koktajl ogórkowy (o znośnym smaku, muszę stwierdzić, znośniejszym, niż można by sądzić po warzywach w składzie). – Tamtego popołudnia nie tylko jedna osoba, ale *wszyscy* odbyli osobiste pogawędki z twoją siostrą, ale sama rozumiesz, po co z tym zaraz lecieć do glin.

Bardzo mnie zdziwiło, że Sonia użyła tego ostatniego słowa. Może wydam się staroświecka, mam jednak wrażenie, że nikt nie nazywa policjantów „glinami”, chyba że miał z nimi bezpośrednio do czynienia. Jeszcze można zrozumieć, kiedy, dajmy na to, jakiś drobny przestępca mówi o glinach, albo gdy wylatuje to z ust dilerka lub przemytnika. Ale w ustach dziewczyny takiej jak Sonia? Nie zamierzałam jednak roztrząsać tego zagadnienia. Wolałam skupić się na metodzie prowokowania jej do mówienia o *innych*, nie o sobie. Poza tym jej następne słowa przynajmniej częściowo wyjaśniały, dlaczego wszyscy postanowili przemilczeć przed policją tak istotną informację.

– Wiadomo, że glinom należy mówić jak najmniej, bo inaczej zatrzymaliby nas tam na nie wiadomo ile dni. A wszystko z powodu wypadku, nieszczęśliwego, ale nadal wypadku. Tak przynajmniej mówiła mamcia, a ona zawsze wie, co jest najlepsze w każdej sytuacji. Zresztą inni musieli myśleć podobnie, bo jak widać, każdy postanowił nie wspominać policji o swoich prywatnych rozmowach z Oli.

– Kto z nich rozmawiał z moją siostrą? – zapytałam, z każdym jej słowem coraz bardziej zaskoczona. – Kogo dokładnie masz na myśli?

– Hm, z tego co wiem, to na pewno mamcia, Miranda, Cary,

Kardam, wydaje mi się, że także Fuguet...

– Ale o czym oni rozmawiali?

Sonia ponownie wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, natomiast mogę ci powiedzieć z całą pewnością, że w trakcie sjesty, kiedy na pokładzie niby nie było nikogo, przy tej poręczy, z której miała pecha zlecieć, ruch panował jak w konfesjonale, przewinęli się wszyscy, jedno po drugim.

– Chcesz powiedzieć, że *wszyscy* skłamali, kiedy zeznawali śledczym?

– Mhm, no i co? – stwierdziła Sonia tym samym niewinnym, czarującym tonem co w trakcie całej naszej rozmowy. Wydało mi się jednak, że znieacka zauważyłam w niej subtelną zmianę, prawie niezauważalny błysk w oczach, którego wcześniej nie było, a pojawił się wraz ze słowami: – Zaraz, zaraz, Agato, chyba ani przez chwilę nie myślałaś, że śmierć Oli wcale nie była nieszczęśliwym wypadkiem, prawda? To jedyna rzecz, której wszyscy jesteśmy pewni – dodała, mówiąc to ostatnie słowo z takim naciskiem, że po prostu musiałam zważać w jego szczerość.

Przypatrzyłam się badawczo temu błyskowi w oku. Wydał mi się lodowaty, powiedziałabym nawet, że okrutny. Pamiętam, że raz już go widziałam, wówczas też przykuł moją uwagę, znajdowaliśmy się na „Sparkling Cyanide”, tylko ona wtedy myślała, że nikt na nią nie patrzy. Teraz z kolei wcale go nie ukrywała, odnosiłam wrażenie, że było wręcz odwrotnie. Sonia San Cristóbal patrzyła mi prosto w oczy, co znowu spowodowało, że zaczęłam myśleć o tym samym, co przed kilkoma minutami: kłamie czy nie kłamie? No i przede wszystkim, jaka naprawdę jest ta dziewczyna: głupia jak but czy raczej chytra jak lis?

– Uświadomię cię – dopowiedziała, zupełnie jakby czytała w moich myślach. – *Wszyscy* kłamią, niekoniecznie z podejrzanych powodów, po prostu ze względów praktycznych. Nawet teraz mogę cię okłamywać, nie wierzysz w to?

– Wierzę – przyznałam – ale dlaczego miałabyś to robić? Masz jakiś powód?

Sonia odpowiedziała pytaniem na pytanie:

– A tobie, Agato, nigdy nie zdarza się kłamać?

– O rety – tylko tyle zdołałam wydusić w odpowiedzi, a Sonia wybuchła głośnym śmiechem.

– Uwielbiam tę starzyznę, której używasz na każdym kroku, chyba zapożyczę ją od ciebie. Dużo oryginalniejsza od takich przerywników jak „kurwa”, „cholera” i innych, których wszyscy bez przerwy używają i straciły przez to już jakiekolwiek znaczenie. No dobrze, zobaczmy, czy moje pytanie zabrzmiało lepiej, jeśli użyję któregoś z tych twoich megawynalazków: O rety, zaiste nigdy nie kłamiesz, Agato?

Zakwasy

Dzień po rozmowie z Sonią San Cristóbal przesiedziałam w domu z powodu zakwasów. Zbliżał się koniec lipca, panował afrykański skwar, a w moim mieszkaniu jedynym sprzętem pełniącym rolę klimatyzacji był stary i dość głośny wentylator. W gnuśnym rytmie wirujących łopatek zajęłam się planowaniem moich następnych kroków. Z fitnessowego spotkania z Sonią jedno zdanie utkwiło mi w pamięci wyraźniej niż pozostałe: „Wszyscy kłamią”. Cóż, niewątpliwie, nie ma co tu dyskutować, od czasu do czasu ludzie mijają się z prawdą, zwłaszcza gdy mowa o czymś, co dotyczy ich samych. Nawet ja w tej chwili mogę kłamać, pisząc te słowa. Kiedy ktoś czyta książkę, z góry zakłada, że narrator zawsze jest szczerzy i prawdomówny; być może sądzimy, że skoro ktoś wyznaje nam swoje myśli, jest to wyznanie poufne. Tymczasem literatura zna już wiele przykładów, kiedy narrator okazuje się kłamczuchem. Nie trzeba szukać daleko. Tak na przykład skonstruowana została powieść, którą Olivia mi zadedykowała i zostawiła w mojej kajucie. W *Zabójstwie Rogera Ackroyda* czytelnik na końcu niespodziewanie odkrywa, że to narrator, do którego zdążył już się przywiązać i któremu całkowicie zaufał, okazuje się zbrodniarzem. Niby czemu ja nie mogę korzystać z podobnego zabiegu przy sporządzaniu tych zapisków? Przy czym nie jest to powieść, lecz samo życie. Nie byłby to zresztą ani pierwszy, ani ostatni raz, kiedy rzeczywistość naśladowe sztukę. Po co mówię te bzdury? Z pewnością przez ten skwar. Ja na pewno nie zabiłam swojej siostry, to chyba oczywiste. Czemu miałabym to zrobić? Jeżeli ponadto zastosujemy logikę rodem z powieści kryminalnych, w których każda pojawiająca się postać musi mieć dobry pretekst do popełnienia zbrodni, to zauważymy, że na pokładzie „Sparkling Cyanide” znajdowało się kilka osób mających znacznie poważniejsze motywy niż ja. Z mojego punktu widzenia faworytem numer jeden jest Cary Faithful. – Kiedy Olivia ujawniała powody, dla których każdy z nas mógł pragnąć jej śmierci, przytaczane przez nią słowa były krótkie, ale bardzo wymowne – powiedziałam do siebie przekonana, że przy odpowiednim wysiłku umysłowym dokładnie przypomnę sobie zdania, jakie odnosiły się do

Cary'ego. Imiona i cyfry wylatują mi z głowy od razu, pod tym względem jestem beznadziejnym przypadkiem, dla odmiany jednak mam dobrą pamięć do innych rzeczy, na przykład do cudzych rozmów. To jedna z zalet wieloletniej pracy w zawodzie nauczyciela, rozwija się umiejętność zapamiętywania, co mówią uczniowie – i każdy inny rozmówca.

Gdyby jeszcze nie było tak gorąco, poskarżyłam się sobie w myślach. Wydaje mi się jednak, że to właśnie leniwy warkot łopatek wentylatora zniecka przyniósł ze sobą głos Olivii i słowa, które padły tamtej nocy:

Cary Faithful. Nasz wielki Cary Faithful, drugi z najseksowniejszych facetów na ziemi, do którego wzdychają miliony kobiet. Nie wiecie, jaki sekret skrywa? A ja wiem, mam nawet nagrane jego „wyznanie”. Na razie poprzestańmy na tym, że chodzi o pewną zabawę z dziećmi. A im śliczniejsze i młodsze będą te „dzieci”, tym lepiej. Zgadza się, Cary?

„Mam nawet nagrane”, „wyznanie”, „zabawa z dziećmi”. Czy aby te trzy wyrażenia nie mówią już wystarczająco wiele?

Tak, tak, nie miałam wątpliwości, że Cary Faithful jest moim kandydatem numer jeden. Nikt nie mógł pragnąć śmierci mojej siostry tak bardzo jak on – byłam o tym święcie przekonana.

Upłynęło kilka minut. Łopatki przestarzałego wirnika wciąż kręciły się w kółko, w ogóle nie rozpraszały gorąca, raczej z trudem usiłowały torować sobie drogę przez gęste powietrze, tnąc je na plastry. I wtedy pamięć przywróciła mi jeszcze jedno wspomnienie z ostatniej nocy za życia Olivii. Jej słowa o tych, „którzy kochają zbyt mocno” i „są w stanie zrobić każdą rzecz” w imię pomszczenia lub ochrony osoby, którą tak kochają.

No tak, pomyślałam, co my tutaj mamy, kolejny dobry motyw, aby zabić. A o ilu osobach na pokładzie „Sparkling Cyanide” można powiedzieć, że kochały „zbyt mocno”? Paradoksalnie o wielu. Przynajmniej dwie wskazała sama Olivia podczas swojego wieczornego przedstawienia. Pierwszą był Kardam Kowaczew, który uwielbia swoją siostrę Kozymę, a drugą Miranda, żywiąca podobne uczucia względem Cary'ego. Ale intuicja podpowiadała mi, że takich osób znalazłoby się

więcej. Doskonale w ten schemat wpisywała się choćby matka Soni, moja ulubiona madame Serpent. A czy do tej zaszczytnej grupy nie powinno się także zaliczyć Pedra Fugueta? Bez dwóch zdań. Tylko że w jego przypadku osobą kochaną zbyt mocno była sama Olivia.

Na nowo zatopiłam się w rozmyślaniach, po chwili jednak zdałam sobie sprawę, że uczynienie z Olivii obiektu swojej miłości wcale nie oddala podejrzeń od Fugueta, wręcz przeciwnie. Jeszcze jedno spojrzenie w hipnotyzujące ruchy wentylatora, a po chwili w mojej głowie zrodziły się dwie koncepcje związane z doktorem. Pierwsza całkiem erudycyjna, druga zupełnie robocza i przyziemna. Ta inteligentna związana była ze strofką jednego z moich ulubionych wierszy Oscara Wilde'a, powstałego w trakcie jego odsiadki w więzieniu w Reading. Chodzi o następujący wers: *Each man kills what he loves most*. „Każdy kiedyś zabija to, co kocha [najmocniej]”. Jeżeli rzeczywiście tak jest (a Wilde rzadko mylił się w swoich krytycznych ocenach ludzkiej natury), doktor Fuguet idealnie pasował do tego schematu. Zabić można przecież nie tylko w obronie najukochańszej osoby, lecz niekiedy także w obronie *przed* nią.

Robocze przemyślenie było z kolei związane z przedmiotem, który w tamtym momencie leżał w towarzystwie innych dwóch poduszek. Podglówek z haftem, zabrany z pokładu „Sparkling Cyanide”, po powrocie znalazł się na moim łóżku i nawiązywał do dekoracyjnych gustów mojej siostry. Tym razem nie potrzebowałam nawet terkotu wentylatora, żeby przypomnieć sobie widniejące na nim słowa. Jakże mogłabym zapomnieć, widziałam je każdego dnia, a teraz jeszcze okazały się kolejnym elementem, który tak ładnie pasował do mojej układanki. *Miłość potrafi zabić*.

W końcu zorientowałam się, że wybrane przez Olivię – niewątpliwie z pełną premedytacją – motto książkowe odnosiło się nie do Pedra Fugueta, a do każdej z osób zaproszonych na jacht. Wiele jest różnorodnych miłości, które potrafią zabić. Miłości mętnych jak ta, którą Cary czuł w stosunku do młodych chłopców. Miłości bezgranicznych jak te, których nosicielami byli Kardam, Miranda i madame Serpent. Miłości zdradzonych jak te, które stały się udziałem Vlada Romescu czy Soni San Cristóbal. Miłości wbrew samemu sobie, jak ta, którą

odczuwał doktor Fuguet. A żeby nie wykreślać mnie z listy podejrzanych, dodajmy: miłości takiej jak moja. Jak ją określić? Cóż, żeby być uczciwym, muszę przyznać, że moja miłość względem Oli była mieszanką wszystkich pozostałych, o ile pominiemy słabość Cary'ego do efebów. Miłość zdradzona, miłość wbrew mojej woli, miłość bezgraniczna... Wszystkie te niejednoznaczne uczucia, o większym lub mniejszym nasileniu, składają się na siostrzane stosunki i obawiam się, że nie jestem tu żadnym wyjątkiem. Choćby z tego powodu Olivia owego wieczoru dobrze wiedziała, co mówi, gdy porównywała nas do Kaina i Abla.

Łopatkki wentylatora ospale poruszały stojące powietrze, wciąż tnąc je na pajdy. Skoro, jak wierzyłam, dzięki liście różnych miłości, które mogą zabić, udało mi się dopasować kolejny element mojej układanki, to należało pójść za ciosem. Wciąż nie spotkałam się z wieloma osobami z pokładu „Sparkling Cyanide” i nie wysłuchałam, co ciekawego każda z nich ma do powiedzenia. Nawet jeśli wszyscy kłamali, jak utrzymywała Sonia, nie miało to wielkiego znaczenia, należało to po prostu przyjąć za pewnik, a najważniejsze – konfrontować ich wersje i w ten sposób stopniowo odkrywać prawdę. Miałam już okazję poznać punkt widzenia Kardama i Soni. Kto następny? Najrozsądniejsze wydawało mi się spotkanie z doktorem Fuguetem lub z madame Serpent, oboje mieszkali w Madrycie. Postanowiłam skończyć z wylegiwaniem na kanapie i od razu zabrać się do pracy. Ale, Jezusie słodki, było tak gorąco, że komu byłoby spieszo wychodzić...

Łopatkki wentylatora wciąż krążyły mi nad głową. Prawdę powiedziawszy, ani pogoda, ani zakwasy nie zachęcały do działania. Uznałam jednak, że mogę skorzystać z błogosławieństwa naszych czasów, w których do wykonania nawet najbardziej złożonych zadań niekiedy wystarczy tylko kiwnąć małym palcem. To znaczy, niektórym wystarczy użyć jednego, inni jak ja potrzebują czterech lub pięciu, należę do pokolenia, które nigdy nie nauczyło się sprawnie wstukiwać liter na klawiaturze. W każdym razie ruszyłam się z kanapy i zasiadłam do komputera. Skoro te nowe puzzle spośród wielu zostawionych mi przez Olivie zaczynają pasować do siebie, być może los znów okaże się łaskawy i podaruje mi kolejny element układanki bez specjalnego

wysyłania się z mojej strony. Przykład: gdybyśmy mieli do czynienia z powieścią detektywistyczną, bohaterka (to o mnie) najprawdopodobniej odkryłaby teraz w skrzynce odbiorczej swojej poczty elektronicznej wiadomość dla madame Poubelle z Klubu Samotnych Serc od anonimowego użytkownika o nicku „Roszpunka”, za którym – nie miałam już żadnych wątpliwości – skrywał się Pedro Fuguet. Jakże by to było książkowe, a przy tym wygodne, gdyby właśnie w tej chwili okazało się, że opisał swojej spowiedniczce wydarzenia z pokładu „Sparkling Cyanide”, na podstawie tego, co sam widział i słyszał, i ujawniał w ten sposób nowe informacje, ważne dla mojego śledztwa. Książkowe, wygodne, a przy tym całkiem prawdopodobne, bowiem lata moich doświadczeń z przestrzenią wirtualną pozwalają mi stwierdzić, że jeśli ktoś raz liznął internetowych wynurzeń, nie potrafi potem bez nich żyć, staje się wyznaniowym ćpunem. Kiedy ktoś, zazwyczaj samotny introwertyk, odkryje przyjemność płynącą z obnażania zgrzyzot, zamienia się w straszego ekshibicjonistę. Jak by to ująć? W striptizera zgębnionej duszy. Byłam tak bardzo przekonana, że po otwarciu poczty zobaczę list od Roszpunki, że musiałam trzy lub cztery razy odświeżać skrzynkę, aby upewnić się co do zawartości. Nic z tego. Nie było żadnej wiadomości od nikogo o tym nicku ani o żadnym innym z tych, pod którymi mógłby się skrywać Pedro Fuguet.

Pozostając przy temacie madame Poubelle i jej Klubu Samotnych Serc, muszę powiedzieć, że nawet jeśli skrzynka nie zawierała wiadomości od – z mojego punktu widzenia – najbardziej frapującego i samotnego spośród wszystkich gości mojej siostry, to jednak pękała w szwach od wielu, wielu innych zgłoszeń. Od dnia, gdy wraz z innymi wybrałam się do Andratx na zaproszenie Olivii, madame Poubelle wciąż przebywała na urlopie, co groziło zasypaniem przez lawinę błagań: „Od strapionej!!!”, „Uratuj mnie”, „Balansując na krawędzi”, „*Aiuto!*”, „Krok od katastrofy”, „*Heeeelp*”... To tylko niektóre z wielu oczekujących w mojej skrzynce odbiorczej „spraw”, mimo wszystko jednak pozostałam niewzruszona. W innych okolicznościach niewątpliwie zajęłabym się moimi biednymi, przygnębnionymi sercami, poczułam nawet pewne wyrzuty sumienia, że zupełnie ich wszystkich zignorowałam, lecz nie miałam zamiaru teraz ustępować. Zajmę się tym

innego dnia, pomyślałam, mając jak najlepsze intencje. Naprawdę, słowo, choćbym miała ślęczyć nad odpowiedziami całą noc, obiecałam sobie, niemniej jednak moja uwaga natychmiast skupiła się znów na tym, co trapiło mnie najbardziej. Skoro nie było wieści od doktora Fugueta, sama musiałam znaleźć sposób, żeby z nim się skontaktować. Zawsze oczywiście pozostawała opcja, żeby to ja (w skórze madame Poubelle, rzecz jasna) napisała do Roszpunkki z ciekawości, z chęci zapytania, jak się miewa i czy czegoś nie potrzebuje. Coś jednak intuicyjnie podpowiadało mi, aby tego nie robić. – Po co kusić los – upominałam samą siebie, gdy kolejny raz przeglądałam listę otrzymanych e-maili, mając naiwną nadzieję, że może po prostu przeoczyłam wyczekiwaną wiadomość. – Trzeba poczekać jeszcze kilka dni, a co nagle, to po diable – uznałam. I dokładnie w tamtej chwili niespodziewanie wyskoczył ten *pop up*.

Normalnie odżegnuję się od tej inwazyjnej formy reklamy. Człowiek spokojnie surfuje sobie po internecie, a tu nagle hop, wyskakuje samochód, viagra albo cokolwiek innego. Nie tylko sprzeciwiam się takiej formie, uważam wręcz, że z punktu widzenia sprzedawcy przynosi to skutek odwrotny do zamierzonego, ja zazwyczaj bowiem dostaję szału i obiecuję sobie, że nigdy, przenigdy nie kupię tego przekłętą auta/leku/soku/czegokolwiek. Ponieważ jednak nigdy nie udaje się uniknąć widoku i treści reklamy, tym razem także, chcąc nie chcąc, zapoznałam się z jej zawartością i ku mojemu zaskoczeniu stwierdziłam, że wydaje się skierowana konkretnie do mnie:

To czego szukasz może być nieco dalej, niż myślisz. Na przykład w Londynie, gdzie linie Vueling zabiorą cię za jedyne 30 euro.*

*(*Ceny nie zawierają VAT-u)*

Nie jestem przesądna, nie wierzę w żadne sygnały z zaświatów ani od bogów, ani od dusz cierpiących, nie sędzę więc, żeby to moja kochana siostrzyczka usiłowała porozumieć się ze mną przy użyciu nowoczesnych technologii. Nikogo chyba jednak nie zaskoczę, jeśli powiem, że kiedy tylko przeczytałam ogłoszenie, natychmiast załogowałam się na stronę Vuelinga i zabukowałam bilet.

Czy w Londynie jest równie upalnie jak u mnie w Madrycie? Czy powinnam uprzedzić Cary’ego i Mirandę, że zamierzam złożyć im

wizytę, czy lepiej wpaść bez zapowiedzi? Nie miałam z kim omówić tych kwestii, jeśli nie liczyć starego wentylatora oraz mnie samej, ostatecznie więc negatywnie odpowiedziałam na obydwa pytania, po czym pomyślałam: O tak, zmiana otoczenia bardzo dobrze mi zrobi, przynajmniej przez te kilka dni. A przy odrobinie szczęścia może też przynieść owoce. Rany, jaki ukrop, tu się nie da wytrzymać!

Wyznania przed domem Mary Poppins

– I bardzo dobrze, że twoja siostra nie żyje – stwierdził Cary Faithful, prezentując wykrzywiony uśmiech. Wielu Anglików z wyższych sfer uważa (zupełnie nie rozumiem dlaczego), że im z czymś takim do twarzy.

Zdecydowanie powinien rozwinąć tę myśl, skoro już ją wygłosił, ale nie naciskałam go. Pozostałam pod wrażeniem tych ośmiu słów, brzmiały tak mało współczująco, przede wszystkim jednak były to, o dziwo, te same słowa, których wcześniej w rozmowie ze mną użyli i Kardam Kowaczew, i Sonia San Cristóbal.

– Mimo wszystko cieszę się, że cię widzę – dodał, kiedy wciąż trawiłam to, co usłyszałam wcześniej. – Chcesz pimm'sa? – dodał, podając mi szklankę wypełnioną żółtawym płynem, w którym pływał kawałek ogórka.

Od najmłodszych lat (i wakacji spędzanych na południu Wysp w domu mojej ciotki markietanki) miałam ciekawe spostrzeżenia na temat Anglików i ich relacji społecznych. Chociaż panuje opinia, że po dziś mają system kastowy sztywniejszy nawet od tego, który panuje w Indiach, ich dawnej kolonii, to jednak istnieje miejsce, w którym wszyscy spędzają wesoło czas niezależnie od pochodzenia i statusu. Takim miejscem jest ogród, przynajmniej ja miałam takie poczucie, gdy przyglądałam się otoczeniu. Znajdowaliśmy się w jednym ze wspaniałych londyńskich *private gardens*, odgrodzonych działek pięknie ukwieconych i zadrzewionych, sąsiadujących z niektórymi rezydencjami, najczęściej tymi najdroższymi w mieście. Na teren takich ogrodów wstęp mają tylko sąsiedzi z najbliższej położonych willi (raczej nieliczni). By stać się posiadaczem ogromnej rezydencji w środku miasta, trzeba oczywiście mieć odpowiednio gruby portfel. Wszystkie wokół były takie same, każda biała jak ta, która w tamtej chwili znajdowała się przede mną, wykapany dom Mary Poppins. Abstrahując od szczegółów ekonomicznych, każdy właściciel takiej rezydencji powinien móc się pochwalić przyzwoitym pochodzeniem, także jeśli chodzi o narodowość, wykształcenie i źródło majątku, choć niektóre z tych fortun są, jak sędzę, raczej podejrzane. Tego poranka miałam

okazję zauważyć, że wszyscy obecni w tej małej arkadii przyjęli postawę będącą mieszanką akceptacji i obojętności, co uznałam za bardzo wdzięczne. Nie wiem, z czego ta postawa wynikała, czy to z racji wspólnego przebywania w oazie pośród asfaltowej pustyni, czy też z niesłabnącego zamiłowania Wyspiarzy do terenów *out doors*, czym tak chętnie zarażają się cudzoziemcy. W najbliższym otoczeniu obowiązywało hasło: spotykamy się przy petuniach, zdawkowo witamy, ja ci proponuję coś do picia lub jedzenia z mojego piknikowego koszyczka, ty to przyjmujesz i oferujesz coś w zamian, lecz potem już każdy sobie rzepkę skrobie. Co kto lubi, siedzimy razem, ale osobno, tak jest wygodnie dla wszystkich.

Zanim opowiem, kto w tym edenie znajdował się w gronie Cary'ego, muszę kilka chwil poświęcić na wyjaśnienie, w jaki sposób tam się znalazłam. Zawsze tylko właściciele dysponują kluczem, obcym wstęp wzbroniony, chyba że zostali zaproszeni przez któregoś z sąsiadów. Postanowiłam więc uciec się do starego, dobrego sposobu – „na krewniaka” świeżo poślubionej pary. Chodzi o ten wybieg, dzięki któremu co sprytniejsi, jak nieraz widziałam, dostają się na cudze wesela: trzeba powiedzieć krewnym panny młodej, że jest się jednym z zaproszonych przez pana młodego, i vice versa.

Zanim wcieliłam tę taktykę w życie, poświęciłam kilka minut na ostrożną obserwację z zewnątrz. I odkryłam następujący układ: trzy osobne sąsiedzkie kręgi, trzy sute kosze piknikowe, trzy ożywione dyskusje, jedna po angielsku (Cary'ego i Mirandy), druga po rosyjsku (dwie młode pary jakby wyjęte prosto z okładki „Vogue'a”), trzecia po arabsku prowadzona przez kilka kobiet okutanych w szaty, w których musiało im być koszmarnie (londyńska wilgoć i skwar były w lipcu nie do wytrzymania). Po dokonaniu wstępnego rozpoznania przyszedł czas, żeby przejść do konkretnych działań, a okazja pojawiła się bardzo szybko, gdy młodzian z rosyjskojęzycznej grupy udał się w stronę furtki z zamiarem, jak podsłuchałam, wzięcia z domu frisbee. Wreszcie na coś się przydały dwa lata dzieciństwa spędzone w oparach Moskwy. Mój rosyjski mocno kuleje, ale wtedy wystarczył i do zrozumienia, o co im chodziło z frisbee, i do zaczepienia owego młodego człowieka uprzejmym *izwinitie pażałsta* i pytaniem go – już jednak po angielsku i

z zakłopotaną miną – czy w środku przebywa jego sąsiad, Mr. Faithful. Następnie wyjaśniłam mu, że umówiłam się z Carym u niego w domu, lecz dzwonię do drzwi i nikt nie odpowiada, więc pomyślałam, że może są w ogrodzie, zwłaszcza że pogoda tak wspaniale dopisuje. Potem jeszcze zasypałam go niekończącym się potokiem zupełnie nieistotnych szczegółów, w takiej sytuacji każdy rozmówca chce pozbyć się natręta, bo ma w końcu dość (po rosyjsku: *chwatit!*), i pozwala mu przejść, zapraszającym gestem pokazując wnętrze ogrodu. A kiedy byłam już w środku, nieopodal ogromnej wierzby dostrzegłam Cary’ego opalającego się w niezbyt twarzowych spodenkach kąpielowych i nieodłącznych okularach przeciwsłonecznych. Po jego prawej stronie na dużym ręczniku przysypiał młodzian w identycznych kąpielówkach, a kilka metrów dalej niczym troskliwa niania dwóch psotników krzątała się Miranda, ze sporym koszykiem piknikowym, przygotowując, jak szybko się domyśliłam, posiłek dla jednego i drugiego.

Fortelem „na krewniaka” można się posłużyć na dwa fronty, kiedy więc podeszłam do Cary’ego i spółki, od razu wmówiłam Mirandzie i jemu, że znalazłam się tam z racji znajomości z jedną z rosyjskich dziewcząt. No i patrzcie, mili państwo, co za niebywały zbieg okoliczności! Na podkreślenie moich słów uniosłam rękę w stronę miejsca, w którym stacjonowali słowiańscy sąsiedzi, sami piękni dwudziestoletni, nowa oligarchia, sądząc po dzielnicy. – Nie wiedziałeś, że Irina, tak, ta w szortach w kolorze malwy, która siedzi, o, tam, to córka Leny Pietrownej? Cary, chyba musisz pamiętać naszą moskiewską szkołę i Lenę, grubaskę siedzącą ze mną w jednej ławce, prawda? To wspaniale, że stare dobre przyjaźnie można odświeżyć za pośrednictwem Facebooka, co za świetny wynalazek. Irina jest prześliczna, nie? Chcesz żebym cię przedstawiła? – zapytałam beczelnie, bo gdyby Cary przystał na to, wydałaby się moja ryzykowna zagrywka. To naprawdę ciekawe zjawisko, że kiedy ktoś zaczyna zmyślać (a dotąd raczej nie miałam takiego zwyczaju), szybko staje się zuchwały w swoich kłamstwach. To trochę jak z nałogowym karciarzem, hazardzistą czy amatorem – nomen omen – rosyjskiej ruletki. Zaiste, jak mawiają między innymi Rosjanie, Anioł Stróż czuwa nad karciarzami – Cary odrzucił moją propozycję, mówiąc, że Irina wraz

z grubaską Leną interesują go tyle co zeszłoroczny śnieg. A największą zaletą mieszkania w Londynie jest to, że z sąsiadami nie trzeba się bratać bardziej niż to konieczne, nawet gdy chodzi o wspólne korzystanie z ogrodu. Niedawno zresztą zaproponował tym Rosjanom po pimm'sie, a teraz każdy opala się osobno i nikt sobie nie wadzi.

– Moim zdaniem jednak mógłbyś też zaproponować drinka Agacie – przerwała mu Miranda z typową dla siebie zapobiegliwością. A kiedy już wstała z ziemi, dodała: – Rusz się, Cary, tu są szklanki, tam waza, obsłuż ją sam. Zaraz wracam, tylko skoczę do domu po dziadka do orzechów.

Gdybym była amatorką kragłych zdań, powiedziałabym, że w ten sposób dziadek do orzechów posłużył mi, by dostać się do środka szczelnie zamkniętej głowy Cary'ego Faithfula i zdemaskować tkwiące tam sekretne myśli. Zazwyczaj unikam tego typu metafor, tym razem jednak chyba przymknę na to oko, bo nie ma lepszego sposobu, by wyjaśnić, co się potem wydarzyło. Dzięki dziadkowi do orzechów Miranda zniknęła z pola widzenia i nie wracała przez co najmniej kwadrans. Wystarczająco dużo czasu, abyśmy z Carym porozmawiali o wielu sprawach, o jakich nawet mi się nie śniło.

– Chodź, przycupniemy sobie tam, na ławce po prawej – zaczął, kiedy Miranda się oddalała, a potem wskazał palcem na nieznanego mi śpiącego chłopaka i dodał: – Żeby nie obudzić Paula. Biedaczysko pracował wczoraj do tak późna, że nawet trudno to sobie wyobrazić.

Aż świerzbił mnie język, żeby zapytać, kim jest Paul i na czym polega jego wyczerpująca profesja, ale uznałam, że lepiej tego nie robić. Mimo wszystko spojrzałam w stronę śpiącego ciała, podziwiając jego niewątpliwą młodość i niewinność, z jaką głowa spoczywała na poduszeczce, jak gdyby czyjaś troskliwa ręka zadbała, by Paul przyjął najwygodniejszą pozycję. Cary musiał sporo wyczytać z mojej miny, ponieważ od razu i bez wstępnych ceregieli wygłosił opinię o śmierci Olivii – dobrze, że już nie żyje. To właśnie dlatego teraz patrzyłam na niego z konsternacją, ściskając w dłoni metalową szklankę z żółtawym płynem i kawałkiem ogórka.

Gdyby składniki pimm'sa nie były relatywnie obojętne (poncz z ginu i lemoniady, zielony ogórek to tylko dodatek), pomyślałabym, że

wywołuje skutki podobne do Sparkling Cyanide – mam na myśli tę dziwną miksturę, którą Olivia podała nam w wieczór przed śmiercią, a która, jak mogliśmy stwierdzić po sobie, miała dar rozwiązywania języków (w przypadku Olivii) i paraliżowania ruchów (u wszystkich pozostałych). W przełożeniu na ten angielski ogród: efekt spowolnienia reakcji pojawił się u mnie, a nieskrępowanego gadulstwa u Cary’ego, który od razu przeszedł do rzeczy:

– Czego tu szukasz, Agato?

Zupełnie nie byłam przygotowana na tak bezpośrednie pytanie. Zarówno z Kardamem, jak i Sonią moje „przesłuchania”, tak to nazwijmy, przebiegały w przyjaźniejszej atmosferze. Tym razem jednak wyraz twarzy Cary’ego ewidentnie nie zachęcał do serdecznego poplotkowania.

– Twoim zdaniem to nie był wypadek, mam rację? – mówił dalej.
– I sądzisz, że któreś z nas spełniło jej własną przepowiednię i skończyło z nią? Może masz rację, pewnie tak właśnie się stało, ale na mnie nie licz, ja nic nie wiem.

Skoro na dobre opadły maski, uznałam za stosowne darować sobie różne strategie i wybiegi. Kto był autorem słów, że inteligentnych i podejrzliwców trzeba zawsze oszukiwać, zdradzając im prawdę, mówić im wszystko prosto z mostu, aby zdobyć ich zaufanie i w ten sposób doprowadzić do tego, że osłabnie ich czujność? Bodaj był to Jacinto Benavente y Martínez w *Kręgu interesów*? Nie uważałam Cary’ego za wybitnie inteligentnego, ale jednak za podejrzliwego, postanowiłam więc rozmawiać z nim w sposób tak otwarty, jak to tylko możliwe, nie ukrywając przed nim niczego.

– Ja także nie wiem, co tam się mogło wydarzyć, Cary. Chociaż w sumie kilka rzeczy wiem. Wiem na przykład, że Olivia była egoistką, manipulantką, że wyrządziła krzywdę wielu osobom, tak naprawdę każdemu z nas. Dlatego nie zdziwiłoby mnie, gdybyś faktycznie miał motyw i gdyby doszło do śmierci... powiedzmy, że z przyczyn nienaturalnych, ale które, obawiam się, nigdy nie zostaną odkryte. Jak dobrze wiesz, z policyjnego punktu widzenia śledztwo zostało już zakończone, a żadnemu z nas nie zależy, aby zostało wznowione. Nie sądzisz? Dlatego, skoro mam być z tobą zupełnie szczerą, nie do końca

wiem, czego szukam, myślę, że tak naprawdę to się sprowadza do tego, że mam potrzebę, żeby troszeczkę lepiej poznać i zrozumieć moją siostrę.

– Tu nie ma nic do rozumienia. Czy uważasz, że ona próbowała nas zrozumieć? Że choć odrobinę obchodziło ją, co możemy odczuwać i jak cierpieć? A wiesz, co mi powiedziała, kiedy usiłowałem porozmawiać z nią po raz ostatni?

– A kiedy próbowałeś? – zapytałam znienacka, bo bardzo zależało mi na porównaniu czasów i ustaleniu, kto w którym momencie rozmawiał z Olivią przed śmiercią.

Cary wzruszył ramionami, ni to lekceważąco, ni to z goryczą. Zastanawiał się przez krótką chwilę, po czym w końcu wybrał następującą odpowiedź:

– No nie wiem. Nie pamiętam.

– To było przed obiadem czy po? – nie ustępowałam.

– Po – niechętnie przyznał – ale nie mam pojęcia, o której godzinie. Pamiętam tylko, że udając się na pokład, minąłem matkę Soni San Cristóbal wracającą do swojej kajuty. Założę się, że ona też usiłowała bezskutecznie przekonać Olivię do czegoś, przemówić do niej, zaapelować. A wiesz, co powiedziała mi twoja siostra, gdy przyszła moja kolej? „Za późno”, tak brzmiały jej słowa. „Dla mnie jest już za późno, a skoro tak, to i dla ciebie”. Potem ta pinda spojrzała na mnie z tym swoim uśmieszkiem i dodała: „Nie miej do mnie urazy za to, co chcę zrobić. Każda skrywana informacja wcześniej czy później wychodzi na światło dzienne, twoja tajemnica też nie jest wieczna, Cary”. Potem powiedziała o taśmie, na której jej zdaniem jest nagrane, jak sam opowiadałem o strasznych rzeczach dotyczących mojego życia. Wyjaśniła, z czego składa się nagranie, wymieniła bardzo dosadne szczegóły. Mówiła o występkach, których nie jestem nawet w stanie powtórzyć. Wszystko to nieprawda, całkowita nieprawda, przysięgam ci! Tak też jej powiedziałem, a ona zaczęła się śmiać, śmiała się i śmiała tak długo, aż ja... chociaż w końcu nic nie zrobiłem. Miałem ochotę, uwierz mi, ale nie mogłem.

Spojrzałam na Cary’ego. Za czarnymi ray-banami pojawiła się delikatna, wilgotna zmarszczka. Zdjął na chwilę okulary, by je przetrzeć,

dzięki czemu mogłam przyjrzeć się jego oczom. Przypomniała mi się historia z jego okularami po śmierci Olivii.

– A twoje ray-bany? – rzuciłam. – Znaleziono je obok jej ciała, na pomoście. Nie wątpię, że można to jakoś wytłumaczyć, w każdym razie fakty są faktami, policja znalazła je w tamtym miejscu.

Wyzywająco podniósł głowę.

– No tak, i to najlepszy dowód, że ja jej nie zabiłem. Nie jestem tak dumny, by popełnić morderstwo i zostawić swoje okulary na miejscu zbrodni. Właśnie dlatego, że korzystam z nich częściej niż inni, byłoby niemożliwe, żebym o nich „zapomniał”, he? Być może ktoś, kto nie cierpi na fotofobię, długo nie zdawałby sobie sprawy, że czegoś mu brakuje, jednak ja uświadomiłem to sobie od razu, jak tylko znalazłem się w kajucie.

– Więc dlaczego nie wróciłeś po nie?

Cary zawahał się. Pierwszy raz odniosłam wrażenie, że zaczął się jąkać i wygląda na przestraszonego.

– Ja... – rzucił, ale natychmiast urwał.

– Co „ja”? – naciskałam, z premedytacją przybierając prowokujący ton i usiłując wywołać to samo rozdrażnienie i nienawiść do Olivii, które uprzednio tak rozwiązały mu język. – No dalej, Cary, odpowiedz mi na pytanie.

– Ja odpowiem – usłyszałam miękki głos za plecami.

Odwrociłam się, żeby widzieć twarz Mirandy. Jej wyraz twarzy był pogodny i uśmiechnięty jak u angielskiej guwernantki, która czuje się zobligowana do usprawiedliwienia ostatniego wybryku swojego młodego podopiecznego.

– To ja poszłam poszukać okularów, Agato, i to ja rozmawiałam z twoją siostrą, i to całkiem długo.

– Miri, nie! – przerwał zdenerwowany Cary. – Nic jej nie mów!

Ale Miranda nie posłuchała. Mówiła dalej, powoli, rytmicznie i spokojnie, co tak mi przypadło do gustu wtedy, na „Sparkling Cyanide”. Nawet mocne, niecenzuralne słowa wydawały się przydawać słodczy jej wypowiedzi.

– Całe szczęście, że nie żyje – zaczęła. – Od tamtej chwili wiele razy już to sobie powtarzałam. Twoja siostra, ta parszywa suka,

doskonale wiedziała, co z nami robi.

– Co masz na myśli?

– Jej prowokacje, próby doprowadzenia nas do ostateczności, spowodowania, żebyśmy ją zabili.

– Zaraz, zaraz, przecież to nie ma najmniejszego sensu – zirykowałam się. – Nikt tak nie postępuje.

– Olivia sporo czytała, prawda?

– Moja siostra? Co ty! Nie sędzę, żeby przeczytała więcej niż tuzin książek w swoim życiu. A i to thrillery.

– A coś Daphne du Maurier?

– Co najwyżej widziała film Hitchcocka na podstawie *Rebeki*, ale wątpię, żeby przeczytała książkę. Nadal nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Wiesz, jak się nazywam, tak? – zapytała nagle.

– Tak. Miranda – odpowiedziałam z narastającym zdziwieniem. – Miranda... pamiętałam nazwisko, ale teraz jakoś wyleciało mi z głowy.

– Twoja siostra znała je i ciągle się zastanawiam, czy planując nasz wspólny rejs, nie zrobiła tego z myślą o tym nazwisku. Trudno powiedzieć, czy poznała je i potem przygotowała tę całą intrygę, czy może z tego niezwykłego zbiegu okoliczności zdała sobie sprawę dopiero w trakcie naszej rozmowy, gdy poszłam po okulary Cary'ego, i postąpiła stosownie do tego.

– Zapewniam cię, że nic nie rozumiem – powiedziałam autentycznie zakłopotana. – Po co teraz pojawia się Daphne du Maurier i twoje nazwisko? Jaki to ma związek z tym wszystkim, o czym rozmawiamy?

– Zaczniemy od początku – ciągnęła, lecz Cary kolejny raz przerwał jej, błagając, by przestała mówić. Nie tracąc nic ze swej dobrotliwości i sztywności, co tak bardzo przypominało mi prawdziwą angielską *nanny*, kazała mu się zamknąć, po czym ciągnęła opowieść. – Cary wrócił do naszej kabiny bardzo wzburzony rozmową z Olivią, od razu zrozumiałam, że musieli poruszyć jakiś trudny temat. Oczywiście o nic nie pytałam. Nigdy nie zadaję pytań. Nie ma takiej potrzeby, między Carym a mną nie ma tajemnic, on mi mówi wszystko. Nie żywiłam najmniejszej wątpliwości, że twoja siostra musiała go oskarżyć o coś

straszego i zarazem nieprawdziwego. Uspokoiliam troche Cary'ego, powiedzialam, zeby poczekał w kajucie, položyl się i odpoczal, a ja pojde na gore i odzyskam okulary. Oczywiscie zrobil, jak mu powiedzialam, a ja...

– Miri, prosze cie, blagam – znów przerwal Cary, a gest, jakim ona kazala mu zamilknac, byl zdecydowanie surowszy niz wszystkie wcześniejsze.

– Przestań! Żadne z nas nie ma nic do ukrycia – powiedziala.

Wróciła więc do opowieści. Wspomniała o tym, że w drodze na pokład minęła salonik.

– To była godzina sjesty i wszyscy mieli być w swoich kajutach. Pomimo to widziałam trzy osoby. Sonię San Cristóbal, która wracała do kajuty, słuchając iPod'a. Kardama Kowaczewa, który wedle własnych słów opalał się na pokładzie dziobowym, a w tamtej chwili poszedł po coca-cole. I jeszcze jedną osobę.

– Kogo? – zapytałam.

– Tego wiecznie milczącego lekarza, jak on się nazywał? Ciagle zapominam nazwiska. Siedział na jednej z wielkich koi w salonie. Twierdził, że usiłuje złapać zasięg w komórce, przywitaliśmy się.

– Myślisz, że doktor Fuguet mógł stamtąd słyszeć twoją rozmowę z Olivią kilka minut później na pokładzie?

– Podejrzewam, że tak, ale raczej tylko fragmenty. Mówi się przecież, że rozmowy na morzu są równie porywiste jak wiejący w danej chwili wiatr. Słyszał czy nie, wszystko jedno. Nie obchodzi mnie, czy wie, co powiedziałam tej suce, ale to było to samo, co teraz mam zamiar opowiedzieć tobie.

– Więc wyjaśnij mi, z łaski swojej, bo nadal nie rozumiem, jaki związek ma twoje nazwisko z tą sprawą.

– Cierpliwości, Agato, za chwilę wszystkiego się dowiesz. Na razie skończyłam na tym, że po przywitaniu się z lekarzem wyszłam na pokład. Olivia była na rufie, zastałam ją w pozycji półleżącej na jednym z tych wygodnych siedzisk. Była sama, chyba bawiła się komórką. „Czekałam na ciebie”, od razu rzuciła. Podeszłam do niej i nie owijając w bawełnę, powiedziałam, co sędzę o jej niewytłumaczalnym zachowaniu, zapytałam, co chce osiągnąć, wygadując takie bzdury jak te

z poprzedniego wieczoru, i czemu kilka minut wcześniej nagadała Cary'emu takich rzeczy. „Ach, więc twój chłopak jeszcze ci nie opowiedział?”, zapytała, patrząc na mnie z taką bezczelnością, że naprawdę musiałam się hamować, żeby nie wyprowadziła mnie z równowagi. Nie czekała na moją odpowiedź, od razu wskazała swój telefon. „Mirando, czy wiesz, co to jest?”, na co odpowiedziałam, że to chyba oczywiste. Pokręciła głową i zaczęła mówić, że dzisiejsze telefony to znacznie więcej niż tylko środek do komunikowania się. „Ma mnóstwo dobrych stron, ale i mnóstwo złych, potrafi na przykład przechowywać cudze tajemnice. Chcesz teraz wysłuchać takiej, która mogłaby cię zainteresować, opowiedzianej osobiście przez pewną osobę, którą uwielbiasz? Czy chcesz się przekonać, Mirando, o swojej głupocie? Dowiedzieć, jak twój facet oszukuje cię i to z kim?” Wtedy rzuciłam się na nią, żeby wyrwać jej ten kurewski telefon, ale ona już włączyła odtwarzanie i usłyszałam to...

– O Jezu, nie opowiadałaś mi tej części, Mirando! – przerwał jej Cary.

Miranda mówiła dalej. Na jej twarzy malował się niepokojący uśmiech.

– Agato... usłyszałam większy potok kłamstw, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. To było prostackie spreparowanie głosu Cary'ego, który mówił niestworzone rzeczy, tak obce jego sposobowi bycia, że od samego myślenia o nich robi mi się niedobrze. Powiem ci jakie, żebyś wiedziała, jak obrzydliwym człowiekiem była twoja siostra. W tych historiach pojawiali się młodzi chłopcy, jeszcze niepełnoletni. Głos wspominał o zdjęciach, podawał imiona... Nie warto więcej grzebać w tym bagnie. Pytałam cię, czy pamiętasz moje nazwisko. Teraz ci je przypomnę, a ty z pewnością połączysz wątki, w końcu jesteś nauczycielką literatury. Nazywam się Miranda de Winter.

Mój wyraz twarzy musiał zdradzać nie tylko dyletanctwo, ale i całkowitą konsternację, bo Miranda najwyraźniej nie oczekiwała mojej odpowiedzi.

– Zaczynam mieć wrażenie, że twoja siostra była bardziej czytana niż ty, kochana, i oczywiście zdecydowanie przebieglejsza. Z pewnością bez trudu zdała sobie sprawę, że jeśli ktoś nosi takie samo nazwisko jak

postać występująca w głośnej powieści, zapewne wie o niej niemal wszystko. Chyba nie wyobrażasz sobie, że mogłabyś nazywać się na przykład Jane Eyre i nigdy nie przeczytać powieści Charlotte Brontë, nieprawdaż? Choćby przez czystą ciekawość. Z tego powodu cała moja rodzina zna na wylot tę politycznie niepoprawną bajeczkę napisaną przez Daphne du Maurier na początku poprzedniego stulecia, zatytułowaną *Rebeka*. Kiedy miałam szesnaście czy siedemnaście lat, w domu urządzaliśmy nawet zawody, kto zna więcej dialogów na pamięć, a zwycięzcą za każdym razem okazywał się mój starszy brat, Maxi de Winter, tak, tak, nazywający się dokładnie tak samo jak mąż i zarazem morderca Rebeki. Ja z kolei dzielę z nim tylko nazwisko, niemniej jednak stale mam przed oczami scenę, w której ją zabija. Agato, naprawdę nic z tego nie pamiętasz? Przecież to jedno z najgłośniejszych dzieł współczesnej literatury popularnej! Wiele osób kojarzy je dzięki filmowi Hitchcocka. Oczywiście stary poczciwy Alfred nie miał wyjścia, musiał trochę zmienić tę historię, aby nie miała tak moralnie nagannego przesłania jak oryginał. Myślę, że znalazłaby się na indeksie, nawet gdyby została napisana w naszych czasach – zaśmiała się. – W Hitchcockowskiej wersji *Rebeka* w trakcie rozmowy z mężem upada do tyłu i zabija się, książka jednak wygląda zupełnie inaczej. „Przemoc w rodzinie”, rzekłby współczesny czytelnik, a można też powiedzieć: desperacki czyn małżonka z przyprawionymi rogami, który pakuje dwie kulki w żonę, gdy ta wyznaje mu, że jest w ciąży z innym mężczyzną. Powtórzę się, dzisiaj trudno byłoby usprawiedliwić reakcję Maxima de Wintera, jednakowoż współcześni autorce czytelnicy zupełnie inaczej odczytywali tę powieść, zapewniam cię. Po pierwsze dlatego, że w tamtym czasie nie było takiej nagonki na przemoc wobec kobiet, a po drugie, bo *Rebeka* ukazuje frapujący dylemat literacki i moralny: ewentualną odpowiedzialność autora zbrodni, gdy ma się do czynienia z wymuszonym samobójstwem ofiary.

– Wymuszonym samobójstwem? Mirando, zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Daphne du Maurier zarysowuje w swoim dziele następującą sytuację: *Czy to możliwe, aby ofiara zabójstwa sama prowadziła rękę zabójcy, tak aby popełniono coś, czego ona pragnie, a z nieistotnych tu*

przyczyn sama nie ośmiela się na to zdobyć?

– Nadal nie pojmuję.

– Jak dobrze wiesz, akcja opowiada o tym, jak nieżyjąca Rebeka de Winter, pierwsza żona Maxima, prześladowa i zatruwa życie swojej biednej, bojaźliwej następczyni. Nowa pani de Winter żyje w strapieniu, bo jest przekonana, że jej mąż uwielbiał Rebeke, kobietę, którą wszyscy zapamiętali jako osobę wspaniałą, piękną i niezwykle inteligentną. Dzięki ekranizacji książki jej losy stały się tak głośne, że nawet mówi się dziś o „syndromie Rebeki”, który dotyka osoby żyjące w cieniu dawnej miłości lub związku z przeszłości. W powieści kryje się jednak jeszcze inna, dużo ciekawsza kwestia psychologiczna. Pod koniec fabuły nowa pani de Winter dzięki słowom małżonka odkrywa nie tylko, że nie kochał on Rebeki, ale i to, że była postacią nikczemną, pełną wszelakich przywar, zdolną do każdej podłości. Z tego powodu (pamiętajmy – według słów de Wintera skierowanych do drugiej żony) on postanawia zażądać rozwodu, ale Rebeka kategorycznie odrzuca taką możliwość. Oprócz tego właśnie wtedy uświadamia go, że oczekuje dziecka z innym mężczyzną i że potomek ten odziedziczy posiadłość Manderley. Później wyśmiewa go, szydzi, poniża, prowokuje, doprowadzając do takiego stanu, że de Winter strzela do niej. Po zabiciu Rebeki Maxim umieszcza jej zwłoki w małej łódce i zatapia ją, pozorując wypadek na wodzie. Nie chcę dalej cię nużyć szczegółami, które odwlekają wyjaśnienie związków z losami twojej siostry, w każdym razie rok po tych wydarzeniach łódź z ciałem Rebeki zostaje odnaleziona, a pan de Winter – oskarżony o zabójstwo. Morze rozłożyło ciało na tyle, że nie ma śladu po ranie postrzałowej, która zabiła jego żonę, lecz policja szybko ustala, że łódź została z premedytacją uszkodzona, aby poszła na dno. Pozostają dwie możliwości: albo Rebeka popełniła samobójstwo (tylko dlaczego miałyby to uczynić, skoro przynajmniej na zewnątrz jej życie i małżeństwo były szczęśliwe, a ona sama piękna i wielbiona przez innych?), albo ktoś musiał ją zabić. Wszystko wskazuje na tę drugą hipotezę, a pierwszym podejrzanym jest oczywiście mąż.

Kiedy już wydaje się, że nic nie ocali de Wintera przed stryczkiem, pojawiają się nowe fakty. Wychodzi na jaw, że *owszem*, istniał bardzo ważny powód, który tłumaczyłby ewentualne samobójstwo Rebeki przez

utopienie się w zimnych wodach Morza Północnego – w tym przypadku zresztą, zważywszy na jej nieposkromiony charakter, taki właśnie sposób odebrania sobie życia wydaje się bardzo prawdopodobny. Powodem jest choroba Rebeki, bardzo bolesna, nieuleczalna. Nikt oprócz niej o tym nie wiedział, lecz opatrzościowy telefon do uznanego londyńskiego specjalisty pod koniec książki ujawnia, że Rebecce pozostawało zaledwie kilka miesięcy życia.

– Daj spokój, Mirando, chyba nie próbujesz mi teraz wmówić, że to samo stało się z moją siostrą? Że wiedząc o zbliżającej się śmierci, skrzyknęła nas z cudaczną koncepcją, że któreś z nas zastrzeli ją lub wyrzuci za burzę, i w tak błyskawiczny sposób oszczędzi jej dalszych cierpień?

– Nie, ja ci tego nie próbuję wmówić, to ona próbowała to zrobić, zapraszając nas do popełnienia zabójstwa, nie pamiętasz?

– A więc sugerujesz, że usiłowała sprowokować morderstwo? Za pomocą kłamstw o Carym i kalumnii pod jego adresem doprowadzić cię do takiego stanu, abyś targnęła się na jej życie? Mirando, to całkowicie niedorzeczne, nie jesteś panem de Winter, nie jesteś rogaczem, który traci kontrolę nad sobą, gdy żona uświadamia mu, że ma kochankę. Zapewne niektórzy ludzie reagują gwałtownie, kiedy się ich podpuści lub szykanuje, dowodzą tego statystyki dotyczące przemocy wobec kobiet, ale my, kobiety, nie zabijamy. A jeśli już zabijamy, to z zupełnie innych powodów.

– A jakie są twoim zdaniem, Agato, powody prowadzące do tego, że kobieta zabija?

– Moim zdaniem mężczyźni zabijają, kiedy są atakowani, podczas gdy my zabijamy, kiedy atakuje się tych, których najmocniej kochamy.

– Zgadza się – potwierdziła Miranda, a powiedziała to głosem tak słabym i spokojnym, że musiałam bardzo się wysilić, żeby cokolwiek zrozumieć.

Kiedy teraz przypominam sobie tamtą odpowiedź Mirandy de Winter, mam świadomość, że być może powinnam była zwrócić większą uwagę na jej słowa. Wtedy jednak nie zgadzałam się ze wszystkim, co powiedziała, i przez to nie skupiałam się na tym dostatecznie.

– Bzdury – powiedziałam więc. – Cała ta twoja teoryjka, że Olivia próbowała cię sprowokować ze względu na to, że nosisz nazwisko de Winter, a ona przeczytała powieść du Maurier i chciała skopiować sposób śmierci Rebeki, bo też była chora i nie chciała czekać na powolną, bolesną śmierć, jest kosmiczną brednią. Moja siostra miała w nosie literaturę, pewnie nawet nigdy nie czytała *Rebeki*. A może... – zamilkłam na chwilę, a przez plecy przeszedł mi dreszcz – ...może tak to wszystko analizujesz, bo w ten sposób właśnie próbujesz mi przekazać, że to ty, Mirando, zepchnęłaś Olivie? Nie, to też zbyt nieprawdopodobne. Z tego, co mi opowiadałaś, w trakcie waszej rozmowy Olivia była na pokładzie rufowym i leżała wygodnie, a nie siedziała na relingu. Zresztą nawet gdyby na nim siedziała, jej upadek raczej nie zakończyłby się skręceniem karku, musiałybyś wykazać się jakąś szczególną zwinnością.

– Nawet jednym słowem nie sugerowałam, że podniosłam rękę na twoją siostrę, Agato. Powiedziałam jedynie, że jej gra polegała właśnie *na tym* i że taki był cel sproszenia nas wszystkich.

– Absurd – odparowałam. – Nie tylko dlatego, że wiadomość o zbliżającym się końcu i ledwie kilku miesiącach życia otrzymała tego samego popołudnia, rozmawiając przez telefon ze swoim lekarzem. Poza tym tylko w książkach zdarza się, że jakiś bohater namawia innego do sprzątnięcia go, natomiast w prawdziwym życiu nie ma potrzeby tak kombinować. Jak ktoś chce umrzeć, bierze garść środków nasennych lub wkłada głowę do kuchenki gazowej, nie konstruuje się takich nie wiadomo jak złożonych scenariuszy.

– Chyba, że ta osoba pragnie, aby jej śmierć *nie* wyglądała na samobójstwo, co ty na to?

– A czemu Olivia miałaby czegoś takiego pragnąć?

Miranda wzruszyła ramionami.

– Nie mam bladego pojęcia – stwierdziła i na chwilę obie zamilkłyśmy.

Spojrzałam w stronę Cary’ego. Przysłuchiwał się naszej rozmowie, ale milczał jak grób. Pamiętam, że kiedy Miranda streszczała mi słowa Olivii o jego ukrytych skłonnościach seksualnych, ukradkiem spoglądałam na twarz Cary’ego Faithfula, jednakże nie dowiedziałam

się z niej niczego, tak jak z tego urażonego, uporczywego milczenia. Myślę, że kiedy ktoś prowadzi podwójne życie, jak to jest w jego przypadku (a w przeciwieństwie do Mirandy nie miałam najmniejszych wątpliwości, że rzeczywiście je prowadzi), dochodzi do perfekcji i wyrafinowania w sztuce panowania nad sobą, aby wyraz twarzy nie zdradzał żadnych myśli. To dlatego nie zadrżał mu nawet mięsień, kiedy Miranda przypomniała oskarżenia, jakie padły ze strony Olivii pod jego adresem. Teraz natomiast, kiedy rozmowa skupiła się na przedziwnej teorii Mirandy próbującej wyjaśnić intencje mojej siostry, udawana obojętność Cary'ego zniknęła. Był trupio błydy, mimowolnie bawił się sznurkiem od spodenek kąpielowych, naprawdę budził we mnie politowanie. Dopiero gdy głos nowej osoby zakłócił ciszę, która wtedy zapanowała, twarz Cary'ego znów zaczęła przybierać wyraz posągowej obojętności.

– *Sorry, I was really zonked.*

Tekst ten (co u licha chciał powiedzieć, używając słowa „zonked”?) wygłosił czwarty uczestnik naszego piknikowego kwartetu, który właśnie zbliżył się do nas, przecierając zaspane oczy, młody chłopak, którego widziałam wcześniej śpiącego na ręczniku obok Cary'ego. Przyjrzałam mu się jeszcze raz. Wyglądał całkiem przeciętnie, ale wydał mi się porywczy, może nawet ordynarny. Ile mógł mieć lat? Dwadzieścia, dwadzieścia dwa, na pewno nie więcej, ale i nie mniej. Z szelmowskim uśmiechem pomyślałam, że jeśli Cary naprawdę ma słabość do niepełnoletnich, to związek z tym młodzieńcem musiał trwać już ładnych parę lat.

– Paul jest naszym starym przyjacielem – przedstawiła mi go Miranda. – Choć jest młody, zajmuje się redagowaniem wspomnień Cary'ego.

– O, to ciekawe – odparłam, po czym ośmieliłam się zadać pytanie, które pośrednio miało mi pozwolić na oszacowanie, jak stara jest ta „przyjaźń”. – Od dawna je spisujesz, Paul? Musiałeś zacząć jeszcze niemal w pieluchach – zaśmiałam się, starając się wypaść przyjaźnie.

– Tak, jeszcze się uczył. – Miranda odpowiedziała za niego. – Poznaliśmy się cztery czy pięć lat temu, kiedy Cary składał wizytę w szkole dla dzieci pokrzywdzonych przez los, Saint Michael's. Wiesz,

Agato, nawet sobie nie wyobrażasz, jaką wspaniałą robotę wykonał twój dawny kolega ze szkoły, by wspomóc tych chłopców, gdy ich nauka już dobiegnie końca.

– Rzeczywiście, nawet sobie nie wyobrażam – potwierdziłam, modląc się w duchu, żeby nie zauważyli mojego nieuchronnie szyderczego tonu.

I chyba mi się udało, bo i Paul, i Miranda rozmawiali dalej z pełną swobodą. Opowiedzieli mi na przykład, że Paul pracuje w swojej starej szkole jako nauczyciel wychowania fizycznego, usiłując zintegrować trudną młodzież, do której sam niegdyś się zaliczał. Wspomnieli o rozmaitych programach środowiskowych, następnie zaś Miranda postanowiła mi wyjaśnić, w jaki sposób Paul godził te wszystkie obowiązki.

– To była w pełni jego inicjatywa – pochwaliła go. – Mam na myśli pomysł, by wspomóc Cary’ego przy pisaniu wspomnień. Mówię ci, pracują razem tak intensywnie, że czasem aż trudno mi w to uwierzyć.

Miranda mówiła dalej, ja zaś tym razem nie odważyłam się spojrzeć w stronę Cary’ego. Zbyt się obawiałam, co może zdradzić mój wyraz twarzy. Zamiast tego pozwoliłam wzrokowi błądzić po całym ogrodzie, śledzić ruchy młodych Rosjan bawiących się frisbee, a nawet dwóch Arabek w czadrach. Następnie spojrzałam jeszcze dalej, aż za wierzbę, na rezydencję Cary’ego, która tak bardzo przypominała mi domek Mary Poppins. Nawet nie chciałam sobie wyobrażać, świadkami jakich nocnych igraszek były te ściany, ani jak wyglądały długie godziny spędzane przed komputerem. Pomyślałam za to o niej. O tej przedziwnej guwernantce, która siedziała przede mną, o tej Julie Andrews o imieniu Miranda, pozbawionej parasolki i ukwieconego kapelusza. Jaką rolę odgrywała w tej niepokojącej parodii filmu Walta Disneya?

– Dobrze, dzieci, starczy już tych rozmów. Jedzenie gotowe, trzeba tylko pójść umyć ręce. Cary, Paul, wy dwaj przodem. Agato, czy mogę zaproponować ci jeszcze jednego pimm’sa? Pyszny, prawda? Śmiało. Pozwól, że naleję ci jeszcze odrobinę.

Madame Poubelle i Ágata Uriarte otrzymują listy

Po powrocie do Madrytu, kiedy w głowie wciąż jeszcze szumiała mi ostatnia rozmowa i wątpliwości, jak powinnam ją rozumieć, okazało się, że w domu czekają na mnie trzy interesujące nowiny. Tylko dwie przeznaczone były dla mnie, adresatką trzeciej była madame Poubelle. Oczywiście, jak już wspominałam, w moim komputerze w skrzynce odbiorczej madame znajdowało się mnóstwo innych e-maili, których autorami było kilkadziesiąt różnych samotnych serc, obawiam się jednak, że te biedne, zgnębione duszyczki będą musiały poczekać *sine die* lub znaleźć sobie nową doradczynię w sprawach uczuciowych. W tamtej chwili interesowała mnie tylko jedna z tych wszystkich wiadomości. Ta, którą przysłała Roszpunka.

Zanim jednak włączyłam komputer i odebrałam wyczekiwanego e-maila, gorący lipcowy poranek w Madrycie przyniósł mi za pośrednictwem tradycyjnej poczty dwa jeszcze bardziej intrygujące listy. Kiedy z walizką w rękę przekroczyłam próg domu, zaskoczyły mnie dwie rzeczy, jedna miła, druga nie za bardzo. Przykrą niespodzianką stanowił widok moich roślin, na wpół uschniętych z powodu wysokich temperatur, a tę miłą – dwie koperty, które ktoś dyskretnie wsunął pod drzwi. Listonosz jest zwyczajnym leniem, stwierdziłam, widząc to, bo mimo sowitego napiwku, jaki mu przed wyjazdem zostawiłam, najwyraźniej nie chciało mu się nawet wrzucać listów do skrzynki. – Dajcie mi chwilę, dzieciaczki, już lecę wam na ratunek – powiedziałam, zwracając się przede wszystkim do kencji i fikusa karłowatego, moich dwóch ulubionych i zarazem najwrażliwszych roślin. – Wracam za sekundkę – dodałam, zgarnęłam z podłogi koperty i ruszyłam w stronę kuchni po wodę.

Podejrzewam, że „dzieciaczki” musiały moje pojawienie się w domu uznać jedynie za przywidzenie wynikające ze skwaru. Kiedy bowiem przeczytałam treść pierwszego listu – a co dopiero drugiego! – zapomniałam o roślinach na kolejne kilka godzin.

Szanowna Pani Uriarte – widniało na kartce wyjętej z pierwszej koperty. – *Nazywam się Nelson Gutiérrez Müller, jestem prawnikiem pani siostry Olivii Uriarte. Zważywszy na to, że jest Pani jedyną*

spadkobierczynią zmarłej, uprzejmie proszę o jak najszybsze skontaktowanie się ze mną w żywo interesującej Panią kwestii.

Te kilka zdań widniało na efekciarskim papierze w kolorze ochry zwieńczonym owalnym kształtem, na którym można było odczytać dwa słowa: „Trzeci człowiek”. Poniżej drobnym drukiem widniał cytat, w którym od razu rozpoznałam fragment z filmu o tym samym tytule, z Orsonem Wellesem w roli głównej. Tak się akurat złożyło, że to jedna z moich ulubionych produkcji, więc pomimo mikroskopijnej czcionki od razu skojarzyłam, że chodzi o kwestię wypowiedianą przez Welleśa chwilę po opuszczeniu diabelskiego młyna, która przypomina Josephowi Cottenowi, jak zaskakujące bywają sprzeczności ludzkiej natury. „Włochy za Borgiów – mówi Welles do Cottena – wciąż miały wojny i morderstwa, ale dały światu Michała Anioła, Leonarda i całe Odrodzenie. Szwajcaria miała pół tysiąca lat braterskiej miłości i demokracji, a co dała światu? Zegar z kukułką”.

Jakie to typowe dla mojej siostry, wynająć kauzyperdę z takim mottem życiowym, pomyślałam, usiłując sobie wyobrazić, jak wygląda ten Nelson Gutiérrez Müller i jakiej jest narodowości. Kubańczyk? Paragwajczyk z dziadkiem nazistą albo jakimś Kreolem? Coś w tym rodzaju. Najbardziej mnie jednak intrygowało, co mogło kryć się za lapidarnymi zdaniami nadesłanymi przez tego człowieka. Czy siostra zostawiła mi trochę grosza? Prawo do spadku, zapis w testamencie? Z mojej wiedzy wynikało, że w chwili śmierci Olivia była spłukana na amen. Może więc zostawiła mi przedmiot o dużej wartości sentymentalnej, chociaż niewielkiej ekonomicznej? A nuż coś związanego ze wspólnym dzieciństwem?

Dalsze rozwodzenie się nad tym nie miało sensu, rozsądniej było rozwiązać wątpliwości, korzystając z numeru telefonicznego widniejącego pod listem.

Właśnie brałam słuchawkę do ręki, kiedy pobieżnie przyjrzałam się drugiej otrzymanej tego dnia kopercie. I tym razem wychwyciłam pewien detal, który mnie zaintrygował. Na liście było logo taniego hoteliku z południa Majorki, a moje imię zostało bardzo starannie zapisane czarnym atramentem. Odruchowo obejrzałam kopertę z każdej strony, doszukując się nazwiska nadawcy, kiedy jednak upewniłam się,

że go nie ma, rozcięłam górną krawędź.

Droga Agato – przeczytałam. – Zapewne możesz być zdziwiona, że kontaktuję się z tobą w ten sposób, ale po prostu zgubiłem twój numer telefonu. Usiłowałem dodzwonić się na stacjonarny, jest w książce telefonicznej, ale za każdym razem odpowiadała automatyczna sekretarka, uznałem więc, że musiałaś wyjechać. W następnym tygodniu mam jakąś rozmowę o pracę i będę przez chwilę w Madrycie, byłoby wspaniale zobaczyć się z tobą. Masz mój numer, ale na wszelki wypadek, bo może jesteś równie roztrzępana jak ja i też go gdzieś zawieruszyłaś, napiszę ci tutaj: 707-989-910. Bardzo chciałbym cię zobaczyć.

Uściski

Vlad Romescu

Dwukrotnie musiałam przeczytać treść tej krótkiej wiadomości i za każdym razem zawieszałam się na ostatnich wersach niczym zdarta płyta.

Bardzo chciałbym cię zobaczyć uściski bardzo chciałbym cię zobaczyć uściski

Nie przestawałam tego powtarzać, od tylu już bowiem lat nie dostałam niczego, co choćby w niewielkim stopniu mogło zostać uznane za romantyczną korespondencję. Głupia gąsko – ofuknęłam samą siebie, wyrywając się ze świata marzeń – skończ już z tymi harlequinami. To nie jest ani list miłosny, ani nic w tym stylu. To formułka grzecznościowa.

Jak wiadomo jednak, serce nie sługa, zwłaszcza w przypadku serca takiego jak moje, niebijącego żywiej od niepamiętnych czasów, i teraz kosztowało mnie sporo wysiłku, by przywrócić mu zwykły puls. Zastawki nie zaczęły jednak pracować codziennym rytmem aż do chwili, gdy wykręciłam numer Vlada i skończyłam rozmawiać. Ale potem biedny mięsień sercowy wcale się nie uspokoił, lecz ogarnęło go uczucie zawodu. Oczywiście Vlad nie był nieuprzejmy ani nic w tym stylu. Trzeba mu przyznać, że okazał się bardzo serdeczny. Powiedział, że zamierza przenieść się do Madrytu, szuka zatrudnienia i będzie miał

dwie rozmowy o pracę w sektorze hotelarskim. Rozmawialiśmy przez chwilę, a ja zaproponowałam, że może spać u mnie, żeby zaoszczędzić na hotelu. Jednak nawet kiedy dziękował mi za tę propozycję, barwa jego głosu, a już szczególnie wypowiedziane wtedy słowa nie zawierały nic, co mogłoby podsycić owo wcześniejsze, niezwykle obiecujące „Bardzo chciałbym cię zobaczyć, uściski”.

Po zakończeniu połączenia, które nie okazało się tak zachęcające, jak tego oczekiwałam, we wszystko wmieszała się moja wewnętrzna Doris Day, starając się mi wmówić, że ludzie zawsze są o wiele wylewniejsi na papierze niż w takiej rozmowie. Stąd właśnie takie powodzenie e-sesów (no i zagrożenie), bo człowiek pisze, co naprawdę czuje, a kiedy mówi, zawsze jest ostrożniejszy i bardziej powściągliwy. O tym wszystkim, i jeszcze o wielu innych rzeczach, wspominała moja mimowolna Doris D., natomiast ta swoista Dorothy Parker, również zamieszkująca moje ciało, nie trwoniła czasu na uprzejmości, lecz od razu sprowadziła mnie na ziemię tekstem jak zimny prysznic. – Faceci, którzy mi się podobają, nigdy nie zakochują się w kobietach takich jak ja – brzmiał jej wychowawczy osąd i, o dziwo, właśnie te słowa spowodowały, że poczułam ulgę. Otulił mnie błogi spokój ducha (z nieodłącznym ziarnkiem goryczy), który pojawia się, kiedy człowiek uświadamia sobie, że na miłosnym gruncie nic nie osiągnie ani niczego nie może oczekiwać.

Chwilę potem oddalałam przykre myśli i, jak to się mówi, rozpoczęłam zupełnie nowy rozdział. Zasiadłam do komputera i zaczęłam przegląd nowych e-maili kierowanych do mojej alter ego, madame Poubelle. O, jest. Wysłana przez Roszpunkę wiadomość, na którą tak czekałam, a która już w tytułowej linijce zawierała ważne pytanie: *Czy mogę pani zawierzyć?* Otwierając wirtualny list (tak mi było spieszno, że przypadkowo oczywiście otworzyłam nie ten, co trzeba), usiłowałam wyobrazić sobie wiecznie milczącego i – być może właśnie z tego powodu – szalenie atrakcyjnego doktora Fugueta, odpisującego mi ze swego komputera. Jak wygląda jego mieszkanie? Jak tam jego samopoczucie? Czy wszystko, co przeżył wraz z nami na „Sparkling Cyanide”, w swoim e-mailu opisz mi z zupełnie innego punktu widzenia, wnoszącego coś świeżego, nowego? Czy on także, jak

wszyscy pozostali goście, rozmawiał z Olivią tuż przed jej śmiercią? A jeśli tak, to o czym?

Kiedy w końcu udało mi się otworzyć wiadomość, okazała się tak krótka, że natychmiast zrozumiałam, że kolejny raz moje nadzieje okazały się płonne. Już owo *Czy mogę pani zawierzyć?* zwiastowało pewne z wątpienie ze strony nadawcy, potem zaś znalazło się, co następuje:

Witam, madame Poubelle – pisała Roszpunka. – Od dawna nie piszę do Pani ze względu na mój wyjazd... (tak, tak – niecierpliwie poganiałam go – co mi nowego powiesz, panie Pedro?). To była wspaniała podróż statkiem przez bajeczne miejsca (ad rem, panie, do rzeczy!). Spotkanie z osobą, którą tak bardzo kochałam/em i którą wciąż kocham, stanowiło dla mnie przyjemność, nawet jeśli ciut niepokojącą (no, wreszcie chyba wchodzimy w temat). Ale rzeczywiście muszę przyznać, że osoba ta nadal jest bliska mojemu sercu, aczkolwiek jeśli mam być z panią szczerą/y, madame Poubelle, cieszę się, że już nie żyje (Pedro, przyjacielu, et tu, Brute? Nawet ty pod adresem mojej biednej siostry używasz tych samych słów co wszyscy pozostali?). Mówię straszną rzecz, ale w przypadku tej właśnie osoby uważam, że to może nawet lepiej, w sumie to nawet jestem pewna/pewien, że to właśnie było jej życzeniem.

Przyznam się, że po przeczytaniu ostatniej linijki ręce zaczęły mi dygotać nad klawiaturą. Co ma na myśli Pedro Fuguet, mówiąc, że *to właśnie* było jej życzeniem? Do czego nawiązuje? Jakie dokładnie było według niego to „życzenie” mojej siostry? Czy aby nie ma na myśli tego, o czym wspominała Miranda de Winter? Musiałam wczytać się dalej w ten list i dowiedzieć się nieco więcej. Ku mojej rozpaczcy następne zdania nie rozjaśniały niczego, za to przebijała z nich nieufność.

...to wszystko jednak – mówiła Roszpunka – jest dla mnie wyjątkowo bolesne i sam/a się zastanawiam, czy lepiej o tym mówić, czy nie mówić (No błagam, mówże wreszcie, zawsze lepiej jest powiedzieć, niż milczeć, odwagi i do boju). W tej chwili chyba jednak zdecyduję się na to drugie... (O rety, znaczy się, o kurwa, Fuguet, przestań pieprzyć, jakby teraz powiedziała Oli, nie wyskakuj mi z tym teraz, błagam...)

Rzeczywiście na razie wolę zachować to dla siebie, madame Poubelle, muszę natomiast wiedzieć jedną rzecz: gdybym jednak odważył/a się mówić, to czy naprawdę mogę komuś zaufać? Na przykład Pani? Proszę coś napisać i przekonać mnie, bym otworzył/a się, potrzebuję jakiegoś motywacyjnego kopniaka...

Czekam na Pani odpowiedź, serdecznie pozdrawiam,

Roszpunka

Po przeczytaniu całej wiadomości niemal tyle razy co listu od Vlada Romescu poświęciłam dłuższą chwilę na zastanowienie się, jak powinna brzmieć moja odpowiedź. Internet nieraz porównywano do rozległego morza, po którego anonimowych wodach wszyscy surfujemy. Pozostając przy tym porównaniu, sphywające do mnie zwierzenia lubię porównywać do rybołówstwa dalekomorskiego. Niby nigdy w życiu nie miałam nawet wędki, nie mówiąc już o sieci, ale co tam, metafora i tak doskonale oddaje meritum: my, odbiorcy cudzych zwierzeń, jesteśmy jak wędkarze. Łatwo coś złowić, jeśli chodzi o zwykłe płoteczki, czasem jednak bywa i tak, że haczyk połyka prawdziwie rzadki okaz, dorodny marlin, dajmy na to, i nie należy go spłoszyć, nie wolno szarpać żyłką zbyt gwałtownie, trzeba zluzować kołowrotek, wyczuć, kiedy ściągnąć linkę, a kiedy ją nieco zwolnić, byleby taka sztuka nie uciekła i nie rozplynęła się w bezkresnym morzu anonimowości. Stąd też uznałam, że odpowiedź na e-mail Pedra Fugueta musi być wyważona co do milimetra, tak aby haczyk na pewno został połknięty. Musiała być przyjacielska, lecz w żadnym razie dociekliwa, zachęcająca, ale nienamawiająca, bliska, poufała, a przy tym idealnie wyrażająca désinteréssment.

Po naniesieniu miliona poprawek w końcu zdecydowałam się na następujące słowa:

Roszpunko, o rety, jak się cieszę, że napisałeś/aś. Jeśli chodzi o Twoje słowa, czy warto coś opowiedzieć, czy nie, decyzja oczywiście należy do Ciebie. Od siebie mogę dodać tylko tyle, że w razie czego służę jako pojemnik. Podejrzewam, że rozumiesz znaczenie słowa poubelle, które jest moim imieniem. Jestem dokładnie tym, co ono oznacza, mój

drogi/moja droga – śmietniczką. Czy na odpadki najgorszego rodzaju? Na kwestie wrażliwe lub – choć to właściwie to samo – niebezpieczne dla ciebie lub innych? Może na śmieci do odzysku? Ty decydujesz. I z pewnością wybierzesz najlepsze rozwiązanie.

Pozdrawiam bardzo serdecznie,

MP

Po napisaniu powyższego bez zastanowienia kliknęłam „wyślij”. Na tym polega wędkowanie. Można dobrać przynętę, ocenić sprężystość wędziska, odległość, na jaką chce się rzucić szaławik, a kiedy uczyni się to wszystko, wówczas można już tylko liczyć na łut szczęścia, żeby było branie.

Do momentu, gdy mój piękny marlin ponownie da jakiś znak życia, mogło upłynąć sporo czasu, a chwilowo należało poświęcić uwagę wielu innym rzeczom i sytuacjom. I osobom. Vlad zapowiedział się na następny poniedziałek, na razie jednak wciąż był dopiero wtorek. Miałam niemal tydzień, co zapewne wystarczy, by do tego momentu otrzymać odpowiedź od coraz bardziej interesującego mnie doktora Fugueta i aby złożyć wizytę innemu podejrzanemu, powiedzmy, że tym razem doñi Cristinie, i aby, wreszcie, odpowiedzieć na pierwszy z trzech listów, które odebrałam tego dnia. List od prawnika mojej siostry. Zerknęłam na zegarek: wpół do szóstej wieczorem. Idealna pora – pomyślałam – żeby zatelefonować pod numer widniejący na kopercie.

Gdzie może być jego biuro? Spojrzałam na adres w nagłówku listu i stwierdziłam ze zdziwieniem, że wskazuje na calle de la Ballesta, madrycką ulicę czerwonych latarni, z czego wywnioskowałam, że Nelson Gutiérrez Müller równie dobrze mógł być uznanym młodym mecenasem, co i podstarzałym, skromnym notariuszem. Taka już specyfika mieszkania w okolicach, które przechodzą dogłębną restrukturyzację.

Nie zastanawiając się dłużej, wystukałam numer telefonu, który także był w nagłówku.

– Dobry wieczór, czy można z panem Gutierrezem Müllerem?

– Chwileczkę – odparł przemiły kobiecy głos – już łączę – i w słuchawce rozbrzmiała jedna z klasycznych melodyjek, które niekiedy

mówią bardzo wiele o właścicielu telefonu.

*Jeżeli to ma jakiegokolwiek znaczenie, to od razu powiem, że
zostałam uraczona doskonale rozpoznawalnymi dźwiękami z Żądła.*

Nelson z ulicy uciech

Nelson Gutiérrez Müller nie okazał się ani Kubańczykiem, ani Paragwajczykiem o nazistowskich korzeniach, lecz zwykłym Hiszpanem, tak przynajmniej można było sądzić po akcencie, chociaż na pewno nie po jego fizis. Nigdy tego jakoś specjalnie nie roztrząsam, ale nie da się ukryć, że Hiszpania stała się państwem wielokulturowym, być może dlatego, że transformacja przebiegała u nas błyskawicznie i na wielu frontach. Z tego względu współcześni adwokaci mogą wyglądać właśnie tak, jak prezentował się osobnik stojący naprzeciwko mnie. Przystojny Mulat podobny do Lenny'ego Kravitz'a spoglądał na mnie zza biurka, ubrany w rzeczy od Loro Piana. W żadnym wypadku nie jestem znawczynią ekskluzywnych marek, w przeciwieństwie do mojej siostry, lecz tak się składa, że nieco wcześniej przeczytałam coś w sieci o tym wyrafinowanym domu mody, który stanowi poniekąd kolejny przejaw wielokulturowości: pomimo włoskich korzeni specjalizuje się w tkaninach z andyjskich wigoni i w pakistańskich kaszmirach, a pierwsze wielkie sukcesy odnosił w Nowym Jorku.

A teraz przede mną stał ten oto osobnik, niby mediolański posążek: jasnobrązowe spodnie, różowa koszula bez krawata, a cały *look* dopełniały skarpetki w kolorze lila.

– Zapewne zaskoczył cię mój list – rzucił na powitanie, od razu przechodząc na „ty”.

– Owszem – odparłam, myszkując wzrokiem po pomieszczeniu. Szare ściany, wysokie sufity zdobione sztukaterią, nieliczne, specjalnie zaprojektowane meble... w całej tej, poniekąd przewidywalnej, minimalistycznej harmonii wnętrza zauważyłam jednak dwie fałszywe nuty: hiszpańską flagę sporych rozmiarów, a obok drugą w kolorach tęczy.

Może lepiej nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków, uznałam, usiłując pogodzić te jakże niedopasowane elementy. Nelson Gutiérrez Müller spojrzał na mnie, najwyraźniej rozbawiony moim zakłopotaniem, po czym rozpoczął rozmowę na właściwy temat.

– W pierwszej kolejności chciałbym ci złożyć wyrazy współczucia. Jest mi autentycznie przykro z powodu śmierci twojej

siostry.

Nelson okazał się pierwszą osobą, która powiedziała mi coś ciepłego w związku ze śmiercią Olivii, więc moja autentyczna wdzięczność nie miała granic.

– Niestety! – ciągnął. – Co za niespodziewane odejście. Na szczęście twoja siostra należała do bardzo przezornych osób. Była jeszcze młoda, ale wszystkie sprawy miała doskonale uporządkowane. W dzisiejszych czasach nie jest to zbyt często spotykane.

– Domyślam się – wydukałam, nie za bardzo wiedząc, co mogę powiedzieć.

– Szkoda, że inni nie są tak przewidujący jak ona. Tak naprawdę przedsięwzięcie odpowiednich środków nic nie kosztuje, a pozwala uniknąć później wielu trudności. Na przykład w twoim przypadku zostawiła mi takie polecenia, że nie mogłyby być prostsze. Ograniczyły się do tego, że gdyby coś jej się stało, powinienem skontaktować się z tobą, aby...

Nelson zrobił w tym miejsc zamierzoną pauzę, podejrzewam, że chciał zobaczyć, jak zareaguję. Oczywiście nie zrobiłam mu tej przyjemności, nadal miałam ten sam wyraz twarzy. Wobec tego zapytał:

– Jak sądzisz, co siostra mogła ci zostawić?

– Może dowiem się od ciebie – odparłam, nieco urażona tak niewygodnym pytaniem. – Ja nie mam bladego pojęcia.

– Ani ja – stwierdził. – Tak naprawdę mój udział w sprawie miał się ograniczyć do wykonania pewnej czynności wraz z Flaviem Viccenzem, jej eksmałżonkiem. Czynności, która oczywiście nie sprawiła większego kłopotu, chociaż on absolutnie nie musiał współpracować w tej kwestii.

– Jakiej czynności? I co to ma ze mną wspólnego?

– Chodziło o skontaktowanie się z Viccenzem i poinformowanie go, że Olivia życzyła sobie, aby część należących do niej przedmiotów, wciąż znajdujących się w ich wspólnym domu, przeszła w twoje ręce. Podkreśliła także, że powinnaś udać się po nie osobiście.

– Czy to naprawdę konieczne? Jeżeli to możliwe, wolałabym, aby mi je przesłano. A tak w ogóle to o jakie przedmioty chodzi?

Nelson wzruszył ramionami.

– Na twoim miejscu nie robiłbym sobie nadziei. Chyba wiesz, jak zachowują się bajecznie bogaci eksmeżowie, są przekonani, że w chwili rozstania z żonami wszystko, co im podarowali w trakcie małżeństwa, ponownie należy do nich. Dlatego nie zdziwiłbym się, gdyby te „przedmioty” były rzeczami nikłej wartości.

– Nie chodzi mi o wartość materialną – wyjaśniłam i nagle poczułam ogromną żal w stosunku do mojej siostry. Biedna Oli, w jakże nieludzkim obracała się świecie. – Co mam zrobić – zapytałam – żeby zgodnie z życzeniem siostry skontaktować się z moim byłym szwagrem?

– To także moja działka. Wystarczy, że mi powiesz, kiedy pasowałaby ci wyprawa do domu Vicenza, a ja już zorganizuję spotkanie, mogę ci zresztą towarzyszyć, jeśli chcesz.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne – odparłam.

Następnie Gutiérrez Müller wziął do ręki jeden z leżących na stole telefonów komórkowych i bezzwłocznie wystukał numer Flavia, aby nas umówić. Z pewnością należało określić go jako człowieka rzeczowego.

– Dzięki – powiedziałam i wstałam z krzesła, kiedy zakończył rozmowę.

Osobiście nigdy nie miałam do czynienia z nowojorskimi adwokatami, z tych, co to liczą sobie od minuty – *by the clock*, tak dokładnie brzmi chyba ta formuła. Ale właśnie z ludźmi pokroju Gutierrez Müllera człowiek ma nieodparte wrażenie, że marnuje ich cenny czas. On także podniósł się i odprowadził mnie aż do drzwi. Długi korytarz, który łączył jego gabinet z westybulą, pokonaliśmy w ciszy. Po obydwu stronach hallu były liczne drzwi z matowego szkła, za którymi rysowały się cienie różnych postaci, co sprawiało wrażenie, że mają za nimi miejsce inne tego typu poufne spotkania. Przypominają złodziejskie meliny, pomyślałam, czując nawet lekki przestach, i przyspieszyłam kroku. Dopiero w ostatniej chwili, ściskając mi dłoń na pożegnanie, Nelson powiedział:

– W ogóle nie przypominasz Olivii, nikt by nie pomyślał, że jesteście siostrami.

– No tak – odpowiedziałam – zawsze nam to mówili, odkąd byliśmy małe.

- Bardzo cię podziwiała, pewnie o tym dobrze wiesz.
- *Że co? Że podziwiała?* – powtórzyłam, całkowicie zaskoczona.
- Mam wrażenie, że wolałaby być na twoim miejscu – dodał, po czym uśmiechnął się, kiedy ujrzał moją zdziwioną minę. – Oli mówiła, że ty przynajmniej jesteś wolna.

Nowa Barbie pokazuje wnętrze szafy

Cześć, mam na imię Kalina. Owszem, spodziewaliśmy się twoich odwiedzin. Flav oczywiście bardzo chciałby powitać cię osobiście, niestety, to niemożliwe, wiesz, jest baaardzo zajęty. Muszę ci powiedzieć, że nawet ja rzadko go widuję... Będę musiała poprosić go o zdjęcie, żebym mogła postawić go sobie na stoliku (*śmiech*). Ależ wejdź dalej, nie krępuj się, i nie przejmuj tymi pudłami i całym zamętem, właśnie radykalnie odnawiamy wystrój wnętrz. Lubisz kolor brzoskwinowy? Wiem, wiem, wyszedł już z mody, ale rozumiesz, muszę mieć własne zdanie w kwestiach dekoracyjnych (*znowu śmiech*). Tutaj, tędy, pokój Olivii znajduje się na górze, to znaczy mój pokój, teraz już mój (*chichot hieny*).

Na to nic się nie poradzi, są tacy ludzie i już. Tacy jak Kalina, obecna partnerka Flavia, wystarczy, że nadaje raptem przez pół minuty, a już nachodzi człowieka ochota, by wyłączyć ten odbiornik lub chociaż zmienić stację. Niestety, życie nie oferuje takiej możliwości, więc nie pozostawało mi nic innego, jak słuchać jej paplaniny na schodach prowadzących do dawnego pokoju mojej siostry. Jedyne, co mogłam zrobić – i na co zresztą się zdecydowałam – to zwracać jak najmniejszą uwagę na ten potok słów, a przede wszystkim przyglądać się otoczeniu i samej Kalinie. Już w pierwszej chwili stwierdziłam, że posługuje się doskonałą, płynną hiszpańszczyzną z ledwo dosłyszalnym akcentem środkowoeuropejskim, a chwilę potem, że nie jest tak urodziwa, jak się spodziewałam. Sam fakt, że doprowadziła do odprawienia Olivii, spowodował, że w mojej wyobraźni była olśniewająco piękna, lecz typ plastikowej urody, jakim obdarzyła ją natura i chirurdzy plastyczni, podoba się niektórym mężczyznom, natomiast na kobietach zupełnie nie robi wrażenia. Walkiria, niemal metr osiemdziesiąt, a przy tym twarz małego dziecka. Jak to dobrze ująć? Ciało Umy Thurman zwieńczone twarzą którejś z bliźniaczek Olsen, jeszcze zanim popadły w anoreksję. Inną rzeczą, na jakiej się skupiałam, podążając po schodach jej śladem, było oglądanie samego domu. Odwiedziłam ten dom tylko dwa razy, dobrych parę lat wcześniej, tuż po śmierci moich małych siostrzenic. Wtedy oczywiście nie było okazji, żeby się wszystkiemu uważnie

poprzyglądać. Nie wchodziłam też na piętro, gdzie znajdują się sypialnie. Z tych właśnie względów uznałam moją kolejną wizytę za spóźnioną pielgrzymkę w prywatny świat mojej siostry.

Chociaż w rezydencji Flavia od niedawna panowała królowa Kalina, co zapowiadało w najbliższym czasie gruntowną zmianę wystroju domu, wciąż mogłam dostrzec rękę Olivii w niemal każdym przedmiocie. Choćby w kołatkach wykonanych ze szkła z Murano, każda była w innym kolorze. Kołatki oraz obrazy – wszystkie olbrzymich rozmiarów, współczesne, widowiskowe – były jedynymi elementami polichromatycznymi. Pozostałe dekoracje, żaluzje z drewnianymi lamelami, framugi drzwi, a także ściany, pomalowane były w spokojne odcienie złamanej bieli, niektóre intensywniej szare, inne z delikatną nutką zieleni czy choćby koloru magnolii.

– Flav zdążył mi powiedzieć, że w ogóle nie przypominasz swojej siostry. On dużo o niej mówi, pozwalam mu na to, w ten sposób mogę dowiedzieć się, co mu odpowiada, a co nie. Kiedy bierze się ślub z kimś o wiele starszym, to zwłaszcza na początku dobrze wiedzieć, co ten ktoś lubi, a czego nie, aby mu dogodzić. A potem zobaczymy. Teraz po narodzinach dziecka wszystko oczywiście się zmieni. Nie może już oczekiwać, że będę cały czas zależna od niego jak jakaś gejsza, „tak, kochanie, nie, kochanie”, ja nie gejsza, jak już coś, to prędzej gejzer, tak mówi moja matka, w Krakowie jest geolożką. I na co jej było tyle się uczyć i marnować mnóstwo zdrowia nad książkami? Na jajco.

Nadawała mniej więcej coś takiego, kiedy akurat nastawiłam częstotliwość na jej słowa. Już nieraz zdążyłam zauważyć, że dzisiejsza młodzież (a ta dziewczyna nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia dwa, trzy lata) została pozbawiona jakiegoś filtra, więc papla wszystko, co tylko przelatuje jej przez głowę. Osobiście sędzę, że tego typu „autentyczna” i „transparentna” postawa to raczej mylenie szczerości z biegunką umysłową. Zostawmy to jednak.

Dotarliśmy na górę, na pierwsze piętro. W tej samej chwili z jednego z pokoiów po prawej stronie wyszła kobieta, w czepku i uniformie w prążki zupełnie jakby wyjętym z innej epoki, poruszała się na paluszkach, w uciszającym geście przykładając palec do ust.

– Mój aniołek chyba śpi – stwierdziła Kalina. – Wielka szkoda,

chciałam ci pokazać, jaki jest śliczny! A mówię ci, jaki mam teraz wspaniały pokój dla dzieci, wydaje się, że to zupełnie inne pomieszczenie niż dawniej, tamten to dopiero był szczyt złego smaku.

Kiedy to usłyszałam, przeszył mnie ból na wspomnienie pokoju, który jeszcze niedawno zamieszkiwały moje siostrzenice, nieszczęsne córeczki Olivii. Co prawda takie jest życie, że prędzej czy później każdy z nas zajmuje miejsce kogoś innego, ale nigdy dotąd nie miałam tak silnego, żywego poczucia zastąpienia, przywłaszczenia. Agato, daj spokój, mówiłam sobie, to ani nie jest twój dom, ani nie twoje życie, więc i nieswoje pretensje też powinnaś sobie darować.

Tylko że one były moje. Cień Olivii wciąż krążył po tych pokojach, żył w każdym meblu, który tak uważnie dobierała, w każdym detalu, a stał się jeszcze wyraźniejszy, gdy Kalina otworzyła drzwi od sypialni, w owym momencie już jej własnej.

– Jesteśmy na miejscu. Oto *mój* pokój, jak ci się podoba? Mój i tylko mój, taka zaleta posiadania męża z masą forsy i problemami z prostatą, tak to ujmijmy. To bardzo ważne mieć swój własny kącik... Aha, chyba wiem, co chcesz powiedzieć, że wszędzie jest jeszcze zbyt dużo Olivii. Ale daj mi trochę czasu. Dotąd pochłaniały mnie narodziny dziecka i rzeczy z tym związane, poza tym faceci nie lubią radykalnych zmian. Dlatego zacznę od dolnej części, jak na mój gust jest zbyt zimna, za dużo tu bieli. Potem zrobię rewolucję z całą resztą – mówiła, pokazując mi różne części pokoju, który wydał mi się najprzyjemniejszy ze wszystkich. – Proszę, patrz sobie, na co masz tylko ochotę. A jak ci się to podoba? A to?

Kalina obracała się to w jedną, to w drugą stronę, pokazując rozmaite rzeczy. Tonące w bieli podwójne łóżko, w nogach łóżka – koc w kolorze karmelowym. Rozpalony kominek, jasne ściany, podłoga z ciemnego drewna.

– Chodź, coś ci pokażę – zachęciła, łapiąc mnie za rękę jak dziewczynka, która zdradza koleżance z klasy największe tajemnice pokoju rodziców, i ciągnąc w stronę zamkniętych drzwi. – Sama powiedz, czy mogłaś wyobrazić sobie coś podobnego.

Weszłyśmy do największej garderoby, jaką kiedykolwiek widziałam. Nawet na filmach nie zdarzają się tak wielkie *closets*. Długa

przestrzeń, szeroka na ponad cztery metry, pełna ubrań uporządkowanych według rodzaju. Segment z butami, w tym oczywiście Jimmy Choo i, co jeszcze oczywistsze, Manolo Blahnik, długie rzędy par butów sięgały niemal pod sufit, wszystkie nowiutkie i stojące na baczność. W głębi dostrzegłam półki na swetry ułożone według kolorów, a nawet według odcienia. Dalej znajdowało się co najmniej sześć wieszaków uginających się od sukienek różnej długości, za nimi półki ze spodniami, ze spódnicami. Jeszcze dalej – bluzy, również poklasyfikowane podług kolorów i odmian (codzienne, robocze, wyjściowe, na weekend, na święta...). Następnie paski i inne dodatki, aż w końcu najdalej w głębi dostrzegłam część wielobarwną i dość przerażającą dla kogoś, kto kocha futrzaki, segment na skóry, wiszące jedna obok drugiej, niby żywe zwierzęta pogrążone we śnie, długowłose, krótkowłose, z plamami, z piórami...

Zadawałam sobie pytanie, ile z tych rzeczy pojawiło się tu wraz z Kaliną, a ile należało jeszcze do Olivii i obecnie było do dyspozycji nowej pani Vicenzo. Jak to się odbywa w nowobogackim świecie? Dziedzicysz garderobę po przywłaszczeniu sobie miejsca poprzedniej małżonki? Raczej nie. Być może moja siostra zamierzała odebrać te rzeczy, lecz zaskoczyła ją śmierć. Jednak zgodnie z tym, co wyczytałam w różnych szmatławcach rozpisujących się na temat śmiertelnego wypadku, o warunkach rozstania Olivii i Flavia decydowała intercyza, na mocy której to on określał wszystkie zasady. Niewykluczone więc, że przedziwne reguły świata bogatych polegały właśnie na tym: rzeczy osobiste, stroje i buty, i oczywiście biżuteria przechodziły z jednej żony na drugą, zupełnie jakby chodziło tylko o pozbycie się starej Barbie i jej zamianę na nową.

Kalina czytała chyba w moich myślach, bo tym samym beztróskim tonem co wcześniej zaszczebiotała:

– Jak ci się podoba? Rewelacja, prawda? Kiedy Flav pokazał mi to po raz pierwszy, wydawało mi się, że wchodzę do jaskini Ali Baby i czterdziestu rozbójników, nie, zaraz, pomyłka, miałam na myśli bajki tysiąca i jednej nocy. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Wiesz, co wtedy zrobiłam? Od razu rozebrałam się i zaczęłam przymierzać te rzeczy, buty, futra, sukienkę od Azzaro. I wszystko tak świetnie na mnie

leżało! Zupełnie jakby było skrojone na mnie. To cud, że z Olivią miałyśmy ten sam rozmiar, nie uważasz? Jestem od niej wyższa o sześć czy siedem centymetrów, ale teraz nosi się takie króciuchne rzeczy... Flav oczywiście był zachwycony moim striptizem, więc długo to trwało, a ja ciągle wkładałam na siebie kolejne rzeczy (a przede wszystkim – zdejmowałam), żeby sprawić mu przyjemność. Facetów tak łatwo zabawiać, nie ma nic prostszego. W gruncie rzeczy każdemu podobają się te same głupoty, kobieta musi tylko umieć czytać w jego myślach...

– *Senti, amore...*

I Kalina, i ja, usłyszawszy te słowa za plecami, natychmiast się obróciłyśmy. Przed nami w drzwiach stał Flavio Vicenzo. Jego sylwetka odbijała się w lustrach garderoby, multiplikując się w nieskończoność.

– Flav! – pisnęła Kalina z okrzykiem radości, jak sądzę autentycznej, i rzuciła się w jego stronę.

Nie wiem, to chyba wynik negatywnego wpływu telewizji. Nieraz już widziałam, w jaki sposób dzisiejsze pary witają się, kiedy patrzą na nie inni. Zachowują się, jakby się nie widzieli całe wieki, a przecież mieszkają razem. Albo jakby jedno z nich właśnie wróciło z długiej, wyczerpującej i pełnej niebezpieczeństw podróży. Mniej więcej tak, jak zazwyczaj Brad Pitt i Angelina Jolie postępują za każdym razem, kiedy się widzą, a w pobliżu dostrzegają kamerę: namiętny pocałunek z języczkiem, milion umizgów, czułości na każdym kroku. Człowiek ma ochotę zwrócić im uwagę: wybaczcie, ale skoro mieszkacie razem, to czemu nie dacie sobie buzi w domu, po co dręczycie nas tym odgrywanym afektem? W przypadku Flavia i Kaliny miałam dokładnie to samo (języczek, karesy, czułe słówka i tak dalej), podczas gdy ja sama cierpliwie czekałam z boku, z miną stosowną do okoliczności. Ostatecznie dostrzegłam w tym korzyść, bo byli tak zajęci sobą, że miałam czas, aby spokojnie przyjrzeć się Flawiowi, bez obawy, że zostanę uznana za źle wychowaną. Muszę przyznać, że mój szwagier, już prawie pięćdziesięciolatek, wciąż był śliczny jak z obrazka. Od naszego ostatniego spotkania przybyło mu kilka kilogramów, ale zachował zawiadającą urodę charakterystyczną dla południa Włoch, która zawsze wydawała mi się równie niebezpieczna, co nieodparta.

Żywe spojrzenie, gęste włosy, kształtne, krzepkie ciało, nad którym zapewne musiał regularnie pracować w siłowni. Zauważyłam, że ubierał się młodzieżowo jak na swój wiek, lecz nie raziło to jakoś szczególnie – w dzisiejszych czasach wszyscy ubierają się tak, jakby mieli po dwadzieścia lat, lawendowa koszulka polo, kredowa marynarka, džinsy. Obuwie najmniej przypadło mi do gustu. Nie wiem, co miały oznaczać te szare sportowe buciki, z pewnością kosztowały fortunę, a przydawały Flawiowi wyglądu pospolitego żula.

– Cześć, Ágata – powiedział po upływie paru minut, wyciągając w moim kierunku idealnie wymanikiowaną dłoń. – Strasznie mi przykro z powodu Olivii, to naprawdę okropne, co się stało.

Podziękowałam mu za te słowa, a on mówił dalej:

– Kiedy zadzwonił do mnie ten prawnik, oczywiście powiedziałem, że bardzo się cieszę, że przyjedziesz i zabierzesz jej rzeczy, tak trzeba.

– Ja mówiłam, że można mi to jakoś przesłać i tyle, nie zamierzałam wtrącać się ani przeszkadzać.

– Ależ wcale nie przeszkadzasz. Poza tym Gutiérrez Müller uparł się, że tak brzmiało wyraźne życzenie naszej biednej Olivii: byś przyjechała tu osobiście. Sama wiesz, jaka była twoja siostra – Flavio się roześmiał – lubiła wszystkimi trochę posterować. „Ty zrób to, ty zrób tamto”. Bardzo ją kochałem.

Kiedy tylko to powiedział, Kalina podbiegła do niego, zawiesiła się na jego szyi niczym hawajska girlanda i pozostała w tej niewygodnej pozycji przez dłuższą chwilę. Podejrzewam, że miał to być jej sposób zademonstrowania mężowi: „Pamiętaj, jestem tutaj”. Co zresztą odniosło skutek, Flavio bowiem zaczął ją lubieżnie łachotać w ucho, a jednocześnie zwrócił się do mnie:

– Dzisiaj zamierzam pojechać do Genewy. Mam urwanie głowy w pracy, ale bardzo się cieszę, że wpadłem i mogę cię przywitać, Agato. Czy dałaś już Agacie rzeczy Olivii? – zapytał żonę, odwracając się w jej stronę.

– Oj, Flav, korzystałam z okazji, żeby jej pokazać moje rzeczy. Choć raz jest ktoś, kto może je zobaczyć... – odpowiedziała Kalina, a w jej głosie dało się słyszeć nutkę goryczy, która mnie zaskoczyła.

Już chwilę potem jednak znowu stała się tą samą Kaliną co zawsze:

– Oczywiście Ágata nie jest moją wymarzoną widownią, skoro nawet nie wie, kim jest Jimmy Choo.

– Agato, chodźmy – powiedział Flavio, w końcu uwalniając się z uścisku żony. – Pewnie chciałybyś zobaczyć, co ci zostawiła siostra.

Wraz z Kaliną udałyśmy się za Flaviem, który wrócił do sypialni. Tam przez chwilę rozglądał się wokoło, jakby usiłując sobie coś przypomnieć, po czym podszedł do małej angielskiej komody stojącej pod dużym oknem. Otwierał kolejne szuflady, aż w końcu z ostatniej z nich wyjął coś, co było schowane pod warstwą garderoby.

– Oto jej rzeczy – powiedział i podał mi coś jak pudełko na buty. – W liście zostawionym u adwokata Olivia wytłumaczyła, gdzie powinienem tego szukać – dodał, jakby chciał się wytłumaczyć. – Nie mam pojęcia, co znajduje się w środku, szanuję cudzą własność.

Ugryzłam się w język, żeby nie powiedzieć, że to doprawdy oszałamiające, jeśli moja siostra nie miała niczego więcej „na własność”. Nie odezwałam się, bo wciąż jeszcze żywiłam nadzieję, że w pudełku spoczywa jakiś wartościowy przedmiot, na przykład ekskluzywny zegarek lub dwa, czy jakieś kosztowności. Muszę od razu wytłumaczyć, że jeśli tego pragnęłam, to nie ze względu na chęć odziedziczenia czegoś wartościowego (choć, prawdę mówiąc, moja kulejąca sytuacja ekonomiczna sprawiała, że nie pogniewałabym się z tego powodu). Przede wszystkim jednak miało to związek z moją siostrą. Dość smutny byłby to wniosek, gdyby okazało się, że wszystko, co pozostało jej po związku małżeńskim z tak bogatym człowiekiem, mieściło się w pudełku na buty.

Zapewne stąd wzięła się moja nieposkromiona ochota, by otworzyć je niezwłocznie i zerknąć, co znajduje się w środku. Flavio jak każdy dobrze wychowany człowiek dyskretnie odsunął się na bok, korzystając jednocześnie z okazji, by wykonać jakiś telefon, Kalina natomiast zachowała się zupełnie jak małe dziecko. Choć była wysoka jak żyrafa, stojąc za mną, wspięła się na paluszki, żeby również podejrzeć, co było w pudełku.

Ja także zachowałam się jak mała dziewczynka i odsunęłam się,

usiłując ukryć zawartość przed łakomym wzrokiem Kaliny, ale szybko okazało się, że szkoda zachodu. Pudełko nie zawierało ani kosztowności, ani zegarków. Oprócz koperty z moim imieniem, której nie otwierałam w tamtym momencie, w środku znajdował się tylko plik fotografii przewiązanych wstążką. Rozsupłałam węzełek i po kolei zaczęłam je przeglądać, na początku dość pobieżnie. Potem jednak ścisnęło mi serce, kiedy zorientowałam się, że przedstawiały, jak sądziłam, najszcześniejsze momenty życia Olivii. Na wierzchu znajdowało się zdjęcie wykonane w przychodni kilka godzin po przyjściu na świat jej drugiej córki. Bez trudu mogłam to ustalić, albowiem Olivia była pulchna i bardzo wzruszona, miała na sobie długą koszulę, w ramionach trzymała Caridad, z lewej strony Clarita ścisnęła rączkę noworodka. Trzy, cztery kolejne fotografie przedstawiały obie dziewczynki w identycznych strojach, bawiące się w ogrodzie, a na drugim planie znajdowali się objęci Olivia i Flavio. Przeglądałam dalej. Chyba były ułożone w porządku chronologicznym, tworząc album szczęśliwych dni mojej siostry, aż w końcu dotarłam do zdjęcia, na którego widok wydałam z siebie stłumiony krzyk. W pudełku Olivia trzymała nie tylko sceny z życia swoich dzieci, ale też związane z ich śmiercią. Miałam przed sobą fotografię jej małej córeczki, Caridad, wystrojonej na biało, kokardki, koronki, ktoś mógłby powiedzieć, że spała, gdyby nie pewien okrutny szczegół, że nie spoczywała w kołysce, lecz na białych, żałobnych marach. – O Boże! – wyrwało mi się, po czym zdałam sobie sprawę z obecności Kaliny, durnej ciekawskiej Kaliny, która znów próbowała zbliżyć się i coś podejrzeć. Niedoczekanie, moim obowiązkiem było nie pozwolić jej na to. Musiałam uchronić od cudzych wścibskich oczu – i uchroniłam – ten widok błękitnej twarzyczki mojej siostrzenicy i skrupulatności, z jaką ktoś skrzyżował jej ręce na piersi.

Czemu? Na Boga, czemu Olivia zachowała taki obrazek? Jak to możliwe, że zrobiła zdjęcie martwej córki? Wiadomo, że w dawnych czasach ludzie mieli w zwyczaju uwieczniać zmarłych za młodu synów i córki, aby zachować wspomnienie po nich, jednak nigdy nie pomyślałabym, że ktoś taki jak Oli mógłby poczuć podobną potrzebę. Trzęsły mi się ręce. Nie odważyłam się przejrzeć reszty fotografii,

bałam się, że znowu coś mnie w nich zaskoczy. Niewykluczone, że następne zdjęcie przedstawiało zwłoki jej starszej córki, Clarity, która zmarła kilka miesięcy po młodszej siostrze.

W te moje rozmyślania wdarł się głos Flavia, jakby odległy i przytłumiony.

– Kalino, odpuść, nie widzisz, że Ágata przeżywa, patrząc na pamiątki po Oli? Zostawmy ją na chwilę samą, jeśli tego potrzebuje.

Podniosłam głowę i zobaczyłam, że skończył już rozmowę telefoniczną i zmierzał w tę stronę, gdzie stałyśmy z Kaliną. Chyba rzeczywiście mówił prawdę, najwyraźniej nie miał pojęcia (zapewne jego nowa żona także), co zawiera pudełko Olivii. Skłaniam się ku takiej interpretacji. Gdyby mnie okłamywał, podejrzewam, że nie byłby w stanie mówić tak spokojnym i beztroskim głosem, jakim po chwili zwrócił się do Kaliny.

– *Senti*, skarbie, zrobmy tak. Ja teraz zejść i poczekam na was w gabinecie. Mamy z Claudiem mnóstwo pracy. Wpadnijcie do mnie, jak skończycie, wtedy pożegnam się z Agatą.

Gdybym nie była tak poruszona zawartością pudełka, niewykluczone, że poświęciłabym chwilę osobie Flavia i jego „pracy”. Na czym polegała? W jakiej sytuacji finansowej obecnie się znajdował? Czy ostatnio nie obowiązywała przypadkiem wersja, że jest całkowicie splukany? Wszystko, co w tamtej chwili oglądałam, dom, wyposażenie, garderoba żony, zadawało temu kłam, ale powoli zaczynałam już rozumieć, że plajty milionerów mają coś wspólnego z wyrokami boskimi – są niezbadane.

Wówczas jednak nie zaprzętałam sobie tym głowy. Moim jedynym życzeniem było natychmiast zamknąć pudełko, zapomnieć o zawartości i jak najszybciej odzyskać panowanie nad sobą. Uśmiechnęłam się do Kaliny.

– No cóż, chyba będzie lepiej, jak już się pożegnam, podejrzewam, że i ty masz sporo do roboty.

– Nie zostaniesz jeszcze chwilki? Już prawie druga, możemy razem coś zjeść.

– Bardzo dziękuję, ale pewnie wolisz zjeść w towarzystwie męża i tego Claudia – odpowiedziałam, nieco zaskoczona zaproszeniem.

– Na Flava pod tym względem nigdy nie można liczyć, a Claudio... to tylko sekretarz. No chodź, zostań z nami, pokażę ci jeszcze masę innych ślicznych rzeczy. Może chcesz zobaczyć naszą siłownię? A ogród zimowy? Pokój dziecięcy? Małeństwo z pewnością już się obudziło.

Odrzuciłam zaproszenie najgrzeczniej, jak tylko umiałam. Byłam zaskoczona, że Kalinę zasmuciła moja odmowa. Czy naprawdę taka dziewczyna nie ma nic lepszego do roboty niż wspólny posiłek z nieznajomą i oprowadzanie jej po własnym domu?

– To zawsze miło, jak można z kimś porozmawiać – stwierdziła, zupełnie jakby kolejny raz czytała w moich myślach. Nie wyjaśniła mi jednak, dlaczego nie ma z kim rozmawiać. Taka śliczna kobieta, żona wpływowego mężczyzny, z pewnością mogła liczyć na cały wianuszek przyjaciółek, na inne Kaliny w podobnej sytuacji życiowej, mające te same gusty, zresztą co ja tam wiem.

– No to przynajmniej skoczmy na sekundkę do Flava, chciał się z tobą pożegnać.

Po tych słowach obie w milczeniu skierowałyśmy się w dół schodów, a ja znowu rozglądałam się na boki, chociaż tym razem dom wydał mi się bardziej ponury. Nonsens, pomyślałam, przecież to ta sama droga, którą przebyłam na początku wizyty. Minęłyśmy westybul, potem dwa już wcześniej oglądane salony i dotarłyśmy pod rozsuwane drzwi, w które Kalina najpierw zapukała, a dopiero potem otworzyła. W pokoju był Flavio, uprzejmy tak jak poprzednio. Zdażył już zdjąć marynarkę. Podszedł, by pocałować mnie w policzek na pożegnanie.

– No to bywaj, Agato, jeśli się jeszcze spotkamy, to mam nadzieję, że w przyjemniejszych okolicznościach – stwierdził, nie dodając nic więcej, bo wraz z dźwiękiem telefonu jego przyjazne oblicze natychmiast zmieniło swój wyraz. – A teraz wybac, bo muszę... – dodał, uznając rozmowę za skończoną.

Cały epizod trwał kilka chwil, mimo to wciąż mam go żywo przed oczami. I wcale nie z powodu tego, co napisałam, raczej przez to, co wydarzyło się potem. Obie z Kaliną opuściłyśmy pomieszczenie, ona cały czas namawiając mnie, bym została na obiedzie, a ja wciąż dziękując i wymyślając kolejne usprawiedliwienia, by odmówić. W

pewnym momencie minęłyśmy się z wcześniej niewidzianym osobnikiem. Przez chwilę miałam wrażenie, że to nasz Flavio Vincenzo, który zdążył znów włożyć marynarkę. Nie była to jednak jego marynarka w kolorze kredowym, lecz popielatym; polo Flavia było lawendowe, a to zielone. Cała reszta ubioru była natomiast identyczna. Dżinsy i czarne adidasowe dopełniały strój nieznanego.

– A to jest właśnie Claudio – oznajmiła Kalina, nie bawiąc się w dalsze prezentacje. – Czy zjesz ze mną obiad? – zapytała go, a chłopak się uśmiechnął. Był nieco wyższy od Flavia, miał szpecące ślady po trądziku, bez których jego rysy twarzy uchodziłyby za doskonałe.

– Wiesz co, może zjedz sama, a my najwyżej dołączymy, kiedy będzie deser.

Jego obcy akcent zdradzał, że podobnie jak Kalina i Flavio, Claudio nie był Hiszpanem. Nie tylko to jednak przykuło moją uwagę, w sumie nawet nie zadumałam się nad tym – a robię to nader często – że w dzisiejszych czasach my, Hiszpanie, stajemy się w Madrycie osobliwością, no tak, wszyscy kochamy multikulti. Widok tego młodzieńca i jego sposób ubierania się przypomniały mi jednak co innego: słowa Olivii wypowiedziane w wieczór przed wypadkiem. Motywy, dla których Vlad mógłby pragnąć jej śmierci, a które miały wiele wspólnego ze zmiennymi upodobaniami seksualnymi jej byłego męża. Po jaką cholere geje, którzy nie decydują się na ujawnienie swojej orientacji, ubierają się dokładnie tak samo jak ich kochankowie? Popełniają ten sam naiwny błąd. Czy nie zdają sobie sprawy, że to jest ewidentne, jak to, że dwa plus dwa daje cztery? A jeszcze dziwniejsze, że najbliżsi nie widzą tego, co dla wszystkich innych musi być jasne jak słońce.

Na myśl o tym odruchowo spojrzałam na Kalinę, która uśmiechała się do mnie.

– No zostań, prooooszę. Chociaż trochę, niekoniecznie na obiedzie. Na pewno nie chcesz, żebym ci pokazała resztę domu? Pomieszczenie kinowe, salę do uprawiania jogi Bikram, piwnicę z winami? Robią wrażenie, możesz mi wierzyć...

W siedlisku wężowej damy

W jaki sposób wyciągnąć informację – i to niepostrzeżenie – z kogoś chytrego jak lis, ostrożnego, podejrzliwego, skrytego, kogoś, kto wszystko już w życiu widział? Niewątpliwie każdy z tych przymiotników dotyczył kolejnej osoby, z którą miałam zamiar rozmawiać na temat zdarzeń na „Sparkling Cyanide”.

Aby postępować zgodnie z regułami gry wyznaczonymi przez Olivie – a przy tym zgodnie z pewnym schematem rodem z powieści detektywistycznych, z których postanowiła czerpać pomysły – wreszcie przyszła kolej na odpytanie osoby najtwardszej ze wszystkich: matki Soni San Cristóbal, niepowtarzalnej madame Serpent, z mego punktu widzenia postaci coraz bardziej interesującej. Moja zapożyczona metoda przewidywała między innymi, że taka rozmowa powinna odbyć się w naturalnym środowisku osoby, z której chciało się coś wycisnąć. Dlaczego? Zdażyłam już się zorientować, że jeśli czegoś nie ujawni podejrzany bądź podejrzana, z pewnością uczynią to za niego przedmioty z jego otoczenia. „Wymowność rzeczy”, tak chyba określa się to zjawisko, aczkolwiek sama wolę nazywać to dyskretnym językiem detali.

W tym przypadku tak właśnie się stało. Po przekroczeniu progu domu doñi Cristiny wiele szczegółów od razu zwróciło moją uwagę. Nie szukając daleko: interesująca okazała się nawet osoba, która otworzyła drzwi.

– Ja do madame Serp... do pani Cristiny – ugryzłam się w język, a dziewczyna przy wejściu uśmiechnęła się serdecznie i zapytała, kogo ma zapowiedzieć.

Kiedy jej podawałam swoje imię i nazwisko, z zaciekawieniem zauważyłam, że jest blondynką, Hiszpanką, sądząc po akcencie. Ubrana była w nienaganny szary uniform z białym haftowanym fartuchem. Jeszcze parę lat temu narodowość tej młodej kobiety nie miałaby większego znaczenia, lecz w obecnych czasach jest to właśnie tego typu szczegół, który mówi swoim dyskretnym językiem – w tym przypadku przede wszystkim ze względu na kontrast, jaki stanowiła w zestawieniu z innymi dziewczynami, które miałam okazję zobaczyć chwilę potem.

Po pytaniu hiszpańskiej pokojówki, czy moja wizyta ma charakter prywatny, czy zawodowy (taki i taki, odpowiedziałam na wszelki wypadek), zostałam zaprowadzona do pomieszczenia biurowego. Tam przy każdym z co najmniej dziesięciu ustawionych w szeregu eleganckich stolików siedziała dziewczyna, z niezwykle skupieniem wpatrując się w ekran swojego komputera. Młode niewiasty o aparycji urzędniczek, ubrane i uczesane skromnie, lecz szykownie. Wyraźny kontrast, o którym wspominałam, w porównaniu z hiszpańską pokojówką, wyrażał się przede wszystkim w cechach fizycznych. Jestem pewna, że wszystkie miały andyjskie korzenie, były Peruwiankami, może Ekwadorkami, niestety nie mogłam potwierdzić mojej hipotezy, bo wszystkie pracowały w całkowitej ciszy.

– Dzień dobry – przywitałam się, mając nadzieję, że ich odpowiedzi rozwieją moje wątpliwości, lecz reakcja całego zastępu pracownic ograniczyła się do lekkiego skinienia głową każdej z nich.

Wobec powyższego postanowiłam wyszpiegować, co było na monitorach, w które wpatrywały się z takim namaszczeniem. Czy są to brokerki stale połączone z nowojorską giełdą lub jakąś tego typu instytucją? Bukmacherki? Pośredniczki w branży miłosnej, a mówiąc wprost, organizatorki intymnych spotkań między klientami a ekskluzywnymi damami do towarzystwa? Trudno było odgadnąć, ale znając przeszłość doñi Cristiny, skłaniałam się ku ostatniej możliwości. Przeszłyśmy obok, a ja podobnie jak w rezydencji Flavia i Kaliny skoncentrowałam się na analizie otoczenia. W od niedawna odgrywanej przeze mnie roli panny Marple w sumie to właśnie spodobało mi się najbardziej: podziwianie domów. Nie chodzi o to, że nagle poczułam zainteresowanie wystrojem wnętrz, lecz o wcześniej wspomniany, dyskretny język detali.

– Proszę tu zaczekać – obwieściła przewodniczka, gdy weszłyśmy do kolejnego pomieszczenia. – Niech pani usiądzie. Señora przyjmie panią za kilka minut.

Zapewne znajdowałam się w przedpokoju prowadzącym do gabinetu doñi Cristiny. Sprawiał przyjemne wrażenie, *cosy*, „przytulne” – to słowo chyba najlepiej oddaje charakter tego pomieszczenia. Jeżeli wcześniej minęłam biurową część budynku, to teraz znajdowałam się w

tej prawdziwie prywatnej. Płótna ze szkicami Fortuny'ego, ozdoby prekolumbijskie, szwedzkie dywany, angielskie umeblowanie... jeżeli miałabym postawić „dekoratywną” diagnozę stylu tego wnętrza, skłaniałabym się do użycia słowa „eklektyczny”. Gdybym zaś miała wydać opinię „psychologiczną”, tak to nazwijmy, wówczas dodałabym, że doña Cristina osmotycznie chłoneła gusta estetyczne swej wysoko postawionej klienteli, co zdarza się dość często w przypadku inteligentnych osób pochodzących z niższych sfer. A skoro podczas swojej długiej kariery zawodowej miała do czynienia z różnorodnymi osobami, jej własne wyczucie smaku musiało poddać się tym zewnętrznym wpływom.

– Proszę usiąść, gdzie pani będzie wygodnie – uprzejmie powtórzyła dziewczyna, po czym zniknęła za tylnymi drzwiami. Zrobiłam, jak powiedziała, czas oczekiwania zamierzałam spędzić na dalszym przyglądaniu się otaczającym mnie przedmiotom. Może powiedzą mi coś jeszcze?

Nie zdążyłam, bo po ledwie kilku sekundach drzwi się uchylily i do pomieszczenia weszła madame Serpent.

– Proszę, proszę, co za niespodzianka – rzekła, lecz ani ton jej głosu, ani brak z jej strony pytania o to, co ja tutaj robię, nie świadczyły o tym, że moja wizyta w jakikolwiek sposób ją zaskoczyła.

Zaprowadziła mnie do pokoju obok, dużego, przestronnego, w którym dominujące miejsce zajmowało biurko. Przykuło moją uwagę pustką – na blacie nie było żadnych kartek, przedmiotów czy choćby telefonu. Zimny, bezpłciowy wystrój pomieszczenia poważnie zakłócały dwa święte obrazki, jeden przedstawiający ukrzyżowanego Chrystusa w barwnej szacie i drugi, stiukowy, z Jezusem w koronie cierniowej, bolesciwym i krwawiącym, którego oglądanie w dzieciństwie groziłoby niejednym nocnym koszmarem. Malowidła wyraźnie kontrastowały z pozostałymi dekoracjami, ale nie otrzymałam czasu na domysły i wnioski własne; natychmiast zaczęłyśmy rozmowę i nie chciałam, aby jakakolwiek częśćka mojego mózgu rozpraszała się innym zagadnieniem, nie zamierzałam wzbudzać w ten sposób podejrzeń w tej ostrożnej kobiecie, którą miałam przed sobą. Jeżeli ktoś kiedyś zdoła przeczytać moje zapiski... A widzę na to szansę, opisywanie mojego

prywatnego dochodzenia podoba mi się coraz bardziej, więc może nabiorę odwagi i przerobię materiał na jakąś powieść? (Mam już nawet tytuł: *Zaproszenie na morderstwo*. Czemu nie? Intryguje i kusi faktem, że przytacza prawdziwą historię, nie ma tu nawet cienia fikcji.) Dobrze, ale wróćmy na początek zdania, no bo jeśli nawet postanowię zostać pisarką, nie mogę ciągle odchodzić od głównego wątku. Mówiłam chyba, że jeśli ktoś przeczyta tę opowieść, być może w tym miejscu na jego usta zacznie cisnąć się pytanie, czy doña Cristina również wypowiedziała słowa, które usłyszałam od wszystkich innych osób uczestniczących w nieszczęsnym rejsie „Sparkling Cyanide”: „Jak to dobrze, że twoja siostra już nie żyje”. Odpowiadam twierdząco, chociaż w jej przypadku musiałam poczekać kilka minut. W rozmowie postanowiłam wykorzystać sztuczkę Jacinta Benaventego, tę samą, którą z tak dobrym skutkiem zastosowałam w rozmowie z Carym Faithfulem – należy osobę inteligentną lub podejrzliwą zmylić, zaczynając od wyjawienia jej prawdy, a kłamstwa zostawić na później, kiedy jej czujność zostanie już uśpiona. Dlatego nie owijałam w bawełnę, lecz od razu wyjawiałam, prosto z mostu i patrząc jej w oczy (to zawsze robi dobre wrażenie), że mam istotne powody, by sądzić, że śmierć Olivii nie była wynikiem wypadku. – Oczywiście nie mam najmniejszego zamiaru – pospieszyłam z wyjaśnieniem – zgłaszać policji tego podejrzenia. Nie trawię, gdy władza wściubia nos w prywatne sprawy – podkreśliłam, a ona przytaknęła, nadal jednak dość nieufnie, więc powtórzyłam: – Co to, to nie, żadnych mundurów. Dochodzenie zostało zamknięte i tak jest lepiej dla wszystkich. Problem leży zupełnie gdzie indziej i sądzę, doño Cristino, że jest pani jedyną znaną mi osobą, która potrafiłaby mnie zrozumieć. Moje zmartwienie polega na tym, że przecież nie mogę spać spokojnie, nie wiedząc, czy dusza mojej siostry spoczywa w spokoju, czy niekoniecznie? – powiedziałam i natychmiast zdałam sobie sprawę, że trafiłam w dziesiątkę, po prostu nie mogłam wpaść na lepszą argumentację. – Jedyne, co mnie trapi – powtórzyłam jeszcze dobitniej – to dowiedzenie się, czy Olivia miała czas na uładzenie duszy, czy też będzie błąkać się po tym świecie, objawi mi się którejś nocy i śmiertelnie mnie przestraszy.

Dopiero wtedy nastąpił obowiązkowy punkt programu: – Dobrze,

że twoja siostra już nie żyje – powiedziała, patrząc na mnie twardo swoimi czarnymi niczym dwa żuki (a może karaluchy, to jeszcze lepsze porównanie) oczami. Wytrzymałam to spojrzenie, bo jeśli patrzenie w oczy jest ważne przy wyjawianiu prawdy, to jest jeszcze istotniejsze, gdy się wciska komuś pierwszorzędny kit. – Jak pani dobrze wie, doña Cristino – mówiłam dalej – moje relacje z siostrą w sumie nie układały mi się tak, jak... hm, nie wiem, czy rozumie pani, co mam na myśli...

Szczerze mówiąc, nie pamiętam, czy to ja zamilkłam w owej chwili, czy to ona przerwała mi w środku zdania.

– ...gorsza od żmii, dziecko, ot co, taka właśnie była ta siostra. Nie musi mi pani tłumaczyć, jak się układało między wami. Miałam półtorej doby na przypatrzenie się wam na pokładzie tego zbytkownego jachtu, a pod tym względem jestem starym wygą, nie tak łatwo mnie nabrać.

Kiedy to usłyszałam, w mój umysł natychmiast wkradł się niepokój. Najwyraźniej mogło być tak, że ja się wysilałam i wymądrzałam, a tymczasem doña Cristina czytała w moich myślach jak w otwartej książce. Jej następne zdania przywróciły mi jednak resztki nadziei.

– Pani stosunki z szanowną siostrą układały się równie źle jak między nią i resztą grupy, a powiedziałabym nawet, że jeszcze gorzej. Dlatego doskonale rozumiem pani słowa dotyczące jej duszy. Powiem więcej: duchy osób złych za życia powinny spocząć w spokoju i jest to bardziej paląca kwestia niż w przypadku osób dobrych. Te ostatnie przecież żyją już w zgodzie z zaświatami. Jeżeli ktoś natomiast był podłym draniem za życia, jeszcze gorszy będzie w postaci udręczonej duszy, jeśli się nie mylę.

Powiedziawszy to, popadła w zadumę, a ja zaczęłam się głowić, jakie mroczne widma ukazywały się niekiedy oczom mojej rozmówczynie. Kobieta z taką przeszłością z pewnością miała niejednego trupa w szafie i taka czy inna zbłąkana dusza mogły zakłócać jej noc. Niezależnie od prawdy byłam pewna, że w owej chwili doña Cristina zamieniła się w mojego sprzymierzeńca, bowiem powiedziała wreszcie to, na co liczyłam:

– Może pani na mnie polegać, moje dziecko. Doskonale rozumiem pani zmartwienia. W czym mogę pomóc?

– Dziękuję, nie wiem, jak się pani odwdzięczę. Może na początku chciałąbym zadać pani bardzo konkretne pytanie. Czy rozmawiała pani z moją siostrą po obiedzie lub mniej więcej w tym czasie, kiedy nastąpiła jej śmierć?

– Nie – odpowiedziała stanowczo.

Pierwsze kłamstwo, pomyślałam, pamiętając, jak jej własna córka przyznała, że owszem, mamusia rozmawiała, i to wcale nie tak krótko. Skoro jednak chwilowo nic nie wskórałam, postanowiłam nie iść dalej tym tropem, lecz skorzystać z drugiej sztuczki, która przyniosła tak dobre rezultaty podczas poprzednich konwersacji: nie pytać podejrzanych o ich własne postępowanie, lecz o postępowanie innych.

– A proszę mi powiedzieć, skoro moja siostra jest już... No właśnie, bo przecież dobrze wiemy, że wyrządziła krzywdę wielu osobom, właściwie każdemu z nas. Sądzi pani, że ktoś chciał ją zabić?

Doña Cristina zmrużyła oczy, złączyła opuszki palców obu dłoni w pobożnym geście, przez co jeszcze bardziej przypominała mi cesarzową z *55 dni w Pekinie*, po czym powiedziała:

– Nie mam zamiaru, dziecko, wygłaszać pani teraz wykładów na temat dobra i zła, filozoficzne dywagacje nie są w moim stylu, nie potrafię mędrkować, ale powiem pani jedną rzecz: w życiu częściej zabija się z miłości niż z nienawiści. Nie wierzę w prosty podział na dobrych i złych. Osoby dobre potrafią niekiedy zaskoczyć wszystkich swoim postępowaniem, natomiast co do osób złych... nawet zepsuty zegarek pokazuje dobrą godzinę dwa razy na dobę, prawda?

Uważałam inaczej: że i to ostatnie, i to poprzednie zdanie brzmiały dziwnie, o ile nawet nie sprzecznie, obydwie potrzebowały więc bardziej szczegółowego rozwinięcia. Powiedziałam jej to, a ona udzieliła mi odpowiedzi z uśmiechem na ustach:

– Co do tej pierwszej kwestii, nie chodzi o żadną sprzeczność, jak to pani ujęła, lecz o bardzo prostą prawdę. Zabójstwa zdarzają się częściej z miłości niż z nienawiści, bo to właśnie te kochane przez nas osoby mogą wyrządzić nam większą krzywdę, nieprawdaż? Nieporównywalnie większą niż osoby, których w ogóle się nie kocha. Więc może dojść nawet do czegoś takiego, że zabijamy kogoś *właśnie z tego powodu*, bo kochamy zbyt mocno. Miłość to straszne uczucie,

dziecko. Ale przecież powiedziałam, że nie lubię mędrkować. Jak to szło, o czym mówiłam wcześniej? A, już mam, mówiłyśmy, że ogólnie rzecz biorąc, osoby dobre czasem robią niebywale potworne rzeczy, które mogą nas zupełnie zaskoczyć. Z pewnością nie muszę ci tego dalej tłumaczyć, takie rzeczy dzieją się na co dzień. Ani dobrzy nie są zawsze dobrzy, ani źli nie są...

– Bardzo mi się podobało to zdanie z zegarkiem – przerwałam jej.
– Jak ono brzmiało? Może pani powtórzyć?

Madame Serpent wzruszyła ramionami.

– Myślę, że teraz to wygląda inaczej, zegarki nie mają nawet wskazówek, więc zepsuty zegarek tylko raz na dobę wskazuje adekwatną godzinę, w przeciwieństwie do klasycznych zegarów, które po zatrzymaniu się wskazywały ją dwukrotnie. Zresztą to bez znaczenia czy raz, czy dwa, w każdym razie mądre przysłowie ma bardzo wyraźną wymowę, dziecko. Istota ludzka jest tak nieprzewidywalna, że zarówno osoba dobra i prawa może zniecka uczynić coś niewytłumaczalnie okrutnego, jak i na odwrót. Możliwe więc, że pani siostra, która była wyjątkowo paskudną gadziną, uczyniła przed śmiercią coś dobrego, o czym chwilowo nie wiemy. W sumie to całkiem prawdopodobne. Jak teraz o tym myślę, to jestem o tym niemal przekonana. I to jest jakieś wyjaśnienie tego, że nieboszczka nie ukazała się pani jako umęczona dusza.

Miałam bardzo wysokie mniemanie o mojej madame Serpent, ale teraz zaczynała już pleść trzy po trzy. Nie chciałam rozmawiać o zbłąkanych duchach ani duszach, w żadnym wypadku, więc postanowiłam zmienić temat i zadać jej bardziej bezpośrednie pytanie.

– Wie pani, doño Cristino, uważam panią za pilną obserwatorkę i dobrą znawczynię ludzkiej natury, dlatego pozwolę sobie zadać trudniejsze pytanie. Gdyby trzeba było wskazać kogoś z naszego grona jako podejrzanego w sprawie śmierci mojej siostry, kogo by pani wymieniła?

Ponownie zwęziła oczy i wyczekała kilka sekund z odpowiedzią. Tyle, ile akurat potrzebowałam na przypomnienie sobie innej rzeczy, którą kilka dni wcześniej powiedziała mi Sonia: wszyscy kłamią. A zważywszy na to, że madame Serpent okłamała mnie już co najmniej

raz, zaprzeczając, że rozmawiała z Olivią, to czy nie było prawdopodobne, że uczyni tak po raz kolejny, gdy musi odpowiedzieć na tak trudne i niewygodne pytanie?

– Doktor Fuguet albo Vlad Romescu – powiedziała wreszcie, wymawiając obydwie nazwiska bardzo wolno. Dźwięk pierwszego z nich, a drugiego tym bardziej, wywołał u mnie ten nie zawsze przyjemny, wewnętrzny rwetes, który bywa określany jako motylki w brzuchu.

– Co też pani mówi! – wydusiłam, a ona uśmiechnęła się, chyba dlatego, że dostrzegła moje zakłopotanie.

– To, co pani słyszy, dziecko. Prosi mnie pani o podanie kandydatów na zabójcę, a ja podaję ich pani bardzo wyraźnie. Zakładając w ogóle, że ktoś zamordował pani siostrę, te dwie osoby miały moim zdaniem najsilniejsze motywy (i możliwości), aby to uczynić.

Chwilowo odsunęłam na bok nazwisko doktora Fugueta i skupiłam się na Vladzie.

– Niby czemu on? Dlaczego Vlad i jakie mogły być jego motywy?
– zapytałam i nawet ja sama poczułam, że ton mojego głosu niepotrzebnie był tak napastliwy.

– Powód w przypadku i jednego, i drugiego byłby ten sam, a podałam go pani dosłownie przed chwileczką. Częściej zabija się z miłości niż z nienawiści.

– Uważa pani, że Vlad kochał Olivię? Nonsens, nie uwierzę w to ani przez sekundę. Jest gejem – dodałam, czując, jak wypowiedanie tego użytecznego angielskiego eufemizmu, który nominalnie znaczy tyle co przymiotnik „wesoły”, wywołuje we mnie skutek przeciwny do wesołości.

– Agato – odrzekła doña Cristina, w trakcie tej rozmowy po raz pierwszy i zarazem ostatni zwracając się do mnie po imieniu. – Niech pani nie będzie taka staroświecka ani przesadnie zasadnicza, fundamentalistyczna, jak to się dzisiaj mówi, bo to przecież nieprawda, panienko.

– Słucham?

Madame Serpent ponownie złączyła palce w kapłańskim geście i

zaczęła tłumaczyć.

– Posłuchaj mnie, dziecko, myślę, że jest już pani za duża, żebym musiała wyłuszczać, jak w życiu wyglądają pewne rzeczy. Inna sprawa, że najbardziej ślepy jest ktoś, kto sam widzieć nie chce. A taka dobrowolna ślepotą jest waszą nieodłączną cechą w tej ograniczonej rzeczywistości, w której żyjecie...

– Kogo ma pani na myśli?

– A was wszystkich, wielkie i uznane mi autorytety. Was, prowadzących cnotliwe życie niegrzeszników, was, sądzących, że sprawy mają się tylko tak, jak je widać nad kołdrą, nigdy nie wnikacie w to, co dzieje się pod nią.

– Nad kołdrą i pod kołdrą?!

– Tak, moja droga, tak naprawdę to właśnie wyznacza ważny podział świata, cała reszta to pierdoły. Ludzie uważają, że świat dzieli się na biednych i bogatych, mądrych i głupich, pięknych i brzydkich, tymczasem można go podzielić też, a może przede wszystkim, na to, co nad kołderką, i to, co pod spodem.

– Chce pani przez to powiedzieć, że niektórzy są nad nią, a inni pod?

– Proszę nie zgrywać naiwnej, dziecko. Chodzi o tę samą osobę, jedną i tę samą. O to, że jeśli patrzymy tylko od góry, wtedy wszyscy wydają się, jakbyście wy powiedzieli, „normalni”. Ludzie są tacy wspaniali i mają tak poważane obowiązki, i kochają swoich bliskich, i uprawiają sport, i karmią zwierzaki, i pielęgnują ogród. Nad kołderką wszystko jest idealne, wszystko czyste, zdrowe, a przede wszystkim – doskonale *zrozumiałe*. Tak? Tylko że to nie ma nic wspólnego z tym, co dzieje się pod spodem. A pod kołderką, kochaniutka, każda z tych normalnych i nieskalanych osób już nie okazuje się taka sama. Prawi obywatele są zdumieni, kiedy zniecka wychodzi na jaw, że na przykład jakiś człowiek, ich wielce czcigodny sąsiad, trzyma w komputerze zdjęcia nagich dziewczynek. „Taki porządny człowiek – mówią przejęci zgrozą – bardzo kochał swoją mamę, był przykładnym mężem, oddanym ojcem”. A to ci niespodzianka! Nie mieli bladego pojęcia, co działo się pod jego kołdrą. To tylko jeden z przykładów, jakich mnóstwo pojawia się codziennie w gazetach. Nie idąc aż tak

daleko i nie wdając się w przypadki równie naganne, trzeba powiedzieć, że każdy, rozumiesz mnie?, każdy ma swoje „nad” i „pod”. Bardziej lub mniej odrażające, mniej lub bardziej perwersyjne, ale zawsze mętne, sekretne i oczywiście nieprzyzwoite. Mogłabym przytoczyć niewyobrażalne historie wraz z imionami i nazwiskami. Wie pani, gdybym nie była taka stara i nie miała innych rzeczy do roboty, pewnie spróbowałabym napisać coś niecoś o starej sztuce miłości, w tym także o tej kołdrze. Inna sprawa, że nikt nie będzie chciał mnie słuchać. A przecież macie to wszystko niemal pod nosem i żeby coś z tego zrozumieć, wystarczy poczytać choćby ogłoszenia w gazetach. Widziała pani, ile stron zajmują? Naprawdę nigdy nie wykonała pani niezwykle pouczającej czynności, jaką jest przestudiowanie takich ogłoszeń? Zrozumiałaby wtedy pani, że wystarczy uchylić rąbka płaszczyka powagi, który przesłania życie intymne każdego z nas, aby pojąć moje słowa. Krocze skrywa w sobie o wiele więcej tajemnic, niż ludzie chcieliby przyznać. Na dowód tego wystarczyłoby przyjrzeć się, jak z dnia na dzień rośnie dział anonsów erotycznych i zawartych tam dziwacznych ofert. Ale świętoszki nie chcą nic o tym słyszeć ani tym bardziej wiedzieć. Zawsze łatwiej powiedzieć sobie, że tego typu rzeczy to „zбочenie”, „wada”, jak to nazywacie. Już zostawmy naprawdę osobliwe przypadki (o nich też mogłabym opowiadać pewnie tydzień z okładem), wspomnę tylko jedną małą rzecz, o której pani albo nie wie, albo nie chce wiedzieć, ale która pomoże pani zrozumieć moje słowa i przypadek Vlada Romescu, a przecież od tego zaczęła się ta pouczająca rozmowa. Powiem pani, że w przypadku najzwyczajniejszych w świecie osób, bez zбочeń czy defektów, granica między tymi, którzy lubią banany, a tymi, którzy wolą melony, jest niezwykle subtelna, o wiele cieńsza, niż to się wszystkim wydaje.

– O czym pani teraz mówi?!

– Tak, tak, moja droga, przecież dobrze mnie pani rozumiała. W przypadku niektórych osób linia oddzielająca heteroseksualność od homoseksualizmu nie jest wyraźna, i ludzie ci wciąż ją przekraczają, to w jedną, to w drugą stronę, nie mając z tym żadnego kłopotu. A wie pani dlaczego? Rozwiązanie tej trudnej zagadki również jest bardzo proste: jedyne, czego człowiek pragnie, to być kochanym, i szuka tego

gdziekolwiek bądź.

– Jeżeli za pomocą swojej teorii usiłuje mi pani wmówić, że Vlad szukał miłości w seksie z Olivią i potem ze swoim kuzynem, to wydaje mi się to dość odpychające. A jeszcze bardziej odpychający jest pomysł, że mógł zabić moją siostrę z powodu miłosnego rozczarowania czy czegoś w tym stylu. Nie wierzę w to ani trochę.

– Jeśli chodzi o podejrzenia, to ja się w to nie mieszam, mogę jedynie zapewnić panią, że czy to się podoba waszej drobnomieszczańskiej bezgrzesznej moralności, czy się nie podoba, istnieje inny świat, który znajduje się pod kołdrą. A bez tego, co „pod”, ni w ząb nie można zrozumieć, co się dzieje „nad”, proszę zawsze mieć to na uwadze, gdy będzie pani ciągnąć swoje... dochodzenie. Czyż nie tak w powieściach kryminalnych określa się takie zabiegi, które teraz usiłuje pani prowadzić?

Wstałam z krzesła. Rozmowa zaczynała mnie już zbyt irytować. Nie tylko z racji ponurego cienia, jaki rzucała na osobę, która wydawała mi się tak wdzięczna i przyjemna, lecz także ze względu na wyraz, jaki zaczynała przybierać twarz doñi Cristiny. Patrzyła na mnie z uśmiechem, od którego lśniły jej oczy, wydawały się teraz rozpalone, na swój sposób piękne. Przez chwilę myślałam, że tym razem poniosłam klęskę, zamieniłam się w wyszydzonego szydercę, w wyśledzonego śledczego.

Uznałam, że ani przez chwilę nie udało mi się oszukać mojej rozmówczyni, a ona skorzystała z mojej durnej, bezczelnej próby wyduszenia z niej czegokolwiek, by wyśmiać mnie i powiedzieć to, co akurat jej pasowało. Najpewniej po to, aby odsunąć moje podejrzenia od innych osób, a w pierwszej kolejności od niej samej, ale także (a może przede wszystkim) od jej córki, Soni. Powinnam stąd natychmiast wyjść, przemknęło mi przez głowę, jako że nie miałam w zanadru żadnych innych sztuczek, natomiast potrafię zdać sobie sprawę, kiedy zaczynam przegrywać partię. A ucieczka o czasie to jak pół zwycięstwa, przynajmniej tak się mówi.

– Czy jest coś jeszcze, w czym mogę pani pomóc, dziecko? – zaśmiała się. – Potrzebuje pani jakiejś porady, jakiegoś wsparcia, może jakiegoś uroku, w razie gdyby którejś nocy objawił się duch pani

siostry? Wie pani co, z wielką przyjemnością podaruję pani szkaplerzyk Chrystusa Ziemiawstrząsającego, aby panią chronił. Czyni najprawdziwsze cuda, mam go dosłownie tutaj, sekundeczkę, kochana.

Zobaczyłam, jak podchodzi do pustego sekretarzyka i otwiera jedną z szuflad. Wyjęła stamtąd kilka przedmiotów, aż w końcu znalazła mały szkaplerz, dość brzydki, który następnie przełożyła mi przez głowę, nim zdążyłam pisać choćby słówko.

– Życie niesie różne niespodzianki – dodała na koniec, jak mi się wydawało, autentycznie zaskoczona. – Proszę spojrzeć, na co teraz przypadkiem trafiłam, kiedy przerzucałam rzeczy w szufladzie. Widzi pani? Książka. Leżała w mojej kajucie na „Sparkling Cyanide”, ale dedykacja jest dla pani. Zadziwiający zbieg okoliczności, prawda? Miałam zamiar dać ją pani jeszcze na pokładzie, ale wydarzyły się takie rzeczy, że w końcu nie pamiętałam o tym. *Nemesis*, taki ma tytuł ta książka, a dedykacja wspomina o pani i o jakimś Mycrofcie, czy Microsofcie, cholera wie... Co też pani mówi, nie zna pani nikogo o takim imieniu? Może przychodzi pani do głowy, z jakiego powodu mogła być w mojej, a nie w pani kajucie...? O proszę, to pani na swoim stoliku nocnym też znalazła książkę z tej samej serii? Interesujące, doprawdy. Najprawdopodobniej pani droga siostra chciała rozwinąć w nas zdrowy obyczaj czytania, to możliwe, prawda? Tak, z pewnością o to jej chodziło, w końcu ona *tylko* myślała o innych, chyba dobrze mówię?

Część trzecia
NEMEZIS

(...) Pani ma naturalny dar do poszukiwania sprawiedliwości. Wrodzone poczucie sprawiedliwości sprawia, że potrafi Pani rozpoznać przestępcę.

(...) Widzę, jak robi Pani na drutach kolejne swetry, szale (...). Jeśli zdecyduje Pani nadal je robić, to Pani sprawa. Jeżeli jednak wybierze Pani poszukiwanie sprawiedliwości, mam nadzieję, że okaże się to przynajmniej interesujące.

„Niech sprawiedliwość wystąpi jak woda z brzegów
I prawość jak potok niewysychający wyleje”.

Księga Amosa

AGATHA CHRISTIE, *Nemesis*

(przeł. Magdalena Gołaczyńska)

Nie ma wiadomości od Roszpunki

Lista podejrzanych, z którymi koniecznie powinnam odbyć rozmowę, aby ciągnąć grę zaproponowaną przez Oli, kurczyła się w niepokojącym tempie. Niepokojącym, bo zostały na niej ledwie dwie osoby, a ja na razie wciąż nie miałam bladego pojęcia, kto mógł okazać się mordercą. Z drugiej strony, na deser zostawiłam sobie dwóch osobników, którzy w przekonaniu madame Serpent budzili największe podejrzenia. Doktor Fuguet i prześliczny Vlad Romescu. Vlad zapowiedział przyjazd do Madrytu w najbliższy poniedziałek i zgodnie z ustaleniami miał zadzwonić i umówić się ze mną na spotkanie.

Było czwartkowe popołudnie, miałam więc jeszcze ponad dwa dni, aby w tym czasie dowiedzieć się czegoś ciekawego na temat ostatniego i z mojego punktu widzenia najbardziej enigmatycznego pasażera jachtu. Oczywiście o wiele prościej byłoby, gdyby to Mahomet przyszedł do góry, a nie góra do Mahometa. I pewnie tak by się stało, gdyby to była literatura. Chodzi mi o to, że Roszpunka powinna teraz napisać do madame Poubelle, zdając jej szczegółową i zarazem odkrywczą relację z wydarzeń na pokładzie naszego „Musującego Cyjanku”, widzianych okiem Pedra Fugueta. Niestety, już od pewnego czasu rozumiałam, że prawdziwe życie ma tę irytującą tendencję, że zupełnie nie upodabnia się do powieści, a przynajmniej nie do tych detektywistycznych. Musiałam więc żyć dalej bez żadnych wieści od mojego ulubionego internauty. I radzić sobie z wątpliwościami. A co, jeśli jednak myliłam się w moich domysłach i za nickiem „Roszpunka” kryje się inna bolejąca dusza, inne samotne serce, niemające żadnego związku z Olivią i jej przeszłością? A może było jeszcze gorzej, może Roszpunka to rzeczywiście Pedro Fuguet, któremu w *jakiś sposób*, choćby przez jakiś szczegół z mojego listu, udało się ustalić, że madame Poubelle i Ágata Uriarte to jedna i ta sama osoba? Uznałam, że pierwsza możliwość wydaje się nieprawdopodobna, czy bowiem mogłoby istnieć inne samotne serce o doświadczeniach tak przypominających te, które stały się udziałem Fugueta? Z tego samego powodu należało odrzucić drugi z podpunktów. W jaki sposób miałby się zorientować, że moje drugie imię to madame Poubelle? Bez udziału wymiaru sprawiedliwości bardzo

trudno ustalić, kim jest bloger. A czy Pedro miał inną możliwość odkrycia w sieci, kim jestem? Sposób, w jaki się wysławiałam? Użycie przeze mnie jakiegoś szczególnego słowa? Przecież mówię tym samym językiem co wszyscy inni, nie używam dziwnych wyrażeń.

Cholera, zakląłam, bo już mi głowa puchła od tych domysłów i potwornego madryckiego skwaru. Dochodziła czwarta, chwilę wcześniej obudziłam się z przyjemnej drzemki, a po podlaniu roślin i uładzeniu nieco mieszkania postanowiłam zasiąść do biurka, aby teraz z kolei uporządkować myśli. Uruchomiłam komputer, ale nie łudziłam się zbyt. Rankiem tego samego dnia surfowałam po sieci, usiłując znaleźć coś, co posunęłoby moje śledztwo do przodu, i sprawdzając, czy aby nie doszła nowa wiadomość od mojej/ego nieufnej/ego Roszpunkki. Absolutna cisza. Teraz, po południu, również nic nie doszło, więc straciłam ochotę na przesiadywanie przed ekranem i zajęłam się innymi sprawami. Nadarzał się odpowiedni moment choćby na to, by w końcu przyjrzeć się nieco dokładniej tej książeczce, którą dzień wcześniej przekazała mi doña Cristina. Jeszcze raz przeczytałam dedykację, o której wspominała, a na którą jak na razie tylko przelotnie rzuciłam okiem. Brzmiała ona tak:

Mojej siostrze Agacie, aby w nagłej sytuacji mogła zasięgnąć porady Mycrofta H.

Mycroft H.? Jeżeli to miała być kolejna wskazówka podrzucona przez Olivię, nie miała raczej nic wspólnego z Agathą Christie. Jediną znaną mi osobą o takim imieniu jest przebiegły brat Sherlocka Holmesa, ten, z którym Sherlock konsultuje się, kiedy ma do czynienia ze szczególnie złożoną sprawą. No pewnie, że o niego chodzi, nawet inicjał nazwiska się zgadza. Tylko co takiego robił brat Holmesa w dedykacji zamieszczonej w książce Agathy Christie, a przede wszystkim – kim, do cholery, byłby Mycroft w tej naszej historii? Wtedy przypominałam sobie słowa mojej siostry, wypowiedziane w dniu śmierci. „Nigdy nie potrafisz wyjść poza pudełko”, zawyrokowała, nie omieszkując dodać, że dla odmiany ona czyniła tak zawsze i zawsze z powodzeniem. Co ona jeszcze wtedy powiedziała? Że myślenie poza pudełkiem oznacza wyjście poza szablon, poza tradycyjne tory, a więc jest to też łączenie odmiennych rzeczy, a niekiedy nawet mieszanie jabłek z gruszkami.

Świetnie, może to jest podpowiedź, która pozwoli mi ustalić, dlaczego Olivia postanowiła zostawić ten tom w kajucie doñi Cristiny zamiast w mojej. Na razie jednak są pilniejsze rzeczy do przemyślenia. Jak choćby ustalenie, o czym jest ta powieść i co niby ma znaczyć słowo „nemezis”. Czy aby nie jest to imię greckiej bogini czy coś w ten deseń?

Nowoczesne technologie są niezrównane właśnie pod tym względem – stwarzają możliwość natychmiastowego skonsultowania wiedzy bez konieczności czytania czy rozpatrywania czegokolwiek. Nie minęło więc pięć minut, a ja ustaliłam już nie tylko znaczenie słowa „nemezis”, lecz także przebieg akcji w powieści pod tym tytułem, z nazwiskiem mordercy włącznie. Niebawem – stwierdziłam jak stary belferski zrzęda – wszyscy będziemy funkcjonalnymi analfabetami, wypełnionymi uprzednio przetworzonym farszem. Teraz nie miało to jednak dla mnie znaczenia, ważne, że istniał błogosławiony pan Google, patron niecierpliwych.

Pierwsza strona, która pojawiła się po wpisaniu słowa „nemezis”, poświęcona była jego znaczeniu (mściwa bogini sprawiedliwości – teraz już wiem, o co chodzi). W drugiej kolejności trafiłam na obfite, szalenie pożyteczne streszczenie książki Agathy Christie, powieści – czytałam – napisanej w 1971 roku bla bla bla, akcja toczy się w trakcie wycieczki panny Marple po najpiękniejszych ogrodach Anglii bla bla bla... nagłe zainteresowanie tej kobiety elementami krajobrazu stanowi przykrywkę dla zadziwiającego zadania, zleconego przez nieżyjącą już osobę. Zadanie polega na rozwikłaniu zagadki morderstwa z przeszłości, które nie spotkało się z karą bla bla bla... Na koniec fabuły następuje rozwiązanie intrygi, okazuje się, że sprawca popełnił zbrodnię z miłości bla bla bla.

Przerwałam na chwilę, żeby się zastanowić. Dwie czy trzy rzeczy od razu zwróciły moją uwagę. Wspomniano między innymi o pannie Marple i jej zainteresowaniu ogrodami, o charakterystyce mordercy czy też morderczynie, pojawiła się też najciekawsza informacja ze wszystkich: fakt, że nieboszczyk pośmiertnie zleca drugiej osobie zajęcie się sprawą zabójstwa.

– Dokładnie tak, jak ty mi zleciłaś, prawda, Oli? – powiedziałam na głos, z poczuciem małego zwycięstwa. – Twoja typowa gierka. Idę o

zakład, że gdziekolwiek jesteś, moja droga, przednio się teraz bawisz.

Odłożyłam *Nemesis* na stół i wstałam, żeby poszukać książki, którą Olivia zostawiła w mojej kajucie, i być może znaleźć jakieś punkty łączące obie powieści. Gdzie ja ją położyłam? Nie było jej w biblioteczkę ani w pierwszych szufladach biurka, w końcu odnalazłam ją w ostatniej szufladzie. Leżała obok pudełka na buty zawierającego rzeczy osobiste Olivii, zabrane przedwczoraj z domu Flavia Viccenza. Te koszmarne zdjęcia, a także koperta, której – dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę – jeszcze nawet nie otworzyłam, zapewne dlatego, że nie chciałam znów natknąć się na widok martwych dziewczynek. Później, niedługo to zrobię, obiecałam sobie, po czym odłożyłam pudełko na miejsce i zaczęłam przeglądać *Zabójstwo Rogera Ackroyda*.

„Zabójstwo-Rogera-Ackroyda...”, powoli wyrecytowałam jak ktoś usiłujący odkryć tajemne znaczenie, lecz owe trzy słowa zupełnie do mnie nie przemawiały. Kiedy pierwszy raz zastanawiałam się nad tą powieścią, jeszcze na „Sparkling Cyanide”, zwróciłam uwagę na fakt, który uczynił tę powieść tak głośną: została napisana w pierwszej osobie, przy czym narratorem był sam morderca, niejaki doktor Sheppard. Czy jednak w fabule są jeszcze jakieś inne tropy? Może klucz do zagadki kryje się gdzie indziej, na przykład w nazwisku zabójcy albo w jego wyglądzie zewnętrznym, a może po prostu w wykonywanym zawodzie, to też niewykluczone. Czy to jest trop, który postanowiła podsunąć mi Oli?

Powoli położyłam *Zabójstwo Rogera Ackroyda* na egzemplarzu *Nemesis*, dwie części, które ostatecznie okazują się stanowić większą, idealną całość. Tak, już wiedziałam, jaki powinien być mój kolejny krok... Nie mogę siedzieć beczynnie w oczekiwaniu na wiadomość od doktora Fugueta, która może nigdy nie nadejść. Muszę pojechać i porozmawiać z nim, powtarzałam. Tylko z jakiego sposobu skorzystać w tym przypadku? Z metody Jacinta Benaventego? Może z „niespodziewanego” spotkania na ulicy? Pojechać do przychodni, w której pracuje, i udawać pacjentkę? Najkorzystniej byłoby zrobić tak jak z pozostałymi gośćmi z nieszczęsnego jachtu: przyjść w odwiedziny do jego mieszkania i zobaczyć, co ma do powiedzenia dyskretny język przedmiotów. Nagłe zainteresowanie ogrodnictwem ze strony panny

Marple podsunęło mi jeszcze jeden pomysł. Z pierwszego e-maila od Roszpunka, otrzymanego już bardzo dawno temu, pamiętałam opis domu, a przede wszystkim niewielkiego ogrodu, który ponoć, obok internetu, był jej/jego największą słabością. Świetnie, przecież ja też bardzo lubię roślinki i nieważne, że czasem zapomnę je podlać. Wszystko teraz sprowadzało się do tego, aby wykorzystać nasze wspólne zainteresowanie i nawiązać rozmowę. Nic trudniejszego.

Kiedy właśnie miałam rzucić wszystko, ubrać się i wybrać na poszukiwanie doktora Shepparda, pardon, chciałam powiedzieć, doktora Fugueta, zatrzymałam się na chwilę i zaczęłam jeszcze raz nad tym myśleć. Zrozumiałam, że panna Marple przenigdy nie zrobiłaby tego co ja: miałam, adresowany do mnie, list od osoby, która niejako spod ziemi zleciła mi prowadzenie śledztwa, i nawet nie rzuciłam na niego okiem. Podeszłam do biurka, otworzyłam pudełko na buty. Te przerażające zdjęcia. Wciąż tam były. Jak wartownicy strzegący owej korespondencji z moim imieniem. Głowiłam się, co może czekać mnie w środku; jakaś wiadomość od Olivii, pewnie raptem kilka linijek, oceniając po nikłej grubości koperty. Faktycznie, kiedy ją otworzyłam, zauważyłam, że w środku znajdowała się tylko jedna karteczka wyglądająca na dokument urzędowy, niewielki dowód wpłaty. W nagłówku widniała nazwa – „ewidencja ubezpieczeń na życie” – a powyżej widniał symbol Ministerstwa Sprawiedliwości wraz z adresem. Nic więcej. No dobrze, był jeszcze jakiś pięciocyfrowy numer. Odwróciłam kartkę, żeby upewnić się, czy po drugiej stronie nie jest coś napisane. Była pusta. Najprościej oczywiście byłoby udać się pod wskazany adres i rozwiązać wątpliwości, lecz pora była już nie ta, wszystko pozamykane, na domiar złego piątek, a w weekend też nic nie działa, jak pech to pech. Po chwili jednak wpadłam na pomysł, w jaki sposób szybko dowiedzieć się czegoś więcej i to przez telefon. Jak się nazywał ten cudaczny adwokat mojej siostry? Z pewnością będzie potrafił mi pomóc, a może nawet wyjaśni, czym tak naprawdę jest ten świstek papieru. Spojrzałam na zegarek, dziesięć po czwartej, chyba zbyt wcześnie, aby prawnik przebywał w kancelarii, pewnie jeszcze nie skończył biznesowej wyżerki w towarzystwie klientów. Okazało się, że miałam szczęście; sekretarka po drugiej stronie słuchawki stwierdziła, że adwokat jeszcze nie wrócił do

biura, za to zaproponowała połączenie z jego numerem komórkowym. Po chwili znów mogłam wysłuchać muzyczki w oczekiwaniu na połączenie (tym razem nie z *Żądła*, lecz z *Małej syrenki*).

– Pan Müller? – odezwałam się w końcu. – Słyszysz mnie pan?

– Przy telefonie – odparł. Wydawało mi się, że słyszę nie tylko jego głos, lecz także rytmiczne kliknięcia.

To samo wrażenie odniosłam przy okazji naszego pierwszego i jak dotąd ostatniego spotkania. Kiedy z nim rozmawiałam, od razu wyobrażałam sobie, jak podlicza swój cenny czas w minutach, może nawet w sekundach (podlicza i wystawia rachunek, rzecz jasna). Co tam, pomyślałam, to tylko porada przez telefon, w dodatku w związku z jedną z jego klientek, więc nie ma co się przejmować.

– Platforma wibracyjna – rzucił w ramach wyjaśnienia, stąd te kliknięcia. – Z kim mam przyjemność?

– Ágata Uriarte z tej strony, panie Müller, pamięta mnie pan?

– Oczywiście, ale wolę jednak *per Gutiérrez Müller*, no i per ty, zgadza się? – poprawił mnie, przydając szczególny nacisk na niezwykle staranną, rdzennie hiszpańską wymowę litery „z”.

– Zgadza – posłusznie odpowiedziałam. – Słuchaj, dzwonię do ciebie z prośbą o szybką radę, zajmę tylko chwilkę. Otóż udało mi się w końcu odebrać rzeczy mojej siostry z domu jej eksmęża, tak jak wspólnie ustaliliśmy. Między innymi była tam koperta z czymś w rodzaju ulotki urzędowej czy czegoś w tym stylu. Może jesteś w stanie rozjaśnić mi co nieco, byłabym niezwykle zobowiązana, bo w przeciwnym wypadku będę żyła w niepewności aż do poniedziałku. Moment, moment, tak, zaraz dokładnie przeczytam ci, co tu mam.

Powtórzyłam mu wszystko, co tak sucho i zwięźle było napisane na owym druku, i zamieniłam się w słuch.

– Ha, proszę, proszę, ktoś tu jest w czepku urodzony! – stwierdził Gutiérrez Müller. – Zawsze czułem, że twoja siostra jest bardzo sprytną osobką. To był istny lisek chytrusek. Agato, to bardzo dobra wiadomość dla ciebie.

– Dla mnie?

– Jesteś jej najbliższą krewną, prawda? Co prawda muszę przyznać, że to nieco osobliwy sposób załatwiania sprawy...

– Wybacz, ale nie rozumiem nic z tego, co teraz mówisz. O co chodzi?

– O ten świstek papieru, który trzymasz w dłoni. To rzeczywiście rodzaj zaświadczenia, które umożliwia dostęp do listy ewidencyjnej ministerialnego zakładu ubezpieczeń. List potwierdza, czy ktoś jest ubezpieczony na życie i na rzecz jakiej osoby.

– To częsta praktyka?

– Prościej byłoby, gdyby twoja siostra powiedziała o tym mnie, a nie zostawiała tylko zapisy w ewidencji, ale cóż... Z tej drogi najczęściej korzysta się, gdy ktoś chce zostawić kwotę określonemu beneficjentowi, który nie jest jego bezpośrednim spadkobiercą. Czasem jednak można uciec się do tego sposobu tylko po to, żeby ominąć podatki. Jak wiele innych osób Olivia nie znosiła urzędów finansowych, idę więc o zakład, że właśnie z tego powodu rozegrała to w ten sposób. Okropnie ją nękali. Poza tym to bardzo sprytne z jej strony. To niemal doskonała metoda, by po śmierci okazać szczodrość bez wykładania praktycznie żadnych pieniędzy. Obawiam się, że w jej położeniu musiała się uciec do czegoś takiego.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś praktycznie pozbawiony środków do życia może, tak to nazwijmy, zostawić spadek, komu mu się żywnie podoba, tak po prostu, i uczynić taką osobę beneficjentem swojego ubezpieczenia?

– Bingo – odparł wesoło Gutiérrez Müller. – Dokładnie tak. Należy jedynie bardzo uważać z klauzulami kontraktu negocjowanego z ubezpieczycielem, tak aby żadna okoliczność nie unieważniała polisy ani nie blokowała wypłaty, a to zdarza się naprawdę nierzadko.

– Jakie mogą być te klauzule?

– Nie wiem, istnieje ich mnóstwo. Wiadomo choćby, że nie wypłaca się tyle samo za zgon w wyniku choroby, co za śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku. Niektóre towarzystwa ubezpieczeniowe biorą pod uwagę możliwość samobójstwa, inne zupełnie ją wykluczają. Z ubezpieczycielem można wszystko negocjować i ma to bezpośredni wpływ na to, czy beneficjent może liczyć na większą, czy na mniejszą sumę pieniędzy.

– Sądzisz, że ja mogę być w tym przypadku beneficjentką?

– Przecież ty masz to zaświadczenie, prawda?

Oczy zaszyły mi mgłą. Olivia zrobiłaby coś tak wspaniałego dla mnie, swojej siostry, z którą nigdy nie utrzymywała szczególnie bliskich relacji? A jeśli tak, to *dlaczego* to zrobiła? Czemu tak się zmieniła w tym czasie, kiedy widywałyśmy się tylko sporadycznie? Czyżby istniała zupełnie inna Olivia, której nigdy nie miałam okazji poznać? Na moment przypomniałam sobie słowa wypowiedziane przez doñę Cristinę San Cristóbal na naszym spotkaniu w cztery oczy: nawet zepsuty zegar dwa razy na dobę wskazuje dokładną godzinę.

– Agato, słyszysz mnie? Wiesz co, jeśli chcesz, możemy pójść razem do urzędu i zorientować się, o jaką polisę w tym przypadku chodzi. Bardzo mnie intryguje, że Oli nic mi o tym nie wspomniała. Zresztą teraz to już nie ma większego znaczenia. Z zawodowej ciekawości chciałbym zobaczyć, jak twoja siostra postanowiła rozwiązać pewne kwestie. Wiem, że to komentarz trochę nie na miejscu, ale naprawdę trzeba przyznać, że świetnie jej wyszło to posunięcie. Oczywiście mimowolnie, w każdym razie rzeczywiście najwięcej pieniędzy wypłacają zawsze na okoliczność nieszczęśliwego wypadku. A przecież nikt nie mógł przewidzieć, że umrze tak młodo, śmiercią tragiczną.

– Moja siostra nigdy nie wspominała ci, że choruje?

– Nie... A chorowała?

Nie odpowiedziałam, ale mogę się domyślać, że moje milczenie było nader wymowne.

Gutiérrez Müller wciąż nalegał, aby mógł mi towarzyszyć podczas wyjaśniania sprawy ubezpieczenia, jako że trzeba było rozstrzygnąć kilka wątpliwości, jak choćby wysokość dziedzicznej kwoty.

– Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, ale mogę ci powiedzieć, że na przykład za polisę w wysokości dwustu euro można liczyć na coś około miliona lub nawet więcej. Całkiem ładna sumka na jakąś drobną inwestycję, prawda?

Potem jeszcze mówił do znudzenia, że tak czy siak warto rozwiązać wątpliwości, nie ma co liczyć na to, że ubezpieczyciel odezwie się z własnej woli, to dotyczy nielicznych, i mówił jeszcze wiele innych rzeczy, ale ja już go nie słuchałam. Obecnie moim jedynym

zmartwieniem było ustalenie, co powinnam zrobić, by w końcu dowiedzieć się, co tak naprawdę wydarzyło się owego koszmarne popołudnia na pokładzie „Sparkling Cyanide”. Byłam to winna Olivii, zwłaszcza w świetle nowych faktów, a miałam przed sobą cały wolny weekend. W poniedziałek przyjdzie czas na zajęcie się pieniędzmi i zorientowanie, ile siostra mi zostawiła, ona, która sama nie miała nic, choćby centa, i dobrze wiedziała, że wkrótce umrze. Och, Olivio, na miłość boską...

Zepsuty zegarek. Zlecenie z za grobu, by ujawnić zbrodnię. Nemezis, bogini sprawiedliwości i zemsty... Wszystkie te luźne obrazy kotłowały mi się w głowie, mieszając z jeszcze jednym: portretem mojego przedostatniego podejrzanego, doktora Shepparda czy tam Fugueta. Dochodziła piąta. Czy to odpowiedni moment, żeby jeszcze tego samego dnia wybrać się do jego domu? Nie widzę przeciwwskazań, lipcowe wieczory są takie długie...

Róże bez kolców

– O rety, kogo ja widzę, Pedro Fuguet, ha, jednak świat jest mały. Naprawdę tu mieszkasz? No popatrz, świetne miejsce, rzut beretem od Madrytu, a wydaje się, że jesteśmy na wsi. Krzew róży? Naprawdę świetnie się trzyma mimo tych afrykańskich upałów... Co tu robisz? Wiesz co, a tak sobie spacerowałam... To bardzo miło z twojej strony, że zapraszasz mnie na chwilę do środka, oczywiście nie chciałabym przeszkadzać. Pewnie pracujesz albo buszujesz w internecie... Owszem, ja też jestem potwornie uzależniona, jestem online dosłownie cały dzień. Jaki masz nick? Niewykluczone, że otarliśmy się o siebie na jakimś forum, nawet nie zdając sobie z tego sprawy...

Coś w tym stylu zamierzałam powiedzieć doktorowi Fuguetowi, kiedy z idiotyczną miną wychylałam się przez ogrodzenie okalające jego ogród. Niezbyt zmyślna strategia, przyznaję bez bicia, nawet dość ryzykowna, zwłaszcza w tym punkcie, kiedy pada pytanie o nick. Ostatecznie wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi, jak mawiają, a w tym przypadku poniósł je bardzo dziwną trajektorią. Ledwie znalazłam się na uliczce, przy której stał jego dom, a już padłam ofiarą nieoczekiwanego, wściekłego ataku ze strony młodego yorka. Wbił w moją łydkę swoje kły, ostre jak sztylety. Słońce padało z góry, topiąc asfalt, na ulicy nie było żywego ducha, a jedyną osobą, która zareagowała na moje bynajmniej nie tajone okrzyki bólu, okazał się Pedro Fuguet.

– Heathcliff, precz, pójdiesz ty do domu, mały draniu, wynocha, parszywy kundlu – przegnał go okrzykami. Wyjaśnił mi, że Heathcliff jest postrachem okolicy. Jego właściciele nie wierzą w żadne skargi, bo czort udaje niewiniątko, a tymczasem podkopyje się pod ogrodzeniem i atakuje przechodniów. Następnie doktor Fuguet zaprosił mnie do siebie, abym odzyskała dech.

– Wejdz, napijesz się czegoś. Pewnie chcesz poczekać, aż wrócą moi sąsiedzi, żeby porozmawiać z nimi, ale może lepiej, żebym ci zostawił ich telefon. Pracują do późna i nie sądzę, by wrócili przed ósmą lub dziewiątą wieczór. Pozwól, że rzucę okiem na tę pogryzioną łydkę. Wiesz co, pocieszę cię, że od tego się nie umiera.

Bolącą łydkę uznałam za doskonałego sprzymierzeńca dla realizacji planów. Mój biedny mięsień dwugłowy w lewej nodze ozdabiała dwa niewielkie, głębokie rowki, jakby od ugryzienia żmii, w zamian jednak los oszczędził mi konieczności głupawego tłumaczenia, co robię w tej odległej dzielnicy, początkowo bowiem nasza rozmowa skupiała się wyłącznie wokół Heathcliffa i jego licznych ofiar. Nie zaprzeczam też, że przyjemnie było trafić pod opiekę kogoś o tak troskliwych dłoniach. – Wejdz, proszę, usiądź tam, pod oknem, będzie ci wygodniej. To powierzchowna rana, a Heathcliff był szczepiony na wszystko, więc nie martw się, wiem, co mówię, musiałem już spieszyć z pomocą wielu innym poszkodowanym. Ale zastosujemy pewną kurację. Nie, co ty, nie przeszkadzasz, zaraz przyniosę apteczkę. Poczekaj, muszę wejść na trzecie piętro, gdzie mam łazienkę. To niewielki dom, za to bardzo wysoki, zupełnie jak wieżyczka z baśni braci Grimm.

Owszem, jak z bajki o Roszpuncie, już chciałam pochwalić się przed nim znajomością literatury ludowej, lecz wolałam nie budzić niepotrzebnych podejrzeń przez wypowiedanie tego słowa.

Pedro Fuguet skierował się następnie ku wnętrzu schodów i zniknął na co najmniej kilka minut, co dało mi możliwość przyjrzenia się pomieszczeniu. Chyba nieświadomie doszukiwałam się śladów obecności Olivii w tym domu oraz jej wpływu na życie Pedra. Podobnie jak w przypadku posiadłości Flavia, osobowość mojej siostry mogła skrywać się w doborze umeblowania, czy choćby w kolorze zasłon. Oli była jedną z tych osób, które odciskają swoje piętno na życiu innych. Przy odrobinie szczęścia może dojrzę jakieś ich wspólne zdjęcie z czasów, kiedy się widywali? Ale na nic takiego się nie natknęłam. Pomimo usilnych starań nie dostrzegłam nigdzie śladów siostry. Ani meble, ani zasłony, ani jakikolwiek inny przedmiot nie kojarzył mi się z nią. Dom przypominał swojego właściciela: dyskretny, samotny, z szarobłękitnymi zasłonami doskonale komponującymi się z prostymi, surowymi meblami, a ściany w kolorze ochry tworzyły refleksyjny nastrój. Zbliżyłam się do stojącego w głębi salonu stolika, na którym tłoczyło się z pół tuzina fotografii w drewnianych ramkach. Spojrzałam w górę, by upewnić się, czy on nie nadchodzi, ale nie zapowiadał go żaden choćby najmniejszy hałas, więc pozwoliłam sobie po kolei

przyjrzeć się z bliska każdemu zdjęciu. Wszystkie miały już swoje lata i przedstawiały osoby w podeszłym wieku. Z pewnością byli to jego rodzice, a pewnie też dziadkowie i dalsi krewni, odziani w skromne, ale schludne stroje, co przywodziło na myśl rodzinę drobnych rolników. Świat Pedra Fugueta i ten mojej siostry musiały mieć naprawdę niewiele punktów stycznych, żeby nie powiedzieć, że obu nie łączyło absolutnie nic.

– Jej szukasz, prawda? Nie znajdziesz. Nie ma jej w żadnym miejscu.

Obróciłam się, przy schodach stał Fuguet z apteczką w rękę. Nie po raz pierwszy wydał mi się bezbronny i bardzo wysoki, zupełnie jak jego wieżyczka Roszpunkki.

– Słucham?

– Cóż, jesteś jej siostrą, nie dziwi mnie, że szukasz jej w miejscach, w których wiesz, że bywała. Sam to robię, to znaczy, sam tak robiłem. Trudno przyzwyczaić się do myśli, że już nie wróci. Kiedy przed chwilą zobaczyłem cię na ulicy, przez chwilę wydawało mi się, że patrzę na nią.

– Olivia i ja nie mogłybyśmy chyba być mniej podobne do siebie – stwierdziłam zaskoczona.

– Jasne, ale ty szukasz jej w tym domu, wiedząc, że tu była, a ja tak samo szukam jej w tobie, choćbyście były nie wiem jak różne. Być może to właśnie spowodowało cię nieświadomie pod moje drzwi. Nie wierzę w zbiegi okoliczności, Agato.

Roztropnie wolałam nie pytać, jakie zbiegi okoliczności ma na myśli, lecz wykorzystałam wzmiankę o mojej siostrze, żeby trochę porozmawiać o niej i o tym, co nas spotkało na „Sparkling Cyanide”.

– Nigdy nie zapomnę tamtych dwóch dni – powiedziałam. – Tylko dwóch, a tyle rzeczy się wtedy wydarzyło... Najbardziej mi przykro z tego powodu, że nie było mnie przy niej w ostatnich godzinach jej życia. I jeszcze, że w ostatnim roku nie widywałam jej zbyt często. Kto wie, niewykluczone, że mogłam dużo zmienić w ostatnim okresie, może mogłam coś poprawić...

– Poprawić? Oli zawsze była taka sama. Zdolna do najokrutniejszych rzeczy, lecz także do tych najwspanialszych i

najbardziej wyjątkowych. Tak ją zapamiętam. Zresztą nie chodzi nawet o to, że tak pamiętam. Teraz już to *wiem*.

– Co wiesz? Powiedz mi, proszę. Tak bardzo chciałabym dowiedzieć się, co wydarzyło się w ciągu tych trzech godzin, kiedy nie było mnie na pokładzie z powodu niedyspozycji. Niestety, twoje słowa nie odmienią tego, co się stało, niemniej... Co wtedy widziałeś? Natknąłeś się na kogoś na pokładzie tuż przed jej śmiercią? Bardzo by mnie uspokoiło, gdybym dowiedziała się, jak wyglądały jej ostatnie chwile, muszę to wiedzieć...

– Co chcesz wiedzieć, Agato? Chyba najlepiej będzie, jak ty będziesz pytać, a ja odpowiem o tyle, o ile coś wiem – stwierdził i zaprosił gestem ręki, bym usiadła na krześle pod oknem, aby mógł zdezynfekować moją ranę.

Następnie schylił się, żeby przyjrzeć się lepiej śladom po psych kłach. Jego ruchy były spokojne, powolne, w jakiś szczególny sposób łagodne. Dotyk jego skóry sprawiał mi przyjemność.

– Czy rozmawiałeś z nią przed śmiercią? – zapytałam. – Kogo widziałeś na pokładzie i o której godzinie?

Fuguet pominął odpowiedź na pierwsze pytanie, udzielił jej za to na drugie.

– Nie potrafię dobrze oszacować czasu, ale jeśli do wypadku doszło o piątej, to wydaje mi się, że ja i ten bułgarski młodzieniec, jak on się nazywał, chyba Kalim, Kardam, coś takiego, byliśmy ostatnimi, którzy znajdowali się w pobliżu Olivii. Pamiętam, że właśnie usiadłem w pomieszczeniu pod pokładem, kiedy on przyszedł z góry po coś do picia.

– W tamtym momencie Oli była na zewnątrz, ledwie kilka metrów dalej, i rozmawiała przez telefon, prawda? Domyślam się, że i ty, i on mogliście słyszeć, o czym mówiła.

Nie chcę zostać źle zrozumiana, odniosłam jednak wrażenie, że na ostatnie pytanie Pedro Fuguet odpowiedział dokładnie taką samą formułką, jakiej użył podczas policyjnego przesłuchania, zupełnie jak osoba, która nauczyła się stosownej roli.

– ...Przebywałem w swojej kajucie, kiedy w pewnym momencie postanowiłem wyjść na zewnątrz i usiąść sobie w salonie –

relacjonował. – Nie wiem, czemu to zrobiłem, może dlatego, że już wcześniej wydawało mi się, że przez bulaj dobiega mnie śmiech Olivii, który zdecydowanie nie był wesoły. Masz rację, to prawda. Z salonu mogłem widzieć, jak rozmawia przez komórkę, a także słyszeć, co mówiła. Siedziała na relingu na rufie, plecami do morza. Po paru minutach wróciłem do kajuty, nie chciałem jej przeszkadzać ani przerywać rozmowy.

– Teraz już wiemy, że rozmawiała z niejakim doktorem Pedralbesem, swoim lekarzem. Czy słyszałeś, co mówiła?

– Tylko trzy słowa – odparł Fuguet. – „Nie-ma-czasu”.

– Do czego twoim zdaniem mogły się one odnosić?

– Od Pedralbesa dowiedzieliśmy się po jej śmierci, że była poważnie chora. Jak podejrzewam więc, chciała przez to powiedzieć, że jej życie zbliża się ku końcowi.

– Kardam był wtedy obok ciebie. Myślisz, że on też mógł to usłyszeć?

– To na pewno – odparł Pedro Fuguet, podczas gdy jego palce, delikatne, uśmierzające ból, muskały moją łydkę, ale nagle zatrzymały się, a on spojrzał na mnie, jakby sobie nagle coś przypomniał.

– Jak teraz o tym myślę – zaczął, a jego palce ponownie zajęły się kuracją (zdecydowanie zaczynała być już zbyt długa i zbyt uważna jak na tak powierzchowną ranę) – to pamiętam, że Kardam powiedział coś, na co nie zwróciłem wtedy większej uwagi. Kiedy dobiegł nas z zewnątrz głos Olivii, jej „Nie ma czasu”, on rzucił od siebie coś w stylu: „Więc i ja go nie mam”.

– Jak myślisz, co chciał przez to powiedzieć?

– Nic, ot, czasem mówi się takie bzdury, tak myślę.

– Może i tak można by to nazwać, gdyby mojej siostrze nic się nie stało, ale pozornie głupie komentarze przestają być tak trywialne, kiedy zmieniają się okoliczności. Poza tym jeżeli ktoś naprawdę mógł szczerze nienawidzić Olivii, to właśnie on. Nie sądzisz, że mógł mieć na myśli mniej więcej coś takiego, że powinien działać jak najszybciej?

Fuguet powoli podniósł głowę i spojrzał na mnie, kończąc swoje zabiegi.

– Chyba nie podejrzewasz, że śmierć Olivii nie była wynikiem

wypadku, co?

– Nie, pewnie że nie – skłamałam, kiedy zobaczyłam, jak zaniepokoiła go taka możliwość. – Po prostu pytam cię, co myślisz o słowach Kardama, mnie wydają się bardzo dziwne.

Fuguet siedział dotąd przez cały czas w kucki, aby mieć lepszy dostęp do mojej nogi. Teraz wyprostował się i patrzył na mnie z góry, z wysokości swojego metra dziewięćdziesiąt.

– Zapomnij o tym wszystkim, co ci powiedziałem, Agato, zapomnij. Kierowanie podejrzeń na kogoś innego to ostatnia rzecz, jaką mam zamiar zrobić. Śmierć twojej siostry to był wypadek.

Uznałam, że przy tym ostatnim słowie głos zadrżał mu zbyt ewidentnie, aczkolwiek przez cały czas jego ton był łagodny i spokojny, i patrzył na mnie, wciąż tak na mnie patrzył...

– Chyba już pójdę – powiedziałam, wstając z krzesła. – Czuję się o wiele lepiej, a co do Heathcliffa i jego właścicieli, zrobię tak, jak powiedziałaś, zadzwonię do nich później. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę za twoją kurację – dodałam na koniec, podając mu dłoń na pożegnanie.

Milcząc, uściskał ją, a następnie skierował się ku drzwiom. Otworzył je i odsunął się, robiąc mi przejście, po chwili znaleźliśmy się na patiu. Mogłam wtedy uważnie przyjrzeć się ogrodowi Fugueta, przez który tyle razy przechodziła moja siostra. W porównaniu z ponurym wnętrzem domu było tu bardzo pogodnie. Kroczyliśmy w ciszy, aż w końcu zaczęłam coś mówić o tym, jak wszystko jest dobrze utrzymane, o jedynym krzewie róży, i o tym, jak to miło mieszkać niemal na wsi, z dala od miejskiego zgiełku, ale on nie dał mi dokończyć. Zbliżył się do krzewu i szybkim, fachowym ruchem ściał najpiękniejszą różę, jaka na nim kwitła.

– Chciałbym, żebyś zachowała to na pamiątkę, jest bez kolców.

– Nie ma róży bez kolców – uśmiechnęłam się. – Przynajmniej tak mówi przysłowie.

– To prawda. Usuwam je jeden po drugim. Robię tak od czasu, kiedy umarła.

Nie przyszło mi do głowy nic innego, jak zapytać:

– Pedro, dlaczego wcześniej powiedziałaś, że przypominam ci

Olivie?

Nie odpowiedział na pytanie, tylko zadał swoje:

– Agato, mogę do ciebie zadzwonić któregoś dnia? Bardzo chciałbym cię znów zobaczyć.

Początek tygodnia namiętności

Zawsze mówi się, że nieszczęścia chodzą parami, a ja nie mam pojęcia, czy ta mądrość ludowa ma jakiś odpowiednik w sytuacji odwrotnej, bo co do sytuacji szczęśliwych również mam wrażenie, że lubią chodzić pod rękę. Z tego co wiem, na taką masę szczęścia używa się słowa *aristotiquia* i ma ona wiele wspólnego z kapryśnością bogini Fortuny, która tak lubi pogrywać sobie z nami, poczciwymi śmiertelnikami.

Powyższy, jakże retoryczny (i niezbyt oryginalny) wstęp wiąże się z tym, że zupełnie zniecka znalazłam się, tak, właśnie ja, mała Agatita Uriarte, w niewidzianej od wieeeelu lat, a może nawet bezprecedensowej, sytuacji – miałam w perspektywie dwa romantyczne spotkania. Racja, wyrażenie może nieco na wyrost, gdy się wszystkiemu przyjrzeć, lecz nie można zaprzeczyć, że zarówno Pedro Fuguet, jak i Vlad Romescu wyrazili życzenie zobaczenia mnie, w związku z czym mój nieskalany (i męczeński) grafik towarzyski nagle stał się napięty do przesady. Dwóch facetów, dwóch, i to w tym samym tygodniu!, kręciłam głową. Jak ja to pogodzę? Jak widywać się jednocześnie z tym i z tamtym? Na szczęście Pedro Fuguet (który zaczynał mi się naprawdę podobać, tak na marginesie) po tym, jak zadeklarował chęć ujrzenia mnie ponownie, zapowiedział, że zadzwoni dopiero za kilka dni, po powrocie ze zjazdu lekarzy. Idealnie. Przezorna Fortuna postanowiła, jak widać, zadbać nawet o szczegóły rozkładu jazdy, a dzięki temu zyskałam czas, by zobaczyć się z moim prześlicznym Vladem Romescu, który następnego dnia obwieścił swój przyjazd. Zamierzałam powtórzyć swoją propozycję, aby w ramach oszczędności nocował u mnie.

Tak oto ja, królowa samotnych serc, wkroczyłam w ten osobliwy tydzień namiętności i pasji (ale nie w biblijnym znaczeniu tego słowa), który rozpoczął się od następującej rozmowy telefonicznej.

– Ágata? To ty? Koszmarnie cię słyszę, poczekaj, zerknę może, czy na zewnątrz będzie lepszy zasięg.

Po tych słowach nastąpiły brzdęki talerzy, łyżeczek i jakaś wrzawa, a po chwili znowu usłyszałam głos Vlada Romescu, tym razem o wiele czystszy. Okazało się, że znajduje się w kawiarni nieopodal

mojego domu i dzwoni zgodnie z tym, co ustaliliśmy.

– Ale tylko po to, żeby pozdrowić cię, nie przejmuj się...

A ja na to:

– ...?

A on:

– ...nie nie, nie musisz się tak o mnie troszczyć, mogę pójść do hotelu, zostało mi jeszcze trochę pieniędzy.

A ja na to:

–!!!

A on:

– No dobrze, skoro tak nalegasz...

A ja:

– ...!

On:

– W porządku, niech będzie. Ale nie musisz mnie szukać, sam trafię.

Ja:

–?!

I on w końcu:

– Drugie piętro w głębi, po lewej? Świetnie, widzimy się za chwilę. Całuję.

Przytoczyłam całe zdania wypowiedziane przez Vlada, a tylko wykrzykniki i wielokropki z moich odpowiedzi. Naszą rozmowę zapisałam w ten sposób nie dlatego, że trenuję korzystanie ze znaków interpunkcyjnych, ani nie z literackiej filuterii, lecz dlatego, że jego głos w słuchawce tak mnie onieśmiał, iż sama interpunkcja właściwie najlepiej oddaje moje jąkanie się i głupawe powtórzenia. Całkowite zmieszanie wydaje się moim tradycyjnym stanem, kiedy mowa o Vladzie Romescu (a co dopiero, kiedy jest obok), ale wynika także z tego powodu, że zapraszając go do siebie, przypomniały mi się podejrzenia, jakie pod jego adresem wysuwała madame Serpent ledwie kilka dni wcześniej. – Co ty wyprawiasz, do diabła ciężkiego? – wyrzucałam sobie jeszcze ze słuchawką przy uchu. – Czy przystoi dzielić to samo mieszkanie z kimś takim jak Vlad? A nie byłoby roztropniej spotkać się z nim na chwilę i już? No bo co tak naprawdę

możesz o nim wiedzieć? Niewiele, w tym praktycznie nic dobrego. Właściwie tylko tyle, że według Olivii był on skłonny pójść do łóżka z pierwszą lepszą (i pierwszym lepszym), o ile to leżało w jego interesie. Żigolak, a przy tym ulicznik. A madame Serpent nie wyklucza na dodatek, że morderca. Niezła sztuka, nie ma co.

To bardzo typowe dla mnie. Coś robię, a już chwilę potem zaczynam dostrzegać wszystkie niekorzystne strony. Tylko że tym razem było zbyt późno, żeby się wycofać. Vlad za chwilę miał być pod domem, błyskawicznie zbliżał się do moich drzwi, już-już miał wcisnąć domofon, a ja tu stałam, wciąż ze słuchawką w rękę, nie mając szansy przyjrzeć się paciorkom tego intrygującego różańca wątpliwości i tajemnic, które właśnie wywlokłam.

Jak zareagowałam w tej sytuacji? Brzmi nieprawdopodobnie, ale jedyne, co zdołałam zrobić, to poprawić włosy. Wcale nie po to, aby przepędzić z głowy ponure myśli – bez żartów! – lecz po prostu z tego powodu, że moje włosy wyglądały tragicznie, jeden wielki kołtun, prawdziwy koszmar, sądząc po widoku, jaki zapewniało lustro przy stoliku z telefonem. Może je trochę uporządkuję, oj, litości, lepiej związać w koński ogon, no i nie zaszkodzi nałożyć trochę szminki i tuszu do rzęs. Zaraz, zaraz, oszalałaś, nie ma czasu, jeszcze zrobisz z siebie stracha na wróble... ale w sumie, tylko ociupinkę pudru, tylko jedno maźnięcie pędzelkiem, a potem szybkie związanie włosów, bo zaraz powinien nadejść. O, widzisz? Mówiłam ci, już tu jest. O matko! Dzwonek.

Aby opowieść zachowała kolej rzeczy, a sukcesywnie dokładane paciorki złożyły się w jeden różaniec, muszę poświęcić kilka zdań naszemu powtórnemu spotkaniu. Choćby po to, żeby opisać chwilę, gdy otwierałam drzwi, a on stał po drugiej stronie, z krwi i kości, blondyn, niczym wspaniała zjawą na moim ponurym i dość cuchnącym piętrze (ale nie opiszę – niech to będzie mój sekret przyjemny). Po to, by opisać, że gdy przekraczał mój próg, jego wspaniały uśmiech na mój widok ani trochę nie przygasł, choć byłam poczochrana, miałam źle nałożoną szminke oraz minę skończonej ciamajdy (sekret pocieszny). I podkreślić na koniec (sekret bolesny, wszak w winnicy Pana Naszego nie mogło i tego zabraknąć), że praktycznie nie miał przy sobie bagażu,

w związku z czym musiałam przeczuwać, że jego odwiedziny potrwać krócej niż paternoster.

Tak oto rozpoczął się pobyt Vlada u mnie. Pocałunek na powitanie, kilka słów wdzięczności „za zapewnienie mi zchronienia”, wypowiedzianych dosłownie w ten sposób, z literą „z” na początku, i okraszonych włoskim akcentem tak cudownym, że do łamania serc nie potrzebował on już wsparcia, jakim było to wspiane ciało. A żeby wyznać całą prawdę, muszę wspomnieć, że jeszcze nie zamknęłam drzwi na dobre, a już zapomniałam o paciorkach z różańca moich wątpliwości, przynajmniej na moment, a mówiąc dokładniej – do chwili pójścia razem do łóżka. Ale po kolei, po kolei, bo zanim do tego doszło, wydarzyło się kilka rzeczy, o których muszę opowiedzieć.

Pokrótkę streszczę wymianę pierwszych zdań. Nie zatrzymam się długo przy powodach, dla których znalazł się w Madrycie, bo przytaczałam je już wcześniej (nowe otwarcie, wiele możliwości, starania o pracę, zupełne przeorientowanie zawodowe).

Nie sądzę też, że warto poświęcać dużo miejsca na grzeczności, jakie mi prawil wdzięczny za gościnę („Agato, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Jutro wcześniej rano mam jedną rozmowę o pracę w centrum Madrytu, po południu drugą w La Moraleja, a potem wrócę na noc na Majorkę, do Palmy, nie chcę nadużywać twojej gościnności”). W ten sposób upłynęły nam pierwsze minuty, dziesięć, dwanaście uprzejmych minut. A potem przeszliśmy do spraw logistyki oraz do charakterystyki mojego mieszkania. Każde miejsce ma swoje szczególne właściwości, ale obawiam się, że moje zakamarki nie mają wiele wspólnego z wygodą.

– Jest, jak jest – powiedziałam mu. – Mieszkanie ma tylko dwa pomieszczenia, pierwsze to moja sypialnia, a drugie stało się domowym biurem. Zaraz zrobimy z tym porządek, zabiorę komputer do mojego pokoju, a reszta będzie do twojej dyspozycji. Hm, co jeszcze? Kanapa jest brzydka, ale za to duża. Nie, spokojnie, to naprawdę żaden kłopot. Dam ci jeszcze ręczniki. Będziemy musieli dzielić łazienkę, ale to już przerabialiśmy na „Sparkling Cyanide”, prawda?

I chyba właśnie wtedy, gdy wymieniłam nazwę naszego pływającego musującego cyjanku, zauważyłam, że zacisnął szczęki – z

tego, co mi wiadomo, objaw ten wiąże się z powściąganą agresywnością. Ale gdzie tam, po chwili już nie myślałam o tych bzdurach. Żadnych uprzedzeń, żadnych lęków, za to rozkosznie było patrzeć, jak moje gniazdko ulega wyraźnej przemianie w wyniku jego obecności. Widzieć choćby, jak półka w łazience przyjmuje jego przybory toaletowe, szczoteczkę do zębów, która teraz stała obok mojej w identycznej szklance, płyn po goleniu i woda kolońska, serdecznie trącająca się z flakonem Nenuco, której używałam od zawsze (– Serio używasz old spice’a? – zapytałam, kiedy zobaczyłam charakterystyczną białą ceramiczną buteleczkę, której od dawien dawna nie widziałam na oczy. – Od osiemnastego roku życia to moja ulubiona woda – odparł. – Twoja kochana siostra uważała, że cuchnie gorzej niż paczuli).

To była pierwsza i jak na razie jedyna wzmianka o Olivii. Jeśli jednak jej duch krążył w okolicy, to na razie nie zmaterializował się ani nie naprzykrzał. Na komentarz związany z wonią old spice’a wybuchłam śmiechem, co jak sądzę, jeszcze bardziej zbliżyło nas do siebie.

– Ja uwielbiam ten zapach, jest bardzo męski – stwierdziłam i natychmiast zdałam sobie sprawę z popełnionej gafy, rany, durna baba, musiałam zarumienić się po czubki uszu. On zdawał się tego nie zauważać. Wciąż rozpakowywał walizkę, a ja za każdym razem zadawałam sobie pytanie, gdzie położy tę rzecz, a gdzie tamtą. Od tylu lat nie dzieliłam z nikim mieszkania, że niezwykle zajmujące wydało mi się obserwowanie, jak jego skromny dobytek kolonizował szufladę mojej jedynej komody, a marynarka i koszula – szafę w przedpokoju. Wspaniałe to stopniowe zasiedlanie terenu – powiedziałam sobie. – Kiedy rozwiewają się złudzenia, wtedy zaczyna się to określać mianem zawłaszczania, ale na początku to zawsze jest takie wyjątkowe.

– Mogę to tu zostawić, Agato? Nie chciałbym przekładać twoich rzeczy.

Vlad patrzył teraz na mnie jak grzeczny uczeń. Pod pachą trzymał kilka książek, z lewej ręki zwisał pasek pokrowca od laptopa dużych rozmiarów, zapewne starego typu. Ja już zdążyłam przenieść mojego ukochanego hewletta packarda z jednego pokoju do swojej sypialni, musiałam jeszcze zabrać pozostałe przedmioty z biurka.

– Zaraz zobaczysz, co zrobię – powiedziałam. – Wezmę do siebie ze dwie, trzy rzeczy, a pozostałe mogą wylądować o tam, w kącie. Dzięki temu będziesz miał miejsce i podłączysz swój komputer.

Chwilę potem zajęłam się różnymi swoimi papierzyskami, zabrałam teczki z rachunkami, dokumenty bankowe i takie tam. Jedynym przedmiotem o większych rozmiarach, jakie znajdowały się na biurku, było pudełko z rzeczami Olivii, zabrane z domu Flavia. Nim je sprzątnęłam, włożyłam z powrotem do środka zaświadczenie z urzędu ewidencji ubezpieczeń, żeby się gdzieś nie zawieruszyło. Jak jutro rano Vlad wyjdzie, pójdę zobaczyć, ile mi zostawiła Oli, pomyślałam, czując jednocześnie, jak ogarnia mnie ogromny smutek z powodu tego, że już jej nie ma. Trwało to sekundę, nie dłużej. Po chwili znów cieszyłam się uroczą obecnością Vlada i patrzeniem, jak umieszcza swoje rzeczy na moim starym biurku.

– Torbę od laptopa możesz położyć na tej półce. A co to za książki, Vlad?

– Mam nadzieję, że to moja przyszłość – stwierdził, po czym wybuchnął śmiechem, pewnie po to, aby tamto pierwsze zdanie nie brzmiało aż tak górnolotnie. – Książki kucharskie. Żegnamy się z morzem, a witamy z garami.

Następnie opowiedział mi o swoim życiu, przed zatrudnieniem się na „Sparkling Cyanide”. Pracował w Sorrento w stołówce, kierowniczką była tam jego matka, „która jest, jeśli o tym jeszcze nie wiesz, jedną z wielu zubożałych, dalekich krewnych mojego drogiego kuzyna Flavia. Więc jak widzisz, łatwo mi przyjdzie wykonać *downshifting*”, stwierdził, używając tego angielskiego słowa, a ja musiałam domyślić się jego znaczenia dopiero z dalszej części opowiadania i z miejsca w całym zdaniu. Koniec końców myślę, że zrozumiałam, o co chodzi. *Downshifting*, zejście niżej w hierarchii zawodowej, sytuacja, gdy ktoś odpuszcza intratną posadkę, aby czerpać większą satysfakcję z wykonywanej pracy

– Chciałem rzucić to wszystko jeszcze przed wypadkiem twojej siostry i przed bankructwem mojego kochanego kuzyna, więc to nie miało aż takiego znaczenia. Gdybym został, musiałbym wciąż osuwać się niżej, ku wnętrznościom tego potwora.

– Jakiego potwora?

– Kręgu kasiastych, tego zarozumiałego, głupawego towarzystwa, z którego niby każdy chce uciec, a przynajmniej tak mówi, lecz które tak naprawdę trzyma każdego mocno za jaja. Już ja dobrze zrozumiałem, jak się sprawy mają w tym osobliwym i zamkniętym kręgu piekielnym. *Lasciate ogni speranza voi ch'entrate*. Porzućcie wszelką nadzieję wy, którzy wchodzicie. Nie ma ratunku. Nie można umknąć z piekła. Można tylko lądować wyżej lub niżej, a każdy myśli, że warto tylko piąć się do góry, i przez to świat jest pełen takich złamasów, którzy daliby się pokroić, byle tylko otrzymać szansę wystawienia na widok publiczny swojej brudnej gęby i mieć możliwość popisywania się. Ja odmawiam. Jedynym sposobem ucieczki jest schodzenie, im niżej, tym lepiej.

Krótką filipiką Włada zupełnie zbiła mnie z pantałyku. Nie spodziewałam się takiej argumentacji z jego ust. Pewnie z powodu komentarza, jaki Olivia wygłosiła kiedyś na temat tego chłopaka. Na tej podstawie uznałam, że moja siostra nie miała dobrego mniemania o potencjale intelektualnym Włada, nie mówiąc już o potencjale kulturowym.

– I dokąd chcesz tak schodzić w te piekielne głębie, Vlad?

– Aż po kotły i po gary – znowu się zaśmiał. – Obydwie jutrzejsze rozmowy dotyczą stanowiska pomocnika kuchennego, wykwalifikowanego kuchcika, ale w tych okolicznościach wcale mi to nie przeszkadza. Najważniejsze, że dzięki przejściu przez to wykwintne piekło mam nienaganne referencje zawodowe. Owszem, jestem sługusem, ale ekskluzywnym. Oto zalety pracy na luksusowym jachcie, to robi wrażenie na każdym.

Na usta cisnęło mi się pytanie, jak kapitan jachtu może chcieć przekwalifikować się na kuchennego pomagiera, i czy nie jest to po prostu degradacja, a nie żadne *downshifting*, ale nie miałam odwagi mu tego powiedzieć. Zresztą jego następne zdanie stanowiło swego rodzaju odpowiedź na moje wątpliwości.

– Nieważne, kim byłaś wcześniej – powiedział. – Ważne, kim jesteś gotowa zostać później. Twoja kochana siostrzyczka uwielbiała powtarzać coś w tym stylu. Jak dobrze wiesz, była bardzo zaradna, abstrahując od tego, że była suką, jakich mało.

Wiadomo było, że w końcu się pojawi. Widmo Olivii, a przynajmniej wspomnienie o niej. Patrzyłam, jak materializuje się nad nami mroczny cień, a właściwie trójkąt miłosny, jaki tworzyli ona, Flavio i ten młodzieniec. Oraz cień wspomnienia, w jaki sposób Olivia doprowadziła do poniżenia Vlada, co tłumaczyło jego nienawiść do niej, a kto wie, może nawet i jej śmierć. Zaraz, co to, to nie – stwierdziłam nagle. – Tym razem nie pozwolę, żeby Olivii było na wierzchu. Tyle razy za życia psuła mi wszystko, nie pozwolę, żeby znowu mnie pozbawiła tej namiastki szczęścia u boku mężczyzny, którego obecnością cieszyłam się w tym momencie. Później, może na przykład jutro, znajdzie się czas na to, żeby wrócić myślami do mojego osobistego piekła, kręgu piekielnych wątpliwości i piekielnych podejrzeń. W tamtej jednak chwili postanowiłam radykalnie zmienić temat. Wykorzystałam fakt, że rozmawialiśmy o kotłach i garach, a ponieważ zbliżała się już pora kolacji, zaczęłam patrzeć na zegarek i udawać zaskoczenie, że zrobiło się tak późno.

– Proszę, my tu sobie gadu-gadu, a ty przecież na pewno umierasz z głodu! – rzuciłam, a jestem przekonana, że był mi wdzięczny za zostawienie tamtych spraw w spokoju. – Co ty na to, żebyśmy coś zjedli, a ty mi wtedy opowiesz więcej o swoich planach na przyszłość? Niestety, będziemy musieli wyjść na miasto, żeby coś przekąsić. W lodówce osoby, która od zawsze usiłuje być na diecie, nie ma nic poza marynatami, warzywkami, dietetycznymi makaronami i tego typu paskudztwami. Idziemy do chińczyka, czy wolisz knajpę za rogiem? Ja stawiam.

W łóżku z mordercą

Jak to się stało, że wylądowałam z Vladem w łóżku jeszcze tej samej nocy? W jaki sposób przeszliśmy od smutków i żałobów nad pustą lodówką do niesamowitych (i zupełnie niespodziewanych) figli? Trudno w to uwierzyć, ale winę za wszystko ponosi generał Bonaparte.

Ostatnio zatrzymałam się w tym miejscu, kiedy zmieniając temat, zapytałam Vlada, czy jest głodny, a potem dodałam, że musimy poszukać knajpy, bo w domu są tylko marynaty i produkty dietetyczne. Nie zdążyłam wtedy tego powiedzieć, ale teraz spieszę donieść, że w odróżnieniu od poprzednich dni akurat ten lipcowy wieczór w stolicy wreszcie był chłodnawy – to zapewne jeden z kaprysów specyficznego madryckiego, zmiennego klimatu. Nie wspominałam także, że moje mieszkanie może jest małe i niezbyt przytulne, ale za to ma całkiem przyjemny balkon pełen roślin, które tak lubię. Wspominam o tym, ponieważ na pomysł wieczoru na zewnątrz Vlad odpowiedział, proponując coś innego. Użył przy tym określenia „operacja spiżarka”.

Zapytałam go, cóż to takiego, na co on stwierdził, że zaraz sama zobaczę, cierpliwości, najlepszy kucharz to taki kucharz, który potrafi improwizować, a wspomniana operacja nieco przypomina anegdotę o Napoleonie i „kurczaku marengo”. Ponieważ zupełnie nie rozumiałam, o co mu może chodzić, zapytał, czy znam anegdotę o słynnym włoskim kucharzu Dunandzie. Nie znałam. Vlad opowiedział mi, jak podczas jednej z wielu bitew epoki napoleońskiej Austriakom udało się odciąć linie Francuzów, w wyniku czego wojska żabojadów zostały bez jakiegokolwiek zaopatrzenia. – Napoleon – tłumaczył Vlad – nie należał do osób, które odmawiają sobie porządnego posiłku, więc za pośrednictwem adiutanta przekazał kucharzowi: Radźcie sobie, Dunand, pan tu szefuje kuchni, o siódmej chcę mieć co zjeść. Biedny kucharz miał sporego pietra przed Bonapartem, więc zlecił żołnierzom przetrząśnięcie całej okolicy w poszukiwaniu jakiegokolwiek żywności. Ostatecznie zdołali zgromadzić następujące składniki: dwa kurczaki, kilka raków, pomidory, cebule, olej, jajka i kilka główek czosnku, oprócz tego Dunand miał przy sobie pół butelki koniaku. Z pomocą tych składników wyczarował wspaniałe danie, a odtąd kurczak à la marengo,

zwany tak na upamiętnienie bitwy, jaka została rozegrana tamtego dnia, stał się jednym z najbardziej znanych dań kuchni francuskiej. Co prawda – ciągnął Vlad – Dunand raczej nie określał swojego zadania „operacją spizarka”, ale, biorąc pod uwagę, co ja zrobię za chwilę w twojej kuchni, wyjdzie na to samo. Zaraz zobaczymy, co tu można znaleźć, zobaczysz, Agato, może nam też uda się coś wyczarować.

Powiedział to, po kolei otwierając drzwiczki wszystkich moich starych szafek kuchennych, a zaledwie półtorej godziny później siedzieliśmy przy stole (zazwyczaj rozchwanym, rozkładanym stoliku brydżowym, tym razem stojącym pewnie na czterech nogach i przykrytym ładnym obrusem) na tarasie pełnym roślin, a czas umilała nam przyjemna muzyka („może być jakakolwiek, byle nie brazylijska”, tak brzmiała jego przedziwna prośba), podczas gdy na naszych talerzach dymiło przepyszne „spaghetti à la Ágata”, kilka chwil wcześniej zdjęte z ognia.

– Nadal nie wiem, jakim cudem to przygotowałaś – powiedziałam, kiedy nalewał mi drugi kieliszek clericotu, który również pojawił się na stole w wyniku „operacji spizarka”. Oczywiście śledziłam krok po kroku cały proces twórczy, ale wiadomo, że artyści, zwłaszcza mężczyźni, uwielbiają być pytani o swoje dzieła (to sztuczka, którą podpatrzyłam u Olivii), więc poprosiłam Vlada, żeby trochę mi wyjaśnił *making of* dania głównego oraz koktajlu.

– Wszystko widziałaś – odparł. – Puszka omułek, puszka anchois, opakowanie paluszków rybnych, odrobina koniaku, a wychodzi z tego taki erzac krabów po baskijsku, że palce lizać. A jeśli ułożysz to potem na makaronie, nikt nie będzie w stanie odróżnić tego od autentycznego dania. *Voilà!* Oto spaghetti à la Ágata!

Wzięłam sobie dwie dokładki, bo nie była to odpowiednia chwila, aby liczyć kalorie, cóż, kochana, zapomnij o diecie. Spaghetti z „krabami” było wspaniale dopełniane przez dobrze schłodzony clericot, teraz już wiem, że to rodzaj sangrii z białego wina, w którego skład weszły też resztki gruszki, truskawek i dwóch starych pomarańczy, które obok kartonu wina Don Simón przetrwały w spizarni. Podejrzewam, że po posiłku to właśnie clericot rozwiązał nam języki. Vlad przyznał, że wszystkie jego plany są uzależnione od wyniku dwóch rozmów o pracę,

które miał odbyć następnego dnia. Ja z kolei starałam się go pocieszyć, że na pewno bez kłopotu znajdzie zatrudnienie; skoro potrafi przygotować coś tak pysznego, mając do dyspozycji kilka konserw, karton taniego wina i cztery zeschnięte owoce, musi być świetnym kucharzem. Spróbowałam także – podobnie jak w przypadku wszystkich pozostałych pasażerów „Sparkling Cyanide” – nakierować rozmowę na czas spędzony na jachcie, zwłaszcza na godziny poprzedzające śmierć siostry. Obawiam się jednak, że moja wewnętrzna panna Marple była już nieco wstawiona i w zalotnym nastroju, więc rozmowa szybko znów zeszła na temat przyszłych planów Vlada. Zdradził, że więcej oczekiwał po pracy w La Moraleja niż w samym Madrycie. – Tak czy inaczej, muszę jutro wrócić do Palmy i pozalać masę spraw, obawiam się, że to będzie bardzo krótki pobyt.

– I tak wspaniale, że tu teraz jesteś – powiedziałam, a on posłał mi uśmiech tak słodki i smutny zarazem, że nie pozostało mi nic innego, jak wypić pół kieliszka jednym haustem, aby ukryć swoją reakcję.

Jakie to miało wtedy znaczenie, że kręciło mi się w głowie, a Vlad trzeci czy czwarty raz napełniał mój kieliszek, a swojego nie? Co z tego, że wydawał się coraz bardziej rozbudzony, a ja z każdą minutą coraz bardziej pijana? Nie każdego dnia zdarza się coś takiego, powiedziałam sobie.

Pamiętam, co było potem, Vlad zbierający talerze ze stołu, kiedy rozmawialiśmy o tym i owym. A potem wrócił z kuchni z drugim dzbankiem clericotu.

– To co, Agatita, może jeszcze odrobinę? Wiesz, że jesteś bardzo ładna, kiedy oczy tak ci się świecą?

I potem pamiętam jego słodki oddech za moimi plecami, gdy odstawiał koktajl na stół, i złożył mi pocałunek, tylko jeden, na karku.

Kiedy mówi się o pozytywnych skutkach działania alkoholu, zawsze wymienia się poprawę nastroju. Mam na myśli tę wspaniałą postawę „phi, a co mi tam”, którą człowiek przyjmuje, kiedy wreszcie czuje się tak dobrze, tak wolny od trosk. Moim jednak ulubionym skutkiem picia alkoholu jest inny, o którym wspomina się nieco rzadziej. Czas wtedy płynie wolniej, staje się nie tak ulotny, jest mniej nieuchwytny. Efektowi zwolnionego tempa zawdzięczam choćby te

kokieteryjne wspomnienia: Vlad i ja, pocałunki w drodze do mojego pokoju, „Chodź, zdejmij tę bluzkę, i to też, ale jesteś głupiotka, nie musisz się zasłaniać, masz piękne ciało. Cicho, Agato, nic nie mów, po prostu czuj”. I ja, czasem posłuszna, czasem przejmująca inicjatywę, jak wtedy, gdy przywiodłam go na skraj łóżka, gdy zrzuciłam sterty poduszek, które leżały na nim w stylu typowym dla mojej siostry. Moje dwa podgłówki wylądowały w rogu sypialni, ale ten haftowany, z napisem *Miłość potrafi zabić* – u wezgowia łóżka od strony Vlada. Ale to nieistotne, kto by zwracał uwagę na takie rzeczy w tym szczególnym momencie, w tamtej chwili liczył się dla mnie tylko widok dłoni leniwie buszującej po moim ciele. I uczucie, jak obiera wcześniej niezbadane ścieżki, które dotąd wydawały mi się nieprzejezdne. Dziwne. Niby od lat nie poszłam z nikim do łóżka, ale... Czy tak to wygląda, kiedy kocha się dwóch facetów?, pamiętam, że taka myśl przeleciała mi wtedy przez głowę, po chwili jednak odrzuciłam ją, bo i te wprawne palce, i język równie wędrowny, wkrótce trafiły w zagięcia, które zdecydowanie nie składają się na męską anatomię, i pracowały rytmicznie i z taką wprawą, że wszelkie zastrzeżenia poszły w ką. „Całuj się ze mną i kochaj”, a jak mówił, tak czyniłam, nie myśląc o niczym przez długie chwile, aż do momentu, kiedy już potem uśmiechnięty Vlad odwrócił się na swoją stronę łóżka, mówiąc:

– Proszę, proszę, co za demon, kto by pomyślał.

A ja miałam ochotę zapytać go: co się między nami wydarzyło? Czy to coś oznacza? Czy to tylko żart, Vlad? Strategia? Czego we mnie szukasz? Ale nie zrobiłam tego, bo najważniejsze pytania w życiu właściwie nigdy nie zostają wypowiedziane, a już zwłaszcza w łóżku, kiedy pojawia się groźba, że czar pryśnie. A potem on pocałował mnie w czoło i powiedział coś na dobranoc jak grzeczny chłopczyk, a wszystko skończyłoby się jeszcze bardziej słodko, gdyby nie to, że obróciwszy się w swoją stronę, Vlad dostrzegł na podłodze, w odległości niecałego metra od siebie, haftowany zagłówek Olivii. Od razu go rozpoznał.

– Całe szczęście, że twoja siostra już nie żyje – rzucił, po czym cisnął nim w drugi kąt pokoju. Od razu przeszedł mnie dreszcz i odezwał się dzwonek alarmowy, nawet nie z powodu tych słów – tych

samych, które wypowiedzieli wszyscy pozostali goście z jachtu – lecz przez ten dziwny rechot, który im towarzyszył. Gromki śmiech, niemal dziecinny, na przemian opadający i narastający, aż w końcu z nagłą zduszony. Gdzieś już słyszałam podobny śmiech. Gdzie i w jakich to było okolicznościach?

Przypomniałam sobie po kilku godzinach, kiedy nagle – z tą brutalną nagłością, z jaką sny potrafią przejść w rzeczywistość, zniszczyć najpiękniejsze doznania i zamienić je w złudzenie – obudziłam się ze wspomnieniem tego śmiechu. I wtedy przed oczami znów ujrzałam moją kajutę na „Sparkling Cyanide”, nawet poczułam na nowo nudności, które zepsuły mi ten dzień, gdy Olivia straciła życie. Wirowało mi w głowie, w żołądku przewracał się alkohol i *huevos rancheros*. Nic z tego nie miałyby jednak większego znaczenia, gdyby przez te zawroty głowy nie przebiło się wspomnienie dźwięku dobiegającego spoza wnętrza jachtu. Łatwo rozpoznawalny głos mojej siostry Olivii, mówiący: „Śmiało, Vlad, zrób to”, a potem ten męski i zarazem dziecinny śmiech. Dwa bardzo jasne fakty, których nie pamiętałam, a tyle razy usiłowałam do siebie przywołać, powtarzając sobie: przypomnij sobie, przypomnij...

Dzień po

Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić. Odmawiam próby odtworzenia tej bezsennej nocy, pełnej podejrzeń i wątpliwości, choć w jego ramionach. Odmawiam, nie mam ochoty ponownie przeżywać tego, co czuje kobieta, gdy nagle zda sobie sprawę, że być może poszła do łóżka z mordercą. Pisarz z prawdziwego zdarzenia z pewnością nie omieszkałby przytoczyć dziwnych okoliczności, jakie pojawiają się w takich przypadkach, cienie wtedy ożywają i stają się głównymi bohaterami nocy. Jedna z takich niepokojących rzeczy znajdowała się obok łóżka, druga, która również nie dawała zapomnieć o sobie, wyrastała za oknem i uderzała w szybę, zupełnie tak jak na początku *Wichrowych wzgórz*.

Pierwsza to mój stary budzik, który odmierzał kolejne bezsenne godziny. W zwykłych okolicznościach praktycznie go nie słyhać, ale teraz wiem, że kiedy noc się dłuży i mnożą się wątpliwości, nawet dyskretne budziki okazują się natrętne i gadatliwe, a mój postanowił z każdym tyknięciem powtarzać: o, głupia, naprawdę łudziłaś się, że to była miłosa noc? Kiedy wreszcie zrozumiesz, że romansidla nie istnieją, tik-tak, tik-tak, i tak przez całą noc w nieznaczących, niemających końca skurczach i rozkurczach.

Drugim z wymienionych natrętów, tym zewnętrznym, była gałąź drzewa, o której istnieniu dotąd nie miałam pojęcia, przysięgam. Okazała się jeszcze bardziej uciążliwa. Budzik zajmował się krojeniem czasu na drobne kawałki, ona zaś, swoim kształtem przypominająca palec, chwiejnie, ale surowo wygrażała mi za szybą, jakby wciąż przypominając: a co z jutrem? Nie masz wyboru, będziesz musiała robić dobrą minę do złej gry i udawać, że nic się nie stało, wszystko w porządku, aż w końcu on zniknie z twojego życia i wróci do Palmy. Głupia ty, oto co cię spotyka, głupia to zresztą mało powiedziane, skrajna idiotko, tak się kończy wychodzenie z roli. Czy gdziekolwiek widziałaś lub czytałaś, żeby panna Marple sypiała z jednym z podejrzanych?

Kiedy sen nie nadchodzi, noc wydaje się nie mieć końca i ostatecznie jest sporo czasu na przemyślenia. A nawet na zmianę

postawy i wyparcie zarówno bezlitosnego tykania, jak i ruchów oskarżycielskiego palca. W ciągu całej nocy nieraz złapałam się na tym, że zaczynam myśleć odwrotnie niż dotąd. Co prawda zdołałam sobie w końcu przypomnieć słowa Olivii i towarzyszący im chichot Vlada, jednakże ani jedno, ani drugie nie dowodziło niczego. Bo niby dlaczego miałyby? Przecież nawet nie wiedziałam, o której godzinie doszło do ich spotkania. Wciąż istniała możliwość, że słyszałam to na długo przed wypadkiem, a w takim razie ani słowa mojej siostry, ani śmiech mojego kochanka nie miałyby wówczas najmniejszego znaczenia.

Myśl o tym pozwoliła mi chyba w końcu zasnąć o brzasku, bo moje następne wspomnienie to wesoły szum prysznicą w łazience, a po kilku minutach – widok przepasanego krótkim ręcznikiem Vlada, który trzymał w dłoni drugi ręcznik i urzekająco suszył sobie nim włosy.

– *Senti, tesoro. Dormi bene?*

Głowa mi pękała, w ustach miałam kwaśny posmak, a w lewym uchu słyszałam dokuczliwe dzwonienie, ale pierwszy raz w życiu dziękowałam losowi za tak gigantycznego kaca. Poranna niedyspozycja stanowiła wyborne alibi, aby nie wstawać z łóżka i nie okazywać specjalnej rozmowności.

– Obawiam się, że chyba nieco przesadziłam z clericotem – powiedziałam, uznając się za mistrzynię eufemizmu. – Nie mogę ruszyć ręką ani nogą – dodałam, na co on się zaśmiał.

– No to śpij dalej, księżniczko. Dopiero ósma.

– Już idziesz? – zapytałam, na wpół żałując, a na wpół życząc sobie właśnie tego.

– Tak, muszę załatwić dwie czy trzy sprawy jeszcze przed tymi rozmowami.

– Co chcesz zrobić z bagażem? – zapytałam, doskonale wiedząc, że za chwilę dowiem się, czy przed wyjazdem jeszcze tu wróci, czy też od razu wyruszy na lotnisko.

– Chyba lepiej, żebym go zabrał ze sobą, w sumie nie waży zbyt wiele. Jeśli starczy mi czasu, to świetnie, wpadnę tu i pożegnaj się, ale przynajmniej nie będę musiał się martwić, że nie zdążę.

Widzę go po raz ostatni, pomyślałam, a wszystko, co zdarzyło się minionej nocy, to co złe i to co dobre, zaczynało wydawać mi się niemal

nierzeczywiste. Pewnie, że lepiej, aby wrócił na Majorkę bez wstępowań tutaj. Lepiej dla panny Marple, która w ten sposób miałaby wolną drogę, by kontynuować swoje śledztwo, lepiej zresztą także dla Agaty Uriarte i jej romantycznej duszy. Moje biedne serce nie pozostało jednak obojętne na widok wpół nagiego Vlada, który z tym samym nieskrępowaniem co wcześniej wyszedł do kuchni i wrócił z dużą tacą w dłoniach.

– To tak, żebyś wiedziała, że „operacja spiżarka” trwa nawet w godzinach wczesnoporannych – zażartował, po czym postawił przede mną śniadanie składające się z kawy do złudzenia przypominającej prawdziwe cappuccino, kilku pysznych grzanek z oliwą oraz soku owocowego, który nie wiem, skąd wytrzasnął, zapewne wykorzystał stare jabłko i kilka cytryn stanowiących jedyne źródło witamin w tym domu.

– W ten sposób nie czuję aż takich wyrzutów sumienia z powodu twojego kaca – powiedział. – Ale musisz mi obiecać, że po śniadaniu utniesz sobie jeszcze krótką drzemkę. Dzisiaj nie ma szkoły.

Patrzyłam, jak wchodził i wychodził z pokoju, a to żeby się ubrać, a to zebrać swoje manatki, a to chować je kolejno do walizki, przywracał wszystko do poprzedniego stanu, sprzed chwili, gdy się tu pojawił i zezwolił na to wspaniałe zasiedlenie, jakie jego rzeczy urządziły pośród moich. Już wkrótce jego książki nie leżały między moimi książkami, a jego szczoteczka do zębów nie dzieliła tej samej półki w łazience z moim starym orałem-b. Ostatnim dowodem na jego obecność stał się ten charakterystyczny zapach old spice'a, kiedy podszedł do mnie i dał całusa na pożegnanie. Woń, której nie trawiła Olivia, a która przy odrobinie szczęścia utrzyma się tutaj jako wspomnienie jego przelotnej obecności w moim życiu.

Głęboko wciągnęłam ten zapach nozdrzami, aby go uchwycić i aby pozostał ze mną w łóżku, gdy Vlada już nie będzie.

– Idę, Agato, dzięki za wszystko – powiedział. – Zadzwońię z lotniska, żeby opowiedzieć ci, jak mi poszło.

Podszedł bliżej. Kretyńsko wystawiłam policzek do pocałowania, ale on wybrał usta.

– Czemu? – zapytałam, doskonale wiedząc, że akurat tego pytania

nigdy nie powinno się zadawać.

Zacznijmy od tego, że owo „czemu” nie odnosiło się tylko do tego ostatniego pocałunku ani do wspólnie spędzonej nocy, lecz także do wielu innych podejrzanie zaskakujących zjawisk, jak choćby do sympatii, jaką zawsze demonstrował wobec mnie, i przyjemnej świadomości, że już po śmierci Olivii starał się mnie odnaleźć.

– Głupiutka księżniczka. Jak to dlaczego? Dlatego, że chcę, żeby mnie kochano. To mało?

Panna Marple reasumuje

Kiedy tylko Vlad zniknął za progiem, od razu wyskoczyłam z posłania. Nie wiem, czy po to, aby odegnąć nieuniknione zawroty głowy powodowane przez puste łóżko, czy też wskutek pysznego cappuccino; a może to wszystko przez ostatnie słowa Vlada, dokładnie te same, których kilka dni wcześniej w rozmowie o nim użyła madame Serpent. W każdym razie postanowiłam nie tracić ani minuty. Kac nie jest może najlepszym doradcą, gdy ktoś chce uporządkować myśli w głowie, ale tego dnia odkryłam, że urznięcie się i poranny kacenjamer dają ten sam skutek i moc. Pierwsze wydłuża minuty, powoduje, jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie, drugie – w trzech czwartych daje ten sam efekt. Zgoda, nie w jakiś przyjemny sposób, ale bardzo skrupulatny i opóźniony, a to bardzo przydatne, kiedy ktoś pragnie uporządkować wszystkie przemyślenia.

Każdy czytelnik powieści detektywistycznych wie, że kiedy tylko dyżurny śledczy kończy przesłuchania oskarżonych, powinien usiąść i podsumować wszystko, czego się dowiedział, zestawić zeznania i porównać rozmaite perspektywy. Może i dla mnie nadszedł właściwy moment, by uczynić to samo – niespodziewane odwiedziny Vlada w moim mieszkaniu kończyły całą serię rozmów, więc świetnie się składało. Tym prędzej więc wyskoczyłam z łóżka i przeszłam do drugiego pokoju, w którym poprzedniego dnia miał spać Vlad, chociaż ostatecznie tak się nie stało. Mojego komputera nie było, przenieśliśmy go, aby zrobić miejsce na rzeczy Vlada. To nawet lepiej, pomyślałam. Do podsumowań w zupełności wystarczy tradycyjny papier i ołówek. Żadnych excelów, żadnych powerpointów, po prostu uznałam, że najlepiej będzie sporządzić jedną kolumnę z imionami, drugą z faktami, które zostały ujawnione przez poszczególnych świadków, po czym skrzyżować wersje.

KK, napisałam wyraźnymi literami na dobry początek. Kardam Kowaczew był pierwszym z przesłuchiwanym, a lubię zachowywać porządek rzeczy. Jakie ważne kwestie zapamiętałam ze wspólnej rozmowy? Zamierałam wtedy przede wszystkim wyciągnąć z niego coś, co pomogłoby wyjaśnić tajemnicę zegarka Olivii na ręce Soni.

Wniosek pojawił się po tym, jak Kardam przyznał, że ta śliczna dziewczyna nieco zbyt mocno pożądała cudzej własności. Mogła być kleptomanką, ale to jeszcze nie znaczy, że jest morderczynią.

Prawda czy fałsz?, zapisałam na skraju kartki, po czym próbowałam pomyśleć, co jeszcze powiedział mi KK. Aha, już wiem, mówiąc o matce Soni, zasugerował, że byłaby gotowa zrobić każdą rzecz dla swojej córki. „Tak jak i ja”, dodał Kardam, co w tym momencie również dodałam do listy. Dopisałam jeszcze dwie kolejne rzeczy, o których dowiedziałam się z innych źródeł. Jedna to oczywisty dla mnie fakt, że Kardam najbardziej z nas wszystkich nienawidził Olivii i że miał po temu uzasadnione powody. Zresztą nie ukrywał tego, potwierdził kilkakrotnie, o czym też świadczyły słowa skierowane do Pedra Fugueta, wypowiedziane mniej więcej w chwili wypadku, gdy obaj siedzieli w salonie pod pokładem.

Drugą z przesłuchiwanym była Sonia San Cristóbal, która zwróciła mi uwagę na rzecz oczywistą, ale bardzo pożyteczną: że każdy może cały czas kłamać. W rozmowie z nią najciekawsze było jednak co innego. W czasie kiedy odchorowywałam swoje, zamknięta w kajucie, każdy z zaproszonych na „Sparkling Cyanide” rozmawiał z Olivią na osobności. Ten fakt został potwierdzony w trakcie późniejszych rozmów z innymi gośćmi. Jeśli powiązać to z kleptomanią Soni, pojawiały się pytania: Czy Sonia mogła być tak głupia, żeby zabić Oliwię i przywłaszczyć sobie jej własność, co przecież tak łatwo można stwierdzić? Czy była beznadziejnie durna, jak uważała moja siostra, czy wręcz przeciwnie, szalenie sprytna, a takie wrażenie odniosłam, widząc ten dziwny błysk w jej oczach? Kto lepiej wypadł w ocenie cudzych zachowań – Oli czy ja?

Obok inicjałów *CF* w skrócie zapisałam to wszystko, co powiedział mi Cary Faithful. Cary twierdzi, że spotkał się z Olivią mniej więcej godzinę przed jej śmiercią – zanotowałam. – Chciał ją błagać, aby nie ujawniała rozmowy, którą kiedyś potajemnie nagrała. Rozmowy spreparowanej, jak twierdził, a zupełnie autentycznej, jak twierdzą ja. Oprócz tego na pomoście w pobliżu ciała Olivii odnaleziono okulary przeciwsłoneczne Cary’ego, ale jego zdaniem stanowi to jego najlepsze alibi. „Wykluczone, żebym zapomniał o nich i zostawił na miejscu

zbrodni – przekonywał – bo jeśli ktoś cierpi na światłowstręt, natychmiast zdaje sobie sprawę, że je zgubił”. Prawda czy fałsz?

Miranda-de-Winter, w skrócie: *MdW*. Tu mamy zeznanie, które ujawnia nową rzecz: ona, kobieta uwielbiająca Cary’ego, wyszła na pokład tuż po tym, jak on po rozmowie z Olivią wrócił wzburzony do kabiny. Stanąwszy z Olivią twarzą w twarz, skrytykowała sposób potraktowania Faithfula, a odbyta rozmowa była tak nieprzyjemna, że Miranda zupełnie zapomniała o okularach. Sama przyznała, że Oli odtworzyła nagranie z głosem Cary’ego, które jednak uznawała za „całkowicie sfalszowane”. Z tego jednak, co miałam okazję ujrzeć podczas naszego nietypowego śniadania na londyńskiej trawce, preferencje seksualne Cary’ego nie są dla niej żadną tajemnicą. Zdaniem Mirandy po odtworzeniu nagrania Olivia usiłowała sprowokować ją do niekontrolowanego zachowania. Tu mamy jedną z najosobliwszych jak dotąd teorii związanych ze śmiercią mojej siostry: wiedząc, że nieodwołalnie czeka ją bolesna śmierć, Oli usiłuje znaleźć sposób, by któreś z nas pozbawiło ją życia w sposób gwałtowny i bezbolesny. Dokładnie tak, jak czyni to Rebeka, bohaterka powieści o tym samym tytule. Nadal była to atrakcyjna hipoteza, chociaż chyba zbyt książkowa i świadcząca o wyjątkowo bogatej wyobraźni. Jak słusznie powiedziałam Mirandzie tamtego poranka: gdy komuś życie niemiłe, ma wiele innych możliwości, by umrzeć, i nie musi się uciekać do tak cudaczych metod. W dodatku nie ulega wątpliwości, że Olivia nie chciała, aby jej śmierć wyglądała na samobójstwo. Tylko dlaczego miałyby chcieć czegoś takiego? Wciąż nie przychodziło mi do głowy żadne sensowne wytłumaczenie.

Po Mirandzie de Winter przyszła kolej na Cristinę San Cristóbal, która powiedziała mi tyle interesujących rzeczy, że chyba łatwiej będzie mi je wypunktować:

- 1) Częściej zabijamy z miłości niż z nienawiści.
- 2) Na podstawie pierwszego podpunktu doña Cristina uważa, że najbardziej podejrzani są Pedro Fuguet i Vlad Romescu, w takiej kolejności.
- 3) (Ten punkt może nie mieć związku ze śmiercią Olivii, ale z pewnością ma wiele wspólnego z moim prześlicznym Vladem). Aby

zrozumieć, co się dzieje nad kołdrą, trzeba też zerkać na to, co dzieje się pod nią. Bo, jak stwierdziła, a muszę przyznać, że na pewno wie niejedno w tej dziedzinie, w kwestiach preferencji seksualnych u niektórych osób nie zawsze czarne jest czarne, a białe jest białe. Za przykład może tu posłużyć Vlad Romescu.

Chronologicznie kolejnym z moich podejrzanych byłby Pedro Fuguet. Najpierw jednak wolałam wynotować to, co pamiętam ze spotkania z Vladem. Taka kolejność nie miała wyraźnego powodu, ale chciałam jak najszybciej zapisać dokładnie przebieg poprzedniego dnia i tego poranka – a nuż odkryję jakąś nową okoliczność. Co zdominowało nocą moje myśli i nie pozwalało mi spać? Głos mojej siostry mówiącej „Śmiało, Vlad, zrób to”, a potem ten głupkowaty rechot, który usłyszałam też wczoraj, gdy byliśmy razem w pościeli. Straszliwe nocne wizje odeszły już w niepamięć, obecnie moje obawy wydawały się bezpodstawne, bowiem nie mogłam dokładnie ustalić, kiedy odbyła się ta rozmowa, a poza tym pamiętałam wiele innych głosów, które dobiegły mnie już po wypowiedzeniu przez Olivię tych czterech złowrogich słów. Nie słyszałam tych głosów zbyt wyraźnie, ale na pewno były. W wypowiedzi skierowanej do Vlada dostrzegłam teraz pewną rzecz, na którą nie zwróciłam uwagi w nocy: wpasowywała się ona w to, co usłyszałam w Londynie. „Śmiało, zrób to” – to idealnie szło w parze z teorią Mirandy de Winter, jakoby Olivia usiłowała każdego po kolei podżegać, prowokować. Vlad na pewno śmiał się właśnie z jej oczekiwań wobec niego. Ale czy inni postąpili tak samo?

Zbliżam się do końca mojej listy podejrzanych. Pozostaje na niej ostatni z pasażerów jachtu „Sparkling Cyanide”, doktor Pedro Fuguet. Co było najbardziej interesującego w jego słowach? Określenie momentu śmierci. Z jego słów wynikało, że do nieszczęścia doszło, kiedy siedział w salonie pod pokładem. Podobno słyszał stamtąd rozmowę Olivii z lekarzem oraz wypowiedziane przez nią słowa: „Nie ma czasu”. Godzina rozmowy zachowała się w pamięci telefonu, więc tu akurat nie było wątpliwości: odbyła się dokładnie o czwartej trzydzieści pięć.

To wtedy po raz pierwszy poczułam, że potrzebuję kogoś, z kim mogłabym podzielić się swoimi podejrzeniami i omówić je. Przecież

zawsze tak to wygląda w powieściach detektywistycznych. Śledczy zawsze powinien mieć pod ręką drugą osobę, z którą mógłby dyskutować, wymieniać się informacjami i opiniami. Poirot ma choćby swojego kapitana Hastingsa, z kolei moja alter ego, panna Marple, korzysta z pomocy swojego siostrzeńca, uznanego pisarza Raymonda Westa. Niektóre postacie mogą liczyć na dwóch doradców, na przykład Sherlockowi Holmesowi w pozornie nierozwiązywalnych sprawach pomagali doktor Watson oraz Mycroft, starszy brat Sherlocka. Znowu jednak muszę wyrazić obawę, że życie nie przypomina powieści detektywistycznych – ja w każdym razie nie miałam nikogo, z kim mogłabym skonsultować swoje wątpliwości.

Przez moment zaczęłam brać pod uwagę pewną możliwość. A może by tak poprosić o pomoc przystojnego adwokata Olivii, pana multikulti Nelsona Gutierrezza Müllera? Po krótkiej chwili wahania odrzuciłam ten pomysł. Już nieraz mówiłam, że sprawia na mnie wrażenie, jakby w swoich marynarkach od Prady miał wszyty euromat, taksometr, czy coś w tym stylu, natomiast mnie brakuje środków pozwalających na skonsultowanie się z tak kosztowną wyrocznią. Brakuje albo może *brakowało*, zanim w moich rękach nie znalazło się to zaświadczenie z urzędu ewidencji ubezpieczeń na życie przy Ministerstwie Sprawiedliwości. Prawdopodobnie stałam się bogatsza, niż byłam dotąd, a wszystko dzięki Olivii, powtórzyłam sobie. Wartość tego dokumentu zamierzałam zweryfikować jeszcze tego samego dnia, ale z pewnością zwiastował on jakieś środki, a przy tym zawierał jeszcze jedną ukrytą wiadomość od mojej siostry. Odczytywałam ją w ten sposób: jeżeli Olivia, tak jak przyznawał sam Gutiérrez Müller, za jego plecami postanowiła samodzielnie załatwić wszystkie formalności z towarzystwem ubezpieczeniowym, musiała mieć jakieś powody, żeby tak postąpić. A to niewątpliwie skreślało Nelsona z listy tych, do których mogłabym zwrócić się po radę.

Co teraz począć? Byłam zmęczona całym tym rozumowaniem. Cóż, jeśli wszystko będzie odbywało się tak jak do tej pory, Olivia najprawdopodobniej sama zadba o to, żeby na mojej drodze znalazł się jakiś Mycroft.

Coś się zmieniło

Wszystko wyglądało niczym łańcuch wydarzeń teoretycznie osobnych, a w praktyce – ewidentnie ze sobą powiązanych, zupełnie jakby to były paciorki tego samego różańca. Najpierw weszłam do sypialni, żeby się ubrać i przygotować na wyjście do urzędu ewidencji ubezpieczeń, ale zatrzymałam się przed wyłączonym monitorem komputera. Należę do tej coraz większej grupy osób, które nie mogą zwalczyć dwóch przywar: ustawicznego zerkania na komórkę, czy nie ma nowych esemesów (na mojej nigdy nie ma ich zbyt wiele), i niewyłączania komputera przez całą dobę w oczekiwaniu na dźwięk towarzyszący otrzymaniu nowej wiadomości. W moim przypadku (a raczej mojej alter ego) dość często jest to cała melodia dzwonek i pop-upów z napisem „masz wiadomość”. Jak już podkreślałam, madame Poubelle przez kilka tygodni była na urlopie i zapewne wiele samotnych serc uznało, że nieodwołalnie zaginęła w przepastnej cyberprzestrzeni. Pomimo to wciąż nadchodziły e-maile, a ja umieszczałam je w archiwum, nie próbując nawet zapoznawać się z ich treścią, czekałam na wieści od jednego samotnego serca, które w tamtym momencie interesowało mnie najbardziej. Jednak mój stary znajomy o nicku Roszpunka już od jakiegoś czasu nie dawał znaku życia.

A teraz spojrzalam... no i jest. Tak, to od niego.

– Dzięki, Roszpunko – powiedziałam do niego, pospiesznie otwierając wiadomość. – Dzięki, Pedro, za ponowną możliwość dostępu do tej twojej strzelistej, odciętej od świata wieżyczki. I miejmy nadzieję, że również za jakiś nowy element w moich poszukiwaniach.

Otworzyłam e-maila (przy okazji zupełnie lekceważąc dwa czy trzy inne zdesperowane samotne serca, ech, biedaczyska) i zaczęłam chciwie czytać:

Droga Madame Poubelle!

Przepraszam za brak odzewu, ale wydarzyło się coś niesamowitego, o czym chciałbym/abym opowiedzieć. Wyśmienicie – uznałam po przeczytaniu tego zdania. – A więc od teraz mam dostęp nie tylko do tego, co myśli jeden z podejrzanych i zarazem ten, który podoba mi się coraz bardziej... Jak to mówią, największym problemem nas, samotnych

serc, jest to, że wolimy świat wirtualny od rzeczywistego i dlatego nie potrafimy normalnie żyć... Ze mną jest dokładnie tak samo, pomyślałam, nie po raz pierwszy zdając sobie sprawę, jak wiele łączy mnie z Pedrem Fuguetem. No dobrze, ale teraz nie czas na ckliwość i nierozważne myśli. Wróćmy do lektury... w sumie – czytałam dalej – wszystko jest o wiele prostsze, niż się wydaje, moja madame, i w końcu dotarło to do mnie. Życie polega po prostu na tym, żeby mieć tę odrobinę szczęścia i spotkać w niewirtualnym świecie osobę, z którą chce się dzielić... Hej, mówisz o mnie? – zakiełkowało mi w głowie, bo przypomniałam sobie tamtą różę bez kolców, którą ofiarował mi w trakcie naszego ostatniego spotkania. – Czy to się dzieje naprawdę? Osobę, o której nigdy w ten sposób nie myślałam/am, bo już nie żyje... No tak, idiotka z ciebie, wiadomo, że nie ty, tylko Olivia, cholera, zawsze ta Olivia!... ale wciąż żyje w innej osobie. Madame Poubelle, czy wierzy Pani w transmigrację dusz...? Cóż, jakby ci powiedzieć, nie wierzę. Jestem rozczarowana. Błagam, tylko nie wpadaj w ezoteryczny amok... Ja nie wierzę, doszedłem/doszłam więc do wniosku, że zachodzi tu jakieś inne zjawisko, którego jeszcze do końca nie rozumiem. Widzi Pani, madame, wszystko zaczęło się kilka tygodni temu, kiedy odebrałam/em telefon od starej znajomej, która namówiła mnie na spędzenie kilku dni na jachcie...

W dalszej części e-maila pan Roszpunka, zwany również doktorem Fuguetem, opowiedział o naszym przybyciu na pokład „Sparkling Cyanide”, przytoczył krótką charakterystykę każdego z nas – tylko kilka podstawowych faktów, takich jak orientacyjny wiek, związki z Olivią, niewiele więcej. Następnie opowiedział o tym, co wydarzyło się w nocy, kiedy Olivia przedstawiła powody, dla których każdy z nas mógłby pragnąć jej śmierci. W dalszej części, kiedy już pobieżnie opisał wydarzenia następnego dnia, stwierdził, że gospodyni miała śmiertelny wypadek – spadła z wysokości. I to wszystko. Nic więcej nie napisał! Niczego, co mogłoby wzbogacić moje śledztwo, ani tym bardziej żadnego wyznania winy (no, z tego akurat powodu to wzdycham z ulgą).

Wszystko to stanowiło zimny prysznic dla panny Marple i jej zabawy w detektywa, ale zupełnie inaczej sprawy się miały dla Agaty Uriarte. Wiadomość od Pedra Fugueta nie przynosiła żadnych nowych wieści w kontekście śmierci Olivii, ale zawierała bardzo miłą

niespodziankę. Niech zaświadczą jego słowa:

...jeśli pamięta Pani żalosne, opisywane przeze mnie w poprzednich wiadomościach epizody z mojego życia, domyśli się Pani, że osoba, która straciła życie, to ta sama, którą tak kochałem i dla której robiłem przerażające rzeczy, zakładam, że pamięta je Pani, bo wolałbym nie przytaczać ich ponownie. Życie jednak czasem nas zaskakuje niespodziewanym prezentem. Teraz, kiedy ona już nie żyje, mam wrażenie, że odnalazłem ją w innej osobie. Rozumiem, madame, że brzmi to dość dziwnie, mam jednak przeczucie, że tak właśnie jest, a to, co czułem do tamtej, w jakimś sensie mogę odnaleźć w kimś innym z jej rodziny, tym razem w mniej dla mnie bolesnej formie.

Nie padały imiona, ale reszta wiadomości, aż do słów pożegnania, poświęcona była rozmaitym rozważaniom, czy to możliwe, aby dwie osoby, które w ogóle nie są podobne do siebie ani z wyglądu, ani z charakteru, ale należą do tej samej rodziny, mogły się „scalić” (cytat z jego e-maila), gdy jedna z nich umiera. Roszpunka zastanawiała się także, czy nieboszczka może w jakiś sposób przenieść to, co miała najlepsze, na drugą osobę.

Wymowa całości zalatywała teoriami paranormalnymi, a ludzie o zacięciu ezoterycznym nie należą do moich faworytów. Czytając jednak, że zainteresowałam tego milczącego, zamkniętego w sobie człowieka w o wiele większym stopniu, niż mogłabym marzyć, poczułam, że serce zabiło mi mocniej. Również dlatego, że uświadomiłam sobie, co najmocniej pociągało go we mnie: miałam *wyłącznie* pozytywne cechy mojej siostry. Najdziwniejsze było jednak coś, co sama już zauważyłam w ostatnim czasie, a co w jakimś sensie tworzyło spójną całość ze słowami Pedra. Jak bardzo od chwili śmierci Olivii podniósł się mój... seksapil, tak to określiłmy, i zaczynał już osiągać ten poziom, który cechował moją siostrę. Oczywiście nie zamierzałam niepokoić się z tego powodu, wręcz przeciwnie. W najmniejszym stopniu nie martwiło to również madame Poubelle, która już nabrała rozpędu i odpowiadała Roszpuncie ze swoją charakterystyczną żarliwością:

O rety, Roszpunko, los potrafi być niezłym kawalarzem i zawsze lubi małe paradoksy, takie jak te opisane w Twoim liście. Ta druga osoba, o której piszesz, wydaje się bardzo interesująca. Może się z nią

umówisz i zobaczymy, co z tego wyjdzie?

Powiedzmy, że nie byłam z siebie szczególnie dumna, gdy to napisałam. Robienie z madame Poubelle starej rajfurki wydawało mi się nie w porządku, miałam przecież wykorzystać ją do wywiedzenia się czegoś więcej na temat śmierci Olivii. No ale w sumie, co to komu szkodzi, że panna Marple uda się na przymusowy urlop? Na dodatek może w ten sposób znajdzie chwilę na uporządkowanie myśli, bo ostatnio wyglądała na nieco zagubioną.

Niespodziewane spotkanie

Wcześniej przyrównałam wydarzenia ostatnich kilku dni do paciorków jednego różańca. Jeżeli pierwszym koralikiem był doktor Fuguet i jego list, to koraliki drugi i trzeci również nosiły imiona osób poznanych przeze mnie na „Sparkling Cyanide”. Drugim był Vlad Romescu, trzecim Cristina San Cristóbal. Obydwoje nawiedzili znów moje życie, Vlad tylko drogą telefoniczną (dzwonił, by powiedzieć, że nie dostał pracy, wrócił na Majorkę, żałuje, że nie pożegnał się ze mną, przesyła gorące całusy), a madame Serpent (o specyficznej fizjonomii, jak pamiętamy) we własnej osobie.

– Doño Cristino! – zawołałam, kiedy ujrzałam, jak podchodzi do mnie jak zwykle w obszernej sukni (tym razem w kolorze pomarańczowo-kanarkowym). – Co za zbieg okoliczności, że tu panią spotkałam!

Tym razem rzeczywiście był to przypadek. Wszystkie dotychczasowe „przypadkowe” spotkania, które wcześniej opisywałam, odbyły się z mojej inicjatywy, przysięgam jednak, że nie miałam nic wspólnego z natknięciem się na nią tego ranka za rogiem, kiedy szłam do urzędu ewidencyjnego.

– Ja nie wiem, czy ktoś tu kogoś śledzi, czy co? – powiedziała w swoim stylu nieprzyjemnym tonem, stała podparta pod boki na chodniku i wpatrywałyśmy się w siebie.

Miałam ochotę zapytać ją, co robi w tej dzielnicy, w dodatku tak wcześnie rano, lecz doña Cristina nie należy do osób, które się wypytuje. Wręcz przeciwnie, to zwykle ona zadaje pytania.

– No i jak tam dochodzenie? – zapytała ironicznie. – Udało się odkryć coś przełomowego? Pętla zaciska się wokół podejrzanych?

Odparłam, że nie wydarzyło się nic nowego, i zapewne na tym skończyłaby się nasza przypadkowa konwersacja, gdyby nie zadała mi sarkastycznego pytania:

– A nieboszczka nie objawiła się pani mimo wielu obaw? Kiedy ostatnio przyszła pani, żeby wyciągnąć coś ode mnie, usłyszałam, że celem odwiedzin jest poproszenie mnie o radę, tak aby uniknąć niebezpieczeństwa, że podstępna gadzina zmaterializuje się w postaci

zjawy. Jak tak na panią patrzę, to widzę, że pani promienieje, uroda również, wnioskuje więc, że nie było nieprzyjemnych przywidzeń.

Wybuchła swoim niepowtarzalnym śmiechem, znów ukazując mi warte fortunę nienagane uzębienie, które pamiętałam z poprzednich okazji.

– Nie, nie objawiła się – przyznałam – przynajmniej jak dotąd.

– Proszę nie odrzucać takiej możliwości, dziecko. Nigdy nie wiadomo, umarli mają bardzo różne sposoby, żeby skontaktować się z nami, biednymi śmiertelnikami.

(Kolejna ezoteryczna blaga, pomyślałam).

– Nie bardzo wierzę w duchy – stwierdziłam, bo ta dziwna rozmowa zaczynała mnie już męczyć. – Ani w wiadomości przekazywane z zaświatów.

– Możliwe, że wiadomość nie przyjdzie z tamtego świata, tylko z tego tutaj.

– Tego?

– Cóż, środek ulicy to może nie najlepsze miejsce na taką rozmowę, ale chyba mi pani nie powie, że siostra nie zostawiła pani jakiegoś listu, ostatniej woli czy czegoś takiego? Dziewczyna była gorsza od zarazy, ale bardzo uporządkowana i skrupulatna. Na mój nos z pewnością zostawiła pani jakieś polecenie na piśmie.

– Rzeczywiście, to prawda – odpowiedziałam, coraz bardziej poirytowana, że muszę tłumaczyć madame Serpent rzeczy, które nie powinny jej obchodzić.

Ponieważ wiedziałam już o pośmiertnej szczodrości siostry wobec mnie, denerwował mnie sposób, w jaki doña Cristina odnosiła się do Olivii. Postanowiłam powiedzieć jej o zaświadczeniu, które mi zostawiła, i o piątkowej rozmowie z Gutierrezem Müllerem.

– Tak się składa, że właśnie teraz idę do urzędu przy Ministerstwie Sprawiedliwości, żeby zobaczyć, co siostra mi zostawiła. Jak więc pani widzi, już po wszystkim przypomniała sobie o mnie. Ubezpieczenie na moją korzyść, coś zupełnie niespodziewanego i wspaniałomyślnego z jej strony. Prosiłabym więc, żeby więcej nie mówiła pani źle o niej.

– A skąd pani wie, że to na pani?

– Na moje co?! – zapytałam, moja cierpliwość była już na

wyczerpaniu.

– Na pani korzyść, głuptasie.

– A na czyją niby miałyby to być korzyść? Gwarancję trzymam przecież w ręku.

– Wiadomości z zaświatów albo z tego świata, jak to jest w tym przypadku, to bardzo interesująca rzecz, ale trzeba jeszcze umieć prawidłowo je odczytać. To, że ma pani w ręku zaświadczenie, to wcale nie znaczy, że na pewno będzie to z korzyścią dla pani, dobrze mówię?

– Bzdura. Niby czemu mi to zostawiła?

– Ano tu ma pani kolejną frapującą tajemnicę przygotowaną przez pani siostrę, ale przynajmniej łatwą do rozwiązania, wystarczy udać się do ewidencji i przekonać samemu. Musi też być jakaś tego przyczyna, że siostra postanowiła zostawić ten kwitek akurat pani, a nie na przykład adwokatowi. Coś pani powiem. Mnie się coraz bardziej wydaje, że tutaj potrzeba, jak to się teraz mówi?, coacha, a mówiąc wprost, kogoś z głową na karku, kto poda pani pomocną dłoń. Co dwie głowy, to nie jedna, a czego jedna para oczu nie widzi, to dwie już zobaczą – roześmiała się. – W sumie to naprawdę zadziwiające – dodała – że przyszło nam tu się spotkać, tak ot, na środku ulicy, nie sądzi pani? Gdybym nie wierzyła głęboko w to, że pani siostra smaży się u Rokity w piekle, przysięgłabym, że sama zadbała o to, abyśmy spotkały się na tym chodniczku skąpanym w promieniach słońca.

Powiedziawszy to, jak gdyby nigdy nic zaczęła nucić temat z telenoweli *Fina estampa*, na pożegnanie złożyła mi na policzku dwa pocałunki i po chwili zobaczyłam, jak się oddala. Wiał słaby wietrzyk, nietypowy dla lipca, a żółtawa suknia sprawiała, że doña Cristina zdawała się iść otoczona kłębam siarki. Już chciałam wygłosić jakiś związany z tym złośliwy komentarz, kiedy nagle aż podskoczyłam na niespodziewany dźwięk telefonu. Imię, które wyświetliło się na ekranie komórki, było tym, które dopiero niedawno, kilka dni temu, dopisałam do listy kontaktów. – Pedro Fuguet! – wykrzyknęłam, nie mogąc powstrzymać uśmiechu od ucha do ucha. Byłam święcie przekonana, że zgodnie z zapowiedzią dzwonił, aby umówić się na spotkanie.

– Halo, tak, słucham? Ooo, jak dobrze cię słyszeć!

Do wszystkich zainteresowanych

To będzie (przed)ostatni rozdział opowieści o mojej siostrze Olivii, rozpoczętej w tamtej hotelowej norze w Magaluf, niedługo po jej śmierci. Zależy mi, żeby szczegóły były dopracowane, a całość ukazywała siostrę i jej historię jak najwierniej. Długo zastanawiałam się, jak powinno wyglądać zakończenie tej długiej spowiedzi, której nadałam tytuł *Zaproszenie na morderstwo*. Ostatecznie uznałam, że najlepsza będzie urzędnicza formuła zaświadczenia, „do wszystkich zainteresowanych”, bo jest chłodna i bezstronna. Nie chcę, by objawiały się tu moje uczucia, sądzę, że Oli tak właśnie by wolała. Nie znosiła czułościowości.

Czasem tak bywa, że jakiś pozornie nierozwiązywalny problem zmienia swoją naturę z racji pojawienia się zupełnie drobnego faktu, elemencika układanki, który pomimo swoich niewielkich rozmiarów i oczywistego charakteru nadaje sens wszystkim pozostałym. Puzzle ten już od jakiegoś czasu znajdował się w moim posiadaniu, lecz omyłkowo umieściłam go w nie tym narożniku układanki co trzeba, a tam jedynie zaburzał obraz całości. Mowa o wielokrotnie już wymienianym zaświadczeniu z urzędu podlegającego Ministerstwu Sprawiedliwości, zabranym z domu Flavia wraz z kilkoma innymi rzeczami należącymi do mojej siostry. W tej opowieści do znudzenia powtarzałam, że Oli nigdy nie robiła nic nieprzemysłanego. Stąd też od początku powinnam zauważyć, że skoro głejt znajduje się obok fotografii dwóch nieżyjących córek, to nie ma w tym żadnego przypadku. A jednak nie zastanowiłam się nad tym. Nie zadałam sobie też trudu, aby sprawdzić, co też takiego zostawiła mi Oli: raz, że był środek weekendu, a dwa, zawsze sądziłam, że skoro zaświadczenie znajduje się w moich rękach, to w oczywisty sposób musi dotyczyć mnie. Kozyma Kowaczew. Oto imię i nazwisko właściwej beneficjentki. Zupełnie się tego nie spodziewałam, w urzędzie musiałam przeczytać je kilka razy, by uwierzyć. A kiedy już to zrobiłam, wszystkie inne puzzle wskoczyły na swoje miejsce jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pierwszy element układanki był związany z tym, że ta dziewczyna jest siostrą Kardama Kowaczewa, mściwego narzeczonego Soni San Cristóbal. O wiele jednak istotniejsze

dla tej historii jest to, że Kozyma jest także ową trzynastolatką, której odebrano nowo narodzone dziecko. Z tego, co zrozumiałam, nigdy nie podniosła się po tym strasznym ciosie i odtąd snuła się po coraz bardziej odrażających psychiatrykach. Kiedy ten kluczowy element wylądował na swoim miejscu, inne, odnajdywane w toku mojego śledztwa, czyli w rozmowach ze wszystkimi pasażerami jachtu „Sparkling Cyanide”, nagle nabrały zupełnie nowego, odkrywczego sensu. – No jasne! – zawołałam – teraz już wszystko rozumiem, to dziecinnie proste. To prawda, co powiedział doktor Pedralbes, lekarz mojej siostry, który w rozmowie z policją potwierdził, iż Oli już od jakiegoś czasu wiedziała, że jest śmiertelnie chora. I pewnie już wtedy to wszystko ukuła. Muszę to jeszcze sprawdzić i skonsultować z Gutierrezem Müllerem bądź kimś innym znajdującym się na ubezpieczeniach. Ale z reklam, na jakie natykam się w gazetach i czasem czytam, wynika, że jeżeli ktoś wciąż jest młody, wykupienie polisy na życie nie wymaga zbyt dokładnych badań lekarskich. Od zainteresowanego wymaga się tylko jednej rzeczy: nie wolno mu umrzeć w wyniku przypadku zdrowotnej, na którą zachorował przed złożeniem podpisu na umowie ubezpieczeniowej. Podejrzewam też, na podstawie tego, co podpowiada mi zwykły zdrowy rozsądek, że towarzystwa ubezpieczeniowe nie płacą tyle samo w przypadku samobójstwa, i dlatego Oli chciała, aby wszystko przypominało wypadek lub... lub zabójstwo.

– O Boże! – krzyknęłam, bo teraz nagle nabrały dla mnie sensu głupie, niecodzienne figle Olivii na pokładzie „Sparkling Cyanide”. Wykorzystanie obecności wszystkich tuż po wspólnej kolacji i przedstawienie motywów, dla których każdy z nas mógłby pragnąć jej śmierci. Cała ta komedia była potrzebna niewątpliwie do tego, by wyjawić nasze ukryte powody i wytworzyć atmosferę niepewności. Fortel się udał. Kiedy ja się zmagalam z mało chwalebnią przypadłością jelit, wszyscy pozostali paradowali przed Olivią, aby wyprosić jej milczenie. A w tym momencie nagle nabiera sensu owa dotąd zupełnie absurdalna teoria Mirandy de Winter: Olivia, zupełnie jak Rebeka z powieści Daphne du Maurier, uznając się za nieuleczalnie chorą, postanowiła zakończyć życie w okolicznościach mniej nieprzyjemnych i bolesnych niż nieodłącznie związana z rakiem długotrwała agonია. Jak

sugerowała Miranda, moja siostra jakoby usiłowała wzburzyć ją, dać jej pretekst, a można podejrzewać, że tak samo postąpiła z każdym po kolei, wystawiała ich cierpliwość na nadludzką próbę. I tu właśnie wskakuje kolejny element układanki, podsłuchane przeze mnie z kajuty urywki rozmowy, tamto „Zrób to, Vlad”, a potem ten dziwny śmiech Vlada Romescu. Nie da się ukryć, że był to niezbyt stosowny apel z jej strony, a właściwie zupełnie absurdalny. No dobrze, ale co jeśli ktoś z nas *nie zaśmiał się* jak Vlad? Jeśli Olivia uzyskała to, o co prosiła? Jakimi argumentami musiała szermować, żeby osiągnąć, co chciała? Co powiedziała każdemu z rozmówców? Jeśli moja siostra coś sobie założyła, potrafiła być równie wymowna, co okrutna.

I wtedy przyszła mi do głowy osoba Kardama Kowaczewa, a potem łacińska sentencja, zupełnie zasadnicza, gdy idzie o wykrzycie sprawcy zabójstwa: *qui prodes*, kto zyskuje. No a kto zyskuje? Wbrew temu, co można wyczytać w większości powieści detektywistycznych, rozwiązanie zagadki w prawdziwym życiu zazwyczaj jest rozwiązaniem najprostszym. Zadawałam sobie trudne pytanie: Czy Olivia w jakiś sposób dała Kardamowi do zrozumienia, że na jej śmierci najwięcej zyska jego siostra?

„Zazwyczaj-jest-rozwiazaniem-najprostszym”, powtórzyłam sobie, bo w tym momencie miałam już swojego idealnego kandydata na mordercę. KK – pomyślałam niemal z uczuciem zwycięstwa – to on nienawidził cię najbardziej, prawda, Oli? Ale co mu powiedziałaś, żeby go przekonać? Jak wykorzystowałaś swój niewyparzony język? Powiedziałaś mu o swojej chorobie i o polisie ubezpieczeniowej, i że można ją zrealizować tylko wtedy, jeśli śmierć nastąpi wskutek wypadku?

Zamilkłam, czekając na odpowiedź ze strony mojej siostry. Patrząc wstecz, łatwo teraz zdać sobie sprawę, że od początku dokładała wysiłków, by pokierować tą dziwną zabawą z za grobu. Jakie jeszcze wskazówki zostawiłaś, Oli, abym mogła pójść ich tropem? Naprawdę zaplanowałaś to wszystko po to, żeby wynagrodzić osobę, której wyrządziłaś największą krzywdę, a potem powiedzieć to jej bratu, aby pomógł ci umrzeć? Czy tak to wszystko wyglądało?

Sporo drobnych elementów pasowało do ekstrawaganckiego

charakteru mojej siostry i do sposobu bycia Kardama. Tylko jak się przekonać, czy ta wersja na pewno jest prawdziwa?

W tym stanie ducha opuściłam budynek urzędu. Nie wiedziałam, co robić dalej ani do kogo się udać. Na pewno czekała mnie jeszcze rozmowa z Kardamem, musiałam sprawdzić, czy moje domysły są zasadne. Być może powinnam postawić go wobec dowodów, które właśnie odkryłam. I w tych okolicznościach na pewno lepiej, pomyślałam, by ktoś jeszcze uczestniczył w tak drażliwych rozmowach. Mogę przyjść choćby z Gutierrezem Müllerem. – Tak, to na pewno rozsądniej – zdecydowałam i dodałam ze smutnym, a zarazem dumnym uśmiechem: – Co więcej, założę się, że kiedy opowiem mu wszystko, czego się właśnie dowiedziałam, z pewnością zachwyci się rezolucyjnością Olivii i sposobem, w jaki to wszystko rozwiązała. Moja siostra była naprawdę przedziwną postacią.

Spojrzałam na zegarek. Wpół do piątej. – O rety – rzuciłam, bo przez chwilę zapomniałam, że pomimo mojego wielkiego odkrycia życie biegnie własnym rytmem. Bardzo, bardzo przyjemnym rytmem, dodajmy. Wspominany telefon od Pedra Fugueta zakończył się propozycją spotkania, a ja skorzystałam z okazji, by zaprosić go do siebie na kolację. Tak, tak, ja, kobieta na wiecznej diecie i z pustawą lodówką, jeśli nie liczyć dwóch czy trzech produktów dietetycznych oraz kilku zmarniałych owoców. A teraz, dzięki epizodowi z pięknym Vladem, opanowałam kilka sztuczek z „operacji spiżarka”, jak on sam mawiał, albo „kuchennego wskrzeszenia”, jak ja lubię określać ten cud, jakim jest upichcenie czegoś z niczego. A co z samym Vladem? Czy mówiłam już, że z jego rozmowy o pracę nic nie wyszło, a on sam wrócił na Majorkę? Zadzwoił do mnie kilka razy, żeby spytać, jak się miewa jego księżniczka. Zdumiona – tak się miewa ta księżniczka, która dotąd zawsze była zwykłą żabą. Tu natykamy się na kolejny, niespodziewany skutek, jaki miała dla mnie ta cała zawiła historia. Oli, czy i o to zatroszczyłaś się po tamtej stronie? O dodanie mi seksapilu, zwiększenie mojego obecnie bezgranicznego wdzięku? Zaśmiałam się na samą myśl o tym, bo nigdy nie wierzyłam w duchy. Zresztą obecnie musiałam zająć się bardziej przyziemnym tematem. Trzeba było odwiedzić hipermarket i kupić parę produktów na kolację, która

zapowiadała się naprawdę obiecująco. Jestem nowicjuską w przygotowywaniu dań z kuchennych resztek, rozważałam więc postawienie na sprawdzone danie, którego nauczył mnie Vlad: spaghetti à la Ágata. A co do picia – clericot czy może drink Sparkling Cyanide dla uczczenia Olivii? Spokojnie, będę mogła zdecydować potem, wracając z zakupów. Na razie wiedziałam jedno – panna Marple będzie mieć kolejną przymusową przerwę, przynajmniej na czas, który zamierzam poświęcić na drugą już romantyczną kolację w tym tygodniu.

Obawiam się, że wakacje panny Marple okazały się krótsze, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Tylko tyle, ile trwała wyprawa na zakupy i powrót z produktami na kolację, bo tu, w moim własnym domu, już czekał na mnie ostatni, kluczowy element układanki, jaką stanowiła zagadka śmierci mojej siostry. Muszę przyznać, że przynajmniej na początku jedyne, co poczułam, to radość podglądacza. Tak, radość voyeura, bo brakujący element, o którym mówię, przybrał formę wiadomości do madame Poubelle, a nadawcą był oczywiście mój szalenie nieufny pan Roszpunka. *Kilka słów chwilę przed randką*, taki tytuł znalazł się w nagłówku e-maila, więc natychmiast pomyślałam, że korespondencja ta zapewne nie wniesie nic nowego do mojego śledztwa, ale za to może sporo powiedzieć o naszym nadchodzącym spotkaniu. Wspaniale, Pedro, że piszesz właśnie teraz – pomyślałam, otwierając wiadomość. – Coś takiego można nazwać informacją niejawną. Dzięki niej będę wiedziała, co o mnie myślisz oraz jak widzisz nasze spotkanie – stwierdziłam, po czym dodałam: – bo czy tego właśnie nie pragnie najbardziej każdy, kto poznaje drugą osobę, wydającą mu się coraz bardziej pociągającą? Mieć możliwość czytania w myślach, poznania najtajniejszych zamiarów? Niestety, dopiero w tamtym momencie, podczas lektury zrozumiałam, dlaczego Opatrzność, Los i kto tam jeszcze zajmuje się takimi sprawami, przezornie odmówili nam tego przywileju.

Droga madame Poubelle – tak brzmiał początek listu od Roszpunki, napisanego kilka godzin wcześniej, wyraźnie w pośpiechu, bo brakowało nawet spacji w niektórych miejscach. – *Piszę do Pani w pośpiechu, ale z nadzieją, że odpowie mi Pani od razu, gdy przeczyta poniższesłowa, byłoby wspaniale poznać Pani zdanie jeszcze*

przedwieczorem. Mam randkę z osobą, która wydaje mi się i ciekawa, i pociągająca (Dobra nasza, stwierdziłam po przeczytaniu tego, ja mam podobne odczucia, to dobrze rokuje). W poprzednim mailu pytałem, czy uważa Pani za możliwe, aby niekwestionowane walory jednej osoby przeniosły się po jej śmierci na drugą, z którą była ona złączona więzami krwi. Panimi rozsądnie odpowiedziała, że nie wierzy w takie rzeczy, ale – i tutaj pozwolę sobie zacytować Pani słowa – „O rety, Roszpunko, los potrafi być niezłym kawalarzem i zawsze lubi małe paradoksy takie jak te opisane w Twoim liście. Ta druga osoba, o której piszesz, wydaje się bardzo interesująca. Może się z nią umówisz i zobaczymy, co z tego wyjdzie?”. Widzi Pani, madame, tak też uczyniłem, a dziś wieczór odbędzie się nasza pierwsza randka. Wiem, że mogę z nią zaznać szczęścia. Niestety wiem też, że nad nami zawsze będzie unosić się cień, który w końcu kiedyś doprowadzi do rozstania. Tym cieniem jest fakt, że zabiłem jej siostrę.

Zabiłem jej siostrę

Zabiłem jej siostrę

Chociaż bardzo się starałam, nie mogłam czytać dalej. Litery na ekranie podrygiwały, splatając się i rozplatając w makabrycznym i niekończącym się balecie. Musiałam wykonać iście nieziemski wysiłek, żeby wrócić do lektury, która sądząc po objętości i pośpiechu, zapowiadała szczegółową spowiedź.

...W poprzedniej wiadomości sugerowała mi Pani zwrócenie uwagi na Pani nader znaczące imię. „Nazywam się Poubelle, po francusku śmietniczka, pojemnik na odpadki”, tak mi Pani napisała. Chciałbym odwołać się właśnie do tej Pani charakterystyki. Każdy powinien mieć swój gnojnik, madame, a Pani kiedyś zaproponowała, że zostanie nim dla mnie. Chciałbym Panią prosić jedynie o to, żeby mnie Pani wysłuchała, nie musi mi Pani odpowiadać, tym bardziej nie oczekuję, że mnie Pani zrozumie. Wiem, jak trudne może się to okazać.

Niewątpliwie pamięta Pani opowiedzianą przeze mnie historię osoby, którą tak kochałem i z powodu której tyle wycierpiałem. Również wie już Pani, że to właśnie ona zaprosiła mnie na kilka dni na pokład jachtu o bardzo wymownej nazwie, „Sparkling Cyanide”, wraz z siedmioma innymi zaproszonymi. Czy myśli Pani, madame, że można popełnić

zabójstwo z miłości? Nie, proszę mi nawet nie odpowiadać. Gdyby Pani teraz to zrobiła, uważam, że mogłaby Pani się pomylić. Kiedy mowa o takich sprawach, od razu przychodzi to na myśl zbrodnie w afekcie, przemoc wobec kobiet, wyjaśnienia typu „zabiłem ją, bo należała do mnie”. Droga Pani, to zupełnie nie ten przypadek. Tutaj mamy do czynienia z czymś zupełnie innym. Usilnie proszę o wystuchanie mnie:

Spowiedź Fugueta zawierała w tym miejscu szczegóły, których zabrakło w poprzednich e-mailach, dotyczące wydarzeń na „Sparkling Cyanide”, ze szczególnym uwzględnieniem dwóch dowcipów, które zrobiła Olivia: pierwszy polegał na zapoznaniu wszystkich ze skrywanymi przez każdego z nas motywami, by jej nienawidzić, a drugi na tym, że udawała martwą; dowcip, który zdaniem Pedra Fugueta „był bardziej wymowny niż ten pierwszy”.

Przeczytanie ostatniego fragmentu natychmiast przypomniało mi słowa mojej siostry, wypowiedziane w czasie, gdy rozmawiałyśmy u niej w kajucie w dniu jej śmierci, jeszcze przed śniadaniem: Kiedy udajesz zabitą, „możesz dostrzec w twarzach osób ze swojego otoczenia nie tylko to, kto cię szczerze kochał, a kto nie, lecz także kto byłby w stanie cię zabić”. Tak brzmiały jej słowa, a Pedro Fuguet mówił, że tuż przed śmiercią Olivia powiedziała mu mniej więcej to samo. Opowiedział, jak doszło do tej rozmowy na dziesięć, może piętnaście minut przed wypadkiem. Wszystko zaczęło się kilka minut wcześniej (przynajmniej w jego wersji), on siedział w salonie, skąd mógł usłyszeć rozmowę Olivii ze swoim lekarzem. No tak – pomyślałam, gdy doszłam do tego momentu lektury – to kolejny malutki element, którego brakowało w mojej układance. Oli zadzwoniła do lekarza nie po to, by znów rozmawiać o diagnozie lub szukać pocieszenia, o czym byłam dotąd święcie przekonana, lecz aby niby przypadkowo zaznajomić Fugueta ze swoją chorobą, jej charakterystyką oraz krótkim czasem, jaki jej został do śmierci.

...Kiedy treść rozmowy już była mi znana – ciągnął swoje opowiadanie Pedro Fuguet w skórze Roszpunki – wyszedłem na pokład, żeby podejść do niej, pokrzepić ją, zapewnić, że będziemy walczyć ramie w ramie, jak tyle razy dotąd, że pomogę jej w każdy sposób. „My, Oli, razem przeciw światu. Czy nie to zawsze mi powtarzałaś? Jakoś damy

radę, z tą chorobą nie można powiedzieć nic na pewno, pomyśl, że...”

Kolejna część zeznania Fugueta była tak obrazowa, że mogłam sobie wyobrazić ostatnie minuty życia Olivii, zupełnie jakbym była ich świadkiem, wylegającym się na jednym z białych leżaków na „Sparkling Cyanide”. I ujrzałam Olivie siedzącą na relingu na burcie, plecami do wody. I Pedra Fugueta stojącego tuż przed nią. Olivia, wciąż jeszcze z telefonem w dłoni, uśmiechała się. „Oj, widzisz, Fug – powiedziała, powoli wzruszając ramionami – tak to wszystko wygląda. Dlatego tak bardzo cieszę się, że jesteś tu ze mną. Jak niegdyś, jak zawsze”. Pedro spotęgował swoje wysiłki, by przekonać ją, że jeszcze może być pięknie, podkreślić, że jeszcze nic nie jest pewne, trzeba przejść kolejne badania, pokazać się innym lekarzom, ale ona uciszyła jego słowotok jednym ruchem ręki. „Wszystko już weryfikowałam, Fug, i wiem o tym od miesięcy”. I właśnie wtedy dodała te dwa słowa, które usłyszałam, gdy wypowiadała je do Vlady Romescu. „Zrób to, Fug”, wzmocnione uśmiechem, i powtórzyła je: „Zrób to, błagam cię”, powoli pochylając ciało w jego kierunku, w formie pokornej prośby, błagania. Łzy spływały jej po twarzy, niegdyś tak pięknej, ostatnio wymizerowanej, a tego dnia znów wspaniałej, znów olśniewającej swoim blaskiem.

Rozumie to Pani, madame? – brzmiały ostatnie zdania spowiedzi Pedra Fugueta. – W najważniejszych chwilach życia zawsze brakuje słów. Brak ich, kiedy ktoś przychodzi na świat, i oczywiście wtedy, gdy dobiega końca ta najważniejsza z dróg, jakie mamy do przebycia. Wiele osób woli też milczeć, kiedy się kocha. I nie mam tu na myśli miłości fizycznej, ale przede wszystkim tę wielką, intensywną miłość, która tamtego dnia spowodowała, że zbliżyłem się do niej i pocałowałem ją w usta po raz ostatni. Jestem pewien, że Oli była na to gotowa. Nie tylko z powodu miejsca, gdzie siedziała, a które nie było przypadkowe, z czego teraz zdaję sobie sprawę, lecz z racji tego, jak wyglądała owego popołudnia. Miała białą suknię niby panna młoda, rozpuszczone włosy targane wiatrem. Była tak śliczna, a wtedy ponownie ujrzałem ten uśmiech, o którym zawsze mówiłem, że potrafi łamać serca i kruszyć umysły. Reszta potoczyła się bardzo szybko. Jestem lekarzem, madame, a jeśli lekarz potrafi uratować życie, potrafi je również odebrać w

możliwie bezbolesny sposób. Mogę Pani powiedzieć, że nie było to trudne. Chwyciłem jej głowę między dłonie, z całą miłością i oddaniem, jakie zawsze do niej czułem, i udałem, że chcę pocałować ją raz jeszcze. Zamiast tego bardzo dokładny energiczny ruch, chrząst. To wszystko. Potem tylko delikatnie popchnąłem jej ciało, by upadło przez burtę. Mógłbym przysiąc, że uśmiechała się, kiedy jej ciało uderzyło w pomost. To moje najlepsze pocieszenie, że zawsze mi ufała...

Łzy nie pozwoliły mi czytać dalej. Zastanawiałam się, czy Olivia powiedziała Fuguetowi o polisie ubezpieczeniowej, zamiarze wynagrodzenia Kozymy, o potrzebie, aby śmierć nie nastąpiła w wyniku choroby, lecz wskutek nieszczęśliwego wypadku. W kolejnych zdaniach Pedro Fuguet nie wspominał o tym, ale skłaniałam się ku myśli, że wiedział. To był dla niej wymarzony argument, niewątpliwie najmocniejszy, aby to on pomógł jej osiągnąć cel.

O Boże – pomyślałam. – I co ja teraz zrobię? Jak powinnam postąpić? Wiadomość została napisana kilka godzin wcześniej, ale nie przeczytałam jej aż dotąd, a zrobiło się wpół do dziewiątej wieczorem. Za niecałą godzinę Roszpunka, przepraszam, Pedro Fuguet zapuka do moich drzwi. Otworzę je, zjemy coś, a jeśli wieczór potoczy się podobnie jak ten spędzony z Vladem, możliwe, że pójdziemy do łóżka. Ale będzie to pójście do łóżka z zabójcą (tym razem naprawdę!) mojej siostry. Tym, którego od kilku tygodni usiłowałam zdemaskować, tak jak życzyła sobie tego Olivia, zostawiając na mojej drodze tak wiele oczywistych tropów. Choćby książka o Rogerze Ackroydzie, w której mordercą okazuje się lekarz. Albo *Nemesis*, ta z kajuty doñi Cristiny, w której nieboszczyk zleca zza grobu rozpoczęcie śledztwa w sprawie zabójstwa, a ostatecznie okazuje się, że morderca zabija ofiarę z miłości do niej. I jeszcze ten zagłówek z wyhaftowanym, jakże wyrazistym, sloganem... Tak, Oli zostawiła bardzo wiele czytelnych kamyczków Tomcia Palucha, zupełnie jak podczas naszych dziecięcych zabaw, dawno, dawno temu. A jeszcze były inne kamyczki, mniej oczywiste, ale równie użyteczne: nazwisko Mirandy de Winter, dedykacja w książce zostawionej u doñi Cristiny, sugerująca zwrócenie się o radę do Mycrofta Holmesa w razie trudności. – Czy te dwie rzeczy też zaplanowałaś z góry? – zapytałam Olivii, jakby stała tuż przede mną. –

Nie no, wybacz, Oli, doceniam twoją przebiegłość, ale chyba są jakieś granice. Już prędzej uwierzę w to, co podkreślała Miri w trakcie naszej rozmowy w Londynie, że dzięki jej nazwisku – nie na odwrót – wpadłaś na pomysł, by umrzeć tak, jak umarła Rebeka. A spotkanie na ulicy z dołą Cristiną i fakt, że właśnie wtedy, niczym Mycroft Holmes, podpowiedziała mi rzecz, która okazała się kluczem do zagadki, przypisuję jednak raczej kapryśnemu przeznaczeniu niż tobie. Tak naprawdę zupełnie nie potrzebowałam tej pomocy ze strony andyjskiego brata Sherlocka, byłam właśnie w drodze do odpowiedniego urzędu i chwilę później tak czy inaczej odkryłabym twój piękny gest.

– Jakie to dziwne – myśląc głośno, powiedziałam, jakbym rozmawiała z siostrą. – Koniec końców okazuje się, że to doña Cristina miała rację i słuszne było jej zdanie o zepsutym zegarku. Pysnie pasujesz, Oli, do jej metafory, pokazałaś dokładny czas i to dwukrotnie. Pierwszy raz jest oczywisty – to tak skrętnie obmyślony sposób na zadośćuczynienie Kozymie – ale drugi już tak oczywisty nie jest, za to ma związek ze mną. Pograżyłam się w rozmyślaniach, jak bardzo zmieniło się moje życie od czasu śmierci siostry. Oczywiście nie wierzę w teorię Pedra, że pozytywne cechy Olivii w jakiś tajemniczy sposób przenoszą się na mnie, ale faktycznie musiałam przyznać, że po jej śmierci zaczęłam zmieniać się w osobę śmielszą, pewniejszą siebie, a nawet atrakcyjniejszą. Zawsze żyłam w twoim cieniu, Oli. Siostra piękna i siostra brzydka, łabędź i brzydkie kaczątko, cykada i mrówka, ba, jeszcze wyraziściej: piękny Abel, leniwy, ale naznaczony kapryśną wolą Jahwe, oraz szpetny Kain, który im więcej się stara, tym bardziej wszystko wychodzi mu na opak. A kiedy teraz ciebie nie ma, wreszcie nie ma żadnych cieni wokół. Dlatego wydaje mi się, że nie mam innego wyjścia, muszę być wierna twojej pamięci i zrobić dokładnie to, czego pragnęłaś. A jakie miałaś intencje, gdy postanowiłaś naprowadzić mnie na trop prowadzący do rozwikłania zagadki twojej śmierci? W takim zleceniu najczęściej chodzi o to, żeby zdemaskować sprawcę i doprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości. Więc tego chcesz, Oli? Chcesz, żebym zadenuncjowała Pedra? Po to właśnie zostawiłaś mi tyle wskazówek po drodze, żebym odkryła prawdę i zadbała o to, by sprawiedliwości stało się zadość? Powiedz, no sama mi powiedz, jak

mogłaś zrobić mi podobne kurewstwo? Pewnie dlatego, że zepsuty zegar wskazuje dokładną godzinę dwa razy, ale na pewno nie częściej...

Nim nastanie świt

Ostatnie zdania mojej opowieści piszę na starym hewletcie packardzie. Jest piąta rano, wciąż ciemno, tylko mała szara linia gdzieś na wschodzie zapowiada, że wstaje nowy, pewnie znów gorący dzień lipcowy. Liczę, ile stron już zapisałam. W sumie trzysta czterdzieści dwie od chwili, gdy zaczęłam pisać w tamtym hoteliku w Magaluf, a trzynastą od początku poprzedniego rozdziału, któremu nadałam tytuł „Do wszystkich zainteresowanych”, jakby to było pismo urzędowe, częściowo także spowiedź. Myślę, że będę potrzebowała jeszcze sześciu czy siedmiu stron, żeby opisać, jak się to wszystko zakończyło. Nie ma potrzeby więcej się rozpisywać. Nie mam czasu, bo *on* może się obudzić, a wtedy...

Ale to i tak nie powstrzyma mnie przed opisaniem, jak Pedro Fuguet przyszedł do mnie i co myślałam w chwili, kiedy otwierałam mu drzwi. Łatwo się domyślić, że wahałam się między jedną z dwóch możliwości. Zapomnieć o wszystkim i spędzić romantyczny wieczór z osobą, która swego czasu potrafiła zdobyć się na tak wielki gest miłości wobec Olivii (tak to odbierałam), lub odwołać się do głosu zdrowego rozsądku. A ten przypominał mi, że w świetle sprawiedliwości, niezależnie od tego, jak bardzo podobał mi się Pedro, żadne motywy nie zwalniają go z odpowiedzialności za morderstwo. Czy mi się to podoba, czy nie, to on zabił moją siostrę. I co ty sobie myślisz, Oli, że niby jak ja postąpię? – zapytałam zniechęta, bo mimo wszystko byłam przyzwyczajona do rozmawiania z nią tak, jakby stała tuż obok, tak samo jak wtedy, gdy byłyśmy małe. Oczywiście nie odpowiedziała mi, nigdy zresztą tego nie robiła. Oczekując na jakąś jej nową uwagę, piszę dalej na moim starym hewletcie packardzie o tym, co wydarzyło się od chwili, gdy Pedro Fuguet trafił do mojego mieszkania.

Wieczór okazał się wspaniały. Spaghetti à la Ágata wyszło znakomicie, ostatnio poszerzyły się nawet moje możliwości kulinarne, jedna rzecz napędzała następną, a jeden kieliszek kolejny, z mieszanką, którą moja siostra nazwała Sparkling Cyanide. A przecież już wiemy, w jaki sposób mikstura ta wpływa na ludzką świadomość i ciało, a jeszcze wyraźniej na siłę woli. Z tego powodu myślę, że na spożyty alkohol

spokojnie mogę zrzucić odpowiedzialność za to, że drugi raz w ciągu zaledwie trzech dni wyłądownałam w łóżku od razu na pierwszej randce. A było to doświadczenie nawet jeszcze czulsze i pełniejsze niż to przeżyte wspólnie z Vladem. Niestety, nie mogę teraz przytoczyć tych jakże przyjemnych szczegółów, najważniejsze to podjąć szybką decyzję, co, do cholery, uczynię z moim tekstem, który właśnie mam na ekranie. Jestem przy komputerze o tak wczesnej godzinie, żeby położyć wątpliwości na szali i zobaczyć, w którą stronę przeważą moje myśli. Pisanie jest jak porządkowanie chaosu, mawiają klasycy, i jest w tym więcej niż ziarno prawdy. Dlatego widzę dwa wyjścia, które otwierają się przede mną. Albo robię to, co jest powinnością każdego porządnego obywatela, i ujawniam okoliczności popełnionego zabójstwa, albo – jeśli tak nie postąpię – zaznaczam kursorem wszystkie trzysta czterdzieści trzy dotąd zapisane strony, w co włożyłam tak wiele wysiłku, i naciskam klawisz DELETE. Bo czemu nie? Możliwość wymazania tej części życia, o której nie chcemy pamiętać, za pomocą ledwie jednego nieznacznego ruchu palcem, ma w sobie coś arbitralnego. Poza tym o moim śledztwie nikt nie musi się dowiedzieć. Nawet mężczyzna, który w tym momencie z ufnością dużego dziecka śpi słodko w moim łóżku.

– Co robisz, Agato?

Głos Pedra przerywa moje rozważania. Dostrzegam go w świetle monitora. Leży na boku, częściowo wspiera się na łokciu.

– Nic, nic, nie mogłam spać, odpowiadam na pocztę.

– O tej porze?

– Głupie przyzwyczajenie starej samotniczki – odpowiedziałam, śmiejąc się. – Dla kogoś takiego żadna pora nie jest nieodpowiednia.

– Kochanie, chodź z powrotem do łóżka.

Zrobiłam to niespiesznie. Wróciłam ku jego czułemu, nagiemu ciału, leżącemu w mojej najlepszej pościeli, którą odziedziczyłam po mamie. Tej samej, którą trzymałam nieużywaną w szafie na białe ubrania, tej samej, w której lubiła chować się Oli, kiedy przed laty bawiłyśmy się w chowanego. Stop. Nie chcę teraz myśleć o Olivii. Ani o tym, co zrobię za kilka godzin, kiedy już będzie widno. Noc ma przynajmniej tę jedną zaletę, daje wytchnienie, schronienie. Podjęłam decyzję. Rano idę na policję. Tak uczyniłby każdy odpowiedzialny

obywatel, wydałby sprawcę śmierci własnej siostry. Gdyby chociaż Pedro powiedział mi, co się wydarzyło, gdyby spróbował usprawiedliwić się w moich oczach... Ale wiem, że nigdy tego nie uczyni, to po prostu niemożliwe, jak mógłby opowiedzieć mi, że jego ręce są splamione tą samą krwią co moja? No i rzeczywiście – tak jak napisał w swojej wiadomości – ten cień, to wielkie kłamstwo, już na zawsze byłby między nami. Kłamstwa mają straszliwą moc, tworzą czarne dziury w stosunkach dwojga ludzi, mroczne sfery, które z czasem rozrastają się i coraz trudniej je opanować. W ten sposób wcześniej czy później widmo Olivii znów zacznie krążyć między Pedrem a mną. Olivia, Olivia, zawsze ta Olivia. Po co mnie do tego wszystkiego nakłoniłaś, Oli? Mam okropne podejrzenie, że tak naprawdę pragnęłaś właśnie tego, co zrobiłam kilka minut temu. Spisać swoją historię, aby wszyscy mogli się dowiedzieć, jaka jesteś przebiegła i jak świetnie pasują do siebie poszczególne elementy wymyślonej przez siebie układanki, wszystkie paciorki tego różańca, nawlekane jeden po drugim jeszcze przed twoją śmiercią. Wydaje mi się, że powoli zaczynam to wszystko rozumieć. Zawsze miałaś paskudną skłonność do ekshibicjonizmu. Dlatego chciałaś, żebym ja, twoja młodsza siostra, ta zawsze głupsza, ten mól książkowy, belferka od literatury, spisała twoją historię, a następnie ją upubliczniła. Wiedziałaś, że to zrobię, dobrze mnie znasz, więc mogłaś być pewna, że nie będę mogła żyć w poczuciu zakłamania. Tylko czy tobie ani przez moment nie przemknęło przez głowę, tobie, która zawsze wszystko przewidywałaś, że Pedro i ja możemy się zejść ze sobą? No pewnie, że nie. Bo w naszym życiu to ty byłaś tą błyskotliwą, która pięć razy wychodziła za mąż, a ja tą dziwaczną starą panną. Kiedy jednak teraz się nad tym zastanawiam, przyszło mi do głowy coś jeszcze gorszego: że może jednak *owszem*, przewidziałaś to, ale zupełnie się tym nie przejęłaś. Wciąż jesteś tą samą Olivią, tą samą potwornie egoistyczną siostrzyczką co zawsze.

– Kochanie, co tam wcześniej pisałaś? – pyta mnie.

– A nic – odpowiadam – różne takie głupoty typowe dla kogoś, kto przyzwyczał się przelewać na papier lub na monitor wszystko, co przelatuje mu przez głowę, tak często robią samotne dusze.

– Pewnie pisałaś do Klubu Samotnych Serc? – zadaje pytanie, a ja

aż podskoczyłam, słysząc nazwę mojego bloga. Chociaż to na pewno czysty przypadek. Nie ma powodu do paniki.

Dla zmyłki wybucham śmiechem, potem zastanawiam się, czy objąć Pedra. Czemu nie, czemu nie zrobić tego po raz ostatni? To nasze ostatnie wspólne chwile, niebawem nastanie ranek.

– Tak – mówię do niego, szukając schronienia w zagłębieniu jego ciała.

On leży naprzeciwko mnie, a ja odwracam się, by przytulić się plecami do jego torsu, skulić w kłębek i wtulić.

– Niby dwie łyżeczki leżące w szufladzie – mówi.

Pozwala mi tak pozostać, sprawia, że czuję się bezpieczna.

– Agato, nie odpowiedziałaś mi na pytanie.

– Na które, słońce?

– Na to o Klubie Samotnych Serc.

Jego ramiona otaczają moje ciało, ja także go obejmuję zupełnie jak dziewczynka, która szukając ramienia ojca, szuka także rozgrzeszenia, jeszcze zanim jej ostatnia psota wyjdzie na jaw.

– Pewnie masz na myśli *Sergeant Pepper's Lonely Hearts Club Band*, wspaniałą piosenkę Beatlesów, album też się tak nazywa, to jeden z moich ulubionych.

– Nie, kochanie, obecnie nie mam na myśli Beatlesów, tylko twój blog, moja droga madame Poubelle.

Nasze ciała wydają się złączone, elementy zmiennej geografii. Moje pełne wygięć i dolin, jego długie, skaliste. Staram się nie poruszyć choćby o milimetr, bo może to tylko urojenie, które zaraz się rozplynie.

– Dobrze słyszę? Więc wiedziałeś, że to ja? Dlatego wczoraj przed przyjściem napisałeś tamtą wiadomość?

– Nie miałem pomysłu, jak mógłbym ci to wszystko inaczej opowiedzieć. A musiałem to zrobić, Agato. Nie z tego powodu, który wymieniłem w e-mailu, by ulżyć sumieniu, lecz właśnie po to, żebyś wiedziała. Nie mogłem pozwolić, żeby cień twojej siostry zawsze krążył między nami.

– A jakim cudem zdałeś sobie sprawę, że madame Poubelle to ja? To przecież zupełnie niemożliwe, sieć ma miliony użytkowników. Myślisz, że Olivia zaplanowała nawet i to?

– Oli była sprytną manipulantką, ale nie do tego stopnia – śmieje się. – Stawiałbym raczej na zbieg okoliczności, a raczej przyczynowości. A przede wszystkim na językową staroświecczyznę.

– Staroświecczyznę?

– O rety, Agato! Tylko ty i niezrównana madame Poubelle wypowiadacie się w ten sposób. Zawsze strasznie mnie bawiły te twoje archaizmy. Ale powiedz... Co robisz, gdzie znowu idziesz?

Wstaję z łóżka. Jestem całkiem naga. Nie odpowiem na jego pytanie, od razu pójdę do komputera, wciąż jest włączony, bo wśród moich staroświeckich irytujących obyczajów jest i ten, że nie wyłączam sprzętów elektronicznych i nie doceniam zalet energooszczędnych możliwości wyłączników trybu czuwania. Więc już po kilku sekundach włączę Worda, kliknę w ikonę dokumentu, któremu nadałam nazwę „Zaproszenie na morderstwo”, i otworzę go.

Moje palce szybko suną nad klawiaturą, niemal tak jak moje myśli, które ponownie, tym razem już po raz ostatni, zwracają się do starszej siostry:

Żegnaj, Oli. Jeżeli pragnęłaś nieco pośmiertnej chwały wskutek tego, że upowszechniłabym twoją historię, to przykro mi, ale srodze się zawiedziesz. Już nic nie stanie między Pedrem a mną, nawet twój cień. Kiedy w przyszłości będę myślała o tobie, nawet ja wymażę z pamięci ten ostatni kamyczek Tomcia Palucha. Mam na myśli twoje starania, żebym po zdemaskowaniu mordercy ostatecznie napisała książkę o tobie. Wybacz, ale zatrzymam się na przedostatnim kamyku, na sposobie, w jaki zaplanowałaś swoją śmierć, tak przebiegle, również tak wspaniałomyślnie. Nie zawsze się wygrywa, Oli, i tak jak zepsuty zegar, którym jesteś, pokazuje dokładną godzinę dwa razy na dobę, tak nawet prawidłowo działający, wskazujący odpowiednią godzinę budzik, za jaki się uważam, niekiedy świadomie rezygnuje z dzwonienia. Co za pech, siostrzyczko, nikt się nie dowie o twojej chytrości. Doprawdy, aż dziw, jak łatwo wymazać ślady zabójstwa. Widzisz? Wystarczy, że kliknę „Edytuj”, potem wybiorę „Zaznacz wszystko”, a potem wcisnę klawisz DELETE. Już wiesz, jakie to proste? Zawsze byłaś dość nieudolna w kwestii nowoczesnych urządzeń, pamiętam, ale nic nie szkodzi, z wielką ochotą teraz ci to wszystko tłumaczę. A na zakończenie jeszcze

zapytam, czy widzisz to okienko, w którym widnieje pytanie: „Czy na pewno chcesz przenieść do Kosza plik «Zaproszenie na morderstwo»?”. Klikam tu, gdzie jest napis „Tak”, i to oznacza pożegnanie na zawsze, Oli. Odtąd wraz z Pedrem będziemy cię wspominać tylko za twe dobre uczynki, a zwłaszcza za to, że zbliżyłaś nas do siebie. Dziękujemy, skarbie.

Biblia Tysiąclecia, Mt 25,13 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [powrót]

Polski tytuł: *Rosemary znaczy pamięć*. [powrót]

List do Rzymian 12,19. [powrót]

claro/clara (hiszp.) – jasny/jasna. [powrót]

Hay amores que matan – tytuł znanej wenezuelskiej telenoweli. [powrót]

W martwym ciele zdrowy duch (parafraza przysłowia, które w oryginale brzmi: *mens sana in corpore sano*). [powrót]